

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

PÓŁNOC KONTRA POŁUDNIE

Juliusz Verne

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

NA POKŁADZIE PAROSTATKU „SHANNON”

Florydę przyłączono do wielkiej federacji amerykańskiej w roku 1819, a kilka lat później wyniesiono ją do rangi stanu. Wcielenie jej powiększyło terytorium republiki o sześćdziesiąt siedem tysięcy mil kwadratowych. Wszelako gwiazda florydzka nie oślepią jasnością na firmamencie flagi Stanów Zjednoczonych Ameryki, usianym trzydziestoma siedmioma gwiazdami.

Floryda jest tylko wąskim, nisko położonym paskiem lądu. Jej niewielka szerokość nie pozwala przepływającym przez nią rzekom — z wyjątkiem Saint Johns — osiągnąć większego znaczenia. Przy tak słabo zróżnicowanym ukształtowaniu powierzchni cieków wodnych nie mają dostatecznego spadku, by nabrać wartkości. Nie ma tam wcale gór, jedynie kilka pasm wzgórz, zwanych bluffs, tak licznych w części centralnej i północnej tego kraju. Co się tyczy kształtu stanu, to można go porównać do ogona bobra zanurzonego w oceanie, między Atlantykiem na wschodzie i Zatoką Meksykańską na zachodzie.

Jedynym zatem sąsiadem Florydy jest Georgia, z którą graniczy na północy. Granica ta tworzy międzymorze łączące półwysep z kontynentem.

W sumie Floryda jawi się jako odrębna kraina, nieco nawet dziwna, z mieszkańcami będącymi półkrwi Hiszpanami i Amerykanami oraz z Seminolami, różniącymi się znacznie od swych indiańskich współplemieńców z Dzikiego Zachodu. Chociaż południowe wybrzeża są jałowe, piaszczyste, niemal całkowicie pokryte wydmnami powstałymi z naniesionych przez Atlantyka piasków, to żyzność północnych nizin jest niezrównana. Tym Floryda wspaniale uzasadnia swoje imię. Flora jest tam przepyszna, dorodna, niezwykle zróżnicowana. Niewątpliwie wynika to z faktu, że tę część terytorium nawadnia rzeka Saint Johns. Szeroko toczy ona swe wody z południa na północ na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu mil, z czego sto siedem mil, aż do Jeziora Jerzego, jest żeglowne. Dzięki kierunkowi swego biegu ma znaczną długość, której niedostatek jest wadą rzek położonych równoleżnikowo. Wiele rzeczek przelewa do niej swoje wody w głębi licznych zatok położonych na obu jej brzegach. Saint Johns stanowi zatem główną arterię tej krainy, którą orzeźwia swymi wodami — krwią płynącą w żyłach ziemi.

Siódmego lutego 1862 roku parostatek „Shannon” płynął w dół Saint Johns. O czwartej po południu miał się zatrzymać w małym osiedlu Picolata, obsłużywszy przystanie w górze rzeki i rozmaite forty leżące w hrabstwach Saint Jean i Putnam, kilka mil dalej zaś wpłynąć na teren hrabstwa Duval rozciągającego się aż do hrabstwa Nassau o granicy wytyczonej przez rzekę, od której wzięło swą nazwę.

Sama Picolata nie ma wielkiego znaczenia; wszelako jej okolice obfitują w plantacje indygo, ryżu, bawełny i trzciny cukrowej, w olbrzymie lasy cyprysowe. Toteż i mieszkańców tam nie brakuje. W dodatku położenie osiedla wpływa na ruch handlowy i pasażerski. Jest to przystań pasażerska obsługująca Saint Augustine, jedno z najważniejszych miast Florydy wschodniej, usytuowane w odległości blisko dwunastu mil na tej części wybrzeża atlantyckiego, którą osłania długa Wyspa Anastazji. Osiedle z miastem łączy niemal prosty trakt.

Tego dnia na przystani w Picolacie znalazło się znacznie więcej podróżnych niż zazwyczaj. Przyjechali z Saint Augustine kilkoma ósmioosobowymi powozami zwanymi stages, zaprzęganymi w

cztery lub sześć mułów, które jak szalone gnają drogą biegnącą przez bagna. Ważne było, żeby się nie spóźnić na statek, gdyż w przeciwnym razie człowiek doświadczał przynajmniej dwudniowego oczekiwania, zanim parowiec dotarł do położonych w dole rzeki miast, osiedli, fortów oraz wioski i wrócił. „Shannon” nie obsługiwał bowiem codziennie obu brzegów Saint Johns, a w tym czasie był jedynym statkiem, który zapewniał przewóz. Toteż już na godzinę przed jego przybyciem pasażerowie wjechali powozami na przystań.

Było ich około pięćdziesięciu na nabrzeżu. Czekali gawędząc z pewnym ożywieniem. Dawało się zauważyć, że podzieleni są na dwie grupy niechętnie zbliżeniu. Czyżby zatem do Saint Augustine przywiodła ich jakaś poważna sprawa bądź rozgrywka polityczna? Tak czy owak, nie doszło między nimi do porozumienia. Przybyli jako wrogowie i tak samo wracali. Aż nazbyt wyraźnie było to widać po wymienianych gniewnych spojrzeniach, po dystansie między obiema grupami, po paru obraźliwych słowach, których prowokacyjny sens wydawał się być jasny dla każdego.

Tymczasem w powietrzu rozległy się dźwięki gwizdka dochodzące z góry rzeki. Wkrótce na jej zakręcie, na prawym brzegu, pół mili powyżej Picołaty, ukazał się „Shannon”. Gęste kłęby dymu dobywającego się z dwóch kominów przysłoniły wielkie drzewa poruszane wiatrem na przeciwległym brzegu. Ruchoma masa rosła w oczach. Zaczynał się odpływ morza zwiększający prędkość statku, gdyż ściągał wody rzeki do jej ujścia.

Wreszcie zabrzmiał dzwon pokładowy. Koła parowca, bijąc w przeciwnym kierunku powierzchnię wody, zatrzymały „Shannona”, który ustawił się blisko pomostu.

Wkrótce podróżni z pewnym pośpiechem weszli na pokład. Najpierw wsiadła jedna grupa, druga zaś wcale nie usiłowała jej wyprzedzić. Powodem tego niewątpliwie był fakt, iż oczekiwano jeszcze jednego lub kilku spóźnionych pasażerów, którym groziło, że statek odpłynie bez nich, dwóch czy trzech mężczyzn bowiem zawróciło aż do wylotu drogi do Saint Augustine. Stamtąd spoglądali w kierunku wschodnim, objawiając wyraźne zniecierpliwienie.

I nie bez powodu, gdyż stojący na trapie kapitan „Shannona” zawołał:

— Wsiadać! Wsiadać!

— Jeszcze kilka minut — odezwał się jeden z osobników pozostałych na pomoście przystani.

— Nie mogę czekać, panowie.

— Kilka minut!

— Nie! Ani chwili!

— Tylko moment!

— Absolutnie! Morze się cofa i ryzykuję, że woda na mierzei w Jacksonville będzie za niska.

— A poza tym — wtrącił się jeden z podróżnych — nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy się podporządkowywać kaprysom opieszłych!

Ten, kto uczynił tę uwagę, należał do pierwszej grupy, już rozłokowanej na rufowce „Shannona”.

— Słusznie, panie Burbank — przyznał kapitan. — Obowiązek przede wszystkim... No, panowie, albo wsiadacie, albo każę odcumować!

Już marynarze gotowali się, by odepchnąć parostatek od pomostu przy donośnych dźwiękach gwizdka parowego, gdy powstrzymał ich okrzyk:

— Jest Texar!... Jest!

Zza zakrętu wypadł gnający co sił w nogach zaprzęg. Cztery ciągnące go muły zatrzymały się na skraju pomostu, tuż przed trapem. Z powozu wysiadł mężczyzna. Ci z jego towarzyszy, którzy wyglądając go wyszli aż na drogę, dołączyli doń biegiem, po czym wszyscy razem wsiadli na statek.

— Jeszcze chwila, Texar, a statek odpłynąłby bez ciebie, co by nie było po twojej myśli — odezwał się któryś.

— No! I dopiero za dwa dni mógłbyś wrócić do... Właśnie, gdzie?... Dowiemy się, jak raczysz nam powiedzieć — dodał inny.

— A gdyby kapitan posłuchał tego bezczelnego Burbanka — powiedział trzeci — to „Shannon” byłby już dobre ćwierć mili od Picołaty!

Texar w towarzystwie swych przyjaciół wszedł na nadbudówkę na dziobie. Rzucił tylko okiem na Burbanka, od którego oddzielał go mostek. Choć nie wymówił ani słowa, jego spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, że między tymi dwoma mężczyznami istnieje zajadła nienawiść.

James Burbank, popatrzawszy Texarowi prosto w twarz, odwrócił się do niego i usiadł w tyle pokładówki, gdzie jego towarzysze zajęli już miejsca.

— Nietęgą ma minę ten Burbank! — powiedział jeden z ludzi otaczających Texara. — To jasne. Zawiódł się w nadziejach pokładanych w swych kłamstwach, a sędzia okręgowy potępił jego fałszywe zeznania...

— Ale nie jego samego — odparł Texar. — I tym zajmę się osobiście!

Tymczasem „Shannon” odcumował i jego dziób znalazł się w nurcie rzeki. Zaraz potem statek, pchany potężnymi kołami, które wspomagał jeszcze odpływ, szybko ruszył korytem Saint Johns.

Wiadomo, czym są parowce przeznaczone do obsługi rzek w Ameryce. To zwieńczone pokładami spacerowymi prawdziwe kilkupiętrowe domy, nad którymi wznoszą się na pomoście dwa kominy kotłowni i maszty flagowe podtrzymujące linki tentów. Na rzece Hudson, jak i na Missisipi parowce te, podobne do nawodnych pałaców, mogłyby pomieścić ludność całego osiedla. Saint Johns i miasta Florydy nie miały aż takich potrzeb. „Shannon” był tylko pływającym hotelem, chociaż jego rozkład zewnętrzny i wewnętrzny odznaczał się bliźniaczym podobieństwem do statków typu „Kentucky” czy „Dean Richmond”.

Pogoda była cudowna. Błękitne niebo plamiły nieliczne obłoczki rozrzucone na horyzoncie. Na tej szerokości geograficznej, to znaczy na trzydziestym równoleżniku, w lutym w Nowym Świecie jest niemal równie ciepło jak w Starym na skraju Sahary. Wszelako lekki wiaterek od morza łagodził to, co w tym klimacie mogłoby się stać uciążliwe. Toteż większość pasażerów „Shannona” pozostała na nadbudówkach, aby odetchnąć intensywnymi woniami, jakie bryza niosła z przybrzeżnych lasów. Ukośnie padające promienie słoneczne nie mogły dosięgnąć podróżnych pod płóciennymi daszkami, poruszonymi pędem parostatku niczym indyjskie punki.

Texar i pięciu czy sześciu innych, którzy wsiedli razem z nim na pokład, uznali za słuszne zejść do pomieszczeń jadalnych. Tam, jako ludzie nie gardzący wypitką, o gardle stworzonym do mocnych trunków dostępnych w barach amerykańskich, całymi szklankami raczyli się dżinem i whisky. Byli to osobnicy dość nieokrzesani, bez ogłady, grubiańscy w mowie, odziani przeważnie w skóry, przyzwyczajeni raczej do życia w lasach niż w miastach Florydy. Texar wydawał się mieć nad nimi przewagę niewątpliwie wynikającą w równym stopniu z siły jego charakteru, jak i ze znaczenia swej pozycji czy fortuny. Ponieważ nic nie mówił, jego poplecznicy również milczeli, a czas wolny od rozmów wykorzystywali na picie.

Przerzuciwszy pobieżnie jeden z dzienników, które walały się po stołach w jadalni, Texar odrzucił go, mówiąc:

— Zdążyły się zestarzeć!

— No pewnie! — odparł któryś z jego kompanów. — Gazeta sprzed trzech dni.

— A trzy dni to dużo, odkąd biją się niedaleko od nas — dodał inny.

— Jak wygląda sytuacja na wojnie? — zapytał Texar.

— Jeśli chodzi o to, co nas dotyczy, to podobno rząd federalny zaczął przygotowania do wyprawy przeciwko Florydzie. Wynika z tego, że niedługo trzeba się spodziewać ataku Jankesów.

— Czy to pewne?

— Nie wiem, ale takie pogłoski krążyły w Savannah i to samo mówiono w Saint Augustine.

— Niech więc spróbują tu wejść ci federaliści, skoro tak chcą nas zmusić do uległości! — zawołał Texar, podkreślając swą pogroźkę uderzeniem pięści w stół, od którego szklanki i butelki aż podskoczyły. — Tak! Niech przyjdą! Zobaczymy, czy florydscy właściciele niewolników pozwolą się ograbić tym złodziejskim abolicjonistom.

Ta odpowiedź Texara wyjaśniłaby dwie sprawy każdemu, kto by nie był poinformowany o wydarzeniach rozgrywających się w tym czasie w Ameryce: po pierwsze, że wojna secesyjna, którą rozpoczął wystrzał armatni na Fort Sumter 11 kwietnia 1861 roku, weszła właśnie w najgorętsze stadium, rozszerzyła się bowiem do najdalszych granic stanów południowych; po wtóre, że Texar, zwolennik niewolnictwa, trzymał stronę przeważającej części mieszkańców terenów, gdzie uprawiano ten proceder. A właśnie na pokładzie „Shannona” znajdowali się przedstawiciele obu stron: z jednej strony — zgodnie z rozmaitymi nazwami, jakie im nadawano w trakcie tej długiej walki — byli to Jankesi, unioniści, abolicjoniści i federaliści, z drugiej zaś Południowcy, separatyści, secesjoniści i konfederaci.

Godzinę później Texar i jego kompani, opici bardziej niż trzeba, podnieśli się, by przejść na najwyższy pokład „Shannona”. Minięto już prawobrzeżną zatokę Trent i Zatokę Sześciu Mil, z których pierwsza doprowadza wody rzeki na sam skraj gęstego lasu cyprysowego, druga zaś aż do rozległych moczarów o nazwie Dwanaście Mil, informującej o wielkości ich powierzchni.

Parostatek płynął między dwoma szeregami wspaniałych drzew: tulipanowców, magnolii, sosen, cyprysów, juk, wiecznie zielonych dębów i wielu innych, niezwykle wybujałych, o pniach zasłoniętych splątaniem gąszczem azalii i wężowników. Niekiedy z otwierających się na rzekę zatoczek, które nawadniają bagniste równiny hrabstw Saint Jean i Duval, dolatywało powietrze przesiąknięte mocnym aromatem piżma. Zapach ten nie pochodził od krzewów, tak przenikliwie w tym klimacie pachnących, lecz od aligatorów kryjących się w wysokich trawach, gdy płoszył je hałas nadpływającego „Shannona”. Były tam też ptaki wszelkiego autoramentu, dzięcioły, czaple, bąki, gołębie, żurawie, wróble i setki innych rozmaitej wielkości i maści, a przedrzeźniacz swym głosem brzuchomówcy naśladował wszystkie dźwięki — nawet krzyk indyka, dźwięczny niczym metaliczna fraza trąbki, której śpiew słychać jeszcze w odległości czterech mil.

W chwili gdy Texar wchodził na ostatni stopień schodów, by znaleźć się na pokładówce, do salonu zamierzała wejść jakaś kobieta. Cofnęła się, kiedy ujrzała go przed sobą. Była to Mulatka służąca u Burbanków. Niespodziane pojawienie się zaprzysięgłego wroga jej pana wywołało w niej nieprzewyciężony odruch wstrętu. Nie bacząc na złowrogie spojrzenie, jakim obrzucił ją Texar, odsunęła się na bok. On zaś, wzruszywszy ramionami, odwrócił się do swych kompanów.

— Hej, to Zerma! — zawołał — jedna z niewolnic tego Burbanka, co to twierdzi, że nie jest zwolennikiem niewolnictwa!

Zerma nie odezwała się ani słowem. Kiedy droga do pokładówki zwolniła się, weszła do salonu „Shannona”, zdając się nie przywiązywać najmniejszej wagi do tych słów.

Texar natomiast udał się na dziób parostatku. Zapaliwszy cygaro, nie interesując się więcej swymi kompanami, którzy za nim poszli, jął z uwagą obserwować lewy brzeg rzeki na skraju hrabstwa Putnam.

W tym samym czasie na rufie „Shannona” też rozmawiano na temat wojny. Po odejściu Zermy James Burbank został z dwoma przyjaciółmi — towarzyszami podróży do Saint Augustine. Jednym z nich był jego szwagier, Edward Carrol, drugim zaś mieszkający w Jacksonville Florydczyk, Walter Stannard. Oni także z pewnym ożywieniem rozprawiali o krwawej walce, której wynik był kwestią

życia lub śmierci dla Stanów Zjednoczonych. Ale, jak zobaczymy, James Burbank oceniając jej wyniki, osądzał je inaczej niż Texar.

— Spieszno mi wrócić do Camdless Bay — powiedział. — Wyjechaliśmy dwa dni temu. Może nadeszły jakieś nowiny z wojny?

Może Dupont i Sherman zdobyli już Port Royal i wyspy Południowej Karoliny?

— Na pewno nie omieszkają tego uczynić — odparł Edward Carrol. — I bardzo by mnie zdziwiło, gdyby prezydent Lincoln nie rozważał wkroczenia na teren Florydy.

— Najwyższy czas! — dodał Burbank. — Tak! Już pora, żeby Unia narzuciła swą wolę tym wszystkim Południowcom z Georgii i Florydy, którzy uważają, że są od tego zbyt oddaleni, aby ich kiedykolwiek mogło dotyczyć! Sami widzicie, do jakiego zuchwalstwa może to doprowadzić przybłędów w rodzaju Texara! Czuje, że ma poparcie tutejszych zwolenników niewolnictwa, więc podburza ich przeciwko nam, ludziom z Północy, których położenie, coraz trudniejsze, doznaje jeszcze uszczerbku z powodu wojny!

— Masz rację, James — rzekł Carrol. — Ważne jest, żeby Floryda jak najszybciej znalazła się pod władzą rządu waszyngtońskiego. Z niecierpliwością czekam, aż armia federalna zaprowadzi tu porządek, inaczej będziemy musieli opuścić nasze plantacje.

— To już kwestia kilku dni, moi drodzy — powiedział Walter Stannard. — Przedwczoraj, kiedy opuszczałem Jacksonville, zaczynało się niepokoić, bo podobno komodor Dupont zamierza wpłynąć na Saint Johns. I to stało się pretekstem do gróźb skierowanych przeciw tym, którzy nie myślą tak samo jak zwolennicy niewolnictwa. Boję się, żeby jacyś buntownicy nie obalili w najbliższym czasie naszych władz miejskich na korzyść indywiduów najgorszego pokroju.

— Nie dziwi mnie to — odpowiedział Burbank. — Toteż gdy wojska federalne będą się zbliżały, musimy być przygotowani na ciężkie chwile. Nie da się tego jednak uniknąć.

— Bo i cóż możemy zrobić? — podjął Stannard. — Nawet jeżeli w Jacksonville i kilku innych miastach Florydy jest paru osadników, którzy są tego samego co i my zdania w kwestii niewolnictwa, to przecież nie ma ich na tyle, aby przeszkodzić wybrykom secesjonistów. Dla naszego bezpieczeństwa powinniśmy liczyć tylko na wejście federalistów, i jeszcze należałoby życzyć sobie, żeby jeśli zapadła decyzja o ich interwencji, stało się to jak najrychlej.

— Niechże już wreszcie wejdą! — zawołał James Burbank. — I niech nas uwolnią od tej łobuzerii!

Zobaczymy wkrótce, czy ludzie z Północy, zmuszeni sytuacją ro dzinną lub majątkową do życia wśród sprzyjających niewolnictwu Południowców i dostosowania się do panujących tam zwyczajów, mieli prawo tak właśnie się wyrażać i obawiać się najgorszego.

Rozważania Jamesa Burbanka i jego przyjaciół na temat wojny były zgodne z prawdą. Rząd federalny istotnie przygotowywał wyprawę z zamiarem podporządkowania sobie Florydy. Nie tyle chodziło o zawładnięcie stanem czy o zajęcie go przez wojsko, ile o zamknięcie wszystkich dróg przemytnikom, forsującym blokadę morską zarówno w celu wywozu miejscowych produktów, jak i przewozu broni oraz amunicji. Dlatego też „Shannon” nie ważył się już obsługiwać południowych wybrzeży Georgii będących w rękach wojsk Północy. Przewornie zatrzymywał się na granicy, nieco poza ujściem Saint Johns, na północ od Wyspy Amelii, w porcie Femandina, skąd biegnie linia kolejowa z Cedar Keys, która ukośnie przecina półwysep dochodząc do Zatoki Meksykańskiej. Powyżej Wyspy Amelii i rzeczki Saint Mary „Shannon” narażałby się na ujęcie przez okręty federalne, nieustannie strzegące tej części wybrzeża.

W związku z tym pasażerami statku byli głównie Florydczycy nie zmuszeni do wyjazdu poza granice stanu. Wszyscy mieszkali w miastach, osiedlach i osadach położonych na brzegach Saint

Johns lub jego dopływów, a w większości w Saint Augustine lub w Jacksonville. Mogli zsiadać ze statku w tych miejscowościach wprost na umieszczone przy przystani pomosty albo też na drewniane estakady zbudowane na sposób angielski, dzięki czemu nie musieli korzystać z łodzi.

Wszelako jeden z pasażerów parowca zamierzał opuścić go na środku rzeki. Miał w planie, nie czekając, aż „Shannon” zatrzyma się w którejś z obowiązkowych przystani, wysiąść w miejscu, skąd nie było widać żadnego osiedla ani samotnego domu, ani nawet szałasu myśliwskiego czy rybackiego.

Tym pasażerem był Texar.

Około szóstej wieczorem na „Shannonie” rozległy się trzy głośnie gwizdki. Niemal równocześnie koła stanęły i statek dał się nieść prądowi, bardzo łagodnemu w tej części rzeki. Znajdował się wtedy w pobliżu Czarnej Zatoki.

Zatoka ta jest wydrążoną na lewym brzegu rzeki głęboką niecką, do której wpada maleńka rzeczka bez nazwy, przepływająca u stóp Fort Heilman położonego niemal na granicy hrabstw Putnam i Du val. Wąskie wejście do niej niknie całkowicie pod sklepieniem gęstych gałęzi o liściach przeplatających się niczym osnowa gęsto utkanego płótna. Tej ponurej laguny okoliczni mieszkańcy właściwie nie znają. Nikt nigdy nie próbował tam wejść i nikt nie wiedział, że służy ona Texarowi za schronienie. Wynika to stąd, że w miejscu, gdzie znajduje się wejście do Czarnej Zatoki, brzeg rzeki wydaje się ciągnąć nieprzerwanie. Toteż przy szybko zapadającej nocy wpłynąć łodzią w mroczną zatokę mógł tylko żeglarz dobrze z nią obeznany. Na pierwsze dźwięki gwizdka „Shannona” natychmiast odpowiedział trzykrotnie powtórzony okrzyk. Blask ognia, przeświecający między wysokimi trawami, zaczął się przesuwac. Znaczyło to, że jakaś łódź nadpływa i przybije do burty parostatku.

Było to czółno — malutka łódka z kory, którą poruszało się i kierowało zwykłym wiosłem. Wkrótce czółno znajdowało się zaledwie pół kabla od „Shannona”.

Texar podszedł wtedy do znajdującego się na przedniej pokładówce otworu do spuszczenia trapu i złożywszy dłoń w trąbkę, zawołał:

— Ahoj!

— Ahoj! — usłyszał w odpowiedzi.

— To ty, Skambo?

— Tak, panie.

— Przybijaj!

Czółno przybiło do burty. W blasku przymocowanej do niego latarni można było ujrzeć kierującego nim człowieka. Był to czarnowłosy Indianin, nagi do pasa, a sądząc po torsie widocznym w świetle — nie ułomek.

Texar zwrócił się ku swym kompanom i uściśnął im dłonie, mówiąc znacząco „do zobaczenia”. Rzuciwszy jeszcze złowróżbne spojrzenie w stronę Burbanka, szedł po schodkach umieszczonych za bębniem koła na lewej burcie i znalazł się przy Indianinie. Kilkoma ruchami koła parostatek oddalił się od czółna, a na pokładzie nikomu do głowy by nie przyszło, że lekka łódeczka wpłynie pod mroczną płataninę gałęzi.

— O jednego łajdaka mniej na pokładzie! — powiedział wtedy Edward Carrol, nie przejmując się, że jego słowa dotrą do popleczników Texara.

— Tak — przyznał James Burbank — i równocześnie niebezpiecznego złoczyńcę. Ja w to nie wątpię, chociaż ten nędznik zawsze potrafi wybrnąć z kłopotu przez te swoje naprawdę niewytłumaczalne alibi.

— W każdym razie — odezwał się Stannard — jeżeli dziś w nocy w okolicach Jacksonville

zostanie popełniona jakaś zbrodnia, jego nie będzie można o to oskarżyć, skoro opuścił „Shannona”!

— Niepodobna to pojąć! — rzekł Burbank. — Gdyby mi ktoś powiedział, że w chwili, gdy o tym mówimy, widziano go na północy Florydy, pięćdziesiąt mil stąd, jak popełniał rabunek albo mord, nie byłbym tym wcale zdziwiony! Co prawda, gdyby udało mu się udowodnić, że nie jest sprawcą tej zbrodni, to po tym, co zaszło, też by mnie to bardziej nie zdziwiło. Ale za dużo mówimy o tym człowieku. Wracasz do Jacksonville, Walterze?

— Jeszcze dzisiaj wieczorem tam będę.

— Córka czeka na ciebie?

— Tak, i chcę ją jak najszybciej zobaczyć.

— Rozumiem to — odparł Burbank. — A kiedy masz zamiar przyjechać do Camdless Bay?

— Za kilka dni.

— Przyjeżdżaj więc, jak tylko to będzie możliwe, mój drogi. Wiesz, że jesteśmy w przededniu ważnych wydarzeń, a ich waga jeszcze wzrośnie, gdy nadejdą oddziały federalne. Zastanawiam się też, czy nie byłibyście z Alicją bezpieczniejsi w naszym Castle House niż w mieście, gdzie Południowcy mogą się dopuścić wszelkich wybryków.

— Ech, czyż ja sam nie jestem z Południa?

— Bez wątpienia, ale myślisz i postępujesz jak człowiek z Północy!

Godzinę później „Shannon”, niesiony coraz szybszym odpływem, mijał niewielką osadę Mandarin, położoną na szczycie zielonego wzgórza. A pięć mil niżej zatrzymał się na prawym brzegu rzeki. Znajdowało się tam nabrzeże załadowcze, do którego mogły przybijać statki, by zabrać ładunek. Nieco powyżej wystawał miły dla oka pomost, lekka drewniana kładka zawieszona na stalowych linach. Była to przystań w Camdless Bay.

Na skraju pomostu czekało dwóch Murzynów z latarniami, gdyż ściemniło się już zupełnie.

James Burbank pożegnał się ze Stannardem i w towarzystwie Edwarda Carrola zeskoczył na kładkę.

Za nim szła Zerma, która z daleka odpowiedziała na dziecięcy głosik:

— Jestem już, Dy!... Jestem!

— A tatuś?...

— Tatuś też!

Latarnie oddaliły się, „Shannon” zaś ruszył dalej, skręcając ku lewemu brzegowi. Trzy mile za Camdless Bay, po drugiej stronie rzeki, zatrzymał się przy pomoście w Jacksonville, by wysadzić na ląd większość swoich pasażerów.

Walter Stannard opuścił tam statek razem z trzema czy czterema spośród ludzi, z którymi półtorej godziny wcześniej pożegnał się Te-xar, kiedy to czólnem przyplłynął po niego Indianin. Na pokładzie parostatku pozostało już tylko nie więcej jak pół tuzina pasażerów; jedni z nich płynęli do Pablo, małego osiedla położonego w pobliżu latarni morskiej wznoszącej się przy ujściu Saint Johns, inni udawali się na wyspę Talbot znajdującą się pośrodku wejścia na szlak wodny o tej samej nazwie, pozostali zaś kierowali się do portu Fernandina. „Shannon” pruć więc dalej wody rzeki, której ujście udało mu się przebyć bez przeszkód. Godzinę później zniknął za załomem w zatoce Trout, gdzie Saint Johns miesza swe niespokojne już wody z burzliwymi falami oceanu.

ROZDZIAŁ II

CAMDLESS BAY

Camdless Bay — tak nazywała się plantacja Jamesa Burbanka. Tam właśnie bogaty osadnik mieszkał ze swą rodziną. Nazwa posiadłości pochodziła od imienia jednej z zatok Saint Johns, otwierającej się nieco powyżej Jacksonville na przeciwległym brzegu. Przy tak niewielkiej odległości połączenie z miastem nie było trudne. Dobrą łodzią, przy wietrze północnym lub południowym, korzystając z odpływu, by tam dotrzeć, i z przyływu, by wrócić, wystarczała godzina na przebycie trzech mil dzielących Camdless Bay od stolicy hrabstwa Duval.

Do Jamesa Burbanka należała jedna z najpiękniejszych posiadłości w okolicy. I on był bogaty, i jego rodzina, a fortunę uzupełniały jeszcze pokaźne nieruchomości leżące w stanie New Jersey, który graniczy ze stanem Nowy Jork.

Niezwykle trafny wybór miejsca na prawym brzegu Saint Johns sprawił, że plantacja miała znaczną wartość. Ręka ludzka nie musiała niczego dodawać do tak korzystnego położenia ofiarowanego przez samą naturę. Teren nadawał się do wszechstronnej eksploatacji. Toteż kierowana przez człowieka mądrego, energicznego, w sile wieku, wspieranego w swych wysiłkach przez pracujących u niego ludzi, któremu w dodatku nie brakowało funduszy, plantacja Camdless Bay była w stanie wspaniałego rozkwitu.

Posiadłość miała dwanaście mil obwodu, a jej powierzchnia wynosiła cztery tysiące akrów. Jeśli nawet istniały większe w południowych stanach Unii, to nie były lepiej zagospodarowane. Dom mieszkalny, budynki gospodarcze, stajnie, obory, chaty niewolników, magazyny przeznaczone do przechowywania płodów ziemi, warsztaty i przetwórnice do ich obróbki, tor kolejowy biegnący wokół posiadłości do niewielkiego portu załadowniczego, drogi dla pojazdów — wszystko przewidziano mając na uwadze użyteczność. Już na pierwszy rzut oka widać było, że zostało to pomyślane, urządzone i wykonane przez Amerykanina z Północy. Jedynie kolonie w Wirginii i obu Karolinach mogłyby rywalizować z Camdless Bay. Na dodatek ziemie plantacji składały się z „high-hummoks” — gleby wysokiej wartości, najwłaściwszej do uprawy zbóż, z „low-hummoks” — gleb gorszych, które nadają się pod uprawę krzewów kawowych i kakaowych, oraz z „marshs”, czyli rodzaju zasolonych sawann, gdzie najlepiej rośnie ryż i trzcina cukrowa.

Jak wiadomo, bawełna z Georgii i Florydy, ze względu na długość włókien i ich jakość, jest najwyżej cenioną na rynkach europejskich i amerykańskich. Toteż poletka bawełniane, z rosnącymi w regularnych odstępach sadzonkami o pastelowozielonych Ustkach i kwiatach w kolorze malwy, przynosiły plantacji największe dochody. W sezonie zbiorów poletka te, o powierzchni od jednego do półtora akra, pokrywały się szafasami, w których mieszkali wtedy niewolnicy — kobiety i dzieci obciążone zbieraniem torebek i wyciąganiem z nich kłaczek bawełny, a praca to bardzo delikatna, nie można bowiem uszkodzić włókien. Bawełna, wysuszona na słońcu, oczyszczona za pomocą kół zębatach i wałów, zbita pod prasą hydrauliczną w bele spięte potem żelazną taśmą, była magazynowana do wywozu. Statki żaglowe bądź parowe mogły przybyć po ładunek bel bawełny wprost do przystani w Camdless Bay.

Obok bawełny James Burbank uprawiał także rozległe pola kawy i trzciny cukrowej. Posiadał więc około tysiąca dwustu krzewów kawowych przypominających jaśminy wielkokwiatowe, wysokich na piętnaście do dwudziestu stóp; ich owoce, wielkości małej wiśni, zawierają dwa ziarenka, które wystarczy tylko wyjąć i wysuszyć. Łąki, a raczej moczary, jeżyły się tysiącem trzciny wybujałych na wysokość do osiemnastu stóp, których czubki chwiały się niczym kity na hełmach

oddziału kawalerii w marszu. W Camdless Bay szczególnymi staraniami otaczany był zbiór trzciny cukrowej, otrzymywano z niej bowiem cukier płynny i przetwarzano go na drodze rafinacji, wysoko rozwiniętej w stanach Południa, na cukier rafinowany; do produktów ubocznych należała melasa, służąca do wyrobu rumu, oraz wino trzcinowe, czyli mieszanina płynnego słodziku z sokiem ananasowym lub pomarańczowym. Wprawdzie, w porównaniu z polami bawełny, uprawa tych roślin odbywała się na dużo mniejszą skalę, lecz była bardzo zyskowna. Kilka poletek krzewów kakaowych, kukurydzy, ignamów, patatów, tytoniu, dwieście czy trzysta akrów pola ryżu przynosiło dodatkowe plony plantacji Jamesa Burbanka.

Teren ten eksploatowano także w inny jeszcze sposób, dający dochody przynajmniej równe produkcji bawełny. Chodzi o wyrąb niewyczerpalnych lasów porastających plantację. Oprócz płodów drzewek cynamonowych, pieprzowych, pomarańczowych, cytrynowych, mangowych, chlebowych, oliwek, figowców i niemal wszystkich europejskich drzew owocowych, które świetnie się zaaklimatyzowały na Florydzie, ciągnięto jeszcze zyski z regularnego wycinania lasów. Jakież tam było bogactwo kampezy, wiązów meksykańskich, tak rozmaicie obecnie wykorzystywanych, baobabów, drzew koralowych o łodygach i kwiatach krwistoczerwonych, kasztanowców, czarnych orzechów, zielonych dębów, modrzewi dostarczających doskonałego budulca na szkielety statków i omasztowanie, pini, tulipanowców, jodeł, cedrów, a zwłaszcza cyprysów, tak powszechnych na całym półwyspie, że lasy cyprysowe ciągną się tam niekiedy na przestrzeni nawet i stu mil. Burbank musiał zbudować kilka tartaków w rozmaitych punktach plantacji. Ustawione na wpadających do Saint Johns rzeczkach zapory przydawały spadku ich spokojnemu nurtowi, co z kolei umożliwiało otrzymanie energii mechanicznej niezbędnej do przycinania belek, kłoców czy desek, które co roku mogła wywozić setka statków, wypełniając nimi ładownie po brzegi.

Należy jeszcze wymienić rozległe i żyzne łąki, gdzie wypasano konie i muły, oraz stada bydła, których produkty zaspokajały wszelkie potrzeby.

Jeśli chodzi o rozmaite gatunki ptactwa zamieszkujące lasy i równiny, to z trudem można by sobie wyobrazić, ile gnieździło się ich w Camdless Bay — jak zresztą na całej Florydzie. Nad lasami krążyły z szeroko rozpostartymi skrzydłami orły białogłowe, których przenikliwy krzyk przypomina fanfarę dobywającą się z pękniętej trąbki, sępy o rzadko spotykanej drapieżności, olbrzymie czaple o dziobie ostrym niczym bagnet. Na brzegu rzeki, między wysokimi trzcinami, pod plataniną gigantycznych bambusów, żyły czerwone flamingi, białe ibisy, które zda się, uleciały prosto z jakiegoś egipskiego malowidła, pelikany niezwykłych rozmiarów, miriady rybitw, wszelkiego rodzaju ptaszory, czerwonopióre kuliki o brunatnym puchu biało nakrapianym, połyskujące złotem zimorodki, całe tłumy nurków, kurek wodnych, świstunów, cyranek, siewek, nie mówiąc już o nawałnikach, burzykach, krukach, mewach, faetonach, które jeden podmuch wiatru przeganiał aż do rzeki, a czasem nawet latających rybaczek będących łatwą zdobyczą dla łakomczuchów. Na łąkach roiło się od kszyków, biegusów, bekasów morskich, indyków, kuropatw, gołębi o białych łebkach i czerwonych łapkach; z jadalnych czworonogów były tam króliki o długim ogonie, coś pośredniego między europejskim królikiem i zającem, stada danieli; nie brakowało też szopów praczy, żółwi, ichneumonów, a także, na nieszczęście, jadowitych gatunków węży. Tacy oto przedstawiciele świata zwierzęcego występowali na terenie posiadłości Camdless Bay, nie licząc Murzynów — mężczyzn i kobiet — pracujących na plantacji. Bo czyż owych istot ludzkich okrutne prawo do posiadania niewolników nie upodabnia do zwierząt kupowanych i sprzedawanych niczym bydłętą?

Jak to się stało, że James Burbank, zwolennik zniesienia niewolnictwa, federalista, który z utęsknieniem oczekiwał zwycięstwa Północy, nie wyzwolił jeszcze niewolników ze swojej plantacji? Czy zawaha się to uczynić, jak tylko warunki ku temu będą sprzyjające? Z pewnością nie! I

była to tylko kwestia tygodni, może nawet dni, ponieważ wojska federalne opanowały już niektóre pobliskie punkty w sąsiednim stanie i przygotowywały się do zajęcia Florydy.

James Burbank zastosował już zresztą w Camdless Bay wszelkie środki mogące polepszyć los jego niewolników. Było ich około siedmiuset obojga płci, mieszkali przyzwoicie w przestronnych, starannie utrzymanych chatach, żywności mieli pod dostatkiem, a pracowali na miarę swoich sił. Główny zarządca plantacji i jego pomocnicy otrzymali rozkaz, aby traktować ich sprawiedliwie i łagodnie. Wszelkie prace były przez to tylko lepiej wykonywane, choć już od dawna w Camdless Bay nie stosowano kar cielesnych. Stanowiło to uderzający kontrast ze zwyczajami na większości plantacji florydzkich, a na takie poczynania sąsiedzi Burbanka patrzyli niechętnym okiem. Stąd też, z czego wkrótce zdamy sobie sprawę, trudna sytuacja tych okolic — zwłaszcza w okresie, gdy broń miała rozwiązać problem niewolnictwa.

Liczna służba plantacji ulokowana była w wygodnych i czystych chatach. Zgrupowane po pięćdziesiąt, tworzyły one dziesięć jakby osad skupionych wzdłuż strumieni. Żyli w nich Murzyni ze swymi żonami i dziećmi. Każdą rodzinę w miarę możliwości przydzielono do tych samych robót na polach, w lasach lub przetwórnjach, dzięki czemu jej członkowie nie byli rozdzieleni w godzinach pracy. Na czele osady stał pomocnik administratora plantacji, pełniący w niej funkcję zarządcy, żeby nie powiedzieć burmistrza, i kierował tą małą społecznością podległą stolicy. Stolicą była wydzielona część Camdless Bay, otoczona wysokim ostrokołem, którego przylegające do siebie, pionowo ustawione paliki do połowy zasłaniała zieleń bujnej roślinności florydzkiej. Tam właśnie wznosił się dom mieszkalny Burbanków.

Skrzyżowanie domu z zamkiem, budowla ta otrzymała nazwę, na jaką zasługiwała: Castle House.

Camdless Bay już od bardzo dawna należała do rodziny Burbanków. W czasach, gdy trzeba się było obawiać napadów Indian, właściciele plantacji musieli ufortyfikować swą siedzibę. Jeszcze nie tak dawno generał Jessup bronił Florydy przed Seminolami. Bardzo długo koloniści musieli straszliwie cierpieć z powodu obecności owych nomadów. Nie tylko rabunek pozbawiał ich majątków, ale i krew ofiar tych łupieżców plamiła domostwa, niszczone potem przez pożar. Nawet miastom nieraz groził napad i grabież. W wielu miejscach widnieją ruiny, które krwiożerczy Indianie zostawili po swoim przejściu. Niecałe piętnaście mil od Camdless Bay, w pobliżu osady Mandarin, pokazują jeszcze „krwawy dom”, gdzie pewien kolonista, niejaki Motte, jego żona i trzy córki zostali oskalpowani, a następnie zmasakrowani przez tych barbarzyńców. Teraz jednak skończyła się już wojna między białymi i czerwonoskórymi. Seminole, ostatecznie pobici, musieli szukać schronienia daleko na zachód od Missisipi. Mówi się jeszcze tylko o kilku bandach, które kryją się gdzieś w bagnistej części Florydy południowej. Okolica ta nie musi się zatem więcej obawiać dzikich tubylców.

Zrozumiałe jest więc teraz, iż domostwa kolonistów musiały być budowane w taki sposób, żeby wytrzymać niespodziewany atak Indian i bronić się przed nim, dopóki nie nadejdą oddziały ochotnicze, tworzone w okolicznych miastach i osadach. Podobnie było z Castle House.

Castle House wznosił się na lekkim wybrzuszeniu terenu, pośrodku ogrodzonego parku o powierzchni trzech akrów, zaokrąglającego się kilkaset jardów od brzegu Saint Johns. Dość głęboki strumień opływał ów park, otoczony palisadą z bali uzupełniającą fortyfikację, a dostęp do niego możliwy był tylko przez jeden mostek przerzucony przez potok. Za pagórkami gęsto rosnące, wspaniałe drzewa opadały wzdłuż zboczy parku, ujmując go w zielone ramy.

Długa aleja ocieniona bambusami, których gałęzie splatały się w łuk, biegła od przystani w Camdless Bay aż do pierwszych trawników przed domem. Dalej, na całej wolnej przestrzeni między drzewami, rozciągały się zielone murawy poprzecinane szerokimi alejami, otoczone białymi

balustradami, a przed frontową ścianą Castle House kończyły się wysypanym piaskiem tarasem.

Dworek ów, o dość nieregularnych kształtach, ofiarowywał wiele niespodzianek i nie mniej fantazji w szczegółach konstrukcji. Jednakże można było — rzecz niezwykle istotna — bronić się w jego murach i wytrzymać kilkugodzinne oblężenie, gdyby napastnicy sforsowali ostrokoł otaczający park. Okna na parterze opatrzone zostały żelaznymi kratami. Główne wejście, znajdujące się w ścianie frontowej, miało wytrzymałość bramy warowni. W kilku miejscach na szczycie murów wznosiły się, zbudowane z płyt marmurowych, wieżyczki o stożkowatych dachach, czyniąc obronę łatwiejszą, ponieważ pozwalały zaatakować wroga z flanki. Zredukowane do niezbędnego minimum otwory drzwiowe i okienne, wznoszący się nad całością donżon, na którym powiewała gwiazdzista flaga Stanów Zjednoczonych, linie blanków, ściany pochyłe u podstawy, wysokie dachy, liczne wieżyczki, grube mury z wybitymi w nich tu i ówdzie strzelnicami — wszystko to sprawiało, że budowla przypominała raczej fortecę niż dworek czy willę.

Jak już zostało wspomniane, Castle House w taki właśnie sposób należało zbudować, aby zapewnić bezpieczeństwo jego mieszkańcom w okresie, kiedy na Florydzie zdarzały się barbarzyńskie napady Indian. Istniał tam nawet tunel podziemny, który przechodząc pod ostrokołem i potokiem, łączył budynek z niewielką zatoczką na Saint Johns, zwaną Marino. Tunel ten mógłby się przydać do potajemnej ucieczki w razie zbytniego zagrożenia.

Teraz oczywiście, i to już od dobrych dwudziestu lat, nie zachodziła obawa ataku ze strony wypartych z półwyspu Seminoli. Wiadomo to jednak, co przyszłość gotuje? Kto wie, czy niebezpieczeństwo, którego James Burbank nie musiał się lękać ze strony Indian, nie groziło mu ze strony jego rodaków? Czyż nie był żyjącym w głębi stanów południowych samotnym federalistą, zagrożonym w kolejnych stadiach wojny domowej, tak dotychczas krwawej, tak brzemiennej w prześladowania?

Konieczność zatroszczenia się o bezpieczeństwo Castle Mouse wcale nie przeszkodziła w komfortowym urządzeniu wnętrza. Pomieszczenia były przestronne, apartamenty luksusowe i wspaniale wyposażone. Burbankowie znajdowali w pięknym otoczeniu wszelkie radości i zadowolenie, jakich może dostarczyć fortuna, kiedy łączy się z prawdziwym zmysłem artystycznym tych, co ją posiadają.

Z tyłu dworu, w wydzielonym parku, wspaniałe ogrody ciągnęły się aż do ostrokołu, którego pale kryły się pod roślinami pnącymi, a wśród nich polatywały tysiące kolibrów. Rosły tam, radując węch i wzrok, oliwki, figowce, granatowce, kępy magnolii, których kwiaty o barwie starej kości słoniowej roztaczały w powietrzu swą woń, krzaki palm poruszające na wietrze wachlarzami liści, girlandy lian o fioletowym odcieniu, juki podzwaniające niczym ostre szable, różaneczniki, krzewy mirtu i grejpfrutów, i wszystko to, co należy do flory strefy podzwrotnikowej.

Na skraju ogrodzenia, pod kopułą cyprysów i baobabów, kryły się stajnie, wozownie, psiarnie, obory i kurniki. Dzięki koronom tych pięknych drzew, przez które nawet na tej szerokości geograficznej słońce nie mogło się przedrzeć, zwierzęta domowe nie cierpiały z powodu letnich upałów. Doprowadzone od pobliskich strumieni kanały z wodą bieżącą podtrzymywały miły i zdrowy chłód.

Jak widać, ta wydzielona część posiadłości, przeznaczona wyłącznie dla gospodarzy Camdless Bay, była cudownie urządzonej enklawą pośród rozległej plantacji Jamesa Burbanka. Spoza ostrokołu nie dobiegał ani łoskot oczyszczalni bawełny, ani huk tartaków, ani uderzenia siekiery o pnie drzew, ani żaden inny hałas spośród tych, jakie niesie ze sobą tak duża aktywność. Mogły tam tylko dotrzeć, przelatując z drzewa na drzewo, tysiące florydzkich ptaków. Ale ci skrzydlaci śpiewacy, których barwne upierzenie rywalizuje z przepyszными kwiatami tej strefy, byli nie gorzej widziani niż wonie,

jakimi przesiąkała bryza pieszcząc swym oddechem pobliskie łąki i lasy.

Tak wyglądała należąca do Jamesa Burbanka plantacja Camdless Bay, jedna z najbogatszych we Florydzie wschodniej.

ROZDZIAŁ III

WOJNA SECESYJNA

Należy wspomnieć krótko o wojnie secesyjnej, z którą opowieść ta jest bezpośrednio związana.

Najpierw musimy zaznaczyć rzecz następującą: otóż, jak stwierdził hrabia de Paris, były adiutant generała Mac Clellana, w swej godnej uwagi „Historii wojny domowej w Ameryce”, przyczyną tej wojny nie była ani kwestia taryf celnych, ani rzeczywista różnica pochodzenia mieszkańców Północy i Południa. Na całym terytorium Stanów Zjednoczonych panowała rasa anglosaska. Także i sprawy handlowe nie wchodziły nigdy w grę w tej straszliwej bratobójczej walce. „Niewolnictwo, kwitnące w jednej połowie republiki, a zniesione w drugiej, stworzyło dwa wrogie sobie społeczeństwa. Dogłębnie zmodyfikowało obyczaje w tej części, w której panowało, pozostawiając nie zmienioną pozorną formę władzy. I ono właśnie stało się nie pretekstem czy okazją, ale jedyną przyczyną antagonizmu, którego nieuniknioną konsekwencją była wojna domowa.”

W stanach niewolniczych istniały trzy klasy społeczne. Najniższa to cztery miliony pozbawionych wolności Murzynów, czyli jedna trzecia całego społeczeństwa. Najwyższa to kasta właścicieli, stosunkowo mało wykształcona, bogata, pyszna, która zachowywała wyłącznie dla siebie kierowanie sprawami publicznymi. Między nimi istniała bardzo płynna klasa ludzi leniwych, biednych, klasa „białej nędzy”. I to ona, wbrew wszelkim oczekiwaniom, okazała się najżarliwszym zwolennikiem niewolnictwa w obawie, że znajdzie się na jednym poziomie z wyzwolonymi Murzynami.

Północ miała więc natknąć się na przeciwnika w postaci nie tylko bogatych plantatorów, ale także „białej nędzy”, która, zwłaszcza na wsi, żyła wśród niewolników. Wybuchła straszliwa walka. Potrafiła wywołać nawet w rodzinach takie rozłamy, że jeden brat walczył pod flagą konfederatów, drugi zaś federalistów. Ale szlachetny naród bez wahania dążył do całkowitego obalenia niewolnictwa. Już w poprzednim stuleciu sławny Franklin żądał jego zniesienia. W roku 1807 Jefferson doradzał kongresowi „zakazanie handlu, którego likwidacji od dawna już wymaga etyka, honor i najwyższe dobro kraju”. Północ słusznie zatem ruszyła przeciwko Południu i ujarzmiła je. Miało z tego zresztą wyniknąć ściślejsze zjednoczenie wszystkich części republiki oraz zlikwidowanie tak zgubnego, tak złowróbnego złudzenia, jakoby każdy obywatel winien był posłuszeństwo w pierwszym rzędzie własnemu stanowi, a dopiero później całemu związkowi amerykańskiemu.

I właśnie na Florydzie zrodziły się pierwsze problemy związane z niewolnictwem. Na początku stulecia żoną jednego z wodzów indiańskich, Metysa o imieniu Osceola, była brązowa niewolnica urodzona na bagnistych terenach Florydy, zwanych Everglades. Któregoś dnia kobietę tę schwyтали łapacze niewolników i uprowadzili siłą. Osceola zbuntował Indian, rozpoczął walkę antyniewolniczą, został ujęty i zmarł w fortecy, w której go uwięziono. Walka jednak toczyła się nadal, a jak mówi historyk Thomas Higginson, „koszty, jakich wymagała, okazały się trzykrotnie wyższe od sumy wypłaconej niegdyś Hiszpanii przy zakupie Florydy”.

A oto jakie były początki wojny secesyjnej i jak się przedstawiały sprawy w lutym 1862 roku, czyli w okresie, kiedy to w Jamesa Burbanka i jego rodzinę miały uderzyć tak straszliwe ciosy, że wydały nam się godne przedstawienia w tej opowieści.

Szesnastego października 1859 roku bohaterski kapitan John Brown na czele niewielkiego oddziału zbiegłych niewolników zajmuje Harpers Ferry w Wirginii. Jego celem jest przywrócenie wolności ludziom kolorowym. Obwieszcza to publicznie. Pobity przez zbrojne oddziały milicji, zostaje uwięziony, skazany na śmierć i powieszony w Charlestonie 2 grudnia 1859 roku wraz z

sześcioma towarzyszami.

Dwudziestego grudnia 1860 roku w Południowej Karolinie zbiera się konwencja stanowa i z entuzjazmem zatwierdza dekret o secesji. Kilka miesięcy później, 4 marca 1861 roku, Abraham Lincoln zostaje wybrany prezydentem republiki. Stany Południa uważają ten wybór za zagrożenie panującego w nich niewolnictwa. Jedenastego kwietnia tegoż roku jeden z fortów broniących redy w Charlestonie, Fort Sumter, dostaje się w ręce Południowców dowodzonych przez generała Beauregarda. Pod aktem separatystycznym podpisuje się wkrótce Północna Karolina, Wirginia, Arkansas i Tennessee.

Rząd federalny powołuje sześćdziesiąt pięć tysięcy ochotników. Przede wszystkim należy zabezpieczyć Waszyngton, stolicę Stanów Zjednoczonych Ameryki, przed opanowaniem go przez konfederatów. Północ zaopatruje swoje puste dotąd arsenały, podczas gdy Południe zdążyło swoje zapełnić za czasów prezydentury Buchanana. Sprzęt wojenny jest kompletowany za cenę najwyższych wysiłków. Następnie Abraham Lincoln ogłasza blokadę portów Południa.

Pierwsze operacje wojenne toczą się w Wirginii. Mac Clellan odiera rebeliantów na zachód. Ale 21 lipca pod Bull Run wojska federalne, zebrane pod rozkazami Mac Dowela, zostają pobite i wycofują się aż pod Waszyngton. O ile Południowcy przestali drżeć o Richmond, swoją stolicę, o tyle mieszkańcy Północy mają powody do niepokoju o stolicę republiki. Kilka miesięcy później federaliści raz jeszcze ponoszą klęskę pod Ball's Bluff. Wszelako porażka ta zostaje niebawem naprawiona dzięki licznym wypadom, które oddają w ręce unionistów forty Hatteras i Port Royal Harbour. U schyłku roku 1861 naczelne dowództwo wojsk Unii otrzymuje generał George Mac Clellan.

Tego samego roku statki handlarzy niewolników rozpięzchły się po morzach obu półkul. Przyjęto je w portach Francji, Anglii, Hiszpanii i Portugalii — był to poważny błąd, uznano bowiem w ten sposób secesjonistów za prawnie wojującą stronę, co w rezultacie zachęciło do korsarstwa i przedłużyło wojnę domową.

Potem miały miejsce wydarzenia na morzu, które odbiły się szerokim echem. A więc „Sumter” i jego sławny kapitan Semmes. Dalej pojawienie się zaopatrzonego w taran okrętu bojowego „Manassas”. Następnie, 12 października, bitwa morska u spływu ramion Missisipi. Z kolei 8 grudnia zatrzymany zostaje „Trent”, statek brytyjski, na którego pokładzie kapitan Wilkes bierze do niewoli dwóch przedstawicieli rządu konfederacji, co omal nie doprowadza do wybuchu wojny między Anglią i Stanami Zjednoczonymi.

W międzyczasie abolicjoniści i secesjoniści, dochodząc aż do stanu Missouri, wydają sobie krwawe walki i odnoszą w nich na przemian to sukcesy, to znów porażki. Jeden z ważniejszych generałów Unii, Lyon, ginie, co powoduje odwrót wojsk federalnych pod Rolla i pochód Price'a z armią Konfederacji w kierunku Północy. Dwudziestego pierwszego października toczy się bitwa pod Fredericktown, cztery dni później pod Springfield, a dwudziestego siódmego oddziały federalne pod dowództwem Fremonta zajmują to miasto.

Dziewiętnastego grudnia bitwa między Grantem i Polkiem pozostaje nie rozstrzygnięta. Wreszcie zima, tak ostra na północnych ziemiach Ameryki, kładzie kres operacjom wojennym.

Pierwsze miesiące roku 1862 upływają obu stronom na niezwykłych wysiłkach.

Kongres Północy przegłosowuje ustawę, na mocy której powołanych zostaje pięćset tysięcy ochotników — ich liczba wzrośnie do miliona przy końcu wojny — i zatwierdza pożyczkę w wysokości pięciuset milionów dolarów. Powstają wielkie armie, przede wszystkim Armia Potomacu. Dowodzą nimi generałowie Banks, Butler, Grant, Sherman, Mac Clellan, Meade, Thomas, Kearney, Halleck, żeby wymienić tylko najślawniejszych. Wszystkie formacje mają wejść do walki. Piechotę,

kawalerię, artylerię, saperów wciela się do jednorodnych dywizji. Sprzęt wojenny jest produkowany w nadmiernej aż ilości: karabiny typów minie i kolt, działa gwintowane według systemów Parrotta i Rodmana, armaty o gładkiej lufie i działa Dahlgrena, moździerze, działka szybkostrzelne, pociski artyleryjskie Shrapnella, zespoły machin oblężniczych. Organizuje się telegraf i wojskowe służby balonowe, reportaże dziennikarzy z pola walki, transport zapewniony przez dwadzieścia tysięcy wozów zaprzężonych w osiemdziesiąt cztery tysiące mułów. Pod kierunkiem głównego kwatermistrza gromadzi się wszelkiego rodzaju zapasy. Budowane są nowe okręty typu taranowego pułkownika Elleta, kanonierki komodora Foote'a, które po raz pierwszy pojawią się w bitwie morskiej.

Na Południu zapał panuje nie mniejszy. Pracują odlewnie dział w Nowym Orleanie, w Memphis, huty żelaza w Tredogarze w pobliżu Richmondu, gdzie wytwarza się armaty. Ale to nie wystarcza. Rząd Konfederacji zwraca się do Europy. Liège i Birmingham wysyłają ładunki broni, karabiny systemów Armstronga i Whitwortha. Statki przełamujące blokadę, które przyplływają do portów po bawełnę płacąc za nią marne grosze, otrzymują ją tylko w zamian za cały ten sprzęt wojenny. Powstaje armia. Dowodzą nią generałowie Johnston, Lee, Beauregard, Jackson, Critenden, Floyd, Pillow. Dołącza się nieregularne oddziały milicji i powstańców do czterystu tysięcy ochotników zwerbowanych co najmniej na rok, a nie dłużej niż na trzy lata, którą to liczbę Kongres separatystyczny zatwierdził dnia 8 sierpnia prezydentowi Jeffersonowi Davisowi.

Przygotowania nie przeszkadzają w podjęciu dalszej walki począwszy od drugiej połowy tej pierwszej zimy. Spośród wszystkich stanów niewolniczych rząd federalny zajmuje na razie tylko Maryland, zachodnią Wirginię, część Kentucky, większość Missouri i niektóre punkty na wybrzeżu.

Dalsze działania wojenne rozpoczynają się najpierw we wschodniej części Kentucky. Siódmego stycznia Garfield zwycięża konfederatów pod Middle Creek, a dwudziestego znów zostają pokonani pod Logen Crass, czyli Mili Springs. Drugiego lutego Grant zaokrętowuje się z dwiema dywizjami na kilka dużych parowców z Tennessee, które ma wspomagać flota pancerna Foote'a. Szóstego w jego ręce wpada Fort Henry. W ten sposób przerwane zostaje jedno ogniwo łańcucha, „na którym — stwierdza historyk wojny domowej — opierał się cały system obrony jego przeciwnika, generała Johnsto-na”. Cumberland i stolica Tennessee są zatem bezpośrednio zagrożone przez oddziały federalne. Toteż Johnston próbuje skoncentrować wszystkie swoje siły w Fort Donelson, aby znaleźć pewniejszy punkt oparcia dla defensywy.

W tym samym czasie inna grupa wojsk, obejmująca szesnaście tysięcy ludzi dowodzonych przez Burnside'a, flotę złożoną z dwudziestu czterech okrętów bojowych i z pięćdziesięciu transportowców, płynie w dół Chesapeake i 12 stycznia odcumowuje z Hampton Roads. Mimo gwałtownych burz 24 stycznia wpływa na wody cieśniny Pimlico, by zająć wyspę Roanoke i podbić wybrzeża Północnej Karoliny. Wyspa jest jednak ufortyfikowana. Kanału zachodniego broni zaporą z zatopionych kadłubów statków. Szańce prowizoryczne fortyfikacje utrudniają do niej dostęp. Prawie sześć tysięcy ludzi, wspieranych flotyllą siedmiu kanonierek, jest gotowych powstrzymać wszelki desant. Jednakże, mimo odwagi obrońców, nocą z 6 na 7 lutego wyspa, wraz z dwudziestoma armatami i dwoma tysiącami jeńców, dostaje się w ręce Burnside'a. Nazajutrz federaliści władają już Elizabeth City i całym wybrzeżem cieśniny Albemarle, to znaczy północną częścią tego morza śródlądowego.

By skończyć już z opisem wydarzeń do 6 lutego, należy wspomnieć o pewnym generale Południa, Jacksonie, byłym nauczycielu chemii, surowym żołnierzu broniącym Wirginii. Po powołaniu generała Lee do Richmondu on przejmuje dowództwo armii. Pierwszego stycznia opuszcza Winchester z dziesięcioma tysiącami ludzi, przebywa Allegheny, chcąc zająć Bath na trasie linii kolejowej z Ohio. Pokonany jednak klimatem, gnębiony burzami śnieżnymi, zostaje zmuszony do powrotu do

Winchestera nie osiągnąwszy celu.

A oto co się działo na wybrzeżach stanów Południa od Karoliny aż po Florydę.

W ciągu drugiej połowy roku 1861 Północ posiadała wystarczająco dużo szybkich okrętów, by patrolować morze, choć nie udało jej się pojmać sławnego „Sumtera”, który w styczniu 1862 roku zawinął do Gibraltaru, aby wyzyskać wody europejskie. „Jefferson-Davis”, chcąc umknąć federalistom, chroni się w Saint Augustine na Florydzie i tonie w momencie, gdy wpływa do kanałów portowych. Niemal w tym samym czasie jeden z krążowników patrolujących wody Florydy, „Anderson”, zdobywa korsarski statek „Beauregard”. Ale w Anglii zbroją się nowe statki przemytnicze. Wtedy właśnie Abraham Lincoln proklamuje rozszerzenie blokady do wybrzeży stanów Wirginia i Północna Karolina, co jest blokadą fikcyjną, blokadą na papierze, obejmującą cztery tysiące pięćset kilometrów wybrzeży. Strzegą ich tylko dwie eskadry: jedna blokuje Atlantyk, a druga Zatokę Meksykańską.

Dwunastego października po raz pierwszy konfederaci usiłują uwolnić ujście Missisipi wykorzystując do tego celu „Manassasa” — pierwszy okręt pancerny użyty w tej wojnie — wspomaganego przez flotyllę branderów. Choć atak kończy się niepowodzeniem, a korweta „Richmond” wychodzi z tego cało, to 29 grudnia niewielkiemu parowcowi „Sea-Bird” udaje się wprowadzić szkuner federalny w pobliżu Fort Monroe.

Potrzebny jest tymczasem jakiś punkt, który mógłby służyć jako baza dla krążowników patrolujących Atlantyk. Rząd federalny postanawia zatem zająć Fort Hatteras, który strzeże przesmyku o tej samej nazwie, przesmyku bardzo uczęszczanego przez przełamujące blokadę statki. Fort jest trudny do zdobycia. Wspiera go czworoboczna reduta, zwana Fort Clark, a broni tysiąc ludzi i 7 regiment Północnej Karoliny. Eskadra federalna, złożona z dwóch fregat, trzech korwet, jednego statku zwiadowczego i dwóch dużych parowców, 27 sierpnia rzuca kotwicę przed wejściem do przesmyku. Komodor Stringham i generał Butler ruszają do ataku. Reduta zostaje wzięta. Fort Hatteras, po dość długim oporze, wywiesza wreszcie białą fla gę. Federaliści zdobyli bazę dla swoich operacji na cały czas trwania wojny.

W listopadzie, mimo wysiłków konfederatów, w rękach federalistów pozostaje podlegająca Florydzie wyspa Santa Rosa, położona na wschód od Pensacoli, w Zatoce Meksykańskiej.

Wszelako zdobycie Fort Hatteras nie wystarcza, aby odpowiednio prowadzić dalsze działania. Należy zająć inne jeszcze punkty na wybrzeżach Południowej Karoliny, Georgii, Florydy. Komodor Dupont otrzymuje dwie fregaty parowe — „Wasbah” i „Susquehannah”, trzy fregaty żaglowe, pięć korwet, sześć kanonierek, kilka okrętów zwiadowczych, dwadzieścia pięć węglowców wyładowanych prowiantem, trzydzieści dwa parowce mogące przewieźć piętnaście tysięcy sześciuset ludzi będących pod rozkazami generała Shermana. Flota odplywa 25 października sprzed Fort Monroe. Przeżywszy straszliwy sztorm w okolicach Przylądka Hatteras, wpływa na wody Hilton Head między Charlestonem i Savannah. Tam właśnie jest zatoka Port Royal, jedna z najważniejszych spośród należących do konfederatów, w której generał Ripley dowodzi wojskami zwolenników niewolnictwa. Dwa forty, Walker i Beauregard, strzegą wejścia do zatoki w odległości czterech tysięcy metrów jeden od drugiego. Broni jej ponadto osiem parowców, a mierzeja czyni ją niemal niedostępną dla atakującej floty.

Piątego listopada droga dla okrętów jest oznakowana i po wymianie niewielu wystrzałów z dział Dupont wpływa do zatoki, nie mogąc na razie wysadzić na ląd oddziałów Shermana. Siódmego przed południem atakuje najpierw Fort Walker, a potem Fort Beauregard. Miażdży je gradem najcięższych pocisków. Forty zostają opuszczone. Federaliści opanowują je niemal bez walki, a ten tak ważny dla dalszych działań wojennych punkt zajmuje Sherman. Był to cios w samo serce stanów Południa.

Sąsiednie wyspy dostają się, jedna po drugiej, w ręce wojsk Północy, nawet wyspa Tybee i Fort Pulaski, który broni wejścia do portu Savannah. W końcu roku Dupont panuje nad pięcioma dużymi zatokami: North Edisto, Saint Helena, Port Royal, Tybee, Warsaw, oraz nad całym łańcuchem wysepek rozsianych u brzegów Karoliny i Georgii. Wreszcie 1 stycznia 1862 roku kolejne zwycięstwo pozwala mu zdobyć konfederackie fortyfikacje wzniesione na brzegach Coosaw.

Takie oto było położenie stron walczących w pierwszych dniach lutego 1862 roku. Tak daleko na Południe dotarły wojska Unii w momencie, gdy okręty komodora Duponta i oddziały Shermana zagrażały Florydzie.

ROZDZIAŁ IV

BURBANKOWIE

Było już kilka minut po siódmej, kiedy James Burbank i Edward Carrol weszli po schodach na podest, na który od strony Saint Johns otwierały się główne drzwi Castle House. Zerma, trzymając dziewczynkę za rękę, szła za nimi. Znaleźli się w holu przypominającym wielką, zaokrągloną sień z podwójnie zakreconymi schodami prowadzącymi na wyższe piętra.

Stała tam pani Burbank w towarzystwie Perry'ego, głównego rządcy plantacji.

— Zaszło coś nowego w Jacksonville? — Nic, mój drogi.

— A od Gilberta nie ma wieści?

— Owszem... List!

— Chwała Bogu!

Takie były pierwsze słowa, jakie zamienili ze sobą pani Burbank i jej mąż.

James Burbank, uściskawszy żonę i małą Dy, rozpieczętował list, który mu podano.

Listu nie otwarto pod jego nieobecność. Zważywszy na położenie tego, spod czyjej ręki wyszedł, oraz jego żyjącej na Florydzie rodziny, pani Burbank wołała, żeby jej mąż pierwszy zapoznał się z treścią listu.

— Przypuszczam, że nie przyszedł pocztą? — zapytał James Burbank.

— O, nie, proszę pana! — odparł Perry. — Byłoby to zbyt wielką nierozwagą ze strony pana Gilberta.

— A kto go przyniósł?

— Pewien człowiek z Georgii, któremu widać nasz młody porucznik mógł zaufać.

— Kiedy przyszedł list?

— Wczoraj.

— A gdzie ten człowiek?

— Zaraz odjechał.

— Wynagrodzony odpowiednio za przysługę?

— Tak, mój drogi, wynagrodzony — odparła pani Burbank — ale przez Gilberta, od nas nie chciał już nic przyjąć.

Hol oświetlały dwie lampy stojące na marmurowym stoliku przed szeroką kanapą, na której usiadł Burbank. Jego żona i córka zajęły miejsca obok. Edward Carrol, uściskawszy dłoń siostry, spoczął w fotelu. Zerma i Perry stali koło schodów. Obydwoje byli wystarczająco zżyci z rodziną, by list odczytać w ich obecności.

Burbank rozerwał kopertę.

— Datowany trzeciego lutego — powiedział.

— A więc cztery dni temu! — odparł Edward. — To dawno w obecnej sytuacji...

— Czytaj, tatusiu, no czytaj już! — zawołała dziewczynka ze zniecierpliwieniem zupełnie zrozumiałym w jej wieku.

Oto co zawierał list:

Na pokładzie „Wabasha”

kotwiczowisko Edisto,

3 lutego 1862 roku

Drogi Ojczy!

Najpierw ściskam gorąco Mamę, moją Siostrzyczką i Ciebie. Nie zapominam także o wuju

Edwardzie i żeby już niczego nie przeoczyć, przesyłam naszej drogiej Zermie moc serdeczności od jej męża, dzielnego i oddanego mi Marsa. Obaj mamy się tak dobrze, jak to tylko możliwe, i bardzo już chcemy znaleźć się wśród Was! Nastąpi to już wkrótce, choćby miał nas przekląć nasz czcigodny rządca, pan Perry, który w obliczu postępów Północy musi niezwykle złorzeczyć, będąc tak zatwardziałym zwolennikiem niewolnictwa!

— No, to się panu dostało, Perry — odezwał się Carrol.

— Każdy ma swoje zapatrywania — odpał Perry tonem człowieka wcale nie mającego zamiaru wyzbywać się własnych poglądów.

James Burbank czytał dalej:

List ten doręczy Warn człowiek, którego jestem pewien, nie miejcie zatem co do niego żadnych obaw. Wiecie już zapewne, że eskadra komodora Duponta opanowała zatokę Port Royal i okoliczne wyspy. Północ zaczyna więc powoli zdobywać przewagę nad Południem. Toteż jest bardzo prawdopodobne, że rząd federalny spróbuje zająć główne porty Florydy. Mówi się o akcji, jaką wspólnie podejmą Dupont i Sherman w końcu tego miesiąca. Przypuszczalnie zajmiemy wtedy zatokę Saint Andrews. A stamtąd będzie już można wkroczyć na teren stanu.

Jakże spieszno mi znaleźć się tam, drogi Ojczy, i to z naszą zwycięską flotą! Wciąż niepokoi mnie położenie mojej rodziny pośród tych wszystkich Południowców. Ale bliska już chwila, kiedy jawnie będziemy święcić zwycięstwo idei, którym zawsze hołowano w Camdless Bay.

Ach! gdybym mógł się stąd wyrwać, choćby na jeden dzień, jakże spieszyłbym Was odwiedzić! Nie! Mogłoby to być ze szkodą tak dla Was, jak i dla mnie. Lepiej zatem uzbroić się w cierpliwość. Jeszcze tylko kilka tygodni i będziemy już razem w Castle House!

Na tym kończą zastanawiając się jeszcze, czy nie pominąłem kogoś w pozdrowieniach. Ależ tak! Zapomniałem o panu Stannardzie i uroczej Alicji, którą tak pilno mi ujrzyć! Na Wasze ręce przesyłam wyrazy przyjaźni dla. Jej ojca, a dla Niej więcej niż przyjaźni!...

Kochający i całym sercem z Wami

Gilbert Burbank

James Burbank odłożył list.

— Dzielny chłopiec! — powiedział Edward Carrol.

— I dzielny Mars! — dodała pani Burbank, spoglądając na Zermę tulącą dziewczynkę w ramionach. — Trzeba dać znać Alicji — dorzuciła — że dostaliśmy list od Gilberta.

— Tak, napiszę do niej — odparł Burbank. — Muszę zresztą jechać w tych dniach do Jacksonville, to zobaczę się ze Stannardem. Mogły nadejść już nowe wieści o planowanej wyprawie. Och! żeby tak weszli tutaj federaliści i niechby wreszcie Floryda wróciła pod flagę Unii! Nasze położenie stanie się w końcu nie do wytrzymania!

W rzeczy samej, odkąd wojna zaczęła się zbliżać do Południa, na Florydzie wyraźnie zmieniały się poglądy co do kwestii stawiającej w szranki Stany Zjednoczone. Niewolnictwo bowiem nie było zbyt rozwinięte w dawnej kolonii hiszpańskiej, która przystąpiła do ruchu z mniejszym niż Wirginia czy obie Karoliny zapałem. Ale podżegacze stanęli wkrótce na czele zwolenników niewolnictwa. I teraz ludzie ci, gotowi do buntu, mogący wiele zyskać w zamieszkach, zdominowali władze w Saint Augustine, a nade wszystko w Jacksonville, gdzie wspierali się na najnikczemniejszym motłochu. Dlatego też James Burbank, którego pochodzenie i poglądy znano, mógł się w jakimś momencie znaleźć w niepewnym położeniu.

Minęło blisko dwadzieścia lat, odkąd Burbank, opuściwszy New Jersey, gdzie także posiadał dobra, przeniósł się do Camdless Bay z żoną i czteroletnim synkiem. Wiemy już, jak prosperowała

plantacja dzięki mądrej działalności jej właściciela i pomocy jego szwagra, Edwarda Carrola. Czuł się też z tą posiadłością, otrzymaną w spadku po przodkach, nierozzerwalnie związany. Tam właśnie, piętnaście lat po osiedleniu się w Camdless Bay, przyszło na świat jego drugie dziecko, mała Dy.

James Burbank liczył sobie czterdzieści sześć lat. Był to mężczyzna mocno zbudowany, przywykły do pracy, nie lubiący się oszczędzać. Znano go jako człowieka energicznego. Stały w zapatrywaniach, nie wstydził się wygłaszać ich otwarcie. Wysoki, lekko szpakowaty, twarz miał nieco surową, ale szczerą i ujmującą. Z charakterystyczną bródką Amerykanów z Północy, bez wąsów i faworytów, stanowił typ Jankesa z Nowej Anglii? Lubiano go na całej plantacji, bo był dobry, słuchano go, bo był sprawiedliwy. Należący do niego Murzyni byli mu głęboko oddani, on zaś czekał, nie bez niecierpliwości, żeby sytuacja pozwoliła mu ich wyzwolić. Jego szwagier, prawie równieśnik, zajmował się przede wszystkim rachunkowością Camdless Bay. Edward Carrol świetnie się z Jamesem we wszystkim zgadzał i podzielał jego pogląd na problem niewolnictwa.

W małym świątku Camdless Bay jedynie rządca Perry był odmiennego zdania. Nie należy wszakże sądzić, że ten szacowny mąż źle traktował niewolników. Wręcz przeciwnie. Starał się nawet uczynić ich na tyle szczęśliwymi, na ile pozwalała ich kondycja.

— Są przecież kraje — mawiał — kraje gorące, gdzie pracę na roli mogą wykonywać tylko Murzyni. A Murzyn, który by nie był niewolnikiem, to już nie Murzyn!

Tak brzmiała jego teoria, którą roztrząsał, jak tylko nadarzyła się sposobność. Chętnie przechodzono nad tym do porządku, nigdy nie traktując jej poważnie. Omawiając jednak sprzyjające dla przeciwników niewolnictwa losy operacji wojennych, Perry nie przestawał się irytować. „Ładne rzeczy będą się działy” w Camdless Bay, kiedy pan Burbank wyzwoli swoich Murzynów!

Wszelako, powtarzamy, był to wspaniały i bardzo odważny człowiek. A kiedy James Burbank i Edward Carrol wstąpili do oddziału milicji zwanego „minute-man”, ponieważ w każdej chwili musieli być gotowi do drogi, Perry zdecydowanie przyłączył się do nich, walcząc przeciwko ostatnim grasującym bandom Seminoli.

Pani Burbank w tym czasie nie wyglądała na swoje trzydzieści dziewięć lat. Była jeszcze bardzo piękna, a córka miała ją kiedyś przypominać. James Burbank znalazł w niej kochającą i czującą towarzyszkę, która wniosła wiele radości w jego życie. Szlachetna kobieta poświęcała się wyłącznie mężowi i dzieciom. Dręczył ją o nich żywy niepokój, zważywszy na okoliczności mające przywieść wojnę domową aż na Florydę. Sześcioletnia Diana, a raczej Dy, jak ją pieszczotliwie nazywano, wesolutka, przymilna, ciesząca się życiem, mieszkała w Castle House w odróżnieniu od Gilberta.

Gilbert był dwudziestoczteroletnim młodzieńcem, w którym odnajdywało się zalety moralne jego ojca, bardziej jednak uzewnętrznione, i cechy fizyczne o nieco większym wdzięku i uroku. Miał wielką odwagę, wprawę we wszelkich ćwiczeniach fizycznych, był równie zręcznym jeźdźcem co żeglarzem i myśliwym. Ku nieopisanemu przerażeniu matki, widownią wyczynów młodzieńca zbyt często stawały się olbrzymie lasy i moczary hrabstwa Duval, podobnie jak zatoki i dopływy Saint Johns aż po najdalsze ujście rzeki w Pablo. Toteż kiedy padły pierwsze strzały w wojnie secesyjnej, Gilbert był przyzwyczajony i jakby stworzony do żołnierki i trudów takiego życia. Pojął wtedy, iż jego obowiązkiem jest znaleźć się w wojsku federalnym, i nie zawahał się ani chwili. Poprosił o zgodę na wyjazd. James Burbank, mimo że miało to przysporzyć zmartwień żonie, mimo niebezpieczeństw, jakie mogła spowodować taka sytuacja, nie zamierzał sprzeciwić się pragnieniom syna. Podobnie jak Gilbert uważał, że to obowiązek, a obowiązek stoi ponad wszystkim.

Gilbert wyjechał zatem na Północ, lecz na ile się dało, trzymano to w tajemnicy. Gdyby się dowiedziano w Jacksonville, że syn Jamesa Burbanka wstąpił do armii Północy, mogłoby to ściągnąć prześladowania na Camdless Bay. Młodzieńca polecono przyjacielom, jakich jego ojciec miał

jeszcze w stanie New Jersey. Ponieważ zawsze wykazywał upodobanie do morza, z łatwością wystarano się o skierowanie go do marynarki wojennej Północy. W tych czasach szybko awansowano, a że Gilbert nie należał do tych, co zostają w tyle, szybko piął się w górę. Rząd w Waszyngtonie uważnie śledził karierę młodzieńca, który mimo położenia, w jakim znajdowała się jego rodzina, nie obawiał się zaofiarować Unii swych usług. Gilbert wyróżnił się w ataku na Fort Sumter. Znajdował się na „Richmondzie”, kiedy zaatakował go „Manassas” u ujścia Missisipi, i duże położył zasługi w oswobodzeniu go i odzyskaniu. Po tej akcji został mianowany oficerem, chociaż nie ukończył szkoły morskiej w Annapolis, podobnie zresztą jak wszyscy inni oficerowie bez fachowego przygotowania, przeniesieni z marynarki handlowej. W nowym stopniu wszedł do eskadry komodora Duponta i uczestniczył w świetnych atakach na Fort Hatteras, a później na Seas Islands. Od kilku tygodni był porucznikiem na pokładzie jednej z kanonierek komodora Duponta, które miały wkrótce sforsować ujście Saint Johns.

On również pragnął, by krwawą wojna wreszcie się skończyła. Kochał i był kochany. Gdy już skończy się jego służba, spieszenie wróci do Camdless Bay, gdzie poślubi córkę jednego z najbliższych przyjaciół swego ojca.

Walter Stannard nie należał do klasy florydzkich plantatorów. Wdowiec, właściciel niewielkiego majątku, postanowił całkowicie poświęcić się wychowaniu córki. Mieszkał w Jacksonville, skąd miał do Camdless Bay nie więcej jak cztery mile w górę rzeki. Od piętnastu lat nie było tygodnia, żeby nie złożył wizyty Burbankom. Można rzec zatem, że Gilbert i Alicja Stannard razem się wychowali. Stąd od dawna projektowane małżeństwo, teraz już postanowione, które miało dać szczęście obydwójgu młodym. Chociaż Walter Stannard pochodził z Południa, był przeciwnikiem niewolnictwa, podobnie jak ten i ów z jego florydzkich współobywateli; nie byli jednak wystarczająco liczni, aby się przeciwstawić większości kolonistów i mieszkańców Jacksonville, których poglądy, sprzyjające ruchowi separatystycznemu, z każdym dniem coraz bardziej się uwidaczały.

W następstwie tego porządni ludzie zaczęli być źle widziani przez miejscowych wichrzycieli, a zwłaszcza przez „białą nędzę” i pospólstwo, gotowe poprzeć swych przywódców we wszelkich gwałtach.

Stannard był Amerykaninem z Nowego Orleanu. Jego młodo zmarła żona, Francuzka z pochodzenia, przekazała córce szlachetne cechy charakterystyczne dla jej rodaków. W chwili wyjazdu Gilberta Alicja wykazała wielką siłę ducha, pocieszając i uspokajając panią Burbank. Choć kochała Gilberta tak samo jak on ją, nie przestawała powtarzać jego matce, że ten wyjazd jest obowiązkiem, że walka o taką sprawę to walka o wolność. Alicja miała wtedy dziewiętnaście lat. Była blondynką o niemal czarnych oczach, ciepłej cerze, wdzięcznej postaci, wytwornym wyglądem. Wydawała się może nieco zbyt poważna, ale o tak zmiennej fizjonomii, że najlżejszy uśmiech odmieniał jej uroczą twarz.

Nie wszyscy członkowie rodziny Burbanków zostaliby przedstawieni, gdybyśmy zapomnieli w kilku słowach odmalować sylwetki dwojga służących, Marsa i Zermy.

Jak wynikało z listu Gilberta, na wojnę nie wyruszył sam. Towarzyszył mu Mars, mąż Zermy. Młody Burbank nie znalazłby towarzysza bardziej do siebie przywiązanego niż ten niewolnik z Camdless Bay, człowiek wolny, skoro tylko stanął na ziemiach przeciwników niewolnictwa. Ale Gilbert pozostał dla Marsa jego paniczem, którego nie chciał opuścić, mimo że rząd federalny zdążył już potworzyć bataliony Murzynów, gdzie znalazłby miejsce dla siebie.

Mars i Zerma nie byli czystej krwi Murzynami, lecz Mulatami. Zerma miała brata, Roberta Smalla, bohaterskiego niewolnika — cztery miesiące później miał porwać konfederatom z samej

zatoki Charlestonu niewielki parowiec uzbrojony w dwa działa, a następnie ofiarować go flocie federalnej. Miała się więc w kogo wdać, a i Mars także. Było to szczęśliwe małżeństwo, niejednym raz w pierwszych latach zagrożone rozbitiem wskutek nikczemnego handlu niewolnikami. I właśnie w momencie, kiedy kaprysy sprzedaży miały ich rozdzielić, znaleźli się na plantacji Camdless Bay.

Odkryło się to w następujących okolicznościach:

Zerma miała teraz trzydzieści jeden lat, Mars trzydzieści pięć. Pobrali się siedem lat wcześniej, kiedy to należeli do pewnego plantatora, niejakiego Tickborna, którego posiadłość znajdowała się w górze rzeki, około dwudziestu mil od Camdless Bay. Od jakiegoś czasu kolonista ów utrzymywał bliskie kontakty z Texarem. Ten zaś składał mu częste wizyty na plantacji, gdzie był mile widziany. Nic w tym dziwnego, Tickborn bowiem nie cieszył się w hrabstwie szacunkiem. Przeciętnie uzdolniony, marnie kierował swoimi sprawami, co zmusiło go do sprzedaży części posiadanych niewolników.

W tym właśnie czasie Zerma, podobnie jak i cała służba na plantacji Tickborna bardzo źle traktowana, wydała na świat biedną, małą istotkę, którą niebawem straciła — mianowicie kiedy w więzieniu pokutowała za nie popełniony czyn, dziecko zmarło jej w ramionach. Nietrudno odgadnąć, jak rozpacziała Zerma, jaki gniew ogarnął Marsa. Cóż jednak mogli uczynić ci nieszczęśnicy przeciwko panu, do którego należały ich ciała, martwe albo żywe, ponieważ za nie zapłacił?

Ale oto do tego ciosu miał dojść jeszcze jeden, nie mniej straszny. Następnego dnia po śmierci ich dziecka Marsowi i Zermie, wystawionym na licytację, zagroziło rozdzielenie. Zjawił się człowiek proponujący kupno Zermy, ale tylko Zermy, chociaż nie miał plantacji. Ot, bez wątpienia kaprys! A człowiekiem tym był Texar. Jego przyjaciel Tickborn miał więc już spisać z nim umowę, kiedy w ostatniej chwili cena została podbita przez innego nabywcę.

Był nim James Burbank, który asystował przy publicznej sprzedaży niewolników Tickborna i poczuł się mocno poruszony losem nieszczęsnej Mulatki, daremnie błagającej, by jej nie rozdzielano z mężem.

Burbank potrzebował akurat mamki dla córeczki. Dowiedziawszy się, że jedna z niewolnic Tickborna niedawno straciła dziecko i spełnia wymagane warunki, myślał tylko o tym, żeby ją kupić; wzruszony jednak łzami Zermy, bez wahania zaproponował za nią i za jej męża cenę wyższą od wszystkich, jakie dotąd oferowano.

Texar znał Burbanka, który kilkakrotnie wypędził go ze swojej posiadłości jako człowieka o podejrzanym reputacji. Od tego też czasu datowała się nienawiść Texara do całej rodziny z Camdless Bay.

Texar zapragnął zmierzyć się z bogatym rywalem: na próżno. Uparł się jednak. Podbił cenę do dwukrotnie wyższej od tej, jakiej żądał Tickborn za Mulatkę i jej męża. Skutek tego był tylko taki, że Burbank bardzo drogo za nich zapłacił. Ostatecznie małżeństwo stało się jego własnością.

W ten sposób nie dość, że Mars i Zerma pozostali razem, ale je szcze znaleźli się na służbie u najszlachetniejszego na Florydzie plantatora. Jakąż ulgę przyniosło im to w nieszczęściu i o ileż śmieiej mogli odtąd spoglądać w przyszłość!

Sześć lat później Zerma kwitła jeszcze dojrzałą urodą Mulatki. Energiczna, całym sercem oddana swoim właścicielom, nieraz miała sposobność — i nadarzy się jej jeszcze w dalszym ciągu tej opowieści — udowodnić im swoje oddanie. Mars godzien był żony, z którą szlachetny gest Jamesa Burbanka połączył go na zawsze. Stanowił świetny typ Afrykańczyka, w którego żyłach płynęła krew kreolska. Wysoki, krzepki, nieustraszony, miał wielce się przysłużyć swemu nowemu panu.

Tych dwoje niewolników, włączonych do służby na plantacji, nie traktowano zresztą jak niewolników. Szybko doceniono ich rozum i inteligencję. Marsa przydzielono młodemu Gilbertowi,

a Zerma została mamką Diany.

Zerma darzyła dziewczynkę uczuciem macierzyńskim, którego nie mogła już żywić do swego zmarłego dziecka. Dy odwzajemniała je i przywiązaniem zawsze odpłacała za starania piastunki. Toteż pani Burbank czuła do Zermy równie wielką przyjaźń, co wdzięczność.

Podobnie było między Gilbertem i Marsem. Mulat, zręczny i silny, miał wielki udział w wyrobieniu sprawności swego panicza we wszelkich ćwiczeniach fizycznych. James Burbank mógł sobie tylko pogratulować, że przeznaczył go dla syna.

Nigdy wcześniej Zerma i Mars nie znaleźli się w szczęśliwszym położeniu, i to w chwili, gdy wydostając się z rąk takiego Tickborna, omal nie wpadli w ręce Texara.

Na zawsze zapadło im to w pamięć.

ROZDZIAŁ V

CZARNA ZATOKA

Nazajutrz o pierwszym brzasku jakiś mężczyzna przechadzał się po brzegu jednej z wysepek zagubionych w głębi laguny, jaką stanowi Czarna Zatoka. Był nim Texar. Kilka kroków od niego, w przy byłym niedawno czółnie, tym samym, które w przeddzień podpłynęło do „Shannona”, siedział Indianin. Był to Skambo.

Przeszedłszy kilka razy tam i z powrotem, Texar zatrzymał się przed magnolią, przyciągnął do siebie jedną z dolnych gałęzi drzewa i zerwał z niej liść wraz z łodygą. Następnie wyjął z notesu niewielką kartkę, na której widniało kilka słów skreślonych atramentem. Bilecik ten, zwinięty uprzednio w ciasny rulonik, wsunął do zewnętrznej żyłki liścia. Uczynił to tak zręcznie, że wygląd liścia w niczym się nie zmienił.

— Skambo! —zawołał wtedy Texar.

— Tak, panie! — odparł Indianin.

— Idź!

Skambo wziął liść, położył go na dziobie czółna, sam usiadł na rufie, ujął pagaj, okrążył najbardziej wysunięty skrawek wysepki i wpłynął na wody krętego kanału, ledwie widocznego pod gęstym sklepieniem drzew.

Laguna pocięta była labiryntem kanalików, plątaniną wypełnionych czarną wodą wąskich zakosów przypominających te, co krzyżują się na niektórych, przeznaczonych pod uprawę warzyw, mokradłach w Europie. Nie znając dobrze przejść w tym głębokim zbiorniku, gdzie wpadały odgałęzienia Saint Johns, nikt by nie mógł się w nie zapuścić.

Skambo się jednak nie wahał. Tam, gdzie wydawało się, że nie ma żadnej drogi, on śmiało wpływał swoim czółnem. Niskie gałęzie, które rozchylał, opadały za nim, i nikt by nie powiedział, że w tym właśnie miejscu przepłynęła łódka.

Indianin zanurzał się w ten sposób w długie, kręte tunele, węższe niekiedy od rowów wykopanych przy drenażu łąk. Na jego drodze wzbijały się chmary ptactwa wodnego. Śliskie węgorze wciskały się pod wystające z wody korzenie. Skambo ani trochę się nie przejmował nimi, podobnie jak śpiącymi kajmanami, które mógł obudzić trącając ich błotne legowiska. Posuwał się wciąż naprzód, a kiedy z braku miejsca nie mógł się ruszyć, odpychał się końcem pagaja niczym bosakiem.

Choć było już zupełnie jasno, chociaż ciężkie opary nocy zaczynały się rozpraszać w pierwszych promieniach słońca, nie zauważało się tego pod osłoną nieprzeniknionego sufitu zieleni. Nie potrafił się przezeń przedrzeć żaden promyk wtedy nawet, kiedy słońce najmocniej świeciło. Półmrok zresztą w zupełności wystarczał bagnistym gruntom, w których czarniawej cieczy roiło się od istot świata zwierzęcego, a na powierzchni pływały tysiące roślin wodnych.

Przez pół godziny Skambo płynął tak od wysepki do wysepki. Zatrzymał się, kiedy czółno dotarło do jednego z najdalej położonych ustroni zatoki.

W miejscu tym, gdzie kończyła się bagnista część laguny, drzewa mniej stłoczone, nie tak zwarte, przepuszczały wreszcie światło dnia. Dalej ciągnęła się rozległa łąka otoczona lasami, leżąca nieco powyżej poziomu lustra Saint Johns. Rosło na niej zaledwie pięć czy sześć samotnych drzew. Wspierając stopę na tej błotnistej ziemi człowiek miał wrażenie, że stąpa po sprężystym materacu. Na powierzchni nieliczne krzewy sasafrasu o wątych liściach, z wplątanymi między nie małymi, fioletowymi jagodami, znaczyły dziwaczne zygzaki.

Przywiązawszy czołno do jednego z pni przybrzeżnych, Skambo wysiadł na ląd. Nocne opary zaczynały się rozpraszać. Zupełnie pusta łąka wynurzała się wolno z mgieł. Wśród kilku drzew, których sylwetki niewyraźnie rysowały się w górze, rosła niewysoka magnolia.

Indianin skierował się ku temu drzewu. Dotarł do niego w ciągu kilku minut. Nachylił jedną z gałęzi i na jej końcu umocował liść wręczony mu przez Texara. Puszczona gałąź wyprostowała się, a liść zniknął między gałęziami magnolii.

Skambo wrócił wtedy do czołna i popłynął prosto do wysepki, gdzie czekał jego pan.

Czarna Zatoka, nazwana tak od koloru jej wód, zajmowała przestrzeń około pięciuset, sześciuset akrów. Zasilana przez Saint Johns, stanowiła jakby archipelag zupełnie niedostępny dla tego, kto nie znał jej niezliczonych odnóg. Na powierzchni zatoki rozłożyło się blisko sto wysepek. Nie łączyły ich ze sobą ani kładki, ani groble. Od jednej do drugiej biegły długie sznury lian. Niektóre górne gałęzie szepiały się nad tysiącem ramion zatoki oddzielających je od siebie. Nic poza tym. Nie czyniło to łatwym połączenia rozmaitych punktów laguny.

Jedna z wysepek, położona niemal w centrum, cieszyła się największą rangą ze względu na powierzchnię — około dwudziestu akrów — i na wyniesienie — prawie sześć stóp powyżej średniego stanu wód Saint Johns.

W dość odległych już czasach na wysepce tej znajdowała się niewielka warownia, raczej rodzaj blokhauzu, obecnie nie używana, przynajmniej dla celów wojskowych. Na wpół przegniłe palisady wznosiły się jeszcze pod wielkimi drzewami: magnoliami, cyprysami, dębami, czarnymi orzechami, sosnami, oplecionymi długimi girlandami pnączy i nie kończących się lian.

Dopiero wewnątrz ogrodzenia wzrok odkrywał pod masywem zieleni geometryczne kształty warowni, zbudowanej z myślą o pomieszczeniu w niej oddziału liczącego najwyżej około dwudziestu ludzi. W drewnianych ścianach budynku przebito kilkanaście strzelnic. Obłożony darnią dach nakrywał go istną skorupą ziemi. Wewnątrz kilka izdebek oddzielonych od świetlicy, głównego pomieszczenia, przylegało do magazynu przeznaczonego na żywność i amunicję. Ażeby się dostać do budynku, należało najpierw przebyć ostrokół przez ukrytą wąską furtkę, następnie wspiąć się po kilkunastu stopniach z ziemi, wspartych na balach. Człowiek natykał się wtedy na jedyne drzwi prowadzące do wnętrza, a i to, prawdę powiedziawszy, była to dawna strzelnica, przystosowana do pełnienia tej funkcji.

Tak wyglądało stałe schronienie Texara, schronienie, którego nikt nie znał. Tam, ukryty przed wszystkimi, wiódł życie z owym Skambem mocno przywiązany do swego pana, ale nie więcej od niego wartym, i z pięcioma czy sześcioma niewolnikami nie więcej wartymi od Indianina.

Jak widać, daleko było z tej wysepki na Czarnej Zatoce do bogatych posiadłości wzniesionych na obu brzegach rzeki. Texar i jego kompani nie mieliby tam zapewnionego bytu, choć byli przecież ludźmi mało wymagającymi. Parę sztuk bydła, pół tuzina akrów obsadzonych patatami, ignamami i ogórkami, ze dwadzieścia drzew owocowych niemal zupełnie zdziczałych — to było wszystko, nie licząc polowań w okolicznych lasach i połowów w stawach laguny, gdzie o żadnej porze roku nie mogło zabraknąć zdobyczy. Niewątpliwie jednak mieszkańcy Czarnej Zatoki posiadali inne jeszcze źródła dochodów, których tajemnicę pochodzenia znali tylko Texar i Skambo.

Co się tyczy bezpieczeństwa blokhauzu, to czyż nie zapewniało go samo jego położenie na środku niedostępnej zatoki? A zresztą kto i z jakiego powodu miałby go atakować? W każdym razie gdyby zbliżał się ktoś podejrzany, zostałyby to natychmiast zasygnalizowane szczekaniem psów, dwóch dzikich ogarów karaibskich, używanych ongiś przez Hiszpanów do polowań na Murzynów.

Tak wyglądała siedziba Texara, godna swego właściciela. Opowiedzmy jeszcze, co to był za człowiek.

Texar liczył sobie lat trzydzieści pięć. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, zahartowany pełnym przygód życiem, jakie prowadził. Syn Hiszpanów, nie zadawał kłamu swemu pochodzeniu. Włosy miał czarne i sztywne, brwi szerokie, oczy zielonkawe, szerokie usta o wargach cienkich i zapadniętych, jakby powstały od cięcia mieczem, nos krótki o nozdrzach dzikiej bestii. Cała jego fizjonomia wskazywała na człowieka przebiegłego i porywczego. Kiedyś nosił brodę; ale dwa lata wcześniej, gdy na wpół spłonęła od wystrzału w nie wiadomo jakiej awanturze, zgolił ją, a twardość jego rysów była przez to tylko bardziej widoczna.

Przed dwunastu laty ten awanturnik osiadł na Florydzie w opuszczonym blokhauzie, o który nikt nie miał zamiaru się z nim spierać. Skąd przybywał? Nikt się nie orientował, a on nic o tym nie mówił. Jakie było jego wcześniejsze życie? Niewiele więcej na ten temat wiadano. Przypuszczano — i tak było rzeczywiście — że trudnił się handlem niewolnikami i sprzedawał Murzynów w portach Georgii i obu Karolin. Czy wzbogacił się na tym nieczym procederze? Nie wyglądał na to. W sumie nie cieszył się żadnym szacunkiem nawet w okolicy, gdzie przecież ludzi jemu podobnych nie brakowało.

Choć Texara dość dobrze znano, zwłaszcza ze złej strony, nie przeszkadzało to, że w hrabstwie, a szczególnie w Jacksonville cieszył się znacznym mirem — co prawda wśród mniej szacownej części społeczeństwa stolicy. Często udawał się tam w sprawach, o których nic nie mówił. Pozyskał sobie wielu przyjaciół pośród „białej nędzy” i najbardziej niegodziwych osobników. Zauważyliśmy to, kiedy wrócił z Saint Augustine w towarzystwie pół tuzina typów o podejrzanym wyglądzie. Jego wpływ rozciągał się też na część osadników znad Saint Johns. Odwiedzał ich niekiedy, a choć nie składano mu rewizyt, bo nikt nie znał kryjówki w Czarnej Zatoce, on bywał na niektórych plantacjach po obu brzegach rzeki. Polowanie było naturalnym pretekstem do tego rodzaju kontaktów, ła two nawiązywanych przez ludzi o podobnych obyczajach i upodobaniach.

Przy tym od kilku lat wpływ jego wzrósł jeszcze dzięki poglądom, których Texar postanowił stać się najzarliwszym obrońcą. Zaledwie problem niewolnictwa doprowadził do niezgody między dwiema częściami Stanów Zjednoczonych, Hiszpan jął się podawać za najbardziej zacieklego, najbardziej zdecydowanego zwolennika tego procederu. Jeśli mu wierzyć, nie mogły nim kierować żadne osobiste korzyści, posiadał bowiem zaledwie pół tuzina Murzynów. Twierdził, że staje w obronie samej zasady. Jakimi sposobami? Odwołując się do najnikczemniejszych uczuć, podsycając chciwość pospółstwa, podżegając do rabowania, podpalania, nawet mordowania mieszkańców czy osadników podzielających idee Północy. Teraz zaś ten niebezpieczny awanturnik dążył ni mniej, ni więcej tylko do obalenia władz cywilnych Jacksonville, do zastąpienia urzędników o poglądach umiarkowanych, i za to szanowanych, przez swoich najzjadlejszych popleczników. Stawszy się dzięki zamieszkom panem hrabstwa, będzie miał wolną rękę, by dokonać osobistych porachunków.

Rozumie się zatem, że James Burbank i kilku innych właścicieli plantacji nie omieszkali baczenie śledzić machinacji tego człowieka, niebezpiecznego przez same swoje złe instynkty. Stąd nienawiść z jednej strony, podejrzliwość z drugiej, które to uczucia miały się jeszcze pogłębić za sprawą przyszyłych wydarzeń.

Niewiele wiadano o przeszłości Texara, lecz wynikały z tego fakty niezwykle podejrzan. Podczas ostatniego napadu Seminolów wszystko zdawało się świadczyć o tym, że potajemnie z nimi współdziałał. Czy wskazywał im miejsca napadu, plantacje, które warto było atakować? Czy wspomagał ich w podstępach i zasadzkach? W paru okolicznościach nie można było w to powątpiewać, a w następstwie ostatniego napadu Indian prokuratura musiała ścigać Hiszpana, zatrzymać go i pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Ale Texar powołał się na alibi — sposób obrony, który miał mu się jeszcze później powieść — i udowodniono, że nie mógł wziąć udziału w

napadzie na fermę leżącą w hrabstwie Duval, ponieważ wtedy właśnie znajdował się w Savannah w stanie Georgia, a więc w odległości około czterdziestu mil na północ od Florydy.

W następnych latach popełniono kilkanaście znacznych rabunków bądź to plantacji, bądź podróży napadniętych na drogach Florydy. Czy Texar był sprawcą lub współnikiem tych zbrodni? I tym razem podejrzewano go; jednakże z braku dowodów nie można go było postawić przed sądem.

Nadeszła wszakże chwila, gdy wydawało się, iż nieuchwytnego dotąd złoczyńcę przyłapano na gorącym uczynku. Z tego właśnie powodu został wezwany przez sędziego w Saint Augustine.

Tydzień wcześniej James Burbank, Edward Carrol i Walter Stannard wracali z odwiedzin w sąsiadującej z Camdless Bay plantacji, kiedy około siódmej wieczorem, przy zapadającej już nocy, dobiegły ich rozpaczliwe krzyki. Pobiegli do miejsca, skąd dochodziły, i znaleźli się przed zabudowaniami samotnej farmy.

Budynki stały w ogniu. Farmę wcześniej ograbiło jakieś pół tuzina napastników, którzy zdążyli się już rozpierzchnąć. Sprawcy przestępstwa na pewno nie znajdowali się daleko: dwóch rzezimieszków można było jeszcze dojrzeć, jak uciekają przez las.

James Burbank i jego przyjaciele odważnie rzucili się za nimi w pogoń, i to właśnie w kierunku Camdless Bay. Na próżno jednak. Podpalaczom udało się zbiec do lasu. Jednakże Burbank, Carrol i Stannard byli pewni, że jednego z nich rozpoznali: Texara.

Poza tym — okoliczność o większej wartości dowodowej — w chwili, gdy osobnik ten zniknął za zakrętem na skraju Camdless Bay, przechodząca właśnie tamtędy Zerma omal się z nim nie zderzyła. Także jej zdaniem był to uciekający co sił w nogach Hiszpan.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wiele hałasu sprawa ta uczyniła w hrabstwie. Podpalenie poprzedzone rabunkiem to zbrodnia, przed którą rozsiani na dużej przestrzeni osadnicy czują największy strach. James Burbank nie zawahał się zatem przed wniesieniem formalnego oskarżenia. W obliczu jego zapewnień władze postanowiły wszcząć dochodzenie przeciwko Texarowi.

Wezwano Hiszpana do Saint Augustine przed głównego sędziego miasta w celu konfrontacji ze świadkami. James Burbank, Walter Stannard i Edward Carrol jednogłośnie stwierdzili, że w uciekającym z podpalonej farmy osobniku rozpoznali Texara. Ich zdaniem pomyłka nie wchodziła w grę. Texar był jednym ze sprawców napadu.

Hiszpan ze swej strony sprowadził do Saint Augustine pewną liczbę świadków. Otóż świadkowie ci złożyli formalne oświadczenie, iż tego wieczoru przebywali z Texarem w Jacksonville, w „tiendzie” Torilla, karczmie cieszącej się nie najlepszą sławą, ale dobrze znanej. Przez cały wieczór Texar ich nie opuścił. Szczegółem jeszcze bardziej potwierdzającym ich słowa był fakt, że dokładnie w chwili, gdy dokonywała się zbrodnia, Hiszpan miał akurat zwadę z jednym z pijaków przebywających w szynku Torilla — zwadę, po której nastąpiła wymiana ciosów i pogroźek, za co niewątpliwie zostanie wniesiona przeciwko niemu skarga.

Wobec tak niepodważalnego oświadczenia — oświadczenia potwierdzonego przez osoby zupełnie obce Texarowi — sędziemu pozostało tylko zamknąć rozpoczęte dochodzenie i oddalić skargę.

Zagadkowy osobnik i tym razem udowodnił więc w zupełności, swoje alibi.

Po tej właśnie sprawie Texar wracał z Saint Augustine wieczorem 7 lutego w towarzystwie swych świadków. Widzieliśmy, jak się zachowywał na pokładzie „Shannona”, gdy parostatek płynął w dół rzeki. Następnie czółnem, którym przyplłynął po niego Indianin Skambo, wrócił do opuszczonej warowni, gdzie niełatwo byłoby za nim dotrzeć. Co się tyczy Skamba, Seminola inteligentnego i przebiegłego, zausznika Texara, to Hiszpan przyjął go na służbę właśnie po ostatnim napadzie Indian, kiedy imię jego połączono z tą sprawą.

Uczucia, jakie żywił Hiszpan do Jamesa Burbanka, musiały go pchać do zemsty wszelkimi możliwymi sposobami. I gdyby Texarowi udało się obalić władze Jacksonville, stałby się postrachem dla Camdless Bay. Tak więc pani Burbank aż nazbyt słusznie obawiała się o swego męża i resztę rodziny.

Co więcej, ci szlachetni ludzie z pewnością żyliby w nieustannej trwodze, gdyby choć podejrzewali, że Texar wie, iż Gilbert Burbank wstąpił do armii Północy. Jak się o tym dowiedział, skoro wyjazd odbył się w tajemnicy? Niewątpliwie dzięki szpiegom, a nieraz jeszcze zobaczymy, że donosiciele starali mu się przysłużyć.

Jeżeli zatem Texar miał pewność, że syn Jamesa Burbanka służy w szeregach federalistów pod rozkazami komodora Duponta, to czy nie można by się obawiać, iż będzie próbował zastawić pułapkę na młodego porucznika? Owszem! A gdyby udało mu się go ściągnąć na terytorium Florydy, pojmać i zaskarżyć, łatwo zgadnąć, jaki by był los Gilberta w rękach Południowców rozjątrzonych postęпами armii Północy.

Tak się miały sprawy w chwili, gdy zaczyna się ta opowieść. Tak wyglądała sytuacja federalistów stojących niemal u morskich granic Florydy, położenie rodziny Burbanków w hrabstwie Duval, taką pozycję zajmował Texar, nie tylko w Jacksonville, ale na całym terytorium, gdzie jeszcze istniało niewolnictwo. Jeżeli Hiszpanowi uda się dopiąć swego, jeżeli jego poplecznicy obalą władze, bez trudu przyjdzie mu pchnąć na Camdless Bay motłoch, płonący nienawiścią do przeciwników niewolnictwa.

Jakąś godzinę po tym, jak opuścił Texara, Skambo wrócił na główną wysepkę. Wyciągnął czółno na brzeg, przebył ostrokół, wszedł na prowadzące do budynku stopnie.

— Zrobione? — spytał go Texar.

— Zrobione, panie!

— I... nic?

— Nic.

ROZDZIAŁ VI

JACKSONVILLE

— Tak, tak, Zermo, zostałaś poczęta i wydana na świat po to, żeby być niewolnicą! — podjął rządca, dosiadając swego ulubionego konika. — Tak! Niewolnicą, i absolutnie nie po to, żeby być wolną istotą.

— Innego jestem zdania — odparła Zerma spokojnym głosem, ani trochę go nie podnosząc, tak przywykła do dyskusji z rządcą Camdless Bay.

— Możliwe. Tak czy owak w końcu przychyłisz się do poglądu, iż nie ma żadnej takiej równości, którą by można zaprowadzić między białymi i Murzynami.

— Ona jest zaprowadzona, proszę pana, i zawsze istniała, gdyż wynika z naturalnego biegu rzeczy.

— Mylisz się, Zermo, a świadczy o tym fakt, że białych jest dziesięć, dwadzieścia, co ja mówię? sto razy więcej na Ziemi niż Murzynów!

— I dlatego właśnie uczynili z nas niewolników — odparła Zer ma. — Mieli siłę i nadużyli jej. Ale gdyby Murzyni mieli na świecie przewagę, to uczyniliby z białych niewolników!... A raczej nie! Na pewno by wykazali więcej sprawiedliwości, a przede wszystkim mniej okrucieństwa!

Nie należy sądzić, że rozmowa ta, całkowicie bezcelowa, przeszkadzała Zermie i rządcy żyć w przykładowej zgodzie. W tej chwili nie mieli zresztą nic innego do roboty, jak gawędzić. Trzeba tylko stwierdzić, iż mogli byli roztrząsać jakiś użyteczniejszy temat, a niewątpliwie tak też by się stało, gdyby nie mania rządcy, polegająca na nieustannym dyskutowaniu problemu niewolnictwa.

Obydwoje siedzieli na rufie łodzi z Camdless Bay, obsługiwanej przez czterech żeglarzy z plantacji. Płynęli ukośnie rzeką w kierunku Jacksonville, korzystając z odpływu morza. Rządca miał załatwić kilka spraw w imieniu Jamesa Burbanka, a Zerma chciała kupić rozmaite drobiazgi dla małej Dy.

Był 10 lutego. Przed trzema dniami, po rozprawie w Saint Augustine, James Burbank wrócił do Castle House, a Texar nad Czarną Zatokę.

Rozumie się samo przez się, że zaraz nazajutrz Walter Stannard i jego córka otrzymali przesłany z Camdless Bay bilecik, pozwalający im w skrócie zapoznać się z treścią ostatniego listu od Gilberta. Wieści te nie nadeszły na tyle wcześnie, by uspokoić Alicję, której życie od początku zażartej walki między Południem i Północą Stanów Zjednoczonych upływało pośród ciągłych obaw.

Łódź z trójkątnym żaglem wciągniętym na maszt szybko płynęła. W niespełna kwadrans znajdzie się na przystani w Jacksonville. Rządca nie miał więc wiele czasu, by dokończyć swą ulubioną kwestię, nie omieszkał zatem tego uczynić.

— Nie, nie, Zermo — podjął. — Przewaga Murzynów niczego by nie zmieniła. Więcej powiem, niezależnie od wyniku wojny, zawsze wrócimy do niewolnictwa, niewolnicy potrzebni są bowiem na plantacjach.

— Doskonale pan wie, że pan Burbank uważa inaczej — odparła Zerma.

— Wiem, ale mimo całego poważania, jakie mam dla niego, ośmielę się twierdzić, że pan Burbank jest w błędzie. Murzyn powinien stanowić część majątku na tej samej zasadzie co zwierzęta czy sprzęt rolniczy. Gdyby koń mógł odejść, kiedy mu się spodoba, gdy by pług miał prawo, jak tylko tego zapragnie, oddać się w ręce inne niż swego właściciela, uprawa ziemi przestałaby być możliwa. Niechże pan Burbank wyzwoli niewolników, a zobaczy, jakie będzie Camdless Bay!

— Wiadomo panu chyba, że już by to zrobił, gdyby okoliczności mu pozwoliły. A chce pan

wiedzieć, co by się stało, gdyby w Camdless Bay ogłoszono wyzwolenie niewolników? Ani jeden Murzyn by nie opuścił plantacji i wszystko by pozostało bez zmian, oprócz prawa do traktowania ich jak zwierzęta pociągowe. A ponieważ pan z tego prawa nigdy nie korzystał, plantacja po wyzwoleniu byłaby taka sama jak przedtem.

— Czyżbyś przypadkiem sądziła, Zermo, że przekonałaś mnie co do waszych zapatrywań? — spytał rządca.

— W żadnym wypadku. Byłoby to zresztą zbędne, i to z prostej przyczyny.

— Jakiej to?

— A takiej, że w głębi ducha myśli pan na ten temat dokładnie to samo co pan Burbank, pan Carrol, pan Stannard, jak i wszyscy ci, którzy mają szlachetne serca i poczucie sprawiedliwości.

— Nic podobnego, Zermo! Uważam nawet, że byłaby to katastrofa dla Murzynów! Jeżeli uczyni się ich wyłącznymi panami ich woli, zginą i wkrótce zginie cała rasa.

— Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co pan mówi. W każdym razie lepiej, żeby rasa wymarła, niż żeby skazana była na wieczne poniżenie w niewoli!

Rządca chętnie by i na to odpowiedział, a łatwo się domyślić, że nie brakowało mu argumentów. Ale ściągnięto już żagiel i łódź ustawiła się przy drewnianej estakadzie. Tam miała czekać na powrót Zermy i rządcy. Obydwoje zaraz zeszli na ląd i każde udało się za swoimi sprawami.

Jacksonville leży na lewym brzegu Saint Johns, na skraju rozległej, dość niskiej równiny, otoczonej panoramą wspaniałych lasów stanowiących dla niej wiecznie zielone tło. Część tych ziem, zwłaszcza bliżej rzeki, zajmują pola kukurydzy, trzciny cukrowej i ryżu.

Jakieś dziesięć lat wcześniej Jacksonville było tylko dużym osiedlem, a chaty z gliny lub z trzciny na jego peryferiach służyły za mieszkania jedynie ludności murzyńskiej. W obecnej dobie osiedle zaczynało się stawać miastem, i to zarówno dzięki wygodniejszym domom, lepiej wytyczonym i utrzymanym ulicom, jak i ze względu na liczbę mieszkańców, która wzrosła dwukrotnie. Następnego roku miasto, będące stolicą hrabstwa Duval, miało jeszcze więcej zyskać przez połączenie go linią kolejową z Tallahassee, stolicą Florydy.

Jak zdążyli zauważyć rządca i Zerma, w mieście panowało dość duże ożywienie. Kilkuset mieszkańców, z których jedni byli Południowcami pochodzenia amerykańskiego, inni Mulatami bądź Metysami pochodzenia hiszpańskiego, czekało na przybycie parostatku, zapowiedzianego już przez dym widniejący w dole rzeki. Niektórzy nawet, chcąc się jak najszybciej skontaktować ze statkiem, wsiedli do szalup portowych, inni zajęli miejsca w jednomasztowych żaglówkach, jakie zazwyczaj widuje się w okolicach Jacksonville.

W przeddzień nadeszły bowiem ważne wieści z terenu działań wojennych. Znane były już częściowo plany operacji wspomnianej przez Gilberta w liście. Wiedzano, że flota komodora Duponta wkrótce odcumuje i że zamierza jej towarzyszyć generał Sherman z oddziałami desantowymi. W jakim kierunku uda się wyprawa? Nie wiedzano nic konkretnego, ale wszystko wskazywało na to, że celem jej będzie Saint Johns i wybrzeże Florydy. Po Georgii Floryda była zatem bezpośrednio zagrożona inwazją armii federalnej.

Kiedy płynący z Fernandiny parostatek przybił do nabrzeża w Jacksonville, jego pasażerowie potwierdzili te wieści. Dodali nawet, że najprawdopodobniej komodor Dupont rzuci kotwicę w zatoce Saint Andrews, czekając dogodnej chwili na zdobycie przesmyku koło Wyspy Amelii i estuarium Saint Johns.

Wkrótce ludzie grupkami rozpierzchli się z hałasem po mieście, płosząc niezliczone ścierwniki—ptaki obarczone wyłącznie oczyszczaniem ulic. Wszyscy krzyczeli i miotali się. „Nie wpuszczać Jankesów! Śmierć Jankesom!” Tego rodzaju dzikie okrzyki rzucali podżegacze Texara w tłum już

mocno podniecony. Na głównym placu, przed Court House, czyli budynkiem sądu, a nawet przed kościołem odbyły się demonstracje. Władzom trudno będzie uspokoić to wzburzenie, mimo że, jak już zwróciliśmy uwagę, wśród mieszkańców Jacksonville istniał podział, przynajmniej w kwestii niewolnictwa. Jednakże w niespokojnych czasach najhałaśliwsi i najgwałtowniejsi czynią prawo, umiarkowani zaś w końcu zostają przez tamtych zdominowani.

Rozumie się, że w szynkach gardła, pod wpływem mocniejszych trunków, ryknęły jeszcze donośniej. Domorośli dowódcy rozwijali swoje plany stawienia zaciętego oporu najeźdźcom.

— Trzeba wysłać oddziały milicji na Fernandinę! — mówił jeden.

— Trzeba zatopić statki w ujściu Saint Johns! — utrzymywał drugi.

— Trzeba zbudować umocnienia ziemne wokół miasta i uzbroić je w armaty!

— Trzeba poprosić o przysłanie pomocy linią kolejową Fernandina-Keys!

— Trzeba wygasić ogień w latarni morskiej w Pablo, żeby flota nie mogła wpłynąć nocą do ujścia!

— Trzeba rozrzucić torpedy pośrodku rzeki!

O broni tej, będącej niemal zupełną nowością w wojnie secesyjnej, słyszano, i choć nie bardzo wiadano, jak ona funkcjonuje, należało ją oczywiście wykorzystać.

— Przede wszystkim — odezwał się jeden z najbardziej zawziętych mówców w szynku Torilla — trzeba wsadzić do więzienia wszystkich Jankesów, jacy są w mieście, i wszystkich Południowców, którzy myślą jak oni!

Bardzo dziwne by było, gdyby nikt nie pomyślał o wystąpieniu z taką propozycją, ultima ratio doktrynerów we wszystkich krajach. Toteż nagrodziły ją gromkie okrzyki. Szczęściem dla uczciwych mieszkańców Jacksonville, władze miejskie czas jakiś miały się jeszcze wahać, nim ustąpią wobec tego życzenia ludu.

Przemierzając ulice, Zerma zwracała uwagę na wszystko, co się na nich działo, aby zdać sprawę swemu panu, bezpośrednio zagrożonemu tym wzburzeniem. Gdyby zaczęto się dopuszczać aktów przemocy, dotknęłyby one nie tylko miasto. Objęłyby także plantacje hrabstwa. Do Camdless Bay podążono by niechybnie jako do jednej z pierwszych. Toteż Mulatka, chcąc uzyskać bardziej szczegółowe informacje, udała się do położonego za przedmieściem domu Waltera Stannarda.

Była to urocza i wygodna rezydencja, ślicznie usytuowana jakby w oazie zieleni, którą w tym miejscu równiny oszczędziła siekiera karczownika. Dzięki staraniom panny Alicji, wyglądowi domostwa, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz, niczego nie można było zarzuć. W dziewczynie tej, którą śmierć matki wcześniej zmusiła do kierowania służbą swego ojca, czuło się już mądrą i rzetelną panią domu.

Alicja skwapliwie przyjęła Zermę. Najpierw zagadnęła ją o list Gilberta. Mulatka powtórzyła go niemal słowo w słowo.

— Jest więc już niedaleko! — powiedziała Alicja. — Ale w jakich warunkach wróci na Florydę? I jakie niebezpieczeństwa mogą mu jeszcze grozić, nim skończy się ta wyprawa?

— Niebezpieczeństwa? — odparł Stannard. — Uspokój się, Alicjo. Gilbert większym stawiał czoła podczas patrolowania wybrzeży Georgii, a zwłaszcza w ataku na Port Royal. Przypuszczam, że opór Florydczyków nie będzie ani zażarty, ani nie potrwa długo. Cóż oni mogą zrobić kanonierkom, które dopłyną rzeką aż do samego serca hrabstwa? Jakakolwiek obrona wydaje mi się niełatwa, a nawet niemożliwa.

— Oby tak było rzeczywiście, ojczy — powiedziała Alicja — i daj Boże, aby ta krwawa wojna wreszcie się skończyła!

— Może się skończyć wyłącznie pokonaniem Południa — odrzekł Stannard. — A to bez

wątpienia potrwa i obawiam się, że Jefferson Davis i jego generałowie, Lee, Johnston, Beauregard, długo jeszcze będą stawiać opór w stanach centralnych. Nie, nie, wojska federalne nie tak łatwo pokonają konfederatów. Florydę natomiast nie będzie im trudno zająć. Na nieszczęście nie ona zadecyduje o ostatecznym zwycięstwie.

— Żeby tylko Gilbert nie popełnił jakiejś nieostrożności! — powiedziała Alicja składając ręce. — Jeżeli się nie opanuje i choć na parę godzin wyrwie do rodziny, wiedząc, że jest tak blisko...

— Nic się nie martw, Alicjo — powiedział Stannard. — Gilbert jest zbyt rozważny, aby się tak narażać, zwłaszcza że komodorowi Dupontowi wystarczy kilka dni na zajęcie Florydy. Zapuszczanie się w te okolice, dopóki federaliści ich nie opanują, byłoby niewybaczalną lekkomyślnością...

— Szczególnie teraz, kiedy ludzie są bardziej niż kiedykolwiek skłonni do gwałtu! — dodała Zerma.

— W rzeczy samej, w mieście dzisiaj wrze — podjął Stannard. — Widziałem i słyszałem tych podżegaczy! Texar nie odstępuje ich od ośmiu czy dziesięciu dni. Namawia ich, podjudza, i skończy się na tym, że zbuntują pospólstwo nie tylko przeciwko władzom miej skim, ale i przeciw tym spośród mieszkańców, którzy nie podzielają ich poglądów.

— Czy nie uważa pan zatem — powiedziała na to Zerma — że dobrze byłoby, gdyby pan z panią opuścili Jacksonville, przynajmniej na jakiś czas? Rozważniej by było wrócić tutaj dopiero po wejściu oddziałów federalnych na Florydę. Mój pan polecił mi przekazać, że cieszyłby się mogąc gościć pana i pannę Alicję w Castle House.

— Tak... Wiem... — odparł Stannard. — Nie zapomniałem o propozycji Burbanka. Ale czy rzeczywiście Castle House jest miejscem pewniejszym niż Jacksonville? Jeżeli ci awanturnicy, ludzie bez czci, szaleńcy, opanują miasto, czyż nie rozproszą się po okolicy i czy plantacje unikną spustoszenia?

— Wydaje mi się, proszę pana — zauważyła Zerma — że w razie niebezpieczeństwa korzystniej byłoby znaleźć się razem...

— Ona ma rację, ojczu. Lepiej będzie trzymać się razem w Camdless Bay.

— Bez wątpienia, Alicjo — odparł Stannard. — Nie odrzucam propozycji Burbanka. Tylko nie uważam, żeby niebezpieczeństwo było tak bliskie. Zerma uprzedzi naszych przyjaciół, że potrzebuję kilku dni, aby uporządkować wszystkie sprawy, a potem udamy się do Castle House z prośbą o gościnę...

— A kiedy już pan Gilbert przyjedzie — odezwała się Zerma — znajdzie tam wszystkich, których kocha!

Zerma pożegnała się z Walterem Stannardem i jego córką. Wśród powszechnego wzburzenia, rosnącego bez ustanku, dotarła do dzielnicy portowej i nabrzeża, gdzie czekał na nią rządca. Obydwoje wsiedli do łodzi, by przebyć rzekę, a Perry podjął zwykłą rozmowę dokładnie w tym punkcie, w którym została wcześniej przerwana.

Może Stannard mylił się twierdząc, iż niebezpieczeństwo nie jest bliskie? Już wkrótce wydarzenia potoczą się szybciej, a Jacksonville rychło odczuje ich następstwa.

Tymczasem rząd federalny ciągle postępował ostrożnie, dbając o interesy Południa. Choć minęły już dwa lata od rozpoczęcia zmagania wojennych, rozważny Abraham Lincoln jeszcze nie wydał dekretu znoszącego niewolnictwo na całym terytorium Stanów Zjednoczonych. Miało upłynąć następnych kilka miesięcy, nim prezydent w swym orędziu zaproponuje rozwiązanie problemu przez stopniowe wykupywanie i wyzwalenie Murzynów, nim ukaże się proklamacja znosząca niewolnictwo, nim wreszcie zostanie uchwalony kredyt w wysokości miliona dolarów z zezwoleniem na przyznawanie z tytułu odszkodowań trzystu dolarów za każdego wyzwolonego

niewolnika. I chociaż niektórzy generałowie Północy uważali się za upoważnionych do zniesienia niewolnictwa na terenach zajętych przez ich wojska, jak dotąd ich rozkazów nie uznawano. Opinia publiczna nie była bowiem jeszcze zgodna w tej kwestii, a nawet wymieniano pewnych dowódców federalnych, którzy uie uważali takiego posunięcia ani za rozsądne, ani za stosowne w danej chwili.

Tymczasem operacje wojenne nadal się toczyły. Dwunastego lutego generał Price musiał opuścić Arkansas wraz z oddanymi pod jego rozkazy, na mocy umowy, oddziałami milicji ze stanu Missouri. Jak już wiemy, federaliści zdobyli i zajęli Fort Henry. Teraz zaś atakowali Fort Donelson broniony przez silną artylerię i przez ciągnące się na przestrzeni czterech kilometrów zewnętrzne umocnienia, które obejmowały miasteczko Dover. Mimo chłodu i śniegu fort ów, oblegany z dwóch stron: na lądzie przez piętnastotysięczną armię generała Granta i od strony rzeki przez kanonierki komodora Foota, 14 lutego dostał się w ręce federalistów wraz z całą dywizją konfederacką — ludźmi i sprzętem.

Była to poważna strata dla Południa. Wynikły z tej klęski poważne następstwa. Natychmiastowym tego skutkiem miało być wycofanie się generała Johnstona, który musiał zostawić ważne miasto Nashville nad rzeką Cumberland. Ogarnięci paniką mieszkańcy opuścili je zaraz za nim, a kilka dni później taki sam los spotkał Columbus. Cały stan Kentucky znalazł się wtedy pod panowaniem rządu federalnego.

Łatwo można sobie wyobrazić, z jakimi uczuciami gniewu, z jakimi planami zemsty wydarzenia te przyjęto na Florydzie. Władze nie byłyby w stanie uspokoić wrzenia, jakie rozprzestrzeniło się aż do najodleglejszych osad. Z godziny na godzinę, rzecz by można, rosło zagrożenie dla każdego, kto nie podzielał poglądów Południa i nie przyłączał się do projektów obrony przeciwko wojskom federalnym. W Tallahassee, w Saint Augustine wybuchły zamieszki, których stłumienie nie przyszło łatwo. Szczególnie w Jacksonville wybryki pospółstwa groziły przerodzeniem się w skandaliczne akty przemocy.

Rozumie się zatem, że w tych okolicznościach położenie Camdless Bay stawało się coraz bardziej niepokojące. Jednakże Burbank z wierną mu służbą zdoła może stawić opór, przynajmniej pierwszym atakom skierowanym na plantację, chociaż w tym czasie bardzo trudno było zdobyć wystarczającą ilość broni i amunicji. Stannard natomiast, bezpośrednio zagrożony w Jacksonville, miał tym większe powody do obaw o bezpieczeństwo swojej posiadłości, córki, jego samego i wszystkich domowników.

Burbank, zdając sobie sprawę z grozy położenia, słał do niego list za listem. Pchnął też kilku posłańców z prośbą o przybycie do Castle House. Tu będą we względnym bezpieczeństwie, a gdyby przyszło szukać innego schronienia, gdyby przyciśnięci koniecznością musieli zapaść w głębi Florydy aż do nadejścia federalistów, łatwiej będzie to uczynić.

Usilnie nakłaniany Walter Stannard postanowił opuścić Jackson-ville i chwilowo schronić się w Camdless Bay. Wyruszył rankiem 23 lutego, na tyle skrycie, na ile było to możliwe, nie dawszy nikomu poznać swoich zamiarów. W głębi niewielkiej zatoczki na Saint Johns, milę w górę rzeki, czekała nań łódź. Wsiadł do niej z Alicją, szybko przepłynęli rzekę i przybyli na przystań, gdzie zastali Burbanków.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie zgotowano im przyjęcie. Czyż panna Alicja nie była już dla pani Burbank córką? Teraz wszyscy zebrali się razem. Wspólnie przeczekają te ciężkie chwile, mając większe poczucie bezpieczeństwa.

Stannard w samą porę opuścił Jacksonville. Nazajutrz jego dom napadła banda ludzi, którzy pod rzekomym patriotyzmem ukrywali brutalne instynkty. Władze z wielkim trudem zapobiegły grabieży, a także uchroniły kilka innych posiadłości należących do obywateli przeciwnych ideom

separatystycznym. Zbliżała się oczywiście godzina, kiedy urzędnicy magistracy zostaną zastąpieni przez przywódców zamieszek. Tym zaś ani przez myśl nie przejdzie, aby powstrzymać od gwałtów.

Texar bowiem, jak Stannard wcześniej powiedział Zermie, przed kilkoma dniami postanowił opuścić swą tajemniczą kryjówkę i zjawił się w Jacksonville. Tam spotkał swoich kompanów, wywodzących się spośród najgorszej części ludności Florydy, przybyłych z rozmaitych plantacji położonych po obu brzegach rzeki. Ci szaleńcy zamierzali narzucić swoją wolę tak miastom, jak i wsioom. Kontaktowali się z większością swoich popleczników w różnych hrabstwach Florydy. Pod płaszczykiem obrony niewolnictwa zyskiwali sobie coraz większą popularność. Jeszcze trochę, a napływający do Jackson-ville i Saint Augustine tak liczni w tych okolicach włóczędzy, awanturnicy, traperzy opanują miasta, zdobędą wpływy, skupią w swych rękach władzę wojskową i cywilną. Milicja i oddziały regularne nie omieszkają pójść ramię w ramię z tymi nikczemnikami — co zdarza się nieuchronnie w czasach zamieszek, kiedy to przemoc jest na porządku dziennym.

James Burbank był powiadamiany o wszystkim, co się działo poza plantacją. Kilku zaufanych ludzi informowało go na bieżąco o rozruchach, jakie przygotowywano w Jacksonville. Wiedział, że pojawił się tam Texar, że jego nieczne wpływy rozciągają się na pospólstwo, jak i on sam pochodzenia hiszpańskiego. Taki człowiek na czele miasta stanowił bezpośrednie zagrożenie dla Camdless Bay. Toteż James Burbank przygotowywał się na każdą ewentualność, czy to do obrony, jeżeli będzie możliwa, czy to do ucieczki, gdyby zaszła konieczność zostawienia Castle House na pastwę ognia i łupieżców. Przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo rodzinie i przyjaciołom — oto jego podstawowa nieustanna troska.

W ciągu tych paru dni Zerma wykazywała bezgraniczne oddanie. Nieustannie nadzorowała okolice plantacji, zwłaszcza od strony rzeki. Kilku niewolników, wybranych przez nią spośród najbystrzejszych, dzień i noc czuwało na posterunkach, które im wyznaczyła. Wszelkie próby ataku na posiadłość zostaną natychmiast zasygnalizowane.

Wszelako na razie Burbankom nie groził bezpośredni atak zbrojny. Jeszcze władzy nie zagarnęli Texar i jego poplecznicy, jeszcze zachowywano pozory. Pod wpływem opinii publicznej władze miejskie podjęły kroki, które miały w pewnej mierze usatysfakcjonować zwolenników niewolnictwa, zajadłych prześladowców federalistów.

James Burbank był najznamienitszym plantatorem na Florydzie, a także najbogatszym spośród tych wszystkich, których liberalne poglądy były powszechnie znane. W niego zatem w pierwszym rzędzie uderzono.

Wieczorem 26 lutego wysłany z Jacksonville kurier przybył do Camdless Bay i wręczył zaadresowane do Jamesa Burbanka pismo.

Oto co ono zawierało:

Nakazuje się Jamesowi Burbankowi osobiście stawić się jutro, 27 lutego, o godzinie jedenastej w sądzie przed władzami Jacksonville.

ROZDZIAŁ VII

A JEDNAK!

Nie był to wprawdzie grom, lecz co najmniej poprzedzająca go błyskawica.

Zdarzenie owo nie wywarło wielkiego wrażenia na Burbanku, ale jakże zaniepokoiło całą jego rodzinę! Dlaczego właściciel Camdless Bay został wezwany do Jacksonville? Otrzymał przecież nakaz, a nie zaproszenie do stawienia się w sądzie. Co mu zarzucano? Czy było to następstwem wniosku o postępowanie, które przeciwko niemu miało zostać wszczęte? Czy zagrażało jego wolności, a może nawet życiu? Jeżeli usłucha, jeżeli opuści Castle House, czy będzie mógł tam wrócić? Jeżeli zaś nie posłucha, to czy będzie zmuszony do tego siłą? A w takim wypadku na jakie niebezpieczeństwa, na jakie cierpienia wystawieni będą jego bliscy?

— Nie pojedziesz tam, James! — odezwała się pani Burbank w imieniu, jak to się dało odczuć, wszystkich.

— Nie, proszę pana — poparła ją Alicja. — Nie ma mowy, żeby pan się stąd ruszył...

— Aby się zdać na łaskę i niełaskę takich ludzi! — dorzucił Edward Carrol.

Burbank nic nie powiedział. W pierwszej chwili, w obliczu tak grubiańskiego wezwania, ogarnął go gniew, który z trudem udało mu się opanować.

Cóż nowego zaszło w mieście, że urzędnicy tak się rozzuchwalili? Czyżby kompani i poplecznicy Texara byli górą? Czy obalili władze, zachowujące jeszcze pewien umiar, i przejęli rządy? Nie! Perry, który po południu wrócił z Jacksonville, nie przywiózł żadnych tego rodzaju wieści.

— A może chodzi — powiedział Stannard — o jakąś nową, ko rzystną dla Południa operację wojenną, która ośmieliła Florydczyków do bezprawnego wystąpienia przeciwko nam?

— Mam poważne obawy, że tak właśnie jest! — odparł Edward Carrol. — Jeżeli Północ poniosła gdzieś porażkę, ci nikczemnicy przestaną czuć się zagrożeni bliskością komodora Duponta i będą zdolni do wszystkiego!

— Słyszałem, że w Teksasie — podjął Stannard — wojska federalne musiały się cofnąć przed oddziałami milicji aż do Rio Grande, poniosłszy przedtem dość dotkliwą porażkę pod Valverde. Tak przynajmniej powiedział mi pewien człowiek z Jacksonville, którego spotkałem zaledwie przed godziną.

— Coś takiego właśnie — dorzucił Carrol — mogłoby uczynić tych ludzi tak pewnymi siebie!

— A więc armia Shermana i flota Duponta nie przybędą! — zawołała pani Burbank.

— Mamy dopiero dwudziesty szósty lutego — odparła Alicja — a z listu Gilberta wynika, że okręty federalne nie wypłyną w morze przed dwudziestym ósmym.

— Poza tym muszą mieć czas na dopłynięcie do ujścia Saint Johns — dodał Stannard — na przebycie torów wodnych, pokonanie mierzei i dotarcie do Jacksonville. Czyli następne dziesięć dni...

— Dziesięć dni? — wyszeptała Alicja.

— Dziesięć dni! — westchnęła pani Burbank. — Ileż nieszczęść może nas dotknąć do tej pory!

Burbank nie brał udziału w rozmowie. Zastanawiał się. W obliczu uczynionej mu zniewagi rozmyślał, jakie powinien zająć stanowisko. Jeżeli odmówi posłuszeństwa, czy nie narazi się tym samym, że cały motłoch z Jacksonville, za jawną czy cichą aprobatą władz, ruszy na Camdless Bay? Na jakież niebezpieczeństwa będzie wtedy wystawiona jego rodzina? Nie! Lepiej już siebie tylko narazić. Nawet gdyby okazało się to zgubne dla jego życia lub wolności, mógł mieć nadzieję, że tylko on jeden ryzykuje.

Pani Burbank spoglądała na męża żywo zaniepokojona. Czuła, że James bije się z myślami. Zastanawiała się, czy go zagadnąć. Ani Alicja, ani Stannard, ani Carrol nie śmieli spytać, jak zamierza odpowiedzieć na rozkaz przysłany z Jacksonville.

Dopiero mała Dy, bez wątpienia nieświadomie, wyraziła myśli całej rodziny. Podeszła do ojca, który posadził ją sobie na kolanach.

— Tatusiu! — powiedziała.

— Co chciałaś, kochanie?

— Pojedziesz do tych niedobrych ludzi, którzy chcą nam tak dokuczyć?

— Tak... Pojadę!...

— James!... — zawołała pani Burbank.

— Muszę!... To mój obowiązek! Pojadę!

Burbank powiedział to tak zdecydowanie, że na nic by się zdało odwozić go od zamysłu, którego wszelkie konsekwencje oczywiście przemyślał. Żona usiadła obok niego, ucałowała go i uścisnęła, nic nie mówiąc. Bo i cóż mogła powiedzieć?

— Moi drodzy — odezwał się Burbank — możliwe w końcu, że po prostu przeceniamy wagę tego. Co można mi zarzucić? W sumie nic, i wszyscy o tym wiedzą! Można obwiniać mnie o moje poglądy! Nigdy ich nie ukrywałem przed moimi przeciwnikami, a tego, co przez całe życie uważałem za słuszne, nie zawaham się, jeśli będzie trzeba, powiedzieć im prosto w oczy!

— Pojedziemy z tobą, James — powiedział Edward Carrol.

— Tak — poparł go Stannard. — Nie pozwolimy ci jechać samemu do Jacksonville.

— Nie, nie, przyjaciele — odrzekł Burbank. — Tylko ja otrzymałem wezwanie do sądu i pojadę do miasta sam. Możliwe zresztą, że zostanę zatrzymany na kilka dni. Musicie więc obaj zostać w Camdless Bay. Teraz ja zmuszony jestem wam oddać pod opiekę całą rodzinę na czas mojej nieobecności.

— To zostawisz nas, tatusiu? — zawołała mała Dy.

— Tak, córeńko — odparł Burbank wesołym głosem. — Ale jeżeli jutro nie zjem z wami obiadu, to możesz być pewna, że wrócę na kolację i wszyscy razem spędzimy wieczór. Ale, ale, słuchaj! Wprawdzie krótko będę w Jacksonville, na pewno jednak znajdę chwilkę czasu, żeby ci coś kupić!... Co by ci sprawiło przyjemność? Co ci przywieźć?

— Siebie, tatusiu!... Siebie — odpowiedziała dziewczynka.

Po tych słowach, które tak doskonale wyraziły pragnienia wszystkich, kiedy już Burbank polecił przedsięwziąć konieczne w obecnych okolicznościach środki ostrożności, rodzina się rozeszła.

Noc minęła spokojnie. Nazajutrz o świcie Burbank poszedł bambusową aleją prowadzącą do przystani. Tam wydał dyspozycje, aby przygotowano na godzinę ósmą łódź mającą go przewieźć na drugi brzeg rzeki.

Kiedy wracając z nabrzeża szedł w stronę Castle House, zbliżyła się doń Zerma.

— Proszę pana — powiedziała — czy pana decyzja jest nieodwołalna? Pojedzie pan do Jacksonville?

— Na pewno, Zermo, powinienem to uczynić w interesie nas wszystkich. Spodziewam się, że mnie rozumiesz?

— Tak, proszę pana! Gdyby pan odmówił, mogłoby to ściągnąć bandę Texara na Camdless Bay...

— A tego niebezpieczeństwa, najpoważniejszego ze wszystkich, należy unikać za wszelką cenę! — dodał Burbank.

— Czy pan chce, żebym panu towarzyszyła?

— Przeciwnie, Zermo, chcę, żebyś została na plantacji. Musisz być tutaj, przy mojej żonie, przy

mojej córce w razie, gdyby coś im zagroziło przed moim powrotem.

— Nie opuszczę ich, panie.

— Niczego nowego się nie dowiedziałaś?

— Nie. Na pewno wokół plantacji krążą jacyś podejrzani ludzie. Wygląda, jakby jej pilnowali. Tej nocy znowu na rzece wyminęły się dwie, trzy łodzie. Czyżby wiedziano, że panicz Gilbert wyjechał, aby podjąć służbę w armii federalnej, i podejrzewano, że może ulec pokusie i przybyć potajemnie do Camdless Bay?

— Mój dzielny syn! — odparł Burbank. — Nie! Dość ma rozsądku, by się powstrzymać przed tak nierozważnym krokiem!

— Naprawdę się obawiam, że Texar coś podejrzewa — ciągnęła Zerma. — Mówią, że jego wpływy rosną z każdym dniem. Kiedy pan będzie w Jacksonville, proszę się wystrzegać Texara...

— Tak, Zermo, niczym jadowitego węża! Ale mam się na baczności. Gdyby w czasie mojej nieobecności próbował czegoś przeciwko Castle House...

— Proszę się martwić o siebie, tylko o siebie, proszę pana, i nie żywić żadnych obaw o nas. Pana niewolnicy potrafią obronić plantację, a jeżeli będzie trzeba, dadzą się zabić do ostatniego. Wszyscy są panu oddani. Kochają pana. Wiem, co myślą, co mówią, wiem, co robią. Z innych plantacji przyszli namawiać do buntu... Nasi nie chcieli o niczym słyszeć. Wszyscy są jedną wielką rodziną, która należy do rodziny pana. Może pan na nich liczyć.

— Wiem, Zermo, i liczę na nich.

James Burbank wrócił do domu. Gdy nadeszła chwila wyjazdu, uściskał żonę, córkę i pannę Alicję. Obiecał im, że będzie panował nad sobą w obliczu sędziów, którzy wezwali go przed swój trybunał, obojętnie jacy by byli, że nie uczyni niczego, co by mogło doprowadzić do użycia przemocy wobec jego osoby. Najprawdopodobniej wróci zresztą jeszcze tego samego dnia. Wreszcie pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł. Niewątpliwie Burbank miał powody do obaw o siebie samego. Wszelako o wiele bardziej niepokoił się o swą narażoną na tyle niebezpieczeństw rodzinę, którą zostawiał w Castle House.

Walter Stannard i Edward Carrol odprowadzili go na przystań, położoną w końcu alei. Tam wydał jeszcze ostatnie polecenia i łódź, pokonując dość mocny południowo-wschodni wietrzyk, oddaliła się szybko od pomostu w Camdless Bay.

Godzinę później, gdy dochodziła dziesiąta, Burbank wysiadł w Jacksonville.

Nabrzeże było akurat niemal zupełnie wyludnione. Znajdowało się tam tylko kilku obcych marynarzy, zajętych przy rozładunku rybackich żaglówek. Nikt nie rozpoznał Burbanka, mógł zatem niepostrzeżenie udać się do jednego ze swoich pełnomocników, niejakiego Harveya, który mieszkał na drugim końcu portu.

Harvey, zobaczywszy go, okazał zaskoczenie i niepokój. Nie sądził, że Burbank posłucha wezwania. W mieście także w to nie wierzono. Harvey nie potrafił powiedzieć, dlaczego plantatorowi wysłano ów lakoniczny nakaz stawienia się w sądzie. Prawdopodobnie chcąc zaspokoić opinię publiczną zażąda się od Burbanka wyjaśnień na temat jego stanowiska w sprawie wojny, jego powszechnie znanych poglądów na niewolnictwo. Może myślano także o zabezpieczeniu się przed nim, o zatrzymaniu go, najbogatszego plantatora Florydy sprzyjającego Północy, jako zakładnika?

Czy nie lepiej by zrobił, gdyby został w Camdless Bay? Tak uważał Harvey. Czy nie mógłby zawrócić, skoro w mieście nie wiedziano jeszcze, że przybył do Jacksonville?

Burbank wcale jednak nie przyplłynął po to, aby zaraz wracać.

Chciał się dowiedzieć, jak przedstawiają się sprawy. I na pewno się dowie.

Zadał swemu pełnomocnikowi kilka interesujących go pytań.

Czy władze miejskie zostały już obalone przez podżegaczy z Jacksonville?

Jeszcze nie, aczkolwiek zagrożone są coraz bardziej. Przepuszczalnie upadną przy pierwszych zamieszkach, jakie zrodzą się pod naporem wydarzeń.

Czy Hiszpan Texar nie macza palców w przygotowywanym powstaniu pospólstwa?

I owszem. Uważa się go nawet za przywódcę postępowej partii zwolenników niewolnictwa na Florydzie. Niewątpliwie on i jemu podobni staną się wkrótce panami miasta.

Czy potwierdziły się obiegające Florydę pogłoski o ostatnich wydarzeniach wojennych?

Jak najbardziej. Konfederaci odnieśli kilka zwycięstw bez większego znaczenia. Mówiono zresztą, że 24 lutego znaczna część armii generała Mac Clellana ruszyła poza górny Potomac, co stało się przyczyną opuszczenia przez Południowców miasta Columbus. Nieunikniona jest zatem wielka bitwa nad Missisipi, w której przeciw armii separatystów staną wojska generała Granta.

A co z eskadrą, którą komodor Dupont miał wprowadzić do ujścia Saint Johns?

Krąży pogłoska, że w ciągu najbliższych dziesięciu dni flota spróbuje sforsować przejścia. Jeżeli Texar i jego poplecznicy chcą dokonać czegoś, co by oddało miasto w ich ręce i pozwoliło im zaspokoić pragnienie zemsty, to nie mogą z tym dłużej zwlekać.

Tak przedstawiała się sytuacja w Jacksonville i kto wie, czy sprawa Burbanka nie doprowadzi do szybszego jej wyjaśnienia?

Kiedy nadeszła wyznaczona godzina stawienia się przed władzami, James Burbank opuścił dom Harveya i skierował się w stronę placu, przy którym wznosił się budynek sądu. Na ulicach panowało niezwykle ożywienie. Lud tłumnie zdązał w tę stronę. Czuło się, że ta sprawa, mało ważna sama w sobie, może się przerodzić w brzemienne w skutkach rozruchy.

Na placu, oczywiście bardzo gwarnym, tłoczyli się Mulaci, Murzyni, „biała nędza”. Wprawdzie liczba tych, co mogli wejść na salę sądową, była dość ograniczona, niemniej wśród nich znajdowało się sporo zwolenników Texara, zmieszanych z ludźmi prawymi, przeciwnymi wszelkiemu gwałceniu prawa. Jednakże trudno im będzie oprzeć się tej części mieszkańców, która podburzała do obalenia władz Jacksonville.

Kiedy Burbank pojawił się na placu, został natychmiast rozpoznany. Wybuchły gromkie okrzyki. Nie były mu bynajmniej przychylnie. Otoczyło go kilku dzielnych mieszkańców miasta. Nie chcieli, żeby człowiek tak zacny, tak poważany jak plantator z Camdless Bay, był wystawiony bez możliwości obrony na okrucieństwo tłumu. Stosując się do otrzymanego rozkazu, James Burbank dowodził zarazem swego honoru i zdecydowania. Krokiem tym miał zyskać wdzięczność części Florydczyków.

Burbank utorował sobie drogę przez plac, stanął na progu sądu, wszedł dalej i zatrzymał się przed barierką oddzielającą od publiczności część sali, do której wezwano go wbrew wszelkiemu prawu.

Sędzia główny i jego pomocnicy zajęli już swoje miejsca. Byli to ludzie o poglądach umiarkowanych, cieszący się słusznym poważaniem. Z łatwością można sobie wyobrazić, na jakie protesty, na jakie pogróżki byli narażeni od samego początku wojny secesyjnej. Ileż odwagi musieli mieć, by pozostać na swoich stanowiskach, ileż energii, aby się na nich utrzymać! Jeżeli aż do tej pory przetrwali wszystkie ataki stronnictwa podżegaczy, to dlatego że problem niewolnictwa, roznamiętniający inne stany Południa, nieznacznie tylko, jak wiadomo, poruszał ludność Florydy. Idee separatystyczne powoli rozprzestrzeniały się jednak coraz bardziej. A wraz z nimi rosły z każdym dniem wpływy zbirów, awanturników i włóczęgów rozsianych po całym hrabstwie. I właśnie pod presją zwolenników przemocy władze postanowiły wezwać przed swe oblicze Jamesa Burbanka

w związku z oskarżeniem wniesionym przez jednego z przywódców owego stronnictwa, Hiszpana Texara.

Pomruk uznania z jednej strony, a potępienia z drugiej, który powitał wchodzącego na salę właściciela Camdless Bay, wkrótce ucichł. Stojący przy barierce James Burbank, patrząc śmiało, nie czekał nawet, aż sędzia zada mu zwyczajowe pytania.

— Wezwano Jamesa Burbanka — powiedział zdecydowanym głosem — i oto stoi przed wami!

Podczas formalnej części przesłuchania James Burbank odpowiadał bardzo jasno i zwięźle. Następnie zapytał:

— O co jestem oskarżony?

— O sprzeciwianie się słowem, a może i czynem — odparł sędzia — ideom i nadziejom, jakie powinny obowiązywać obecnie na Florydzie!

— A kto mnie oskarża? — spytał Burbank.

— Ja!

Był to Texar. Burbank poznał go po głosie. Nie odwrócił nawet głowy w jego stronę. Wzruszył tylko ramionami na znak pogardy, jaką żywił dla niktzemnego oskarżyciela.

— Przede wszystkim zaś — powiedział Texar — zarzucam Jamesowi Burbankowi jankeskie pochodzenie! Jego obecność w Jackson-ville, w głębi stanu skonfederowanego, jest nieustanną obelgą! Jeżeli sercem i urodzeniem należy do Jankesów, to dlaczego nie wrócił na Północ?

— Jestem na Florydzie, ponieważ to mi odpowiada — odparł Burbank. — Od dwudziestu lat mieszkam w tym hrabstwie. Chociaż nie urodziłem się tutaj, wiadomo przynajmniej, skąd przbyłem. A nie można tego powiedzieć o ludziach, których przeszłość nie jest znana, którzy nie uznają jawnego życia i których życie prywatne słuszniej niż moje zasługuje na potępienie!

Zaatakowany wprost tą odpowiedzią Texar wcale się nie zmieszał.

— I co jeszcze?... — odezwał się James Burbank.

— Co jeszcze?... — rzekł Hiszpan. — W chwili, gdy kraj ma powstać, by utrzymać niewolnictwo, gdy gotów jest przelać krew, żeby odeprzeć oddziały federalne, oskarżam Jamesa Burbanka o to, że jest przeciwnikiem niewolnictwa i że rozpowszechnia wrogie poglądy.

— Jamesie Burbank — powiedział sędzia — rozumie pan, że w okolicznościach, w jakich się znajdujemy, oskarżenie to ma wyjątkową wagę. Proszę więc udzielić na nie odpowiedzi.

— Wysoki sądzie — odrzekł Burbank — odpowiedź jest bardzo prosta. Nigdy niczego nie rozpowszechniałem i nie chcę tego czynić. Zarzut ten jest niezgodny z prawdą. Co się tyczy moich poglądów na temat niewolnictwa, to niech mi będzie wolno przypomnieć je tutaj. Owszem, jestem abolicjonistą! Boleję nad walką, jaką Południe toczy przeciwko Północy! Tak, obawiam się, że Południe zdąży ku klęsce, której mogłoby uniknąć, i właśnie w jego własnym interesie chciałbym ujrzeć, jak wkracza na inną drogę, zamiast wikłać się w wojnę wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew powszechnemu przeświadczeniu. Przyznacie kiedyś, że ci, którzy mówili tak, jak ja mówię dzisiaj, nie mylili się. Kiedy wybiła godzina przemiany, godzina postępu moralnego, szaleństwem jest sprzeciwiać się temu!

— Poza tym — mówił dalej — rozdzielenie się Północy i Południa byłoby zbrodnią przeciwko naszej amerykańskiej ojczyźnie. Ani słuszność, ani sprawiedliwość, ani siła nie są po waszej stronie, i zbrodnia ta się nie dokona.

Słowa te zostały najpierw przyjęte kilkoma głosami pochwały, ale natychmiast zagłuszyły je głośnie krzyki. Publiczność, w większości złożona z ludzi bez czci i wiary, nie mogła się z nimi zgodzić.

Kiedy sędziemu udało się przywrócić ciszę na sali, James Burbank znów zabrał głos.

— Teraz zaś — powiedział — czekam, żeby wytoczono mi jaśniejsze zarzuty dotyczące czynów, a nie poglądów, i odpowiem na nie, kiedy już je będę znał.

Wobec tak pełnej godności postawy sędziowie musieli się poczuć mocno zakłopotani. Nie znali żadnego czynu, który by można zarzucić Burbankowi. Ich rola miała się sprowadzać do wysłuchiwania przedstawianych zarzutów, wspartych dowodami, jeśli takowe w ogóle istniały.

Texar zrozumiał, że musi mówić bardziej konkretnie, inaczej bowiem nie osiągnie zamierzonego celu.

— Dobrze! — powiedział. — Nie uważam wprawdzie, żeby można się powoływać na wolność przekonań w chwili, gdy cały kraj powstaje, aby bronić swej sprawy. Ale może i James Burbank ma prawo myśleć o niewolnictwie, co mu się podoba, może i faktycznie nic nie robi, żeby pozyskiwać zwolenników dla swoich poglądów. Za to wcale nie unika konszachtów ze stojącym u bram Florydy wrogiem!

Oskarżenie o współpracę z federalistami w obecnych okolicznościach było poważnym zarzutem. Potwierdził to pomruk, jaki przebiegł przez salę. Było ono jednak na razie zbyt mgliste i należało je poprzeć faktami.

— Utrzymuje pan, że porozumiewam się z nieprzyjacielem? — spytał James Burbank.

— Tak — potwierdził Texar.

— Jaśniej proszę!... Żądam!

— Dobrze! — podjął Texar. — Jakieś trzy tygodnie temu wysłany do Jamesa Burbanka emisariusz opuścił szeregi armii federalnej, a w każdym razie flotę komodora Duponta. Człowiek ten przybył do Camdless Bay, a śledzony był od chwili, kiedy odszedł z plantacji aż do samej granicy Florydy. Czy zaprzeczy pan temu?

Chodziło oczywiście o posłańca, który przyniósł list młodego porucznika. Szpiedzy Texara nie pomylili się. Tym razem zarzut był wyraźny i z napięciem czekali, jaka będzie odpowiedź Burbanka.

Ten zaś nie wahał się przed wyznaniem tego, co w sumie było rzetelną prawdą.

— W rzeczy samej — przyznał — w tym czasie przybył do Camdless Bay pewien człowiek. Ale człowiek ten był tylko posłańcem. Wcale nie należał do wojsk federalnych, a przyniósł jedynie list od mojego syna...

— Od pańskiego syna! — zawołał Texar. — Od pańskiego syna, który, o ile nam wiadomo, podjął służbę w armii Unii, od pańskiego syna, który znajduje się może w pierwszym szeregu maszerujących teraz na Florydę najeźdźców!

Zapalczywość, z jaką Texar wymówił te słowa, poruszyła publiczność do żywego. Jeżeli Burbank, wyjawivszy najpierw, iż otrzymał list od syna, przyzna teraz, że Gilbert jest w szeregach armii federalnej, to jakże się obroni przed zarzutem utrzymywania kontaktów z wrogami Południa?

— Czy zechce pan się wypowiedzieć na temat faktów przedstawionych przeciwko pańskiemu synowi? — zapytał sędzia.

— Nie, wysoki sędzie — odparł Burbank stanowczym głosem — nie mam nic do powiedzenia na ten temat. O ile wiem, mój syn nie jest stroną w procesie. Tylko ja jestem oskarżony o pozostawanie w kontakcie z armią federalną. A temu zaprzeczam i wzywam tego człowieka, który mnie atakuje wyłącznie z powodu osobistej nienawiści, aby dostarczył na to choć jeden dowód!

— Przyznaje się więc, że jego syn walczy teraz przeciwko konfederatom! — zawołał Texar.

— Nie mam się do czego przyznawać... Nie! — odparł Burbank. — To pan ma udowodnić wysunięte przeciwko mnie zarzuty.

— Dobrze!... Udowodnię! — odpowiedział Texar. — Za kilka dni będę miał dowód, którego się ode mnie żąda, a kiedy go będę miał...

— Kiedy będzie pan go miał — odezwał się sędzia — sąd będzie mógł wydać orzeczenie w tej sprawie. Na razie nie rozumiem, jakie są zarzuty, za które James Burbank ma ponieść odpowiedzialność?

Wypowiadając się w ten sposób, sędzia mówił jak człowiek sprawiedliwy. I niewątpliwie miał słuszość. Na nieszczęście popełnił błąd mając rację przed publicznością tak uprzedzoną do plantatora z Camdless Bay. Toteż słowa jego przyjęto pomrukami, protestami nawet, które wyrazili poplecznicy Texara. Hiszpan doskonale to przeczuł i poniechawszy faktów dotyczących Gilberta Burbanka, wrócił do zarzutów wymierzonych bezpośrednio w jego ojca.

— Tak — powtórzył — udowodnię to, z czym wystąpiłem, a mianowicie, że James Burbank utrzymuje kontakty z nieprzyjacielem, który przygotowuje się do ataku na Florydę. A na razie poglądy, jakie wygłasza wszem i wobec, poglądy tak niebezpieczne dla sprawy niewolnictwa, stanowią publiczne zagrożenie. Toteż w imieniu wszystkich właścicieli niewolników, którzy nigdy nie ulegną jarzmu, jakie Północ chce im narzucić, żądam, żeby się przed nim zabezpieczono...

— Tak!... Tak! — zawołali zwolennicy Texara, podczas gdy część zebranych daremnie usiłowała oponować przeciwko tym nieusprawiedliwionym żądaniom.

Sędziemu udało się przywrócić spokój na sali i Burbank mógł znowu zabrać głos:

— Protestuję ze wszystkich sił, całym prawem, jakie posiadam — powiedział — przeciwko samowoli, do jakiej niektórzy chcą zmusić sprawiedliwość! Jestem abolicjonistą, tak! I to już wyznałem... Ale istnieje, jak przypuszczam, wolność przekonań, skoro system rządu naszego kraju opiera się na wolności. Dotąd nie było zbrodnią być przeciwnikiem niewolnictwa, a gdzie nie ma winy, tam prawo nie może karać!

Licniejsze głosy aprobaty zdawały się przyznawać rację Burbankowi. Texar uznał widocznie, iż nadeszła chwila, by zmienić sposób działania, ponieważ tamten nie dawał wyników. Toteż nie dziwny się, że rzucił Burbankowi takie oto nieoczekiwane wyzwanie:

— W takim razie, skoro jest pan przeciwnikiem niewolnictwa, niech pan wyzwoli swoich niewolników!

— Uczynię to! — odparł Burbank. — Uczynię, jak tylko nadejdzie odpowiednia chwila!

— Doprawdy? Uczyni to pan, kiedy armia federalna zawładnie Florydą! — odpalił Texar. — Potrzebni są panu żołnierze Shermana i marynarze Duponta, żeby odważył się pan idee wcielić w czyn! Ostrożnie pan postępuje... i tchórzliwie!

— Tchórzliwie?... — zawołał z oburzeniem James Burbank, który nie pojął, że przeciwnik zastawia na niego pułapkę.

— Tak! Tchórzliwie! — powtórzył Texar. —No, proszę! Niechże się pan więc wreszcie ośmieli wprowadzić w życie swoje przekonania! Doprawdy, można by sądzić, że zabiega pan tylko o tanią popularność, aby zjednać sobie Jankesów! Tak, na pozór przeciwnik niewolnictwa, a w głębi ducha i ze względu na korzyści jest pan po prostu zwolennikiem jego zachowania!

Burbank aż się poderwał na taką zniewagę. Mierzył oskarżyciela pogardliwym wzrokiem. Było to więcej, niż mógł znieść. Zarzut hipokryzji wyraźnie stał w niezgodzie z całym jego przykładnym i uczciwym życiem.

. — Mieszkańcy Jacksonville! — zawołał tak, żeby słyszał go cały tłum — od dzisiaj nie mam już ani jednego niewolnika! Z dniem dzisiejszym ogłaszam zniesienie niewolnictwa w posiadłości Camdless Bay!

To zuchwałe oświadczenie przyjęły najpierw tylko entuzjastyczne okrzyki. Trzeba było prawdziwej odwagi, by to uczynić — może nawet więcej odwagi niż rozsądku! James Burbank dał się ponieść oburzeniu.

Jednakże aż nadto oczywiste było, że krok ten narazi na szwank interesy innych plantatorów na Florydzie. Toteż publiczność zaraz stosownie zareagowała. Pierwsze brawa, jakie otrzymał właściciel Camdless Bay, zostały wkrótce zagłuszone krzykami protestu nie tylko tych, co z zasady byli za utrzymaniem niewolnictwa, ale także wszystkich, którzy dotychczas obojętnie się do tego problemu odnosili. I przyjaciele Texara skorzystaliby z tej radykalnej zmiany opinii, by się dopuścić jakiegoś karygodnego czynu, gdyby sam Hiszpan ich nie powstrzymał.

— Dajcie spokój! — powiedział. — Burbank sam sobie wytrącił broń z ręki!... Teraz już go mamy!

Słowa te, których znaczenie niebawem stanie się jasne, wystar czyły, by powstrzymać zwolenników przemocy. Toteż Burbank nie był więcej napastowany, kiedy sędziowie oznajmili mu, że może odejść. Wobec braku jakiegokolwiek dowodu nie było podstaw, by wydać nakaz zatrzymania go, jak domagał się Texar. Później, jeżeli Hiszpan, który upierał się przy tym, co powiedział, dostarczy świadectw mogących wyjawić znowę Burbanka z wrogiem, sędziowie podejmą dalsze dochodzenie. Do tej pory jednak plantator będzie wolny.

Przy wyjściu z sądu, chociaż za Burbankiem postępował bardzo źle usposobiony do niego tłum, straży udało się zapobiec rękoczynom. Słysząc było wrogie okrzyki, pogróżki, ale nie doszło do awantury. Chroniły go oczywiście wpływy Texara. Burbank dotarł zatem do nabrzeża portowego, gdzie czekała na niego łódź. Tam pożegnał się ze swym pełnomocnikiem Harveyem, który nie odstępował go na krok. Wypłynąwszy na rzekę, szybko znalazł się poza zasięgiem krzyków motłochu Jacksonville towarzyszących jego odjazdowi.

Ponieważ był właśnie odpływ, łódź, opóźniana przeciwnym prądem, dopiero po prawie dwóch godzinach wpłynęła do przystani w Camdless Bay, gdzie na Burbanka czekali jego bliscy. Jakaż radość opanowała tę grupkę, gdy go ujrzeli! Wszak tyle było powodów do obaw, że zostanie zatrzymany.

— Ależ nie! — powiedział do ściskającej go małej Dy. — Obiecałem ci przecież, kochanie, że wrócę na obiad, a dobrze wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic!

ROZDZIAŁ VIII

OSTATNIA NIEWOLNICA

Tego wieczoru James Burbank opowiedział swoim bliskim o tym, co zaszło w sądzie. Wyjawiał im nikczemny postępek Texara. Pod naciskiem tego człowieka właśnie oraz pospółstwa Jacksonville wysłano do Camdless Bay nakaz stawienia się przed trybunałem. Postawa sędziów w tej sprawie zasługiwała tylko na pochwałę. Na zarzut o porozumiewanie się z federalistami odparli żądając dowodu, który to oskarżenie by uzasadnił. Ponieważ Texar dowodu takiego nie mógł dostarczyć, James Burbank został zwolniony.

Wszelako wśród tych wszystkich niejasnych posądzeń padło imię Gilberta. Zdaje się, iż nie było wątpliwości co do tego, że Gilbert służy w armii Północy. A czyż odmowa odpowiedzi na ten temat nie była połowicznym wyznaniem ze strony Burbanka?

Aż nazbyt łatwo zatem pojąć, jakie obawy i niepokoje opanowały wtedy panią Burbank, Alicję, całą tę tak zagrożoną rodzinę. W braku syna, którego nie mogli dosięgnąć, czy łotry z Jacksonville nie uderzą znowu w jego ojca? Texar bez wątpienia chełpił się obiecując, że za kilka dni dostarczy dowodów na poparcie swego zarzutu. Ostatecznie jednak możliwe, że uda mu się je zdobyć, a wtedy sytuacja stanie się w najwyższym stopniu alarmująca.

— Mój biedny Gilbert! — zawołała pani Burbank. — I pomyśleć, że jest tak blisko Texara, gotowego na wszystko, byle osiągnąć cel!

— Czy nie można by go uprzedzić o tym, co się wydarzyło w Jacksonville? — spytała Alicja.

— Właśnie! — dodał Stannard. — Czy nie należałoby powiadomić go przede wszystkim, że wszelka nierozwaga z jego strony pociągnie za sobą skutki fatalne dla niego i dla nas?

— Ale jak go uprzedzić? — odparł James Burbank. — Jest więcej niż pewne, że wokół Camdless Bay bez ustanku krążą szpiedzy. Już człowiek, którego przysłał do nas Gilbert, był śledzony w drodze powrotnej. Każdy list może wpaść w ręce Texara. Każdemu posłańcowi pchniętemu z ustną wiadomością grozi, że zostanie zatrzymany w drodze. Nie, moi drodzy, nie podejmujemy niczego, co by mogło jeszcze pogorszyć nasze położenie, i daj Boże, żeby wojska federalne jak najszybciej zajęły Florydę.

James Burbank miał słuszność. Ponieważ bacznie strzeżono plantacji, wielką nierozwagą byłoby kontaktowanie się z Gilbertem. Zbliżała się zresztą chwila, kiedy Burbank i inni osiedleni na Florydzie Amerykanie z Północy poczują się bezpieczni pod opieką wojsk federalnych.

Następnego dnia bowiem komodor Dupont miał wpłynąć na kotwiczowisko Edisto. Z pewnością nim trzy dni miną, nadejdzie wiadomość, że flota, przepłynąwszy wzdłuż wybrzeża Georgii, znajduje się w zatoce Saint Andrews.

James Burbank opowiedział także o tym, jak został zmuszony do odpowiedzi na rzucone przez Texara wyzwanie dotyczące niewolników z Camdless Bay. Zgodnie z prawem, jakie posiadał, zgodnie ze swoim sumieniem, publicznie ogłosił zniesienie niewolnictwa w swojej posiadłości. To, czego dotąd żaden stan Południa nie ośmielił się uczynić bez przymusu, on zrobił nie zmuszany i z własnej woli.

Deklaracja równie odważna co szlachetna! Jakie będą jej następstwa, nie dało się przewidzieć. Nie był to oczywiście krok, który by pomniejszył zagrożenie Jamesa Burbanka w tej sprzyjającej niewolnictwu okolicy. Może nawet wywoła to pragnienie buntu wśród niewolników na innych plantacjach. Nieważne! Mieszkańcy Castle House, wzruszeni doniosłością aktu, bez sprzeciwu zgodzili się na to, co uczyniła głowa rodziny.

— James — powiedziała pani Burbank — cokolwiek by się zdarzyło, słusznie postąpiłeś odpowiadając w ten sposób na podłe przymówki, jakie ten Texar miał ci czelność rzucić!

— Dumni jesteśmy z ciebie, ojczy! — dodała Alicja, po raz pierwszy nazywając Burbanka swym ojcem.

— W ten oto sposób, moja droga córko — odparł Burbank — kiedy Gilbert i federaliści wejdą na Florydę, nie znajdą w Camdless Bay ani jednego niewolnika!

— Dziękuję panu — odezwała się wtedy Zerma. — Dziękuję w imieniu innych Murzynów i moim własnym. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie czułam się u państwa niewolnicą. Wasza dobroć, szlachetność sprawiły, że już wcześniej byłam tak samo wolna jak teraz.

— Masz rację, Zermo — odparła pani Burbank. — Niewolnicę czy wolną, zawsze będziemy cię jednakowo kochali.

Zerma daremnie starała się ukryć wzruszenie. Wzięła Dy w ramiona i przycisnęła ją do piersi.

Carrol i Stannard serdecznie uścisnęli dłoń Jamesa Burbanka. Wyrazili tym gestem, że pochwalają jego postępek i przyklaskują temu aktowi odwagi — a także sprawiedliwości.

Jest rzeczą całkiem oczywistą, że przy tak wzniosłych przeżyciach rodzina Burbanków zapomniała, ile komplikacji może w przyszłości wywołać postępowanie Jamesa.

Pora była już późna. Nim wszyscy się rozeszli, Burbank oznajmił jeszcze, że nazajutrz wręczy niewolnikom akty nadania wolności.

— Będziemy z tobą, James — powiedziała pani Burbank — kiedy powiesz im, że są wolni!

— Tak, wszyscy będziemy z tobą! — dodał Carrol.

— A ja też, tatusiu? — spytała mała Dy.

— Tak, kochanie, ty również!

— Zermo — dodała dziewczynka — czy później nas zostawisz?

— Nie, dziecinko! — odparła Zerma. — Nie! Nigdy cię nie opuszczę!

Kiedy podjęto jeszcze normalne dla bezpieczeństwa Castle House środki ostrożności, wszyscy udali się do swoich pokoi.

Nazajutrz pierwszą osobą, jaką spotkał Burbank w parku, był rządca Perry. Ponieważ dobrze strzeżono tajemnicy, o niczym jeszcze nie wiedział. Ale wkrótce wyjawiał mu sekret sam James Burbank.

— Och! Panie Burbank!... Och! Panie Burbank!... Szacowny mąż, zupełnie oszołomiony, nie potrafił dać innej odpowiedzi.

— Wszak nie powinno to pana zaskoczyć, Perry — mówił dalej Burbank. — Uprzedziłem tylko wydarzenia. Doskonale pan wie, że wyzwolenie Murzynów jest aktem nieodzownym w każdym stanie troszczącym się o swoją wielkość...

— Wielkość, panie Burbank... Go wielkość ma z tym wspólnego?

— Nie rozumie pan słowa „wielkość”, Perry. Dobrze, powiedzmy: troszczącym się o swe interesy.

— Interesy... Interesy, panie Burbank! Jak pan może mówić: troszczącym się o swe interesy?

— Bezsprzecznie, a przyszłość już wkrótce panu to wykaże, mój drogi Perry!

— Ale skąd będzie się brało robotników na plantacjach?

— Dalej będą nimi Murzyni.

— Ale jeżeli Murzynom będzie wolno nie pracować, to przestaną pracować!

— Przeciwnie, będą pracować, i to z większym zapałem, bo bez przymusu, a także chętniej, gdyż na lepszych warunkach.

— Ale pańscy Murzyni, panie Burbank?... Przecież oni zaraz nas opuszczą!

— Bardzo by mnie zdziwiło, drogi Perry, gdyby choć jeden miał zamiar to uczynić.

— Nie jestem już zatem rządcą niewolników w Camdless Bay?

— Nie, ale jest pan nadal rządcą w Camdless Bay i nie sądzę, żeby pańskie położenie ucierpiało na tym, skoro będzie pan kierował ludźmi wolnymi, a nie niewolnikami...

— Ale...

— Drogi Perry, uprzedzam, że na każde pańskie „ale” mam gotową odpowiedź. Proszę zatem pogodzić się z tym, do czego musiało w końcu dojść, a co moja rodzina przyjęła jak najlepiej.

— A Murzyni o tym wiedzą?...

— Jeszcze nie — odparł James Burbank. — I proszę pana, Perry, żeby im pan nic nie mówił. Dowiedzą się jeszcze dzisiaj. Zbierze ich pan wszystkich w parku przy Castle House o trzeciej po południu mówiąc tylko, że chcę ich o czymś powiadomić.

Rządca odszedł po tych słowach, kręcąc w osłupieniu głową i powtarzając:

— Murzyni, którzy przestali być niewolnikami! Murzyni, którzy będą pracować na siebie! Murzyni, którzy będą musieli troszczyć się o swoje potrzeby! To naruszenie porządku społecznego! To upadek praw ludzkich! To wbrew naturze! Tak! Wbrew naturze!

Przed południem Burbank, Stannard i Carrol pojechali powozem obejrzeć część plantacji położoną przy jej północnej granicy. Wśród pól ryżowych, kawowych i trzciny cukrowej niewolnicy pilnie wykonywali swoje zwykłe prace. Podobny zapał panował w warsztatach i tartakach. Tajemnica została dochowana. Ci, których zamierzenie Jamesa Burbanka tak bezpośrednio dotyczyło, nic o nim na razie nie wiedzieli.

Przemierzając najdalsze granice tej części posiadłości, James Burbank i jego przyjaciele pragnęli się upewnić, czy w okolicach plantacji nie ma niczego podejrzanego. Po uczynionym poprzedniego dnia oświadczeniu można było żywić obawy, że część pospólstwa z Jacksonville lub z okolicznych osad gotowa targnąć się na Camdless Bay. Jak dotąd nic na to nie wskazywało. Nie zauważono nawet nikogo na tym brzegu rzeki ani na wodach Saint Johns. Płynący w górę rzeki „Shannon”, który pojawił się około dziesiątej rano, nie zatrzymał się przy pomoście przystani, lecz dalej zmierzał w kierunku ku Picolaty. Ani w górze, ani w dole rzeki nie było niczego, co by mogło budzić obawy w mieszkańcach Castle House.

Gdy zbliżało się południe, Burbank, Stannard i Carrol minęli kładkę na otaczającym park strumieniu i wrócili do domu. Rodzina czekała już na nich z obiadem. Wszyscy byli nieco spokojniejsi, weselej gawędzili. Wydawało się, że nastąpiło pewne odprężenie. Niewątpliwie stanowczość sędziów Jacksonville wzbudziła szacunek u skłaniających się ku przemocy zwolenników Texara. Gdyby taki stan rzeczy potrwał jeszcze kilka dni, Florydę zajmą wojska federalne. Przeciwnicy niewolnictwa, czy to pochodzący z Północy, czy też z Południa, będą wtedy bezpieczni.

James Burbank mógł zatem przystąpić do uroczystości emancypacji — pierwszego tego rodzaju aktu przeprowadzonego dobrowolnie w stanie niewolniczym.

Tym, który przyjmie to z największym zadowoleniem, będzie oczywiście pewien dwudziestoletni młodzian imieniem Pigmalion — potocznie zwany Pig, przydzielony do służby w budynkach gospodarczych Castle House. Trzeba przyznać, że Pigmalion był pociesznym chłopcem, próżnym, leniwym, któremu jego właściciele dobrotliwie wiele wybacжали. Od kiedy postawiono problem niewolnictwa, stale wygłaszał górnolotne frazesy na temat wolności człowieka. Przy każdej okazji prawił pretensjonalne tyrady swoim towarzyszom, ci zaś śmiali się z tego bez żenady. Płonął świętym ogniem oburzenia, on, który za grosz nie miał w sobie żaru do pracy. Ponieważ jednak w głębi ducha nie był to zły chłopiec, więc pozwalano mu gadać. Łatwo się domyślić, jakie dyskusje

musiał wieść z Perrym, kiedy ten miał nastrój, by go słuchać.

Tego dnia Murzyni zostali uprzedzeni, że mają się zebrać przed Castle House. Tam właściciel Camdless Bay przekaże im ważną wiadomość.

Tuż przed trzecią — godziną wyznaczoną na spotkanie — cała służba, opuściwszy chaty, zaczęła się zbierać przed Castle House. Po południowym posiłku ci poczciwcy nie wrócili ani do warsztatów, ani na pola, ani na wyręby. Chcieli ochędożyć się nieco, zmienić ubrania robocze na odświętne, jak to było w zwyczaju, kiedy otwierały się przed nimi wrota ostrokołu otaczającego Castle House. Panowało zatem wielkie ożywienie, bieganie od chaty do chaty, pod czas gdy rządcą Perry, przechadzając się od jednej osady do drugiej, mruczał pod nosem:

— Jak pomyślę, że w tej chwili jeszcze można by handlować tymi Murzynami, bo ciągle są towarem! A nim upłynie godzina, nie będzie już wolno ani ich kupować, ani sprzedawać! Tak! Będę to powtarzał aż do ostatniego tchnienia! Pan Burbank może sobie robić i mówić, co chce, a za nim prezydent Lincoln, a za prezydentem Lincolnem wszyscy federaliści i wszyscy liberałowie obu światów: to jest wbrew naturze!

W tejże chwili Pigmalion, który nic jeszcze nie wiedział, stanął przed rządcą.

— Dlaczego mamy się zebrać, proszę pana? — spytał Pig. — Czy byłby pan tak dobry i powiedział mi?

— Tak, głuptasie! Żeby ci...

Rządcą przerwał w pół słowa, nie chcąc zdradzić tajemnicy. Przyszła mu wtedy pewna myśl do głowy.

— Chodź no tutaj, Pig! — powiedział. Pigmalion podszedł.

— Ciągnę cię czasem za ucho, prawda, chłopcze?

— Tak, proszę pana, bo wbrew wszelkiej sprawiedliwości ludzkiej i boskiej, ma pan do tego prawo.

— No cóż, skoro mam do tego prawo, pozwolę sobie zatem skorzystać z niego jeszcze!

I nie zważając na krzyki Piga, ale i nie sprawiając mu wielkiego bólu, wyszarpał go za uszy, które już były pokaźnej długości. Doprawdy, wykorzystanie przysługującego mu prawa w stosunku do jednego z niewolników plantacji sprawiło rządcy ulgę.

O godzinie trzeciej James Burbank i jego bliscy pojawili się na podeście przed Castle House. W obrębie ogrodzenia zebrało się siedmiuset niewolników — mężczyzn, kobiet i dzieci, a nawet około dwudziestu starych Murzynów, którzy kiedy okazali się niezdolni do żadnej pracy, mogli zażywać zasłużonego odpoczynku w chatach w Camdless Bay.

Wkrótce zapadła głęboka cisza. Na znak Jamesa Burbanka Perry i jego pomocnicy kazali wszystkim podejść bliżej, ażeby każdy mógł wyraźnie usłyszeć obwieszczenie, jakie miano im przekazać.

James Burbank zabrał głos:

— Moi drodzy — powiedział — wiecie, że od dawna już trwają ca krwawa wojna domowa rzuciła do walki ludność Stanów Zjednoczonych. Rzeczywistą przyczyną tej wojny stała się sprawa niewolnictwa. Południe, kierując się tylko tym, co uważało za swój interes, pragnęło jego utrzymania. Północ zaś, w imię humanitaryzmu, żądała zniesienia go. Bóg poparł obrońców słusznej sprawy i szala zwycięstwa już nieraz przechyliła się na stronę tych, co walczą o wyzwolenie całej rasy ludzkiej. Od dawna, a wszyscy o tym wiedzą, wierny memu pochodzeniu, podzielałem poglądy Północy, nie będąc w stanie wprowadzić ich w życie. Otóż pewne okoliczności sprawiły, że mogę przyspieszyć chwilę, kiedy wolno mi będzie dołączyć czyny do poglądów. Słuchajcie więc, co mam wam do przekazania w imieniu całej mojej rodziny!

Przez zgromadzenie przebiegł głuchy pomruk emocji i niemal natychmiast ucichł. A wtedy James Burbank, głosem, który zewsząd było słyhać, wypowiedział następujące oświadczenie:

— Począwszy od dnia dzisiejszego, to znaczy od dwudziestego ósmego lutego roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego, niewolnicy z plantacji są uwolnieni od wszelkiej zależności. Każdy może rozporządzać swoją osobą. W Camdless Bay są tylko ludzie wolni!

Pierwszą reakcją świeżo wyzwolonych były głośne wiwaty rozbrzmiewające ze wszech stron. Wymachiwano ramionami na znak podziękowania. Wykrzykiwano nazwisko Burbanka. Wszyscy podeszli bliżej podestu. Mężczyźni, kobiety, dzieci, każdy chciał ucałować rękę człowieka, który ich wyzwolił. Zapanował nieopisany entuzjazm. A jak gestykulował Pigmalion, jak perorował, jakie przyjmował pozy!

Wtedy pewien sędziwy Murzyn, najstarszy spośród służby, zbliżył się do pierwszych stopni prowadzących na podest. Poniósł głowę i głosem głęboko wzruszonym powiedział:

— W imieniu byłych niewolników z Camdless Bay, teraz już wolnych ludzi, dziękuję panu, że mogliśmy usłyszeć pierwsze wypowiedziane w stanie Floryda słowa przyznające wolność!

Mówiąc to, starzec wchodził wolno po schodach. Znalazłszy się przy Burbanku, ucałował jego rękę, a ponieważ mała Dy wyciągnęła do niego ramionka, podniósł ją i pokazał innym.

— Hurra!... Niech żyje pan Burbank!

Okrzyki te radośnie rozległy się w powietrzu i musiały zanieść aż do Jacksonville, na drugi brzeg Saint Johns, nowinę o wielkim wydarzeniu, które właśnie miało miejsce.

Cała rodzina Burbanków była głęboko wzruszona. Na próżno usiłowano uciszyć te oznaki radości. Udało się to uczynić Zermie, kiedy ujrzano, jak wybiegła w stronę podestu, by zabrać głos.

— Przyjaciele — powiedziała — jesteśmy oto wolni dzięki szlachetności i dobroci tego, który był naszym panem, i to najlepszym z panów!

— Tak!... Tak!... — zawołały setki głosów, zmieszanych w jednym porywie wdzięczności.

— Każdy z nas może odtąd rozporządzać swoją osobą — podjęła Zerma. — Każdy może opuścić plantację, dokonać wolnego wyboru zależnie od osobistych interesów. Jeśli o mnie chodzi, pójdę tylko za głosem serca i pewna jestem, że większość z was postąpi tak samo jak ja. Od sześciu lat jestem w Camdless Bay. Żyliśmy tutaj z moim mężem i tutaj pragniemy zakończyć życie. Błagam więc pana Burbanka, żeby pozwolił nam, wolnym ludziom, zostać tutaj tak samo jak wtedy, kiedy byliśmy niewolnikami... Niech ci, którzy także tego chcą...

— Wszyscy!... Wszyscy!

I słowa te, tysiącrotnie powtórzone, wyrażały, jak był ceniony pan Camdless Bay, jakie więzy przyjaźni i wdzięczności łączyły go ze wszystkimi wyzwolencami jego posiadłości.

James Burbank zabrał wtedy znowu głos. Powiedział, że wszyscy ci, co zechcą zostać na plantacji, będą mogli to uczynić w nowych warunkach. Wystarczy tylko uzgodnić na mocy obopólnego porozumienia wynagrodzenie za pracę i prawa świeżych wyzwolenców. Dodał też, iż przede wszystkim powinno się unormować ich sytuację. Toteż w tym celu każdy Murzyn otrzyma dla siebie i swojej rodziny akt wyzwolenia, który pozwoli mu zająć w szeregach ludzkości należne miejsce.

Co też natychmiast uczyniono przy współudziale pomocników rządu.

Od dawna zdecydowany wyzwolić swoich niewolników, James Burbank akty te miał przygotowane i każdy Murzyn odbierał swój z niezwykle wzruszającymi przejawami wdzięczności.

Do samego wieczora radowano się wydarzeniem. Chociaż nazajutrz wszyscy mieli wrócić do normalnych zajęć, tego dnia plantacja świętowała. Burbankowie, otoczeni tymi pocziwcami, przyjmowali najszczerze dowody przyjaźni, podobnie jak zapewnienia bezgranicznego oddania.

Tymczasem rządcą Perry przechadzał się pośród swojego dawnego stada istot ludzkich niczym dusza pokutująca, a na pytanie Jamesa Burbanka: — I co, Perry, co pan na to powie? — odpowiedział:

— Powiem, panie Burbank, że chociaż są wolni, niemniej ci Afrykańczycy urodzili się w Afryce i nie zmienili koloru skóry! Otóż, ponieważ urodzili się czarni, umrą też czarni...

— Ale żyć będą biali — z uśmiechem odparł Burbank — i w tym tkwi sedno rzeczy!

Tego wieczoru rodzina Burbanków zasiadła do kolacji bardzo uszczęśliwiona i trzeba dodać, ufniej patrząc w przyszłość. Jeszcze tylko kilka dni, a bezpieczeństwo na Florydzie będzie całkiem zapewnione. Z Jacksonville nie nadchodziły zresztą żadne złe wieści. Możliwe, że zachowanie się Jamesa Burbanka przed trybunałem sędziowskim wywarło dodatnie wrażenie na większości mieszkańców miasta.

Na kolacji obecny był także rządcą Perry, który miał pogodzić się z tym, czemu nie mógł przeszkodzić. Co więcej, siedział naprzeciwko przełożonego Murzynów, zaproszonego przez Burbanka jakby dla mocniejszego podkreślenia, że wyzwolenie jego i jego towarzyszy niewoli nie było w rozumieniu właściciela Camdless Bay czczym oświadczeniem. Na zewnątrz wybuchały wesołe okrzyki, a park jaśniał poświatą ogni rozpalonych w różnych miejscach plantacji na znak radości. W trakcie posiłku zjawili się wysłannicy Murzynów, którzy przynieśli małej Dy wspaniałą bukiet, bez wątpienia najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek ofiarowano „panience Dy Burbank z Castle House”. Z wielkim wzruszeniem obie strony wymieniły pochwały i podziękowania.

Gdy wszyscy odeszli, domownicy przeszli do holu, czekając pory udania się na spoczynek. Wydawało się, że tak dobrze zaczęty dzień tylko dobrze może się skończyć.

O godzinie ósmej na całej plantacji panował spokój. Należało przypuszczać, że nic go już nie zakłóci, kiedy naraz na zewnątrz rozległy się jakieś głosy.

James Burbank wstał i poszedł otworzyć prowadzące do holu drzwi.

Kilka osób stało przed podestem, głośno rozmawiając.

— Co się stało? — zapytał Burbank.

— Jakaś łódź przybiła do pomostu na przystani — odparł jeden z rządców.

— Skąd przyplłynęła?

— Z lewego brzegu.

— Kto jest na pokładzie?

— Posłaniec przybywający z polecenia sędziego Jacksonville.

— Czego chce?

— Prosi, by mógł coś panu przekazać. Czy pan zezwala, żeby wysiadł na ląd?

— Oczywiście!

Pani Burbank podeszła do męża. Alicja żywo zbliżyła się do jednego z okien holu, podczas gdy Stannard i Carrol skierowali się ku drzwiom. Zerma, ujmując małą Dy za rączkę, wstała. Wszystkich tknęło przecucie, że oto zrodzą się jakieś poważne kłopoty.

Rządcą poszedł z powrotem na przystań. Dziesięć minut później wracał z posłańcem, który przyplłynął łodzią z Jacksonville.

Był to mężczyzna odziany w mundur milicji hrabstwa. Wprowadzono go do holu, gdzie spytał o pana Burbanka.

— To ja! Czym mogę służyć?

— Pragnę panu przekazać to pismo.

Posłaniec podał mu dużą kopertę, na której w jednym z rogów widniała pieczęć sądu.

James Burbank złamał pieczęć i przeczytał co następuje:

Z rozkazu nowo ustanowionych władz Jacksonville, każdy niewolnik, który zostanie wyzwolony wbrew woli Południowców, będzie natychmiast wydalony z terytorium stanu.

Zarządzenie to ma być wykonane w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, a w razie sprzeciwu zastosuje się siłę.

Sporządzono w Jacksonville 28 lutego 1862 roku.

Texar

Dotychczasowe władze Jacksonville zostały obalone. Wspierany przez swych zwolenników Texar rządził miastem.

— Jaką mam zanieść odpowiedź? — spytał posłaniec.

— Żadnej! — odparł Burbank.

Posłaniec odszedł, odprowadzony do łodzi, która skierowała się na lewy brzeg rzeki.

A więc na rozkaz Texara byli niewolnicy z plantacji mieli zostać rozpędzeni! Tylko dlatego, że dano im wolność, stracili prawo do życia na Florydzie! Camdless Bay pozbawione zostanie całej służby, na którą Burbank mógł liczyć, gdyby przyszło bronić plantacji!

— Wolna na takich warunkach? — powiedziała Zerma. — Nie, nigdy! Wyrzekam się wolności i chcę się na powrót stać niewolnicą, skoro tego trzeba, by zostać przy tobie, panie!

I schwyciwszy swój akt wyzwolenia, Zerma przedarła go, po czym rzuciła się do kolan Jamesa Burbanka.

ROZDZIAŁ IX

OCZEKIWANIE

Takie były pierwsze konsekwencje szlachetnego odruchu, jakiemu uległ James Burbank wyzwalając swoich niewolników, zanim armia federalna zajęła terytorium stanu.

Obecnie Texar i jego zwolennicy panowali nad miastem i hrabstwem. Zaczynali się dopuszczać wszelkich zbrodniczych czynów, najstraszliwszych wybryków, do których popychał ich porywczy charakter. Chociaż niejasnymi oskarżeniami Texarowi nie udało się w końcu wtrącić Burbanka do więzienia, niemniej osiągnął swój cel wykorzystując nastroje w Jacksonville, zamieszkiwanym w większości przez ludzi podrażnionych postawą sędziów w procesie właściciela Camdless Bay. Po uniewinnieniu przeciwnego niewolnictwu osadnika, który właśnie ogłosił wyzwolenie w całej swojej posiadłości, Jankesa, który jawnie życzył zwycięstwa Północy, Texar podjudził tłum ludzi niegodziwych, poruszył całe miasto. Doprowadziwszy tym sposobem do obalenia tak skompromitowanych władz, postawił na ich miejsce najbardziej skrajnych zwolenników swojego stronnictwa, utworzył komitet, w którym „biała nędza” dzieliła się władzą z Florydczykami pochodzenia hiszpańskiego, zapewnił sobie pomoc milicji od dawna już bratającej się z pospólstwem. Teraz los mieszkańców całego hrabstwa spoczywał w rękach Texara.

Należy wyjaśnić, że postępowanie Jamesa Burbanka nie spotkało się z przychylnością większości osadników żyjących w posiadłościach na obu brzegach Saint Johns. Plantatorzy, przeważnie zwolennicy niewolnictwa, zdecydowani walczyć przeciwko roszczeniom unionistów, z wielkim gniewem spoglądali na pochód wojsk federalnych. Żądali także, aby Floryda, podobnie jak inne stany Południa, stawiała opór. O ile na początku wojny sprawa wyzwolenia niewolników była im właściwie obojętna, o tyle teraz spieszenie stawiali po stronie Jeffersona Davisa. Gotowi byli wesprzeć wysiłki rebeliantów w walce przeciwko rządowi Abrahama Lincolna.

W tych okolicznościach nie dziwi zatem, że Texarowi, powołującemu się na wspólne poglądy i interesy w celu obrony tej samej sprawy, udało się narzucić swoją wolę mimo tak niewielkiego szacunku, jaki wzbudzała jego osoba. Odtąd będzie mógł poczynać sobie niczym wódz, nie tyle w celu zorganizowania przy współudziale Południowców obrony i odparcia floty komodora Duponta, ile z zamiarem zaspokojenia swoich niegodziwych instynktów.

Z tego właśnie powodu, czyli z nienawiści, jaką płonął do rodziny Burbanków, pierwszą troską Texara było odpowiedzieć na wyzwolenie Murzynów Camdless Bay wydaniem zarządzenia, które zmuszało wszystkich wyzwolenców do opuszczenia Florydy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Tak postępując, bronię interesów osadników. Muszą się zgodzić z tą decyzją, która w pierwszym rzędzie zapobiegnie powstaniu niewolników w całej Florydzie.

Większość przyklasnęła zatem bez zastrzeżeń postanowieniu Te-xara, choć było samowolne. Tak! Samowolne, niesłuszne, nieuzasadnione! James Burbank był w swoim prawie wyzwalając posiadanych niewolników. Zawsze miał ten przywilej. Mógł z niego korzystać już wtedy, kiedy kwestia niewolnictwa nie poróżniła jeszcze Stanów Zjednoczonych. I nic nie powinno było prawa tego pogwałcić. Nigdy zarządzeniu wydanemu przez Texara nie odda się sprawiedliwości ani się go nie zalegalizuje.

Camdless Bay miało zostać przede wszystkim pozbawione swoich naturalnych obrońców. I pod tym względem Hiszpan całkowicie dopiął celu.

Zrozumiano w Castle House, że James Burbank chyba byłby lepiej zrobił, gdyby się wstrzymał z działaniem do dnia, kiedy będzie to bezpieczne. Ale ponieważ już wyzwolił Murzynów z Camdless

Bay, należało teraz jak najspieszniej zdecydować, co w tej sytuacji począć, a przede wszystkim — i nad tym właśnie jeszcze tego samego wieczoru toczyła się dyskusja — czy powinno się wycofać akty nadania wolności. Nie, niczego by to nie zmieniło. Texar nie będzie zważał na ten spóźniony odwrót. Zresztą Murzyni, jednomyślni we wszystkim, kiedy dowiedzą się o decyzji podjętej przeciw nim przez nowe władze Jacksonville, natychmiast pójdą śladem Zermy: zniszczą akty nadania wolności. Aby nie opuszczać Camdless Bay, aby nie zostać wydalonymi z Florydy, wrócą do stanu niewolniczego aż do dnia, kiedy na mocy ustawy wydanej przez legalne władze będą mieli prawo do wolności i do wolnego życia tam, gdzie im się spodoba.

Po cóż zresztą cofać akt nadania wolności? Czyż zdecydowani bronić ze swym panem plantacji, która stała się ich domem, nie uczynią tego równie żarliwie teraz, kiedy są wolni? Oczywiście, że tak, i Zerma za to ręczyła. James Burbank postanowił zatem, że nie ma co odwoływać tego, co już się stało. Wszyscy się z nim zgodzili. I nie byli w błędzie, gdyż nazajutrz, kiedy rozeszła się wieść o uchwale komitetu Jacksonville, ze wszystkich zakątków Camdless Bay napłynęły oznaki oddania, dowody wierności. Jeżeli Texar zechce wprowadzić w czyn swoje rozporządzenie, natknie się na sprzeciwi. Jeżeli będzie chciał użyć siły, odpowie mu się także siłą.

— Przy tym — powiedział Edward Carrol — wydarzenia szybko się toczą. Za dwa dni, może za dzień sprawa niewolnictwa na Florydzie zostanie rozwiązana. Pojutrze flota federalna sforsuje może ujście Saint Johns, a wtedy...

— A jeżeli milicja wspomagana przez oddziały konfederatów stawi opór?... — zauważył Standard.

— Jeżeli nawet stawia opór, to i tak nie potrwa on długo! — odparł Edward Carrol. — Bez okrętów, bez kanonierek, jakże zdołają przeszkodzić wpłynięciu komodora Duponta, zejściu na ląd oddziałów Shermana, zajęciu portów Fernandiny, Jacksonville czy Saint Augustine? A kiedy te punkty zostaną zajęte, federaliści będą panami Florydy. Wtedy Texar i jego zwolennicy nie będą mieli innego wyjścia, jak uciec...

— Ach, nie! Przeciwnie, gdyby tak udało się ująć tego człowieka! — zawołał James Burbank. — Kiedy znajdzie się w rękach federalnego wymiaru sprawiedliwości, zobaczymy, czy dalej będzie się powoływał na jakieś alibi, aby uniknąć kary, na jaką zasłużył swymi zbrodniami!

Przez całą noc spokój w Castle House nie został ani na chwilę naruszony. Nazajutrz, 1 marca, zaczęto czyhać na wszelkie wieści mogące nadejść z zewnątrz. Nie dlatego, żeby plantacja była tego dnia zagrożona. Rozporządzenie Texara nakazywało wydalenie wyzwolenców w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. James Burbank, zdecydowany sprzeciwić się temu nakazowi, miał wystarczająco dużo czasu, by w miarę swoich możliwości przygotować się do obrony. Najważniejszą rzeczą było zbieranie wiadomości nadchodzących z wojny. W każdej chwili mogły one bowiem zmienić sytuację. Burbank i jego szwagier dosiedli zatem koni. Jadąc w dół Saint Johns prawym brzegiem, skierowali się do ujścia rzeki. Gdy znajdują się przed leżącym na drugim brzegu Jacksonville, bez trudu stwierdzą, czy jakieś nagromadzenie łodzi nie wskazuje na bliską próbę ataku pospólstwa na Camdless Bay. Pół godziny później minęli granicę plantacji i nadal kierowali się na północ.

W tym czasie pani Burbank i Alicja, spacerując po parku otaczającym Castle House, dzieliły się swoimi myślami. Walter Stannard daremnie starał się przywrócić im nieco spokoju. Miały przeczucie nadchodzącej katastrofy.

Zerma postanowiła zajrzeć do osad murzyńskich. Chociaż Murzyni wiedzieli już teraz o grożącym im wydaleniu, ani myśleli przejmować się tym. Podjęli swoje codzienne zajęcia. Zdecydowani byli, podobnie jak ich dawny pan, stawić opór, jakim bowiem prawem, skoro byli wolni, chciano ich wypędzić z przybranej ojczyzny? Jeśli o to chodzi, to Zerma przekazała swej pani uspokajające

wieści. Można było liczyć na robotników plantacji.

— Wszyscy moi towarzysze — powiedziała — raczej wrócą, jak ja, do stanu niewolniczego, niż opuszczą plantację i państwa. A jeśli ktoś będzie chciał ich do tego zmusić, potrafią bronić swoich praw!

Pozostawało tylko czekać na powrót Jamesa Burbanka i Carrola. Można było mieć nadzieję, że flota federalna dotarła już w okolice latarni morskiej w Pablo, gotowa zająć ujście Saint Johns. Jeśli tak, to konfederaci, zbyt słabi, nie zdołają zablokować jej przejścia, a bezpośrednio zagrożone władze Jacksonville nie zdążą wprowadzić w czyn swoich gróźb wobec wyzwolenców z Camdless Bay.

Tymczasem rządca Perry jak co dzień wizytował rozmaite przetwórnice i warsztaty posiadłości. I on zauważył dobry nastrój Murzynów. Wprawdzie nie chciał tego przyznać, lecz widział, że choć zmienił się ich stan, to zapał do pracy, oddanie Burbankom pozostały te same. Byli zdecydowani przeciwstawić się wszystkiemu, co mogła podjąć przeciwko nim ludność Jacksonville. Jednakże zdaniem Perry'ego, bardziej uparcie niż kiedykolwiek obstającego przy swoich poglądach, te piękne uczucia niedługo przetrwają. Skończy się na tym, że natura weźmie górę. Zakosztowawszy niezależności, świeżo wyzwoleni Murzyni z własnej woli znowu zostaną niewolnikami. Wrócą na miejsce, które natura wyznaczyła im wśród żywych istot, między człowieka a zwierzę.

Tak rozmyślając, natknął się na dumnego Pigmaliona. Ten kiep jeszcze bardziej zaznaczał swoje pozy z poprzedniego dnia. Widząc, jak się puszy z rękami założonymi na plecy, z zadartą do góry głową, czuło się teraz, że to człowiek wolny. Za to na pewno nie był przez to bardziej pracowity.

— A, dzień dobry, panie Perry! — powiedział dumnym głosem.

— Co tu robisz, leniuchu?

— Przechadzam się! Mam chyba prawo nic nie robić, skoro nie jestem już nędznym niewolnikiem, a w kieszeni trzymam akt wyzwolenia?

— A kto cię teraz będzie żywił, Pig?

— Ja sam, panie Perry.

— A jak?

— Jedząc.

— A kto ci da jeść?

— Mój pan.

— Twój pan!... Zapomniałeś więc, że teraz nie masz już pana, gamoni!

— Nie! Nie mam pana i nie będę więcej miał, a pan Burbank nie odprawi mnie z plantacji, gdzie, nie chwaląc się, przydaję się na coś!

— Przeciwnie, odprawi cię!

— Odprawi mnie?

— Na pewno. Kiedy do niego należałeś, mógł cię zatrzymać, nawet jeśli nic nie robiłeś. Ale od chwili, gdy przestałeś do niego należeć, na pewno wyrzuci cię za drzwi, jeżeli dalej nie będziesz chciał pracować, a wtedy zobaczymy, co ci przyjdzie z tej twojej wolności, głupku!

Pig nie rozważył oczywiście kwestii z tego punktu widzenia.

— Jak to, proszę pana? — podjął. — Sądzi pan, że pan Burbank byłby tak okrutny, żeby...

— To nie okrucieństwo — odparł rządca — ale logika rzeczy. A poza tym, czy pan Burbank życzy sobie tego, czy nie, wyszło zarządzenie komitetu Jacksonville, które nakazuje wydalić wszystkich wyzwolenców z terytorium Florydy.

— A więc to prawda?

— A prawda, prawda, i zobaczymy, jak ty i twoi towarzysze poradzicie sobie teraz, kiedy już nie

macie pana.

— Ja nie chcę opuszczać Camdless Bay! — zawołał Pigmalion. — Ponieważ jestem wolny...

— Tak!... Jesteś wolny, żeby wyjechać, ale nie jesteś wolny, żeby pozostać! Radzę ci więc spakować manatki!

— I co się ze mną stanie?

— To twoja rzecz!

— No, ale ponieważ jestem wolny... — znów zaczął Pigmalion, który ciągle do tego wracał.

— Wygląda na to, że to nie wystarczy!

— Och, panie Perry, proszę mi powiedzieć, co ja mam w takim razie robić?

— Co masz robić? No dobra, powiem ci... Ale słuchaj uważnie, jeśli cię na to stać.

— Słucham.

— Jesteś wyzwolony, prawda?

— No pewnie, proszę pana, i jeszcze raz panu mówię, że mam akt wyzwolenia w kieszeni.

— No właśnie. Podrzyj go więc!

— Nigdy!

— Cóż, skoro się nie zgadzasz, widzę tylko jeden sposób, żebyś mógł tutaj zostać.

— Jaki?

— Zmienić kolor skóry, głupku! Zmień kolor, Pig, zmień! Jak zbielejesz, będziesz miał prawo mieszkać w Camdless Bay! Nie wcześniej!

Rządca, uszczęśliwiony, że dał małą nauczkę Pigowi, odszedł.

Pig zamyślił się głęboko. Zrozumiał, że nie wystarczy już nie być niewolnikiem, żeby zachować swoją posiadłość. Trzeba było jeszcze stać się białym. Ale jakże, u licha, tego dokonać, skoro natura obdarzyła człowieka ciałem czarnym jak heban? Toteż Pigmalion, wracając do budynków gospodarczych Castle House, tarł skórę tak, jakby chciał ją z siebie zderzeć.

Kiedy dochodziło południe, James Burbank i Edward Carrol byli z powrotem w Castle House. Nie dostrzegli niczego niepokojącego w okolicach Jacksonville. Łodzie znajdowały się na zwykłych miejscach, jedne przycumowane do nabrzeży, inne zakotwiczone w kanale portowym. Jednakże po drugiej stronie rzeki odbywały się jakieś ruchy wojsk. Na lewym brzegu Saint Johns pojawiło się kilka oddziałów konfederatów, kierując się na północ, w stronę hrabstwa Nassau. Wydawało się, że na razie nic nie zagraża Camdless Bay.

Przybywszy nad estuarium, James Burbank i jego towarzysz skierowali wzrok na pełne morze. W dali nie ukazał się ani jeden żagiel, nigdzie na horyzonie nie wzbijał się dym parowca, który by wskazywał na obecność eskadry. Co się tyczy przygotowań do obrony na tym kawałku wybrzeża florydzkiego, to były one żadne. Ani szańców ziemnych, ani umocnień. Niczego nie zarządzono w kwestii obrony. Jeżeli pojawią się okręty federalne, czy to przed zatoką Nassau, czy to przed ujściem Saint Johns, będą mogły wypłynąć tam bez przeszkód. Jedynie latarnia morska w Pablo nie działała. Wymontowane światło nie wskazywało już drogi. Wszelako mogło to przeszkodzić flocie tylko nocą.

— Wszystko dobrze — odparł na to Stannard — ale niepokoi mnie to, że nie widać jeszcze okrętów komodora Duponta! To opóźnienie wydaje mi się niewytłumaczalne!

— Zgadzam się — rzekł Carrol. — Jeżeli flota wypłynęła przedwczoraj z zatoki Saint Andrews, to powinna być już w okolicach Fernandiny.

— Od kilku dni mamy bardzo brzydką pogodę — zauważył Burbank. — Możliwe zatem, że przy tych zachodnich wiatrach, które rozbijają się o wybrzeże, Dupont musiał wypłynąć na pełne morze. Dzisiaj rano wiatr ucichł i nie byłbym zaskoczony, gdyby jeszcze tej nocy...

— Oby cię Nieba wysłuchały, mój drogi — powiedziała pani Burbank — i oby przyszły nam z

pomocą!

— Proszę mi wyjaśnić — odezwała się Alicja — skoro latarnia w Pablo się nie pali, to jak flotylla będzie mogła w nocy wpłynąć na Saint Johns?

— Byłoby to w rzeczy samej niemożliwe, Alicjo — oparł Burbank. — Ale nim federaliści zaatakują ujścia rzeki, muszą opanować Wyspę Amelii, potem osiedle Fernandina, ażeby przejąć linię kolejową do Cedar Keys. Nie spodziewam się ujrzeć okrętów komodora Duponta wcześniej niż za trzy, cztery dni.

— Masz rację, James — odparł Edward Carrol — i żywię nadzieję, że zdobycie Fernandiny wystarczy, by zmusić konfederatów do wycofania się. Może nawet oddziały milicji opuszczą Jacksonville nie czekając na przybycie kanonierek. A wtedy Camdless Bay przestanie być zagrożone przez Texara i rebeliantów...

— Możliwe, moi drodzy! — odrzekł James Burbank. — Niech federaliści postawią tylko stopę na terytorium Florydy, więcej nie trzeba, by zapewnić nam bezpieczeństwo! Na plantacji nie zaszło nic nowego?

— Nie, proszę pana — odparła Alicja. — Dowiedziałam się od Zermy, że Murzyni podjęli normalną pracę w warsztatach, fabrykach i lasach. Zerma ręczy, że nadal gotowi są poświęcać się aż do ostatniego w obronie Camdless Bay.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba wstawiać na próbę ich poświęcenia. Bardzo by mnie zdziwiło, gdyby ci dranie, którzy przemocą narzucili swoją wolę uczciwym ludziom, nie uciekli z Jacksonville, jak tylko federaliści pokażą się w okolicach Florydy. Tymczasem miejmy się na baczności. Walterze, czy pójdziesz po obiedzie z Edwardem i ze mną? Musimy obejrzeć najbardziej wystawioną na niebezpieczeństwo część plantacji. Nie chciałbym, drogi przyjacielu, żebyście z Alicją byli bardziej zagrożeni w Castle House niż w Jack-sonville. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, to naprawdę nigdy bym sobie nie wybaczył, że ściągnąłem was tutaj!

— Ależ, James — odparł Stannard — gdybyśmy zostali w Jacksonville, prawdopodobnie bylibyśmy teraz narażeni na samowolę władz, tak samo jak wszyscy ci, którzy mają podobne do naszych poglądy...

— Tak czy owak — dodała Alicja — nawet gdyby niebezpieczeństwo miało być tutaj większe, to czyż nie lepiej, że będziemy je dzielić?

— Słusznie, Alicjo — odpowiedział Burbank. — Cóż, liczę na to, że Texar nie zdąży wprowadzić w życie rozporządzenia przeciwko naszym robotnikom.

Przez całe popołudnie aż do kolacji James Burbank i jego dwaj przyjaciele odwiedzali osady Murzyńskie. Towarzyszył im Perry. Stwierdzili, że wśród Murzynów panuje doskonały nastrój. James Burbank uznał za słuszne zwrócić uwagę rządu na zapał, z jakim nowo wyzwoleni zabrali się do pracy. Nie brakowało ani jednego.

— Tak, tak!... — odpowiedział Perry. — Ciekaw tylko jestem, jak ta praca będzie teraz wykonywana!

— Och, Perry! Sądzę, że ci poczciwcy nie zmienili rąk zmieniając swój stan.

— Jeszcze nie, proszę pana — odrzekł uparciuch. — Ale wkrótce sam pan spostrzeże, że na końcu ramion nie mają tych samych rąk...

— Ależ, Perry! — odparł wesoło Burbank. — Przypuszczam, że ich ręce nadal będą miały pięć palców, a naprawdę nie można od nich więcej żądać!

Gdy zakończono przegląd, Burbank i jego towarzysze wrócili do Castle House. Ten wieczór minął spokojniej niż poprzedni. Wobec braku jakichkolwiek wieści z Jacksonville wróciła nadzieja, że Texar zrezygnuje z wypełnienia swoich pogroźek albo że może braknie mu na to czasu.

Wszelako na noc przedsięwzięto daleko posunięte środki ostrożności. Perry i jego pomocnicy zorganizowali patrole na skraju posiadłości, przede wszystkim na brzegu Saint Johns. Murzyni zostali uprzedzeni, że w razie alarmu mają się wycofać w obręb palisady, a przy zewnętrznej bramie wystawiono posterunek.

James Burbank i jego przyjaciele kilkakrotnie nocą wstawali, by się upewnić, że ich rozkazy są dokładnie wykonywane. Wreszcie ukazało się słońce, a spoczynku mieszkańców Camdless Bay nic nie zakłóciło.

ROZDZIAŁ X

DZIEŃ 2 MARCA

Nazajutrz James Burbank otrzymał wieści za pośrednictwem jednego z pomocników rządcy, któremu udało się przebyć rzekę i wrócić z Jacksonville nie wzbudziwszy żadnych podejrzeń.

Nowiny te — a ich wiarygodności nie można było podawać w wątpliwość — okazały się; niezwykle ważne. Osądźmy sami.

O wschodzie słońca komodor Dupont rzucił kotwice w zatoce Saint Andrews u wschodnich wybrzeży Georgii. „Wabash”, z powiewającą na nim banderą, płynął na czele eskadry złożonej z dwudziestu sześciu okrętów: osiemnastu kanonierek, jednego kutra, jednego uzbrojonego transportowca i sześciu innych transportowców wiozących brygadę generała Wrighta.

Jak Gilbert wspominał w ostatnim liście, w wyprawie brał udział także generał Sherman.

Komodor Dupont, którego przybycie opóźniła niesprzyjająca pogoda, natychmiast przedsięwziął odpowiednie kroki, by zająć tory wodne Saint Mary. Tory te, dość trudne, prowadzą do ujścia rzeki o tej samej nazwie, położonej na północ od Wyspy Amelii, na granicy między Georgią i Florydą.

Fernandiny, najważniejszego punktu wyspy, bronił Fort Clinch, a za jego grubymi kamiennymi murami schronił się garnizon w liczbie tysiąca pięciuset ludzi. Czy w fortecy tej Południowcy będą stawiać opór wojskom federalnym? Należało się tego spodziewać.

Tak się jednak nie stało. Wedle słów pomocnika rządcy, w Jacksonville krążyła pogłoska, iż konfederaci ewakuowali Fort Clinch z chwilą pojawienia się eskadry, a w dodatku opuścili też Fernandinę, wyspę Cumberland oraz całą tę część wybrzeża florydzkiego.

Na tym kończyły się wieści przyniesione do Castle House. Zbędnym byłoby rozwodzić się nad ich znaczeniem ze szczególnego punktu widzenia Camdless Bay. Skoro federaliści przybyli wreszcie na Florydę, cały stan powinien się niebawem znaleźć w ich rękach. Minie naturalnie kilka dni, zanim kanonierki będą mogły przebyć mierzęję Saint Johns. Wszelako ich obecność wpłynie z pewnością na władze, które się właśnie ukonstytuowały w Jacksonville, i można było liczyć na to, że w obawie przed odwetem Texar i jego zwolennicy nie ośmielą się niczego dokonać przeciwko Burbankom.

Stało się to prawdziwym ukojeniem dla rodziny, a dla Alicji i pani Burbank oznaczało, że Gilbert jest już niedaleko, że wkrótce ujrzą jedna narzeczonego, druga zaś syna, nie drząc przy tym o jego bezpieczeństwo.

Młodego porucznika w istocie dzieliło zaledwie trzydzieści mil od Camdless Bay. Znajdował się w zatoce Saint Andrews na pokładzie kanonierki „Ottawa” — a kanonierka ta wyróżniła się właśnie w pewnej operacji, jakiej kroniki morskie dotąd nie zanotowały.

Oto co się wydarzyło rankiem 2 marca — są to szczegóły, o których pomocnik rządcy nie mógł się dowiedzieć w Jacksonville, a które koniecznie trzeba poznać, by zrozumieć ważne wydarzenia, jakie zajdą niebawem.

Skoro tylko komodor Dupont dowiedział się, że garnizon konfederacki opuścił Fort Clinch, wysłał kilka okrętów o niewielkim zanurzeniu przez kanał Saint Mary. Wzorem oddziałów południowych biała ludność uciekła w głąb stanu z osiedli, wsi i plantacji położonych u wybrzeży. Była to prawdziwa panika wywołana pogłoskami o gwałtach przypisywanych federalistom. I nie tylko na Florydzie, ale także na granicy Georgii, z części stanu zawartej między zatokami Ossabaw i Saint Mary, mieszkańcy wycofywali się w pośpiechu, ażeby umknąć przed oddziałami desantowymi brygady Wrighta. W tych okolicznościach okręty Duponta opanowały Fort Clinch i Fernandinę bez jednego strzału. Tylko kanonierka „Ottawa”, na której Gilbert z nie odstępującym go Marsem pełnił

funkcję drugiego oficera, miała uczynić użytek ze swoich działań, jak zaraz zobaczymy.

Miasto Fernandina łączy z zachodnim wybrzeżem Florydy, leżącym nad Zatoką Meksykańską, odcinek linii kolejowej, która wiedzie do portu Cedar Keys. Linia ta prowadzi najpierw wzdłuż wybrzeża Wyspy Amelii; dalej, nim jeszcze znajdzie się na stałym lądzie, biegnie nad zatoką Nassau po długim moście na palach fundamentowych.

W chwili, gdy „Ottawa” znajdowała się pośrodku zatoki, na most wjechał pociąg. To umykał garnizon Fernandiny z całym swym wyposażeniem. Z garnizonem uciekało kilka mniej lub bardziej ważnych osobistości miasta. Kanonierka zwiększając parę natychmiast skierowała się w stronę mostu i dała ognia z broni pokładowej, ce lując zarówno w pale, jak i w jadący pociąg. Stojący na dziobie Gilbert prowadził ogień. Kilka strzałów było celnych. Między innymi jeden pocisk trafił w ostatni wagon składu, niszcząc jego osie i sprzęg. Lecz pociąg, nie zatrzymując się ani na moment — co by uczyniło jego sytuację wielce niebezpieczną — nie zatroszczył się o ostatni wagon. Zostawił go w zagrożeniu i jadąc całą parą, zniknął na południowym zachodzie półwyspu. W tejże chwili nadciągnął oddział federalistów, którzy zeszli na ląd w Fernandinie. Żołnierze wbiegli na most i natychmiast zatrzymali wagon z uciekinierami, głównie cywilami. Więźniów odprowadzono do pułkownika Gardnera, dowódcy Fernandiny, spisano ich nazwiska i dla przykładu przetrzymano dwadzieścia cztery godziny na jednym ze statków eskadry, po czym puszczono wolno.

Kiedy pociąg znikł, „Ottawa” zaatakowała i zdobyła załadowany sprzętem okręt, który schronił się w zatoce.;

Wydarzenia te powinny były posiąć zwątpienie wśród oddziałów Konfederacji i mieszkańców miast Florydy. Najwyraźniej tak się właśnie stało w Jacksonville. Estuarium Saint Johns wkrótce zostanie sforsowane, podobnie jak ujście Saint Mary, i najprawdopodobniej unioniści nie natkną się w Jacksonville na opór większy niż w Saint Augustine oraz innych osadach hrabstwa. W tych okolicznościach niebawem ucziwi ludzie na powrót przejmą władzę, którą odebrał im bunt pospólstwa.

Kiedy służba Camdless Bay zapoznała się z tymi ważnymi wieściami, jej radość objawiła się ogłuszającymi wiwatami, a spory w nich udział miał Pigmalion. Niemniej nie wolno było odstępować od środków ostrożności, które powinno się przedsięwziąć gwoili bezpieczeństwa posiadłości przez jakiś czas, to znaczy do chwili, aż na wodach rzeki pojawią się kanonierki.

Na nieszczęście — nie mógł tego odgadnąć ani nawet podejrzewać James Burbank — miał minąć jeszcze cały tydzień, zanim federaliści będą w stanie wpłynąć na Saint Johns, by opanować jego koryto. A do tej pory ileż niebezpieczeństw grozić będzie Camdless Bay!

Komodor Dupont bowiem, choć zajmował Fernandinę, zmuszony był postępować z pewną dozą przeczności. W jego zamiarach leżało pokazać banderę federalną we wszystkich punktach, gdzie jego okręty będą mogły dotrzeć. Podzielił zatem swoją eskadrę na kilka części. Jedna kanonierka została wysłana na rzekę Saint Mary, aby zająć małe miasteczko o tej samej nazwie i wpłynąć jakieś osiemdziesiąt kilometrów w głąb lądu. Na północy trzy inne kanonierki, dowodzone przez kapitana Godona, miały zbadać zatoki, zająć wyspy Jykill i Saint Simon, zawładnąć dwoma miasteczkami: Brunswick i Darien, częściowo już opuszczonymi przez mieszkańców. Sześciu parowcom o niewielkiej wyporności przeznaczone było popłynąć w górę Saint Johns pod rozkazami komendanta Stevensa w celu podporządkowania sobie Jacksonville. Co się tyczy reszty eskadry, to dowodzona przez Duponta szykowała się do ponownego wypłynięcia w morze z zamiarem zawładnięcia Saint Augustine i zablokowania wybrzeża aż po Mosquito Inlet, a wtedy prowadzące tam szlaki byłyby zamknięte dla kontrabandy wojennej.

Jednakże wszystkie te operacje nie mogły dojść do skutku w ciągu dwudziestu czterech godzin, a

dwadzieścia cztery godziny wystarczyło, aby terytorium zostało wydane na pastwę Południowców.

Około trzeciej po południu Jamesa Burbanka tknęły pierwsze podejrzenia co do tego, co się szykuje przeciw niemu. Rządca Perry, po kontrolnym obchodzie wzdłuż granic plantacji, szybko wrócił do Castle House i powiedział:

— Proszę pana, zauważono podejrzanych włóczęgów, którzy zaczynają się zbliżać do Camdless Bay.

— Od północy, Perry?

— Od północy.

Niemal w tej samej chwili Zerma, wracająca z przystani, powiadomiła swego pana, iż rzeką płynie kilka łodzi ku jej prawemu brzegowi.

— Płyną z Jacksonville?

— Oczywiście.

— Wracamy do Castle House — rzekł James Burbank — i nie wychodź stamtąd, Zermo, pod żadnym pretekstem!

— Tak, panie.

Burbank, znalazłszy się wśród bliskich, nie potrafił ukryć, że ich położenie znów staje się niepokojące. W przewidywaniu napadu, teraz niemal pewnego, lepiej zresztą, żeby wszyscy byli z góry uprzedzeni.

— Czyżby ci nędznicy — powiedział Stannard — w przededniu rozbicia ich przez oddziały federalne ośmielili się...

— Owszem — chłodno odparł Burbank. — Texar nie może stracić takiej okazji, by wyrzucić na nas zemstę, gotów zniknąć, kiedy zemsta będzie dokonana! A ożywiając się, dodał:

— Czy zbrodnie tego człowieka nigdy nie zostaną ukarane?... Czy zawsze się wykręci?... Doprawdy, zwątpiwszy w sprawiedliwość ludzką, należałoby teraz zwątpić w boską...

— James — powiedziała pani Burbank — w chwili, gdy prawdopodobnie możemy liczyć tylko na pomoc Boga, nie wiń Go...

— I oddajmy się w Jego opiekę! — dodała Alicja. Burbank, odzyskując zimną krew, zajął się wydawaniem rozkazów dotyczących obrony Castle House.

— Murzyni zostali uprzedzeni? — zapytał Carrol.

— Zaraz ich powiadomię — odrzekł Burbank. — Moim zdaniem należy się ograniczyć do obrony ostrokołu, który otacza park i dom. Nie możemy nawet marzyć o zatrzymaniu na granicy Camdless Bay uzbrojonego oddziału, bo przypuszczalnie napastnicy przybędą w dużej liczbie. Powinniśmy zatem zebrać obrońców wokół palisady. Jakby ta palisada została sforsowana, w Castle House, gdzie wytrzymało już ataki Seminoli, będzie można się chyba opierać bandzie Texara. Niech moja żona, Alicja, Dy i Zerma, której powierzam tamte trzy, nie opuszczają Castle House bez mojego rozkazu. Gdybyśmy się czuli zbyt zagrożeni, wszystko jest przygotowane, żeby mogły uciec tunelem prowadzącym do zatoczki Marino na rzece. Będzie tam ukryta w krzakach łódź z dwoma naszymi ludźmi, a wtedy, Zermo, popłyniesz w górę rzeki i schronisz się w domku w Cedrowej Skale.

— A ty, James?...

— Ojczy, a ty?

Pani Burbank i Alicja chwyciły za ramię jedna Jamesa Burbanka, druga Stannarda, jak gdyby moment ucieczki z Castle House już nadszedł.

— Uczynimy co w naszej mocy, żeby dołączyć do was, kiedy nie da się już utrzymać pozycji — odparł Burbank. — Ale musicie mi przyrzec, że skoro niebezpieczeństwo stanie się zbyt wielkie, udacie się do kryjówki w Cedrowej Skale. Dzięki temu będziemy mieli więcej odwagi, więcej

śmiałości, aby odpierać tych złoczyńców i bronić się do ostatniego wystrzału.

Tak oczywiście należało postąpić, gdyby zbyt liczni napastnicy, sforsowawszy wcześniej ostrokół, opanowali park i zaatakowali bezpośrednio Castle House.

James Burbank zajął się natychmiast zebraniem załogi. Perry i jego pomocnicy pobiegli do chat murzyńskich, by zgromadzić swoich ludzi. Niecałą godzinę później zdolni do walki Murzyni byli ustawieni przed palisadą w okolicach bramy. Ich żony i dzieci musiały wcześniej znaleźć sobie schronienie w otaczających Camdless Bay lasach.

Na nieszczęście w Castle House środki do zorganizowania poważnej obrony były nader ograniczone. W istniejącej sytuacji, czyli od początku wojny, było prawie niemożliwością zdobycie broni i amunicji w ilości wystarczającej do obrony plantacji. Daremnie próbowano by nabyć je w Jacksonville. Należało zadowolić się tym, co zostało w Castle House po ostatnich walkach stoczonych z Seminolami.

Plan Burbanka polegał w sumie na uchronieniu Castle House przed pożarem i grabieżą. Ustrzec całą posiadłość, uratować składy, warsztaty, fabryki, obronić osady murzyńskie, przeszkodzić w zniszczeniu plantacji — tego nie zdołałby dokonać, nawet o tym nie myślał. Miał zaledwie czterystu Murzynów zdolnych stawić czoła napastnikom, a i to jeszcze ci dzielni ludzie mieli być niewystarczająco uzbrojeni. Kilka tuzinów strzelb rozdano najzręczniejszym, broń precyzyjną zaś pozostawiono do dyspozycji Jamesa Burbanka, jego przyjaciół, Perry'ego i pomocników rządu. Wszyscy udali się pod bramę. Tam rozstawili swoich ludzi w taki sposób, żeby jak najdłużej można powstrzymać atak, który zagrażał palisadzie, bronionej zresztą przez płynącą wzdłuż jej podstawy rzeczkę.

Rozumie się, że pośród tego tumultu Pigmalion, niezwykle zaaferowany, bardzo ruchliwy, chodził tam i sam, do niczego się nie przydając. Rzec by można, iż to błazen cyrkowy, który sprawiając wrażenie, że wszystko robi, nie robi nic, ku tym większej ucieście publiczności.

Gdy co trzeba przygotowano, zaczęło się oczekiwanie. Nie było wiadomo, z której strony ruszy atak. Jeżeli napastnicy pojawią się na północnych granicach plantacji, będzie można zorganizować skuteczniejszą obronę. Jeżeli zaś przeciwnie, zaatakują od rzeki, będzie to mniej korzystne, ponieważ Camdless Bay jest od tej strony otwarte. Co prawda, zejście na ląd to zawsze trudna operacja. W każdym razie trzeba by dużej liczby łodzi, żeby szybko przewieźć uzbrojony oddział z jednego brzegu Saint Johns na drugi.

Nad tym właśnie rozprawiali Burbank, Carrol i Stannard, wypatrując powrotu zwiadowców wysłanych na skraj plantacji. Wkrótce już upewnią się co do sposobu rozpoczęcia i przeprowadzenia ataku.

Około wpół do czwartej po południu zwiadowcy wycofali się spieszenie, opuściwszy północny skraj posiadłości, i złożyli raport.

W stronę Camdless Bay kierowała się idąca z północy kolumna uzbrojonych ludzi. Czy był to oddział milicji hrabstwa, czy też tylko część pospółstwa, znęcona grabieżą, która wzięła na siebie ciężar wykonania rozporządzenia Texara przeciwko świeżym wyzwolencom? Na razie nie było wiadomo. Tak czy owak, kolumna ta liczyła niechybnie ponad tysiąc osób i niepodobna będzie opierać się jej ze służbą plantacji. Można było wszelako żywić nadzieję, że jeżeli wezmą szturmem ostrokół, to Castle House stawi im dłuższy i poważniejszy opór.

Kolumna nie chciała oczywiście ryzykować zejścia na ląd na przystani lub wybrzeżach Camdless Bay, co by mogło nastęrczyć poważne trudności, i przepłynęła widać Saint Johns poniżej Jacksonville w około pięćdziesięciu łodziach. Trzy lub cztery kursy każdej wystarczyły, by dokonać przeprawy.

James Burbank przedsięwziął zatem słuszne środki ostrożności, wycofując całą służbę na obwód parku przy Castle House, ponieważ niemożliwością byłoby walczyć o skraj posiadłości z grupą dobrze uzbrojoną i liczebnie pięciokrotnie przewyższającą obrońców.

Kto prowadził napastników? Czy Texar osobiście? Wątpliwe. W chwili, gdy czuł się zagrożony bliskością federalistów, Hiszpan mógł uznać za lekkomyślność stawanie na czele bandy. Gdyby tak jednak uczynił, oznaczałoby to, że po dokonaniu zemsty, gdy plantacja będzie spustoszona, rodzina Burbanków wymordowana lub żywa w jego władzy, zdecydowany jest uciec dalej na południe, może nawet aż na Everglady — odległe okolice Florydy południowej, gdzie bardzo trudno byłoby go schwytać.

Ta ewentualność, najpoważniejsza ze wszystkich, musiała szczególnie niepokoić Jamesa Burbanka. Z tego też powodu postanowił zabezpieczyć swoją żonę, córkę, Alicję Stannard, powierzając je oddanej Zermie w kryjówce w Cedrowej Skale, położonej milę w górę rzeki od Camdless Bay. Gdyby musieli oddać napastnikom Castle House, tam właśnie on i jego przyjaciele spróbują dotrzeć, by wraz z resztą rodziny czekać, aż uczciwi ludzie będą bezpieczni na Florydzie pod ochroną armii federalnej.

Dlatego też łódź, ukryta wśród trzciny nad Saint Johns i powierzona straży dwóch Murzynów, czekała na końcu tunelu, który łączył dom z zatoką Marino. Nim jednak dojdzie do tego rozstania — jeśli okaże się konieczne — należało się bronić, odpierać atak przez kilka godzin — przynajmniej dopóki nie zapadnie noc. Dzięki ciemnościom łódź będzie mogła wtedy skrycie popłynąć rzeką, nie narażając się na pościg czółen krążących po Saint Johns.

ROZDZIAŁ XI

WIECZÓR 2 MARCA

James Burbank, jego towarzysze, większość Murzynów gotowi byli do walki. Pozostawało im tylko czekać na atak. Przygotowano się do obrony najpierw zza pali ostrokołu wydzielającego park, następnie pod osłoną murów Castle House, gdyby park został opanowany i należało szukać tam schronienia.

Około godziny piątej wrzaski, już dość wyraźne, wskazywały, że napastnicy nie są daleko. Gdyby nawet nie było słycać ich krzyków, to i tak można by się zorientować, że zajmują akurat całą część północną posiadłości. W wielu miejscach gęste dymy wznosiły się nad lasami, które od tej strony zamykały horyzont. Tartaki puszczono z dymem, osady Murzynów, najpierw splądrowane, pożerał ogień. Ci biedacy nie mieli dość czasu, by ukryć bezpiecznie nieliczne przedmioty pozostawione w chatach, które od poprzedniego dnia, na mocy aktu wyzwolenia, stały się ich własnością. Jakież zatem krzyki rozpaczy odpowiedziały na wycie bandy, jakież oznaki gniewu! Ci łajdacy, napadłszy na Camdless Bay, niszczyli ich dobro.

Tymczasem wrzaski zbliżały się z wolna do Castle House. Posępne blaski rozjaśniały na północy horyzont, jakby w tej stronie świata zaszło słońce. Niekiedy gorące dymy docierały aż do domu.

Rozlegały się gwałtowne wybuchy pochodzące od suchego drewna zebranego w stosy na placach składowych plantacji. Wkrótce potem głośniejsza od innych eksplozja oznajmiła, że jeden z kotłów tartaku wyleciał w powietrze. Zanosilo się na przerażające zniszczenia.

W tej właśnie chwili Burbank, Carrol i Stannard znajdowali się przed bramą ostrokołu. Zbierali tam i rozstawiali ostatnie grupki Murzynów, którzy wycofywali się po trochu. Należało się spodziewać, że napastnicy pojawią się lada chwila. Niechybnie większe nasilenie strzelaniny oznajmi, że są w niewielkiej odległości od ostrokołu. Będą mogli go zaatakować tym łatwiej, że pierwsza grupa drzew stała w odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów, co pozwoli im podejść niemal do samego ogrodzenia pod osłoną, ich kule zaś padną, zanim obrońcy dostrzegą strzelców.

Nadeszła pora, by rozstawić załogę Castle House na stanowiskach. Burbank wydał stosowne rozkazy i brama już się miała zatrzasnąć, kiedy na zewnątrz spostrzeżono mężczyznę biegnącego co sił w nogach, jak gdyby zamierzał się schronić wśród obrońców Castle House.

Człowiek ów w istocie tego pragnął, a z pobliskiego zagajnika padło w jego kierunku kilka niecelnych strzałów. Jednym skokiem dotarł do kładki i wkrótce był już bezpieczny za ogrodzeniem, którego bramę, natychmiast zamkniętą, mocno podparto.

— Kim pan jest? — zapytał James Burbank.

— Jednym z pracowników pana Harveya, pańskiego pełnomocnika w Jacksonville — odparł zapytany.

— Czy to on wysłał pana do Castle House?

— Tak, a ponieważ rzeka jest strzeżona, nie mogłem przybyć prosto przez Saint Johns.

— I udało się panu dołączyć do milicji, do tych napastników nie wzbudzając w nich podejrzeń?

— Tak. Idzie za nimi cała banda rabusiów. Wmieszałem się między nich, a jak tylko znalazłem się w takiej odległości, że mogłem uciec, uczyniłem to.

— Doskonale, przyjacielu! Dziękuję! Ma pan niewątpliwie dla mnie list od Harveya?

— Owszem, proszę pana, oto on!

James Burbank wziął bilecik i przeczytał. Harvey donosił mu, że może w pełni zaufać

posłańcowi, Johnowi Bruce, którego oddania był pewien. Wysłuchawszy go, Burbank sam zobaczy, co należy uczynić, by zapewnić bezpieczeństwo swoim towarzyszom.

W tejże chwili na zewnątrz rozległy się strzały. Nie było chwili do stracenia.

— Co kazał przekazać Harvey? — spytał Burbank.

— Przede wszystkim — odparł John Bruce — że uzbrojony oddział, który przekroczył rzekę, by ruszyć na Camdless Bay, liczy około tysiąca pięciuset ludzi.

— Na mniej więcej tyle oszacowałem ich liczbę. Co jeszcze? Czy prowadzi ich Texar?

— Tego pan Harvey nie mógł się dowiedzieć — podjął John Bruce. — Na pewno wiadomo, że Texara od dwudziestu czterech godzin nie ma w Jacksonville!

— Za tym muszą się kryć jakieś nowe knowania tego nędznika

— stwierdził Burbank.

— Tak też sądzi pan Harvey — odparł Bruce. — Zresztą Texar wcale nie musi być tutaj, żeby wprowadzić w życie nakaz odnoszący się do rozpedzenia wyzwolonych niewolników...

— Rozpedzić ich... — zawołał Burbank. — Rozpedzić ich pomagając sobie ogniem i łupieżą!...

— Toteż pan Harvey uważa, że lepiej będzie, ponieważ jest jeszcze na to czas, jeśli umieści pan rodzinę w bezpiecznym miejscu, wyprowadzając ją natychmiast z Castle House.

— W Castle House można się bronić — odparł Burbank — i nie opuścimy domu wcześniej, aż obrona na nic się zda. Nic nowego nie zaszło w Jacksonville?

— Nie, proszę pana.

— A wojska federalne? Nie posunęły się jeszcze w stronę Florydy?

— Ani o krok, odkąd zajęły Fernandinę i zatokę Saint Mary.

— Co było zatem celem pańskiej wyprawy?

— W pierwszym rzędzie przekazać panu, że rozgonienie niewolników to tylko pretekst wymyślony przez Texara w celu zniszczenia plantacji i ujęcia pana!

— Nie wie pan, czy Texar — rzekł na to Burbank z naciskiem

— stoi na czele tych rabusiów?

— Nie. Pan Harvey daremnie usiłował się tego dowiedzieć.

Mnie także, odkąd opuściliśmy Jacksonville, nie udało się uzyskać tej informacji.

— Czy dużo ludzi z milicji przyłączyło się do bandy napastników?

— Około stu co najwyżej — odparł John Bruce. — Ale motłoch, który ciągnie za nimi, składa się z najgorszych łajdaków. Te-xar ich uzbroił i należy żywić obawy, że dopuszczą się wszelkich wybryków. Raz jeszcze powtarzam, proszę pana, że zdaniem pana Harveya dobrze by pan zrobił opuszczając natychmiast Castle House. Kazał mi też powiedzieć, że oddaje do pańskiej dyspozycji swój dworek w Hampton Red. Dworek leży jakieś dziesięć mil w górę rzeki, na jej prawym brzegu. Można tam żyć bezpiecznie przez kilka dni...

— Tak... Wiem!...

— Mógłbym potajemnie zaprowadzić tam pana rodzinę i pana pod warunkiem, że już teraz opuścimy Castle House...

— Dziękuję Harveyowi i panu również, przyjacielu — odparł Burbank. — Ale na to mamy jeszcze czas.

— Jak pan sobie życzy — odpowiedział Bruce. — Niemniej pozostaję do pańskiej dyspozycji, gdybym mógł się na coś przydać.

Rozpoczynający się właśnie atak wymagał od Burbanka poświęcenia mu całej uwagi.

Nagle wybuchła gwałtowna strzelanina ze strony niewidocznych jeszcze napastników, którzy trzymali się pod osłoną pierwszych drzew. Grad kul sypał się na ostrokół, nie czyniąc mu co prawda

wielkiej szkody. Na nieszczęście James Burbank i jego towarzysze mogli odpowiadać słabym ogniem, dysponując zaledwie około czterdziestoma strzelbami. Ponieważ jednak lepsze zajmowali pozycje, ich strzały były celniejsze niż milicji stojącej na czele kolumny. Toteż pewna liczba napastników padła na skraju lasu.

Ta walka na odległość toczyła się przez blisko pół godziny, raczej na korzyść obrońców Camdless Bay. Później napastnicy ruszyli na ogrodzenie, by zdobyć je szturmem. Ponieważ mieli zamiar zaatakować w kilku miejscach równocześnie, zaopatrzyli się w deski i belki, które zabrali ze składów plantacji, wydanych na pastwę ognia. Belki te, w dwudziestu miejscach przerzucone przez strumień, pozwoliły ludziom Hiszpana dotrzeć do stóp ostrokołu, acz nie obyło się bez poważnych strat w postaci zabitych i rannych. Tam ucze pili się pali, wspięli jedni na drugich, nie udało im się jednak przejść. Murzyni, rozgniewani na podpalaczy, z wielką odwagą odpierali ich atak. Wszelako oczywiste było, że obrońcy Camdless Bay nie mogą się znaleźć we wszystkich punktach zagrożonych przez przeważającego liczebnie wroga. Mimo to aż do zmierzchu udało im się stawiać im czoła, odniósłszy jedynie niezbyt poważne rany. James Burbank i Stannard, aczkolwiek się nie oszczędzali, nie zostali nawet zadraśnięci. Jedynie Edward Carrol, trafiony kulą, która zraniła go w ramię, musiał wejść do domu, gdzie pani Burbank, Alicja i Zerma zaopiekowały się nim.

Tymczasem noc zaczynała przychodzić z pomocą napastnikom. Pod osłoną ciemności pół setki najbardziej zdecydowanych podeszło do bramy i zaatakowało ją uderzeniami siekiery. Brama jednak wytrzymała. Niewątpliwie nie udałooby im się jej wyłamać i dostać się poza ogrodzenie, gdyby nie zuchwałe posunięcie, które utworzyło wylom.

Część budynków gospodarczych bowiem raptem stanęła w ogniu i płomienie, pożerając wysuszone drewno, ogarnęły także przyległy kawał ostrokołu.

I oto w świetle płomieni pojawił się wypadający z ognia mężczyzna, który wbiegł za ostrokół i przebył strumień po przerzuconych przezeń belkach.

To jednemu z napastników udało się przedostać do parku od strony Saint Johns pomiędzy przybrzeżnymi trzcinami. Później niepostrzeżenie dotarł do stajni. Tam, narażając się, że zginie w płomieniach, podpalił kilka snopów słomy, by zniszczyć tę część ogrodzenia.

James Burbank rzucił się w stronę płonącej części ostrokołu, by jeśli nie ugasić ognia, to przynajmniej wstrzymać napastników...

Wylom jednak już powstał. Daremnie Burbank i jego towarzysze próbowali zagrozić przejście. Niebawem wtargnęło tamtędy kilkuset ludzi.

Ponieważ walczono wręcz, wiele ofiar padło po obu stronach. Zewsząd rozlegały się strzały. Wkrótce Castle House zostało całkowicie otoczone, podczas gdy Murzyni, przytłoczeni liczbą nieprzyjaciół, wyparci z parku, byli zmuszeni ratować się ucieczką w lasy Camdless Bay. Walczyli, dopóki mogli, z poświęceniem, z odwagą; opierając się jednak dłużej w tak niekorzystnych warunkach, zostaliby wymordowani do ostatniego.

James Burbank, Walter Stannard, Perry, jego pomocnicy, John Bruce.. który także dzielnie walczył, wreszcie kilku Murzynów musieli szukać schronienia w murach Castle House.

Dochodziła ósma wieczór. Na zachodzie panowały ciemności. Na północy niebo jaśniało jeszcze blaskiem pożarów gorejących na terenie plantacji.

James Burbank i Walter Stannard wbiegli do domu.

— Musicie uciekać — powiedział Burbank. — Natychmiast! Albo ci bandyci wedrą się tutaj siłą, albo zaczekają przy Castle House, aż będziemy zmuszeni się poddać, niebezpiecznie jest zatem pozostać tutaj! Łódź czeka! Moja droga, i ty, Alicjo, błagam was, płońcie z Dy i Zerma do Cedrowej Skąły! Tam będziecie bezpieczne, a jeżeli i my będziemy musieli uciekać, znajdziemy was,

dołączymy...

— Ojciec — powiedziała Alicja — płyn z nami... I pan Burbank także!

— Tak!... James!... Uciekajmy razem!... —zawołała pani Burbank.

— Miałbym zostawić Castle House tym nędznikom?! — odparł na to Burbank. — Nigdy, dopóki obrona będzie możliwa!... Może my im się jeszcze długo opierać!... A kiedy będziemy wiedzieli, że wy jesteście bezpieczne, doda nam to siłę, by się bronić!

— James!...

— Tak trzeba!

Rozległy się jeszcze straszliwsze wrzaski. Drzwi drżały od uderzeń napastników atakujących budynek od frontu.

— Idźcie! — zawołał Burbank. — Już wystarczająco ciemno!... Nie dojrzą was w mroku!... Idźcie!... Przeszkadzacie nam tutaj!... Na Boga, uciekajcie!

Zerma poszła przodem, trzymając małą Dy za rękę. Pani Burbank musiała wypuścić z ramion męża, Alicja — swego ojca. Obydwie zniknęły na schodach, które wiodły do podziemi, skąd wychodził tunel prowadzący do zatoki Marino.

— A teraz, moi drodzy — powiedział Burbank, zwracając się do Perry'ego, jego pomocników i kilku Murzynów, którzy go nie opuścili — brońmy się, póki nie zginiemy!

Za jego przykładem wszyscy weszli po schodach i ustawili się przy oknach pierwszego piętra. Stamtąd na setki strzałów dziurawiących kulami ściany Castle House odpowiadali strzałami rzadszymi, lecz celniejszymi, gdyż mierzyli w tłum. Żeby wedrzeć się do środka, napastnicy musieliby sforsować drzwi siekierą czy też ogniem. Tym razem nikt wyłomu im nie zrobi, by ich wpuścić do domu. Czego spróbowano przedtem na palisadzie z drewna, niepodobna powtórzyć przeciwko kamiennym murom.

Tymczasem, kryjąc się jak najlepiej, wśród głębokich już ciemności jakichś dwudziestu mężczyzn podeszło do podestu. Natarcie na drzwi przybrało wtedy na sile. Musiały być naprawdę mocne, żeby wytrzymać uderzenie siekier i kilofów. Próba ta kosztowała życie kilku napastników, rozkład strzelnic pozwalał bowiem prowadzić w tym miejscu ogień krzyżowy.

Równocześnie pewna okoliczność pogorszyła położenie obrońców. Otóż amunicja była na wyczerpaniu. James Burbank, jego przyjaciele, rządcy, Murzyni uzbrojeni w strzelby zużyli jej większość od początku szturm. Gdyby przyszło im się bronić jeszcze czas jakiś, jakże tego dokonają? Czy będą musieli oddać tym opętańcom Castle House, z którego zostaną po nich tylko ruiny?

A jednak nie będzie innego wyjścia, jeżeli napastnikom uda się sforsować drzwi, już powoli ustępujące. James Burbank dobrze o tym wiedział, niemniej chciał jeszcze zaczekać. Teraz nie musiał się już obawiać ani o żonę, ani o córkę, ani o Alicję Stannard.

— Mamy jeszcze amunicji na godzinę! — zawołał. — Zużyjmy ją, przyjaciele, a nie oddajmy naszego Castle House!

Jeszcze nie skończył zdania, gdy w dali rozległ się głuchy wybuch.

— To strzał z działa! — krzyknął.

Następny wybuch zabrzmiał jeszcze na zachodzie, po drugiej stronie rzeki.

— Drugi strzał! — powiedział Stannard.

— Posłuchajmy! — odparł Burbank.

Podmuch wiatru przyniósł do Castle House trzeci, wyraźniejszy, wybuch.

— Czyżby to był znak wzywający napastników na prawy brzeg?

— spytał Stannard.

— Niewykluczone! — odrzekł John Bruce. — Może ogłoszono alarm.

— No, a jeżeli te trzy strzały z działa nie padły w Jacksonville...

— powiedział rządcą.

— To znaczy, że padły z okrętów federalnych! — zawołał James Burbank. — Może flota wreszcie pokonała ujście Saint Johns i wpłynęła w górę rzeki?

Istotnie, nie można było wykluczyć, że komodor Dupont opanował rzekę, przynajmniej dolną część jej biegu.

Tak jednak nie było. Te strzały z działa padły z szanców Jack-sonville. Niebawem stało się to oczywiste, nie powtórzyły się bowiem. Nie doszło zatem do żadnej potyczki między okrętami Północy i wojskami Konfederacji, czy to na Saint Johns, czy też na równinach hrabstwa Duval.

Trudno było dłużej wątpić, że to istotnie sygnał odwrotu dla dowódców oddziału milicji, kiedy Perry, który podszedł do jednej z bocznych strzelnic, zawołał:

— Wycofują się!... Wycofują się!

James Burbank i jego towarzysze podbiegli do środkowego okna i uchylili je nieco.

Umilkły już uderzenia siekierą w drzwi. Ucichły strzały. Nie widać było ani jednego napastnika. Chociaż ich krzyki, ostatnie wrzaski rozlegały się jeszcze w powietrzu, wyraźnie się jednak oddalały.

Jakieś wydarzenie zmusiło zatem władze Jacksonville do wezwania całego oddziału na drugi brzeg Saint Johns. Niewątpliwie ustalono wcześniej, że trzy wystrzały z działa rozlegną się w wypadku, gdyby jakieś ruchy eskadry zagrażały pozycjom konfederatów. Toteż napastnicy nagle wstrzymali swój ostatni szturm. Teraz przez zniszczone pola posiadłości szli tą samą drogą, rozjaśnianą jeszcze blaskiem pożarów, a godzinę później płynęli z powrotem rzeką z miejsca, gdzie czekały na nich łodzie, dwie mile poniżej Camdless Bay.

Wkrótce ich krzyki zgasły w oddali. Po łoskocie wybuchów nastąpił całkowity spokój. Nad plantacją zaległa grobowa cisza.

Było wpół do dziesiątej. James Burbank z towarzyszami zeszli do holu na parterze. Znajdował się tam leżący na kanapie Edward Carrol, lekko ranny, osłabiony raczej upływem krwi. Powiedziano mu, co zaszło w następstwie sygnału danego z Jacksonville.

Castle House, przynajmniej w tej chwili, nie miało się czego obawiać ze strony bandy Texara.

— Tak, bez wątpienia — przyznał Burbank — niemniej słuszność została po stronie przemocy, po stronie samowoli! Ten nędznik chciał rozgonić moich wyzwolonych Murzynów, i są rozgonieni! Chciał zniszczyć plantację, i pozostały z niej tylko ruiny!

— James — powiedział Stannard — mogły nam się przydarzyć jeszcze większe nieszczęścia. Żaden z nas nie poległ w obronie Castle House. Twoja żona i córka, moja córka mogły się dostać w ręce tych łajdaków, a są bezpieczne.

— Masz słuszność, Walterze, i Bogu niech będą za to dzięki! To, co uczyniono z rozkazu Texara, nie ujdzie bezkarnie i potrafię wymierzyć sprawiedliwość za przelaną krew!...

— Chyba niepotrzebnie kobiety opuściły Castle House — odezwał się Edward Carrol. — Wiem, że byliśmy wtedy mocno zagrożeni... Wolałbym jednak teraz, żeby tutaj byli!...

— Jeszcze przed świtem popłynę do nich — odrzekł Burbank. — Muszą śmiertelnie się bać i trzeba je uspokoić. Zobaczą wtedy, czy powinienem przywieźć je do Camdless Bay, czy też zostawić na kilka dni w Cedrowej Skale.

— Tak, tak — poparł go Stannard — nie trzeba niczego przyspieszać. Może nie wszystko się jeszcze skończyło... A dopóki Jack-sonville będzie pod wpływem Texara, mamy powody do obaw...

— Dlatego też będę postępował ostrożnie — odrzekł Burbank. — Perry, dopilnuje pan, żeby

niedługo przed świtem łódź była przygotowana. Wystarczy mi jeden człowiek, aby dopłynąć...

Bolesny krzyk, rozpaczliwe wezwanie przerwało raptem Burbankowi.

Krzyk dobiegał z tej części parku, której trawniki rozciągały się przed domem. Zaraz po nim rozległy się słowa:

— Ojcze!... Ojcze!...

— To głos mojej córki! — zawołał Stannard.

— Ach! znowu jakieś nieszczęście!... — rzekł na to Burbank. I otwarłszy drzwi, wszyscy wybiegli na zewnątrz.

Kilka kroków dalej stała Alicja obok leżącej na ziemi pani Burbank.

Nie było przy nich Dy ani Zermy.

— Gdzie Dy? — zawołał Burbank.

Na dźwięk jego głosu podniosła się pani Burbank. Nie mogła mówić... Wyciągnęła dłoń w kierunku rzeki.

— Porwane!... Porwane!...

— To Texar!... — dodała Alicja. Po czym upadła obok pani Burbank.

ROZDZIAŁ XII

SZEŚĆ NASTĘPNYCH DNI

Kiedy pani Burbank i Alicja weszły w tunel prowadzący do zatoczki Marino na Saint Johns, Zerma szła przed nimi. Jedną ręką trzymała dziewczynkę, w drugiej niosła latarkę, której słaby blask oświetlał im drogę. Znalazszy się na końcu tunelu, Zerma poprosiła panią Burbank, żeby zaczekała. Chciała się upewnić, czy łódź i dwaj Murzyni, mający je zawieźć do Cedrowej Skały, są na miejscu. Otworzył drzwi w końcu korytarza, poszła w kierunku rzeki.

Minęła minuta — ledwie jedna minuta — odkąd pani Burbank i Alicja niecierpliwie czekały na powrót Zermy, kiedy Alicja spostrzegła, że nie ma przy nich małej Dy.

— Dy!... Dy!... — zawołała pani Burbank, nie zważając, że może zdradzić swoją obecność w tym miejscu.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Przyzwyczajona zawsze chodzić za Zerwą, wyszła za nią z tunelu od strony zatoki niepostrzeżenie dla matki.

Nagle rozległy się jęki. Przeczuwając jakieś nowe niebezpieczeństwo, nie zastanawiając się nawet, czy im samym nie zagraża, pani Burbank i Alicja wybiegły na brzeg rzeki, a skoro się tam znalazły, ujrzały tylko znikającą w ciemnościach łódź.

— Ratunku!... Ratunku!... To Texar!... — krzyknęła Zerma.

— Texar!... Texar!... — zawołała z kolei Alicja.

I ręką wskazała Hiszpana oświetlonego blaskiem pożarów płonących na plantacji, stojącego na rufie łodzi, która wkrótce zniknęła.

Potem wszystko ucichło.

Dwaj Murzyni, zamordowani, leżeli na ziemi.

Wtedy pani Burbank, przerażona, pobiegła brzegiem nawołując córeczkę, a za nią Alicja, która nie mogła jej powstrzymać. Żaden krzyk nie odpowiedział na jej wołanie. Łódź zniknęła, gdyż albo ciemność kryła ją przed wzrokiem, albo przepłynęła już rzekę i przybiła do lądu gdzieś na lewym brzegu.

Godzinę trwały bezowocne poszukiwania. Wreszcie pani Burbank, u kresu sił, padła na brzegu. Wtedy Alicja, wyężdżając siły, zdołała postawić nieszczęsną matkę, podtrzymać ją, niemal ponieść. Z dala, od Castle House, dochodziła strzelanina, a niekiedy straszliwe wycie oblegającej dom bandy. Jednakże musiały tam wrócić! Musiały próbować powrotu do domu przejściem podziemnym, poradzić sobie z otwarciem drzwi, które wiodły do podziemnych schodów. A gdy już tam się znajdą, to czy obrońcy usłyszą Alicję od środka?

Dziewczyna prowadziła panią Burbank, nieświadomą tego, co się z nią dzieje. Wracając wzdłuż brzegu, musiały się niejednokrotnie zatrzymywać. W każdej chwili mogły natrafić na jedną z grup pustoszących plantację. Może lepiej doczekać dnia? Ale jakże na tym brzegu udzielić pani Burbank pomocy, której potrzebowała natychmiast? Toteż Alicja postanowiła za wszelką cenę dotrzeć do Castle House. Ponieważ jednak droga wzdłuż załomów rzeki była znacznie dłuższa, doszła do wniosku, iż lepiej będzie pójść na przełaj przez łąki, kierując się na płonące chaty murzyńskie. Tak też uczyniła i dotarły w pobliże domu.

I tam pani Burbank legła bez ruchu obok Alicji, która sama nie mogła się już utrzymać na nogach.

Oddział milicji, a wraz z nim banda łupieżców, poniechawszy ataku, był już wtedy daleko od domu. Nie rozlegał się żaden więcej krzyk, ani na zewnątrz, ani wewnątrz. Alicja pomyślała, że napastnicy, zdobywszy Castle House, opuścili je, nie zostawiając przy życiu jednego nawet obrońcy.

Ogarnął ją wtedy okrutny strach i upadła wyczerpana, a z ust jej wyrwał się ostatni jęk, ostatnie wezwanie. Zostało ono usłyszane. James Burbank z przyjaciółmi wybiegli z domu. Teraz wiedzieli już o wszystkim, co się wydarzyło w zatoce Marino. Jakie znaczenie miało to, że bandyci odstąpili? Jakiej wartości był fakt, że nie musieli się już obawiać, iż wpadną w ich ręce? Uderzyło w nich straszliwe nieszczęście. Mała Dy była w mocy Texara!

To właśnie Alicja opowiedziała im głosem przerywanym łkaniem. To usłyszała pani Burbank, gdy przyszła do siebie, i zalała się łzami. Tego dowiedzieli się James Burbank, Stannard, Carrol, Perry i kilku innych obrońców. Biedne dziecko porwane, uwieszone nie wiadomo dokąd, w rękach hajokrutniejszego wroga swego ojca!... Czy mogło być coś gorszego i czy było możliwe, żeby w przyszłości jeszcze większa boleść dotknęła tę rodzinę?

Wszystkich przybił ten ostatni cios. Gdy panią Burbank przeniesiono do jej pokoju i położono do łóżka, Alicja została przy niej.

Na dole w holu James Burbank z przyjaciółmi rozważali, co należy począć, by odnaleźć Dy, by wyrwać ją i Zermę z rąk Texara. Wierna Mulatka będzie niewątpliwie próbowała bronić dziewczynki aż do śmierci! Uwięziona jednak przez nędznika zięjącego nienawiścią, czy nie przypłaci życiem zeznań, jakie przeciw niemu kiedyś złożyła?

James Burbank wyrzucał sobie, że zmusił żonę do opuszczenia Castle House, że przygotował jej sposób ucieczki, która tak źle się zakończyła. Czy tylko przypadkowi należało przypisać obecność Te-xara w zatoce Marino? Nie, rzecz jasna. Texar w jakiś sposób dowiedział się o istnieniu przejścia. Pomyślał, że obrońcy Camdless Bay spróbują może uciec tamtędy, kiedy już nie będą mogli dłużej utrzymać domu. I poprowadziwszy swoją bandę na prawy brzeg rzeki, po sforsowaniu ogrodzenia i zmuszeniu Burbanka i jego ludzi do wycofania się w mury Castle House, sam z kilkoma współnikami niewątpliwie zaczął się przy zatoce. Tam zaskoczył dwóch Murzynów strzegących łodzi i kazał zamordować nieszczęsnych, których krzyki nie mogły być usłyszane pośród wrzawy, jaką czynili oblegający. Potem Hiszpan zczekał, aż pojawiła się Zerma, a zaraz za nią mała Dy. Widząc je same, sądził pewno, iż ani pani Burbank, ani jej mąż i przyjaciele nie zdecydowali się jeszcze uciec z Castle House. Musiał się więc zadowolić tą zdobyczą i porwał dziecko i Mulatkę, by je zawieźć do jakiejś nieznannej kryjówki, gdzie nie da się ich odnaleźć!

A jakież straszliwsze cios mógł zadać ten nędznik Burbankom? Ojciec, matka, czyż bardziej by cierpieli, gdyby im wyrwał serce?

Ci z Camdless Bay, co ocaleli, spędzili okropną noc, bo w dodatku obawiali się, że napastnicy wrócą, może liczniejsi lub lepiej uzbrojeni, ażeby zmusić ostatnich obrońców Castle House do poddania. Na szczęście do tego nie doszło. Nastął dzień po nocy, w czasie której Burbanka i jego towarzyszy nie poderwał na nogi nowy atak.

Jakże by im się jednak przydało wiedzieć, dlaczego poprzedniego dnia oddano te trzy strzały z działa i dlaczego napastnicy wycofali się, skoro wystarczyłby jeszcze jeden wysiłek — najwyżej godzinny — i dom znalazłby się w ich rękach! Czy należało przypuszczać, iż ów odwrót spowodowała demonstracja siły federalistów przy ujściu Saint Johns? Czyżby okręty komodora Duponta opanowały Jacksonville? James Burbank i jego bliscy niczego by bardziej nie pragnęli. Mogliby w takim wypadku zupełnie bezpiecznie podjąć energiczne poszukiwania Dy i Zermę, bezpośrednio zaatakować Te-xara, o ile Hiszpan nie wycofał się ze swymi zwolennikami, ścigać go jako inicjatora zniszczenia Camdless Bay, a zwłaszcza jako sprawcę podwójnego porwania: Mulatki i dziecka.

Tym razem Hiszpan nie znalazłby żadnego alibi w rodzaju tego, jakim się posłużył na początku tej opowieści, kiedy stanął przed sądem Saint Augustine. Jeżeli nawet Texar nie stał na czele bandy

przestępców, która napadła na Camdless Bay — czego posłaniec Harveya nie potrafił Burbankowi powiedzieć — to czyż ostatni krzyk Zermy nie ujawnił jego bezpośredniego udziału w porwaniu?

W dodatku czyż panna Alicja nie rozpoznała go w chwili, gdy łódź odpływała?

Tak, sąd federalny potrafi zmusić tego nędznika do wyznania, gdzie uprowadził swoje ofiary, i ukarać go za zbrodnie, których trudno się dłużej wypierać.

Na nieszczęście nic nie potwierdziło przypuszczeń Burbanka co do wejścia floty abolicjonistów na wody Saint Johns. Wystarczająco dowiodły tego wieści, jakie 3 marca przyniósł jeden z rządców z drugiego brzegu rzeki. Żaden okręt nie pojawił się na razie na wysokości latarni w Pablo. Wszystko ograniczało się do zajęcia Fernandiny i Fort Clinch. Wyglądało na to, że komodor Dupont chce się posuwać w głąb Florydy z największą ostrożnością. W Jacksonville zaś ciągle królowali stronnicy zamieszek. Po wyprawie na Camdless Bay Hiszpan wrócił do miasta. Organizował tam obronę na wypadek, gdyby kanonierki Stevensa próbowały sforsować mierzęję na rzece. Niewątpliwie poprzedniego dnia fałszywy alarm wezwał go razem z jego bandą grabieżców. Koniec końców, taka zemsta chyba mu wystarczała: plantacja zniszczona, warsztaty spalone, Murzyni, z których chat nic nie zostało, rozproszeni po lasach hrabstwa, wreszcie mała Dy uprowadzona od ojca, od matki, i nie było możliwości odnalezienia jej śladu.

Co do tego James Burbank upewnił się ostatecznie, kiedy z rana wraz z Walterem Stannardem popłynęli prawym brzegiem w górę rzeki. Daremnie przetrząsnęli najmniejsze zakola, szukali jakiegokolwiek tropu, który by im wskazał kierunek, w jakim popłynęła łódź. Wszelako poszukiwania te były bardzo niekompletne, gdyż wypadałoby również zbadać lewy brzeg rzeki.

Czy było to jednak teraz możliwe? Czy nie należało raczej poczekać, aż Texar i jego zwolennicy staną się bezsilni, kiedy wkroczą federaliści? I czyż rozważnie by było zostawić w Castle House panią Burbank w stanie, w jakim się znajdowała, Alicję, która nie mogła jej odstąpić, Edwarda Carrola przykutego na kilka dni do łóżka, skoro ciągle zachodziła obawa, że napastnicy wrócą?

Ale najgorsze było to, że James Burbank nie mógł nawet marzyć o tym, aby wnieść skargę przeciwko Texarowi ani za zniszczenie plantacji, ani za porwanie Zermy i dziewczynki. Jedynym sędzią, do którego mógłby się zwrócić, był sam sprawca tych zbrodni.

— Jamesie — powiedział Stannard — jeśli twojemu dziecku grożą niebezpieczeństwa, to przynajmniej jest z nią Zerma i możesz liczyć na jej oddanie aż...

— Aż do śmierci... Owszem — odparł Burbank. — A co będzie, kiedy Zerma umrze?...

— Posłuchaj, mój drogi — rzekł na to Stannard. — Jak się zastanowić, to w interesie Texara nie leży dopuszczenie do ostateczności. Jeszcze nie wyjechał z Jacksonville, a dopóki tu będzie, sądzę, że jego ofiary nie muszą się niczego obawiać. Czyż twoje dziecko nie może być gwarancją, zakładnikiem na wypadek represji, których Hiszpan na pewno się lęka nie tylko z twojej strony, ale i ze strony sądów federalnych za obalenie legalnych władz Jacksonville i zniszczenie plantacji unionisty? Oczywiście, że tak. Toteż w jego interesie leży oszczędzenie ich, i lepiej zaczekać, aż Dupont i Sherman zajmą okolice, żeby przeciw niemu wystąpić.

— Ale kiedyż oni tu przyjdą? — zawołał Burbank.

— Jutro... może jeszcze dzisiaj! Posłuchaj, Dy jest tarczą dla Texara. Tylko dlatego skorzystał z okazji i porwał ją, wiedząc przy tym doskonale, że ci złamie serce, mój ty biedaku, i dopiął swego!

Tak rozumował Stannard, a istniały poważne przesłanki, by jego rozumowanie uznać za słuszne. Czy zdołał przekonać Burbanka? Z pewnością nie. Czy natchnął go choć odrobiną nadziei? Również nie. Było to niemożliwe. James Burbank pojął jednak, że powinien mówić swojej żonie to, co właśnie powiedział mu Walter. W przeciwnym razie pani Burbank tego nie przeżyje. Kiedy więc wrócił do domu, z przekonaniem wysuwał te same argumenty, w które sam nie mógł uwierzyć.

W tym czasie Perry i jego pomocnicy obejrżeli Camdless Bay. Wygląd plantacji był pożałowania godny. Zdawało się nawet, że wywarł wielkie wrażenie na towarzyszącym im Pigmalionie. Ów „wolny człowiek” wcale nie uważał, że powinien iść za wyzwolencami rozgonionymi przez Texara. Wolność, która by mu pozwoliła spać w lesie, cierpieć tam głód i chłód, wydawała mu się jednak nadmierna. Toteż wolał zostać w Castle House, nawet gdyby mu przyszło, jak Zermie, potargać akt nadania wolności, by mieć prawo do przebywania tam.

— Widzisz, Pig? — powtarzał mu Perry. — Plantacja zniszczona, warsztaty zburzone. Tyle nas kosztowała wolność dana ludziom tego koloru co ty!

— Proszę pana — odpowiadał na to Pigmalion — to nie moja wina...

— Przeciwnie, to twoja wina! Gdybyście ty i tobie podobni nie przyklaskiwali tym wszystkim krzykaczom, co to grzmieli przeciwko niewolnictwu, gdybyście się sprzeciwili ideom Północy, gdybyście chwycili za broń, żeby odeprzeć wojska federalne, panu Burbankowi nigdy by nie przyszło do głowy, żeby was uwalniać, i nieszczęście by nie spadło na Camdless Bay!

— Co mogę teraz na to poradzić? — zapytywał zrozpaczony Pig. — Co mogę poradzić, proszę pana?

— Powiem ci, Pig, i tak powinieneś zrobić, gdybyś miał choć isierkę poczucia sprawiedliwości. Jesteś wolny, prawda?

— Podobno.

— W związku z tym należysz do siebie, czy nie?

— Oczywiście!

— A skoro należysz do siebie, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś dysponował sobą jak ci się podoba, tak?

— Tak, proszę pana.

— No właśnie. Na twoim miejscu, Pig, nie wahałbym się ani chwili. Poszedłbym na sąsiednią plantację i zaproponował, żeby mnie kupiono jako niewolnika, a pieniądze ze sprzedaży przyniosłbym mojemu dawnemu panu, aby mu wynagrodzić krzywdy, jakie spowodowałem, pozwalając się wyzwolić!

Czy rządca mówił poważnie? Nie wiadomo, do tego stopnia ów czcigodny człek był zdolny gadać od rzeczy, gdy dosiadał swego ulubionego konika. W każdym razie nieszczęśliwy Pigmalion, zбитy z pantałyku, niezdecydowany, oszołomiony, nie potrafił na to odpowiedzieć.

Bez najmniejszej wątpliwości wszakże szlachetny czyn Jamesa Burbanka ściągnął na plantację nieszczęście i spowodował jej ruinę. Klęskę materialną, co było aż nadto widoczne, należało szacować na znaczną sumę. Nic nie zostało z chat murzyńskich, zburzonych, a wcześniej splądrowanych przez napastników. Na miejscu tartaków i warsztatów widać było tylko popiół, resztki pożogi, z której unosiły się jeszcze szarawe kłęby dymu. Po składach, gdzie magazynowano pocięte drewno, po warsztatach, gdzie znajdowały się maszyny do czesania bawełny, prasy hydrauliczne do zwijania jej w bele, urządzenia do przetwarzania trzciny cukrowej, zostały tylko czarne mury mogące w każdej chwili runąć, stopy poczerniałych od ognia cegieł w miejscach, gdzie wznosiły się kominy fabryk. Poza tym pola krzewów kawowych, ryżowe, warzywniki, zagrody dla zwierząt domowych wyglądały, jakby przeszła przez nie chmara drapieżników i plądrowała przez długie godziny bogatą posiadłość. Wobec tak żalospnego widoku Perry nie mógł powstrzymać oburzenia. Pigmalion czuł się mocno niepewnie widząc dzikie spojrzenia, jakie rzucał mu rządca. Toteż w końcu zostawił go i wrócił do Castle House, aby, jak rzekł, „zastanowić się w spokoju nad propozycją sprzedania siebie, jaką mu podsunął pan rządca”. Ale zapewne dzień nie wystarczył na przemyślenia, gdyż wieczór nadszedł, a Pig jeszcze nic nie postanowił.

Tego dnia jednak kilku byłych niewolników wróciło potajemnie do Camdless Bay. Łatwo sobie wyobrazić ich rozpacz, gdy nie znaleźli ani jednej całej chaty. James Burbank polecił zaraz, aby jak najlepiej zaspokojono ich potrzeby. Część Murzynów można było ulokować w obrębie ostrokołu, w budynkach gospodarczych uchronionych od pożaru. Zatrudniono ich najpierw przy pochówku poległych obrońców Castle House oraz przy grzebaniu trupów napastników zabitych podczas ataku — rannych zabrali ich towarzysze. Podobnie oddano ostatnią przysługę dwóm Murzynom zamordowanym w chwili, gdy Texar i jego wspólnicy zaskoczyli ich na stanowisku nad zatoką Marino.

Zatroszczywszy się o to, James Burbank nie mógł jeszcze myśleć o uporządkowaniu swojej posiadłości. Trzeba było czekać, aż na Florydzie rozstrzygnięta zostanie sprawa między Północą i Południem. Inne troski, nie mniej poważne, zajmowały go dniem i nocą. Uczynił co tylko w jego mocy, aby odnaleźć ślad swej córeczki. Poza tym zdrowie pani Burbank było mocno nadszarpnięte. Chociaż Alicja nie opuszczała jej ani na chwilę i pielęgnowała ją jak własną matkę, należało wezwać lekarza.

Domowy lekarz Burbanków mieszkał w Jacksonville. Gdy tylko otrzymał wezwanie, nie zawahał się przybyć do Camdless Bay. Przepisał lekarstwa, czy mogły być jednak skuteczne, dopóki matka nie odzyska swej małej Dy? Toteż zostawiając w domu Edwarda Carrola, który musiał przez jakiś czas leżeć w łóżku, Burbank i Stannard codziennie wyruszali na przeszukiwanie obu brzegów rzeki. Przetrzęsali wysepki na Saint Johns, wypytywali ludzi, zasięgali języka w najmniejszych nawet osadach hrabstwa, obiecywali wysokie nagrody każdemu, kto im da jakąkolwiek wskazówkę... Ich wysiłki pozostawały bezowocne. Skądże mieliby się dowiedzieć, że Hiszpan się ukrywa w głębi Czarnej Zatoki, skoro nikt o tym nie miał pojęcia? Czy zresztą, aby lepiej ustrzec swoje ofiary przed wszelkimi poszukiwaniami, Texar nie wywiózł ich dalej w górę rzeki? Czyż obszar nie był wystarczająco duży, czyż brakowało kryjówek w rozległych lasach w centrum stanu, pośród olbrzymich bagien na południu Florydy, w regionie owych niedostępnych Evergladów, ażeby Texar mógł tak dobrze ukryć swoje ofiary, że nigdy nie uda się ich odnaleźć?

Jednocześnie za pośrednictwem lekarza, który odwiedzał Camdless Bay, James Burbank był z dnia na dzień informowany o tym, co się dzieje w Jacksonville i w północnej części hrabstwa Duval.

Federaliści nie dokonali niczego nowego na terytorium Florydy, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Czyżby otrzymali z Waszyngtonu specjalne instrukcje zalecające im, aby się zatrzymali na granicy i nie próbowali jej przekroczyć? To by było katastrofalne dla unionistów zamieszkałych na Południu, a szczególnie dla Jamesa Burbanka, który tak się naraził swoimi ostatnimi czynami konfederatom. Tak czy owak, eskadra komodora Duponta stała jeszcze w estuarium Saint Mary, a skoro ludzie Texara zostali wezwani przez owe trzy strzały z działa wieczorem 2 marca, znaczyło to, iż władze Jacksonville dały się nabrać na fałszywy alarm — czemu Castle House zawdzięczało ocalenie.

Co się zaś tyczy Hiszpana, to czy nie myślał o powtórzeniu wyprawy, uważając ją może za nie skończoną, ponieważ nie miał Burbanka w swej mocy? To przypuszczenie było mało prawdopodobne. Niewątpliwie zaatakowanie Castle House i porwanie Dy i Zermi na razie mu wystarczały. Kilku prawych obywateli odważyło się zresztą wyrazić swoją dezaprobatę wobec sprawy Camdless Bay i niechęć względem przywódcy podżegaczy z Jacksonville, choć ich zdanie nic anic nie obchodziło Texara. Hiszpan miał w hrabstwie Duval władzę większą niż kiedykolwiek wraz ze swoimi występnyymi poplecznikami. Ci ludzie bez czci, awanturnicy bez skrupułów korzystali z tego do woli. Co dzień oddawali się wszelkiego rodzaju przyjemnościom przegradzającym się w orgie. Echa tego docierały aż do plantacji, a niebo jaśniało od iluminacji, które można było wziąć za

blask nowych pożarów. Ludzie o umiarkowanych poglądach, nagięci do milczenia, musieli znosić jarzmo stronnictwa popieranego przez pospólstwo hrabstwa.

Tak więc chwilowy brak działań ze strony armii republikańskiej bardzo pomógł nowym władzom stanu. Wykorzystywały też to rozpowszechniając pogłoski, że Jankesi nie przekroczą granicy, że mają rozkaz wycofać się do Georgii i obu Karolin, że półwyspowi nie grozi najazd wojsk Północy, że Floryda, jako dawna kolonia hiszpańska, nie podlega sprawie, jaką Stany Zjednoczone chcą bronią uregulować, i tak dalej. Toteż we wszystkich hrabstwach zapanowały nastroje raczej sprzyjające niż przeciwne ideom, których przedstawicielami byli zwolennicy gwałtów. Dało się to zauważyć w wielu okolicach, zwłaszcza w części północnej Florydy, przy granicy georgijskiej, gdzie właściciele plantacji, głównie ludzie z Północy, byli prześladowani, ich niewolnicy rozgonieni, tartaki i warsztaty spalone, domostwa zniszczone podobnie jak Camdless Bay przez oddziały konfederatów.

Wiele obaw przeżyli James Burbank i jego bliscy wobec tej zwłoki wojsk Unii! Nie mogli jednakże uwierzyć, aby federaliści zatrzymali się na granicy. Z ostatniego listu Gilberta jasno wynikało, że celem wyprawy komodora Duponta i Shermana jest Floryda. Czyżby od tej pory rząd Unii wysłał inne rozkazy do zatoki Edisto, gdzie flota czekała na wypłynięcie w morze? Czyżby jedno zwycięstwo armii konfederatów miało powstrzymać wojska Północy w ich marszu na Południe?

Tak upłynęło pięć dni po napadzie na Camdless Bay. Nadal nie nadchodziły żadne wieści o nowych posunięciach republikanów. Nic nie wiadano o Dy i Zermie, choć Burbank uczynił wszystko, by odnaleźć ich ślad, choć nie minął jeden nawet dzień nie naznaczony nowymi wysiłkami.

Nadszedł dziewiąty dzień marca. Edward Carrol zupełnie już wyzdrowiał. Mógł się teraz przyłączyć do działań przyjaciół. Pani Burbank ciągle jeszcze bardzo niedomagała. Zdawało się, że wraz ze łzami odejdzie od niej życie. Majacząc, przyzywała córkę rozdzierającym głosem, chciała biec na jej poszukiwanie. Po tych atakach następowały omdlenia, które zagrażały jej życiu. Ileż razy Alicja drżała, że nieszczęsna matka umrze w jej ramionach!

Jedna tylko pogłoska z wojny nadeszła do Jacksonville 9 marca rankiem. Nieszczęściem była z tych, co dodawały sił zwolennikom separatyzmu.

Zgodnie z tym, co mówiono, generał konfederatów von Dorn miał 6 marca w bitwie pod Bentonville w stanie Arkansas pobić wojska Curtisa i zmusić federalistów do cofnięcia się. W rzeczywistości chodziło o zwykłą potyczkę na tyłach małego zgrupowania unionistów, a sukces ten miał być kilka dni później zrekompensowany zwycięstwem pod Pea Ridge. To jednak wystarczyło, by wśród Południowców ze zdwojoną siłą odezwało się zuchwalstwo. W Jacksonville świętowano tę mało ważną potyczkę niczym zupełne pokonanie armii republikańskiej. Spowodowało to nową falę zabaw i orgii, których hałas boleśnie rozbrzmiewał w Camdless Bay.

Tego dowiedział się James Burbank, kiedy około szóstej wieczorem wrócił do domu po poszukiwaniach na lewym brzegu rzeki. Pewien mieszkaniec hrabstwa Putnam sądził bowiem, że natrafił na ślad porwania na jednej z wysepek na Saint Johns, kilka mil. powyżej Czarnej Zatoki. Poprzedniej nocy człowiekowi temu zdało się, iż dobiegło go jakby rozpaczliwe wołanie, przybył więc powiedzieć o tym Burbankowi. Oprócz tego widziano w okolicy Indianina Skamba, zausznika Texara. Indianin pojawił się bez najmniejszej wątpliwości, co potwierdzone zostało przez jednego z pasażerów „Shannona”, który wracając z Saint Augustine wysiadł na przystani w Camdless Bay.

Nie trzeba było więcej, aby James Burbank puścił się tym tropem. Z Edwardem Carrolem i dwoma Murzynami ruszyli łodzią w górę rzeki. Dopłynąwszy w pośpiechu do wskazanej wysepki, starannie ją przeszukali, zbadali kilka szałasów rybackich, lecz nic nie wskazywało, żeby je w ostatnim czasie zajmowano. W prawie niedostępnych zagajnikach w głębi wysepki nie było ani śladu

ludzi. Nic na brzegach nie świadczyło, że przybiła tam jakakolwiek łódź. Skamba również nigdzie nie dojrzeli; jeśli nawet krążył koło tej wysepki, to prawdopodobnie nie wylądował na niej.

Ta wyprawa zatem, jak i wiele innych, nie dała żadnych rezultatów. Przyszło więc wrócić na plantację w poczuciu, że i tym razem trop był fałszywy.

Tego wieczora Burbank, Carrol i Stannard, siedząc w holu, rozmawiali o swych bezskutecznych poszukiwaniach. Alicja, zostawiwszy około dziewiątej drzemiącą raczej niż śpiącą panią Burbank w jej pokoju, przysiadła się do nich i dowiedziała się, że ostatnia próba nie dała żadnych wyników.

Zapowiadała się ciemna noc. Księżyc w pierwszej kwadrze zniknął już za horyzontem. Głęboka cisza otulała Castle House, plantację, całe koryto rzeki. Kilku Murzynów w budynkach gospodarczych zaczynało się układać do snu. Spokój naruszały tylko odległe krzyki, wybuchy ogni sztucznych dochodzące z Jacksonville, gdzie z wielką wrzawą świętowano zwycięstwo konfederatów.

Za każdym razem, gdy te odgłosy dobiegały do holu, jakby nowy cios zadawano Burbankom.

— Trzeba by się jednak dowiedzieć, jak się rzeczy przedstawiają — odezwał się Edward Carrol — i upewnić się, czy republikanie zrezygnowali ze swoich zamiarów wobec Florydy.

— Tak, koniecznie — przytaknął James Burbank. — Pojadę jutro do Fernandiny... i dowiem się...

W tej chwili ktoś lekko zastukał do głównych drzwi Castle House, wychodzących na aleję, która prowadziła na brzeg Saint Johns.

Z ust Alicji wyrwał się krzyk, rzuciła się do drzwi. Burbank na próżno próbował dziewczynę powstrzymać. Ponieważ jednak nie otwarto jeszcze, rozległo się wyraźniejsze stukanie.

ROZDZIAŁ XIII

WYDARZENIA KILKU NASTĘPNYCH GODZIN

James Burbank ruszył w stronę drzwi. Nikogo się nie spodziewał. Może John Bruce przyniósł mu jakąś ważną wiadomość z Jack-sonville od Harveya?

Po raz trzeci zastukano, niecierpliwiej.

— Kto tam? — zapytał Burbank.

— Ja! — padło w odpowiedzi.

— Gilbert!... — zawołała Alicja.

Nie pomyliła się. Gilbert w Camdless Bay! Gilbert zjawił się wśród swoich, szczęśliwy, że może spędzić z nimi kilka godzin, bez wątpienia nieświadom ciosów, jakie w nich uderzyły!

W jednej chwili młody porucznik znalazł się w ramionach ojca, a człowiek, który mu towarzyszył, starannie zamknął za nim drzwi, rzuciwszy jeszcze spojrzenia na zewnątrz.

Był to Mars, mąż Zermy, oddany sługa Gilberta.

Ucałowawszy ojca, Gilbert odwrócił się. Gdy ujrzał Alicję, ujął jej dłoń i uściśnął w nieopanowanym porywie uczucia.

— Matka! — zawołał. — Gdzie mama?... Czy to prawda, że jest umierająca?...

— A więc wiesz, synu? — rzekł James Burbank.

— Wiem o wszystkim: o spaleniu plantacji przez tych łotrów z Jacksonville, o napaści na Castle House, o matce... zmarłej już może!...

Obecność młodzieńca w okolicy, gdzie mu groziło tyle niebezpieczeństw, stawała się teraz jasna.

Oto co się wydarzyło:

Poprzedniego dnia kilka kanonierek komodora Duponta dotarło poza ujście Saint Johns. Popłynąwszy w górę rzeki, musiały stanąć przed mierzeją, cztery mile poniżej Jacksonville. Kilka godzin później jakiś człowiek, utrzymujący, iż jest jednym ze strażników latarni w Pablo, przybył na pokład kanonierki Stevensa, gdzie Gilbert pełnił funkcję drugiego oficera. Człowiek ów opowiedział o wszystkim, co zaszło w Jacksonville, a także o napadzie na Camdless Bay, rozgonieniu Murzynów, o rozpaczliwym stanie pani Burbank. Nietrudno sobie wyobrazić, co czuł Gilbert, słuchając opowieści o tych wydarzeniach.

Zaprzagnął wtedy bezzwłocznie ujrzeć matkę. Za zgodą dowódcy opuścił flotyllę, wsiadł do lekkiej łódki. W towarzystwie wiernego Marsa udało mu się w ciemnościach przedrzeć niepostrzeżenie — tak przynajmniej sądził — i wylądować pół mili poniżej Camdless Bay, aby nie przybijać do przystani, która mogła być pilnowana.

Nie wiedział wszelako jednej rzeczy: mianowicie że wpadł w pułapkę zastawioną przez Texara. Hiszpan za wszelką cenę chciał zdobyć dowód żądany przez sąd — dowód, iż James Burbank kontaktuje się z nieprzyjacielem. Aby zatem przyciągnąć młodego porucznika do Camdless Bay, oddany Texarowi strażnik latarni w Pablo podjął się powiadomić Gilberta o części tego, co zaszło w Castle House, a zwłaszcza o stanie jego matki. Porucznik wyruszył zatem w znanych nam już okolicznościach i przez całą drogę był szpiegowany. Prześlizgując się jednak samym skrajem trzciny porastających wysokie brzegi Saint Johns, zdołał nieświadomie zgubić śledzących go ludzi Hiszpana. Mimo że szpiegowie nie zauważyli, kiedy wylądował, spodziewali się ująć go przy powrocie, cała ta część brzegu bowiem była dobrze pilnowana.

— Mama... — odezwał się Gilbert. — Gdzie mama?

— Tutaj, synku — odrzekła pani Burbank.

Pojawiła się na szczycie schodów, zeszła powoli przytrzymując się poręczy i osunęła się na kanapę, gdy Gilbert gorąco ją ścisnął i całował.

Drżąc, chora usłyszała stukanie do drzwi Castle House. Gdy poznała głos syna, znalazła dość siły, by wstać i zejść do niego. Młodzieniec ścisnął ją w ramionach

— Mamo!... Mamo!... — mówił. — Jestem przy tobie!... Jak ty cierpisz... Ale żyjesz!... Och, wyzdrowiejesz, na pewno wyzdrowiejesz!... To wszystko niedługo się skończy... Wkrótce będziemy wszyscy razem... Przywrócimy ci zdrowie... Nie bój się o mnie, mamo... Nikt nie wie, że przyszliśmy tu z Marssem...

Mówiąc to Gilbert widział, jak siły opuszczają matkę, i próbował pieszczotami przelać w nią swoje.

Mars tymczasem zdawał się pojmować, że on i Gilbert nie znają jeszcze całej rozciągłości nieszczęścia, jakie rodzinę dotknęło. Burbank, Carrol i Stannard w milczeniu pochyłali głowy. Alicja nie mogła pohamować łez. Nie było z nimi przecież małej Dy ani Zermi, która powinna była zgadnąć, że jej mąż przyjechał do Camdless Bay, że jest w domu, że na nią czeka...

Toteż z sercem ściśniętym obawą, rozglądając się po holu, Mars zapytał Burbanka:

— Panie, co się stało?

W tej chwili Gilbert wstał.

— A Dy?... — zawołał. — Czy Dy już śpi?... Gdzie ona?

— Gdzie moja kobieta? — zawtórował mu Mars.

Chwilę później młody oficer i Mars wiedzieli już wszystko.

Idąc brzegiem Saint Johns od miejsca, gdzie zostawili łódź, widzieli wprawdzie w mroku zgliszcza plantacji, ale sądzili, że wszystko ograniczyło się do pewnych strat materialnych wynikłych z wyzwolenia Murzynów!... Teraz już mieli pełną świadomość nieszczęścia. Jeden nie zastał w domu siostry. Drugi żony... I nikt nie mógł im powiedzieć, gdzie je Texar od tygodnia więzi!

Gilbert znów ukląkł przy pani Burbank i zapłakał razem z nią. Mars z poszarzałą twarzą, unosząc się w szybkim oddechu piersią chodził z kąta w kąt.

Wreszcie wybuchł gniewem.

— Zabiję Texara! — zawołał. — Pojadę do Jacksonville... jutro... dziś w nocy... zaraz...

— Razem pojedziemy, Marsie! — poparł go Gilbert. James Burbank powstrzymał ich.

— Gdyby można to zrobić — rzekł — nie czekałbym na twój przyjazd, synu! Ten nędznik życiem by zapłacił za krzywdy, które nam wyrządził! Najpierw jednak musi powiedzieć to, co tylko on jeden wie. I skoro to mówię, Gilbertcie, skoro radzę tobie i Marsowi poczekać, znaczy to, że trzeba czekać!

— Niech tak będzie, ojcie — odparł porucznik. — Ale przetrząsnę przynajmniej okolicę, poszukam...

— Och, czy myślisz, że do tej pory tego nie zrobiłem? — zawołał Burbank. — Nie było dnia, żebyśmy nie przeszukiwali brzegów rzeki, wysepki, gdzie Texar może mieć kryjówkę. I ani jednej wskazówki, nic, co by mnie mogło naprowadzić na ślad twojej siostry, Gilbertcie, i twojej żony, Marsie! Wszystkiegośmy próbowali... Jak dotąd bez skutku...

— Dlaczego nie wnieśliście skargi w Jacksonville? — zapytał Gilbert. — Dlaczego nie ścigacie Texara jako winnego splądrowania Camdless Bay i porwania?...

— Dlaczego? — rzekł w odpowiedzi James Burbank. — Dlatego że Texar jest teraz panem, dlatego że wszyscy porządni ludzie drżą przed oddanymi mu łajdakami, dlatego że pospólstwo za nimi stoi, a także milicja powiatu!

— Zabiję Texara! — powtórzył Mars, jakby go ta myśl zupełnie opanowała.

— Zabijesz go, kiedy przyjdzie na to pora — odparł Burbank. — Teraz oznaczałoby to tylko

pogorszenie sytuacji.

— A kiedy ta pora nadejdzie?... — spytał Gilbert.

— Kiedy federaliści zajmą Florydę, kiedy zawładną Jackson-

— A jeżeli wtedy będzie za późno?

— Synu!... Synu!... Błagam... Nie mów tak! — zawołała pani Burbank.

James Burbank ujął ręce syna.

— Posłuchaj, Gilbercie — rzekł. — Chcieliśmy, jak ty i Mars, natychmiast ukarać Texara, gdyby odmówił wyznania, co się stało z porwanymi. Ale w interesie twojej siostry, Gilbercie, twojej żony, Marsie, nasz gniew musiał ustąpić miejsca ostrożności. Wszystko wskazuje bowiem na to, że Dy i Zerma są w rękach Texara zakładniczkami, z których uczyni swoją tarczę, bo ten nędznik z pewnością się obawia, że będzie ścigany za obalenie prawych władz Jackson-ville, za poszczucie bandy przestępców na Camdless Bay, za podpalenie i splądrowanie plantacji federalisty! Gdybym w to nie wierzył, Gilbercie, czy sądziłbyś, że mówiłbym z takim przekonaniem? Czy starczyłoby mi sił, żeby czekać?...

— I czy ja bym jeszcze żyła? — dodała pani Burbank. Nieszczęsna kobieta zrozumiała, że gdyby jej syn udał się do

Jacksonville, oddałby się w ręce Texara. A kto by mógł uratować oficera armii Północy z rąk Południowców w chwili, gdy federaliści zagrażali Florydzie?

Gilbert przestał jednak nad sobą panować. Ciągle upierał się, że pojedzie do miasta. A ponieważ Mars nieustannie powtarzał: „Zabiję Texara”, porucznik rzekł:

— Idziemy!

— Nie pójdziesz, Gilbercie!

Pani Burbank ostatkiem sił wstała. Zasłoniła sobą drzwi. Ten wysiłek wyczerpał ją jednak ostatecznie i nie mogąc się dłużej utrzymać na nogach, upadła.

— Mamo! Mamo!... — zawołał Gilbert.

Trzeba było przenieść panią Burbank do jej pokoju, gdzie została z nią Alicja. James Burbank wrócił do holu, do Carrola i Stannarda. Gilbert siedział na kanapie z głową ukrytą w dłoniach. Milczący Mars stał z boku.

— Teraz, Gilbercie — rzekł James Burbank — panujesz nad sobą. Mów zatem. Od tego, co nam powiesz, będą zależały decyzje, jakie podejmiemy. Nasza nadzieja w tym tylko, że hrabstwo szybko zajmą federaliści. Czy zrezygnowali z zajęcia Florydy?

— Nie, ojciec.

— Gdzie są?

— Część eskadry kieruje się teraz w stronę Saint Augustine, żeby zablokować wybrzeże.

— Czy komodor nie ma zamiaru zdobyć Jacksonville? — spytał żywo Walter Stannard.

— Dolny bieg Saint Johns jest w naszych rękach — odparł porucznik. — Kanonierki pod rozkazami kapitana Stevensa są już zakotwiczone na rzece.

— Na rzece! I jeszcze nie próbowaliście zdobyć Jacksonville?... — zawołał Stannard.

— Nie, bo musieliśmy się zatrzymać przed mierzeją, cztery mile poniżej portu.

— Kanonierki zatrzymane... — powiedział Burbank. — Zatrzymane przez przeszkodę nie do przebycia?...

— Tak, ojciec — odparł Gilbert. — Zatrzymane przez brak wody. Przyptyw musi być wystarczająco duży, żeby można przepłynąć przez mierzeję, a i to nie będzie łatwe. Mars bardzo dobrze zna kanał i ma nas pilotować.

— Czekać!... Ciągle czekać! — zawołał Burbank. — Ile to dni jeszcze?

— Najwyżej trzy, a może tylko jeden, jeżeli wiatr od morza przyniesie falę do estuarium.

Trzy dni albo dzień — jakże ten czas będzie się dłużył mieszkańcom Castle House! A jeśli do tej pory konfederaci rozumieją, że nie obronią miasta, jeżeli opuszczą je, jak już opuścili Fernandinę, Fort Clinch i inne miejscowości w Georgii czy na Florydzie, czy Te-xar nie ucieknie razem z nimi? Gdzie go wtedy szukać?

Walter Stannard zapytał jeszcze Gilberta, czy to prawda, że federaliści odnieśli sukces na Północy, i jak należy oceniać porażkę pod Bentonville.

— Zwycięstwo pod Pea Ridge — odparł porucznik — pozwoliło wojsku Curtisa odzyskać chwilowo stracony teren. Federaliści są w doskonałym położeniu i mają zapewniony sukces w czasie trudnym do przewidzenia. Kiedy zajmą główne punkty Florydy, uniemożliwią dalszy przemyt broni i amunicji, który odbywa się przybrzeżnymi kanałami, i zapasy wkrótce się Południowcom skończą. Niedługo więc okolica ta odzyska spokój i bezpieczeństwo pod pieczę naszą eskadry. Tak... Za kilka dni!... A do tej pory...

Wspomnienie siostry narażonej na tyle niebezpieczeństw ogarnęło go z taką siłą, że James Burbank musiał odwrócić jego myśli, sprowadzając rozmowę na temat stron wojujących. Gilbert mógł się przecież podzielić tyloma nowinami, które nie dotarły jeszcze do Jacksonville, a tym bardziej do Camdless Bay.

Było ich trochę, i to niezmiernej wagi dla federalistów z Florydy.

Jak pamiętamy, w wyniku zwycięstwa pod Fort Donelson niemal cały stan Tennessee został zajęty przez federalistów, którzy łącząc równoczesny atak wojsk i flotylli rzecznej zamierzali opanować cały bieg Missisipi. Popłynęli zatem w dół rzeki aż do Wyspy nr 10, gdzie oddziały Północy miały się spotkać z dywizją generała Beauregarda broniącą rzeki. Już 24 lutego oddziały generała Pope'a, wylądowawszy w Commerce na prawym brzegu Missisipi, odparły korpus Jacoba Thompsona. Co prawda gdy wojska dotarły do Wyspy nr 10 i osiedla New Madrid, musiały się zatrzymać przed siecią szaniec przygotowanych przez Beauregarda. Wprawdzie od upadku Fort Donelson i Nashville wszystkie pozycje na rzece powyżej Memphis należało uważać za stracone dla Konfederacji, lecz można było bronić nadal punktów znajdujących się poniżej tego miasta. O nie też miała się wkrótce odbyć walka, być może decydująca.

Na razie jednak na redzie Hampton Roads u ujścia rzeki James rozegrała się pamiętna bitwa. Było to starcie pierwszych opancerzonych okrętów, których użycie niebawem całkowicie zmieniło taktykę walk morskich i stało się przełomem w rozwoju marynarki wojennej Starego i Nowego Świata.

Piątego marca „Monitor”, pancernik skonstruowany przez szwedzkiego inżyniera Ericssona, i „Virginia”, niegdyś „Merrimack”, stały gotowe do wyjścia w morze: jeden w Nowym Jorku, drugi w Norfolkku.

W tym czasie flotylla federalna pod dowództwem kapitana Marstona kotwiczyła w Hampton Roads w pobliżu Newport News. Flotylla ta składała się z okrętów: „Congress”, „Saint-Laurence”, „Cumberland” i dwóch fregat parowych.

Ale rankiem 8 marca pojawia się naraz „Virginia” pod dowództwem Południowca, kapitana Buchanana. W asyście kilku mniejszych okrętów „Virginia” atakuje najpierw „Congress”, potem „Cumberland”, przebija go ostrogą i zatapia ze studwudziestoosobową załogą. Kierując się następnie ponownie ku „Congressowi”, który osiadł na mieliźnie, „Virginia” dziurawi go pociskami i zostawia na pastwę płomieni. Jedynie noc zapobiegła zatopieniu trzech pozostałych okrętów eskadry federalnej.

Trudno sobie wyobrazić skutek, jaki wywołało to zwycięstwo niewielkiego pancernika nad

okrętami wojennymi Unii. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Wzbudziła popłoch wśród zwolenników Północy, ponieważ taka „Virginia” mogła wpłynąć nawet na Hudson i zatopić nowojorskie okręty. Wywołała także niepokonaną radość Południowców, którzy widzieli już zniesioną blokadę i wznowienie handlu na całym wybrzeżu.

To właśnie morskie zwycięstwo było tak hałaśliwie świętowane poprzedniego dnia w Jacksonville. Konfederaci mogli się czuć teraz zabezpieczeni przed flotą rządu federalnego. Może nawet w wyniku bitwy pod Hampton Roads eskadra komodora Duponta zostanie natychmiast wezwana na Potomac albo Chesapeake? Florydzie nie będzie już wtedy groziło lądowanie wojsk nieprzyjacielskich. Zwolennicy niewolnictwa, rekrutujący się spośród największych szumowin Południa, będą bezsprzecznie triumfować. Oznaczało to będzie umocnienie pozycji Texara i jego popleczników, przez co ileż jeszcze zła zdołają wyrządzić!

Radość konfederatów była jednak przedwczesna. Te wieści bowiem, znane już na północy Florydy, Gilbert uzupełnił pogłoskami krążącymi w chwili, gdy opuszczał kanonierkę dowodzoną przez Stevensa.

Drugi dzień walki morskiej pod Hampton Roads, jak się okazało, różnił się znacznie od pierwszego. Rankiem 9 marca, w chwili gdy „Virginia” gotowała się do ataku na „Minnesotę”, jedną z dwóch fregat federalnych, pojawił się przed nią wróg, którego obecności nawet nie podejrzewano na pokładzie pancernika. Dziwny okręt oderwał się od burty fregaty, „puszka na tratwie”, jak stwierdzili konfederaci. Tą „puszką” był „Monitor” dowodzony przez porucznika Wardena. Wysłano go na te wody w celu zniszczenia baterii Potomacu. Dotarłszy jednak do ujścia rzeki James, porucznik Warden usłyszał działo w Hampton Roads i pod osłoną nocy popłynął „Monitorem” na miejsce walki.

Ustawione w odległości dziesięciu metrów jeden od drugiego, te dwa wspaniałe okręty wojenne ostrzeliwały się przez cztery godziny, a i abordaż nie przyniósł rezultatu. Wreszcie „Virginia”, trafiona na linii zanurzenia i zagrożona zatonięciem, spiesznie odpłynęła w kierunku Norfolk. „Monitor”, który miał pójść na dno dziewięć miesięcy później, całkowicie pokonał wroga. Dzięki temu rząd Północy odzyskał panowanie na wodach w pobliżu Hampton Roads.

— Nie, ojcie — rzekł Gilbert na koniec — nie wezwano naszej eskadry na Północ. Sześć kanonierek Stevensa stoi na kotwicy przed mierzeją na Saint Johns. Powtarzam, najdalej za trzy dni będziemy w Jacksonville.

— Sam widzisz, Gilbercie — powiedział na to pan Burbank — że musisz poczekać i wrócić na pokład. Pewien jednak jesteś, że płynąc do Camdless Bay nie byłeś śledzony?

— Nie, ojcie — odparł młody porucznik — udało nam się z Marsem przemknąć niepostrzeżenie.

— A ten człowiek, który przyszedł ci powiedzieć, co się wydarzyło na plantacji, o pożarze, grabieży, chorobie twojej matki, kim on był?

— Powiedział, że jest jednym ze strażników, których wyrzucono z latarni w Pablo. Chciał uprzedzić Stevensa o niebezpieczeństwie, jakie grozi federalistom w tej części Florydy.

— Nie wiedział, że jesteś na pokładzie?

— Nie, i nawet bardzo się zdziwił — odrzekł Gilbert. — Ale skąd to pytanie, ojcie?

— Ciągłe się boję jakiejś zasadzki ze strony Texara. On nie tylko podejrzewa, on wie, że służysz w marynarce Północy. Mógł się dowiedzieć, że jesteś pod rozkazami Stevensa. Gdyby chciał cię tu zwabić...

— Nie martw się, ojcie. Dotarliśmy do Camdless Bay niepostrzeżenie i tak samo popłyniemy w dół rzeki...

— Ale tylko po to, żeby wrócić na pokład twojego okrętu... Nigdzie indziej!

— Obiecałem ci to już, ojciec. Przed świtem wrócimy z Marssem na pokład.

— O której chcecie wyruszyć?

— Kiedy zacznie się odpływ, to znaczy koło wpół do trzeciej nad ranem.

— Kto wie? — odezwał się Carrol. — Może kanonierki Stevensa nie będą musiały stać jeszcze trzy dni przed mierzeją?

— Tak, wystarczy, żeby wzmógł się wiatr od morza, a napędzi wystarczająco dużo wody na mierzeję — odparł porucznik. — Och, niechby nawet przyniósł sztorm, byle się tylko wzmógł! Żebyśmy wreszcie okiełznali tych nędzników!... A wtedy...

— Zabiję Texara! — powtórzył znowu Mars.

Było parę minut po północy. Młody oficer poszedł do pokoju matki. Znalazł Alicję u jej wezgłowia. Pani Burbank, pokonana ostatnim wysiłkiem, zapadła w sen, bolesny, sądząc po łkaniach dobywających się z jej piersi. Gilbert nie chciał go przerywać, chociaż bardziej wyczerpywał, niż dawał wypoczynek. Alicja dała mu znak, aby milczał, usiadł więc przy łóżku. I czuwali wspólnie przy nieszczęsnej kobiecie, której ciężkie przeżycia jeszcze się chyba nie skończyły. Nie odzywali się do siebie, ale czyż potrzebowali rozmowy, by wymieniać myśli? Doznawali wszak tego samego cierpienia, rozumieli się bez słów, mówili do siebie sercem.

W końcu nadeszła jednak pora, gdy Gilbert musiał opuścić Castle House. Podał Alicji dłoń i obydwójce pochyłili się nad panią Burbank, Gilbert przycisnął usta do czoła matki. Przez panią Burbank przebiegło bolesne drżenie.

Zastali Jamesa Burbanka i resztę przyjaciół w holu.

— Czas ruszać — powiedział Gilbert.

— Tak, synu — rzekł James Burbank. — Idź więc!... Nie zobaczymy się, aż w Jacksonville...

— Tak, w Jacksonville... Może nawet jutro, jeśli przyływ pozwoli nam przebyć mierzeję. Co się tyczy Texara...

— Potrzebny nam jest żywy!... Nie zapominaj o tym, Gilbercie!

— Tak, żywy!...

Ucałował ojca, uściśnął dłonie wuja i Stannarda.

— Idziemy — powiedział do Marsa.

I prawym brzegiem rzeki, samym skrajem plantacji, przez blisko pół godziny szli szybkim marszem. Po drodze nie spotkali nikogo. Dotarłszy do miejsca, gdzie ukryli łódkę w gęstwinie trzciny, wsiedli do niej i wypłynęli w koryto rzeki, której wartki prąd miał ich ponieść do mierzei na Saint Johns.

ROZDZIAŁ XIV

NA RZECE

Ta część biegu rzeki była zupełnie pusta. Na przeciwnym brzegu nie błyskało ani jedno światło. Światła Jacksonville kryły się za załomem, jaki tworzy zatoka Camdless wcinając się na północ. Widać było tylko ich odbicie rozjaśniające najniższe warstwy chmur.

Choć noc była ciemna, łódka z łatwością mogła się kierować w stronę mierzei. A ponieważ nad wodą nie unosił się najmniejszy nawet kłęb mgły, łatwo byłoby ruszyć za nią w pościg, gdyby jakaś łódź konfederatów czekała na nich po drodze — czego, zdaniem Gilberta i jego towarzysza, nie należało się obawiać.

Obaj milczeli. Zamiast płynąć w dół rzeki, z chęcią ruszyliby na drugi jej brzeg, do Jacksonville, by odszukać tam Texara i stanąć z nim twarzą w twarz. A potem, kierując się w górę Saint Johns, przetrząsnęliby wszystkie lasy, wszystkie zatoki na obu brzegach. Może oni by mieli więcej szczęścia niż James Burbank. Najrozsądniej jednak było czekać. Obowiązek nakazywał im zresztą powrócić do flotyli, nim wstanie dzień. Jeśli się okaże, że można przebyć mierzeję wcześniej, niż się spodziewano, czyż porucznik nie powinien stać na swoim stanowisku bojowym, a Mars u steru, żeby przeprowadzić kanonierki przez kanał, którego głębokość znał o każdej porze przyływu?

Mars siedział na rufie łodzi energicznie wiosłując. Gilbert z dziobu bacznie obserwował koryto rzeki, gotów zapowiedzieć wszelką przeszkodę bądź niebezpieczeństwo, jakie by się pojawiło — płynącą łódź czy pień drzewa. Wystarczyło odbić ukośnie od prawego brzegu i *znaleźć* się na środku rzeki, żeby lekka łódź ruszyła z nurtem, w którym utrzyma się bez steru. Dotąd Mars jednym ruchem wiosła z prawej czy lewej burty po prostu pilnował właściwego kierunku.

Niewątpliwie lepiej by było nie oddalać się od ciemnego prawego brzegu, porośłego drzewami i wielkimi trzciniami. Gdyby płynęli wzdłuż niego pod zwisającą płataniną gałęzi, mniej by ryzykowali, że wpadną komuś w oko. Jednakże nieco poniżej plantacji dość ostry załom rzeki powoduje, iż prąd odchyła się w stronę drugiego brzegu. Powstał tam szeroki wir, który znacznie by utrudnił spływ łodzi i pomniejszył jej prędkość. Toteż Mars, nie widząc nic podejrzanego w dole Saint Johns, starał się raczej zdać na bystre wody środka rzeki, które szybko płyną ku ujściu. Od przystani w Camdless Bay do miejsca, gdzie poniżej mierzei zakotwiczona była flotylla, dzieliła ich odległość około czterech, pięciu mil, a łódź niesiona prądem i wspomagana silnymi ruchami wiosła Marsa powinna je pokonać w dwie godziny. Zdążą więc wrócić, zanim pierwsze blaski dnia rozjaśnią powierzchnię Saint Johns.

Kwadrans po odbiciu od brzegu Gilbert i Mars byli na środku rzeki. Stwierdzili wtedy, że choć płyną ze znaczną szybkością, to prąd znosi ich w stronę Jacksonville. Może nawet nieświadomie Mars bardziej naciskał na wiosło od tej strony, jakby go tam coś nieodparcie przyciągało. Należało jednak ominąć to przeklęte miejsce, którego najbliższa okolica pewno była strzeżona o wiele staranniej niż środkowa część rzeki.

— Prosto, Mars, prosto! — upomniął go porucznik.

I łódka pozostała o ćwierć mili od lewego brzegu, niesiona dalej prądem.

Przystań w Jacksonville nie była ani ciemna, ani cicha. Wiele światel błyskało na nabrzeżach lub na spuszczonej na wodę łodziach. Niektóre szybko się nawet poruszały, jak gdyby pilnie strzeżono rzeki w dość znacznym promieniu.

Równocześnie śpiewy zmieszane z krzykami wskazywały, iż zabawy i pijatyki nadal zakłócają spokój miasta. Czyżby Texar i jego zwolennicy ciągle jeszcze wierzyli w porażkę Jankesów w

Wirginii i możliwość wycofania się floty federalnej? A może wykorzystywali te ostatnie dni, by oddawać się wszelkim wybrykom pośród tłumu pijanego whisky i dżinem?

Tak czy owak, jako że łódka szybko mknęła z prądem, Gilbert miał prawo przypuszczać, iż wkrótce, gdy tylko znajdą się poza Jacksonville, największe niebezpieczeństwo minie, kiedy nagle gestem przykazał Marsowi zatrzymać łódź. W odległości niecałej mili od portu dostrzegł długą linię czarnych punktów, rozsianych niby ciąg skał od jednego brzegu rzeki do drugiego.

Był to szereg łodzi zakotwiczonych w tym miejscu i przegradzających Saint Johns. Rzecz jasna, gdyby kanonierkom udało się przebyć mierzeję, łodzie te nie byłyby w stanie ich zatrzymać i pozostałaby im tylko ucieczka; ale gdyby federaliści próbowali na szalupach popłynąć w górę rzeki, Południowcy w ten sposób potrafiliby może skutecznie się oprzeć. Z tego właśnie powodu ustawili się nocą na rzece, tworząc na niej zaporę. Wszystkie łodzie tkwiły nieruchomo na Saint Johns, utrzymywane tak bądź to za pomocą wiosł, bądź stojąc na kotwicy. Nie było wątpliwości, że na ich pokładach — choć nie było tego widać — znajduje się pokaźna liczba ludzi dobrze uzbrojonych tak do ataku, jak i do obrony.

Gilbert zauważył jednak, że łańcuch łodzi nie barykadował rzeki, kiedy przepływali tędy kierując się do Camdless Bay. Przedsięwzięto zatem ten środek ostrożności już po ich przepłynięciu, i to może w przewidywaniu ataku, o którym nie było mowy w chwili, gdy porucznik opuszczał flotę Stevensa.

Musieli więc teraz porzucić środek koryta rzeki i trzymać się jak najbliżej prawego brzegu. Może nikt nie spostrzeże łódki, jeżeli popłyną w gęstwinie trzciny i w cieniu drzew porastających brzeg. W każdym razie innego sposobu ominięcia tej zapory nie było.

— Mars, staraj się wiosłować bezgłośnie, dopóki nie wyminimy tych łodzi — polecił porucznik.

— Dobrze, panie Gilbercie.

— Trzeba pewnie będzie walczyć z wirami, więc gdybyś potrzebował pomocy...

— Dam sobie radę — odpowiedział Mars.

I skręcając łodzią, pokierował nią w stronę prawego brzegu, będąc już zaledwie o trzysta jardów od zakotwiczonych łodzi.

Ponieważ nie zauważono ich, kiedy przepływali rzekę na ukos, teraz, gdy łódź zlewała się z ciemną masą brzegu, niepodobna, żeby ich odkryto. Jeżeli tylko koniec barykady nie dochodzi do samego brzegu, to było niemal pewne, że uda im się przedostać. Mars wiosłował w ciemnościach pogłębionych jeszcze gęstą zasłoną z drzew. Starał się bardzo, aby nie uderzyć w kłody wystające tu i ówdzie ani nie zanurzyć wiosła zbyt głośno w wodzie, chociaż musiał czasami walczyć z prądami, który odnogi wirów czyniły dość silnym. Płynąc w takich warunkach, Gilbert spóźnił się z pewnością o godzinę. Nie miało jednak znaczenia, że będzie już wtedy jasno — znajdą się wystarczająco blisko zakotwiczonych kanonierek, żeby nie obawiać się niczego ze strony Jacksonville.

Okolo czwartej ich łódka znalazła się na wysokości zapory z łodzi. Jak przewidział Gilbert, ze względu na niewielką głębokość Saint Johns w tym miejscu pozostawiono wzdłuż brzegu wolne przejście. Kilkaset stóp dalej cypelek, który wychodził w rzekę — cypelek gęsto porośnięty drzewami — krył się pod masywem namorzynów i olbrzymich bambusów.

Należało opłynąć ów cypel, po jednej stronie mocno ocieniony, po drugiej zaś — przeciwnie: odsłonięty, gdyż masy zieleni nagle się kończyły. Brzeg, bardziej stromy bliżej estuarium, pocięty był licznymi zatoczkami i bardzo niski, odkryty. Nie rosły tam już drzewa, brakło ciemnej zasłony, a co za tym idzie, wody były jaśniejsze. Istniało zatem niebezpieczeństwo, że czarny ruchomy punkt jak

łódka, zbyt mała, by dwaj mężczyźni mogli się w niej położyć, zostanie dostrzeżony z łodzi krążących w pobliżu cypla.

Co prawda po drugiej stronie nie odczuwało się już wirów. Prąd wzdłuż brzegu był dość bystry, lecz nie skręcał ku środkowi rzeki. Jeżeli miną szczęśliwie ów cypel, ruszą szybko w stronę mierzei i w krótkim czasie dotrą do flotyli Stevensa.

Mars prowadził więc łódkę wzdłuż brzegu nader ostrożnie. Starał się przebić wzrokiem ciemności, obserwując rzekę przed sobą. Trzymał się możliwie blisko lądu, walcząc z wirami, dość jeszcze silnymi po tej stronie cypla. Wiosło aż się gięło pod naciskiem silnych ramion, a Gilbert spoglądał bezustannie w górę rzeki, badając uważnie jej powierzchnię.

Łódka zbliżała się powoli do cypla. Jeszcze kilka minut i znajdzie się przy jego najbardziej wysuniętym punkcie, wychodzącym w rzekę jako cienki jęzor piasku. Dzieliło ich od niego jeszcze zaledwie dwadzieścia pięć, trzydzieści jardów, gdy nagle Mars zatrzymał łódź.

— Zmęczyłeś się? — zapytał porucznik. — Mam cię zmienić?

— Cicho! — rzekł Mars.

Mówiąc to, dwoma silnymi pchnięciami wiosła skręcił łódź, jakby chciał dobić do brzegu. Gdy tylko w zasięgu jego ręki znalazły się gałęzie zwieszające się nad wodą, chwycił jedną i ciągnąc za nią, ukrył łódkę pod ciemną zasłoną zieleni. Chwilę później cuma była już zarzucona na korzeń wielkiego drzewa, a Gilbert i Mars tkwili bez ruchu w takich ciemnościach, że nie widzieli się nawzajem.

Cały ten manewr trwał nie dłużej niż dziesięć sekund..

Porucznik chwycił wtedy swego towarzysza za ramię i miał zapytać, po co to wszystko, skoro Mars wskazał mu ruchomy punkcik na jaśniejszej części rzeki.

Była to łódź z czterema ludźmi na pokładzie. Płynęła pod prąd minąwszy piaszczysty jęzor tak, aby powyżej cypla kierować się wzdłuż brzegu.

Gilbert i Mars pomyśleli wtedy o jednym: w pierwszym rzędzie i mimo wszystko muszą się dostać do kanonierki. Jeżeli ich łódka zostanie odkryta, wyskoczą na brzeg, przemkną się między drzewami, pobiegną brzegiem aż do mierzei. A gdy nadejdzie dzień, to albo z najbliższej kanonierki ktoś dostrzeże ich sygnały, albo dopłyną do niej wpław, w każdym razie uczynią co tylko w ich mocy, by wrócić na swoje stanowiska.

Zaraz jednak mieli pojąć, iż drogę lądem im odcięto.

Kiedy bowiem łódź znalazła się w odległości nie większej jak dwadzieścia stóp od kępy zieleni, gdzie się ukryli, nawiązała się rozmowa między płynącymi w niej ludźmi i kilkoma innymi, których cienie pojawiły się między drzewami nad samym brzegiem.

— Najtrudniejsze zrobione? — zawołano z lądu.

— Tak — odpowiedziano z rzeki. — Cypel powiększył się wraz z odpływem, płynie się tędy jak w górę bystrzycy!

— Zakotwiczycie tutaj, skoro my jesteśmy na cyplu?

— Jasne, na środku wiru... Łatwiej popilnujemy końca zapory.

— Dobra! My będziemy pilnować brzegu, a ci hultaje musieliby chyba wejść na bagna, żeby nam umknąć...

— A może już to zrobili?

— Nie, niemożliwe. Na pewno będą próbowali wrócić na pokład przed wschodem. A ponieważ nie mogą przebyć linii łodzi, postarają się płynąć przy samym brzegu, a tutaj to już my będziemy na nich czekali.

Te kilka zdań wystarczyło, by wszystko wyjaśnić. Wyjazd Gilberta i Marsa do Camdless Bay

musiał być zauważony — co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. O ile jednak w tamtą stronę udało im się przemknąć między łodziami mającymi im przeciąć drogę, o tyle teraz, kiedy rzeka została zabarykadowana i czyhano na ich powrót, trudno im będzie — może nawet okaże się to niewykonalne — dotrzeć do kanonierek.

Tak więc znaleźli się w potrzasku między ludźmi w łodzi i tymi, co wysiedli na cyplu, a Gilbert dowiedział się, że zasygnalizowano ich obecność na Saint Johns. Być może jednak nie wiadano, iż wylądowali w Camdless Bay i że jeden z nich to syn Jamesa Burbanka i oficer marynarki wojennej Północy, a drugi jej marynarz. Ale niestety. Porucznik nie miał już wątpliwości co do grożącego im niebezpieczeństwa, kiedy usłyszał ostatnie zdania rozmowy owych ludzi.

— No to pilnujcie dobrze! — zawołano z lądu.

— Dobra, dobra!... — padło w odpowiedzi. — Jankeski oficer to niezła gratka, tym bardziej że to syn najbardziej zagorzałego federalisty na Florydzie!

— Ładnie na tym zarobimy, skoro Texar płaci!

— Możemy ich w nocy nie złapać, jeżeli udało im się ukryć w jakimś załomie brzegu. Ale o świcie tak dokładnie przeszukamy wszystkie kąty, że nawet szczer wodny się nie wymknie!

— Pamiętaj, że mamy ich wziąć żywcem!

— Tak, tak, wiem... Wiem też, że gdybyśmy ich złapali na brzegu, to mamy was zawołać, żebyście ich odstawili do Jacksonville.

— To powodzenia! Prawdę mówiąc, lepiej by było spędzić tę noc na wypitce w szynkach w Jacksonville...

— Gdyby nam ci dwaj hultaje umknęli, to tak. Ale jeśli przyprowadzimy ich jutro Texarowi związanych jak baranki, to warto zrezygnować z pijatyki.

Po czym łódź odpłynęła o dwie długości wiosła. Rozległ się brzęk rozwijanego łańcucha, co oznaczało, że zarzucano kotwicę. Ludzie na skraju brzegu nie rozmawiali, słysząc za to było szelest ich kroków na liściach opadłych z drzew.

Zarówno rzeką, jak i lądem droga ucieczki była odcięta.

Nad tym właśnie rozmyślali Gilbert i Mars. Nie uczynili jednego nawet ruchu, nie wymówili ani słowa. Nic nie mogło zatem zdradzić ich obecności za ciemną zasłoną zieleni, za zasłoną, która stała się ich więzieniem. Wyjść się zza niej nie dało. Zakładając, że nie zostaną odkryci nocą, jakże umkną spojrzeniom, gdy wstanie dzień? Wszak pojmanie młodego porucznika oznaczało nie tylko zagrożenie jego życia — jako żołnierz chętnie by je poświęcił — ale gdyby ustalono, że przebywał w Castle House, równało się także z zatrzymaniem jego ojca przez popleczników Texara, byłoby bezsprzecznym świadectwem współdziałania Jamesa Burbanka z federalistami. Chociaż Hiszpanowi brakło dowodów, gdy po raz pierwszy oskarżył właściciela Camdless Bay, teraz, kiedy Gilbert znajdzie się w jego rękach, będzie mógł je dostarczyć. Co się wtedy stanie z panią Burbank? Co się stanie z Dy i Zermą, skoro nie będzie ojca, brata, męża, by poprowadzić dalej poszukiwania?

Te myśli w jednej chwili przemknęły Gilbertowi przez głowę i zdał sobie sprawę z nieuniknionych tego skutków.

A zatem gdyby obu ujęto, na jedno tylko będą mogli liczyć: że federaliści zajmą Jacksonville, zanim Texar zdąży im zaszkodzić. Może wtedy zostaną uwolnieni wystarczająco wcześnie, aby po wyroku skazującym, który ich nie minie, nie doszło do egzekucji. Tak, cała nadzieja była tylko i wyłącznie w tym. Jak jednak przyspieszyć wpłynięcie kanonierek Stevensa w górę rzeki? Jak można przebyć mierzęję na Saint Johns, skoro woda jest ciągle za niska? Kto poprowadzi flotyllę wśród licznych zakrętów kanału, jeżeli Mars, który miał ją pilotować, wpadnie w ręce Południowców?

Gilbert musiał więc za cenę największego nawet ryzyka wrócić na pokład przed świtem, a

wyruszyć należało bez zwłoki. Czy było to wykonalne? Czy Mars nie byłby w stanie uwolnić łodzi, wpływając niespodzianie w główny nurt rzeki? Podczas gdy ich wrogowie traciliby czas na wciąganie kotwicy i zwijanie łańcucha, czyż oni nie znaleźliby się wystarczająco daleko, by wyjść poza ich zasięg?

Nie! Porucznik doskonale wiedział, że jedno małe wiosło Marsa nie może się skutecznie zmagać z czterema wiosłami wrogiej łodzi. Ich łódkę szybko by dogoniono przy próbie ucieczki wzdłuż brzegu. Takie działanie prowadziłoby do pewnej zguby.

Co więc począć? Czy powinni czekać? Wkrótce wstanie dzień — było już wpół do piątej. Na wschodzie horyzont zaczynał bieleć.

Trzeba jednak było koniecznie podjąć jakąś decyzję i oto co Gilbert postanowił. Pochyliwszy się ku Marsowi, szepnął mu na ucho:

— Nie możemy już czekać. Mamy broń. W łodzi jest czterech ludzi, czyli po dwóch na każdego. Mamy przewagę, bo ich zaskoczymy. Podpłyniesz nagle łódką do tamtych. Stoją na kotwicy, więc abordaż nieunikniony. Wpadniemy na nich, pokonamy ich, zanim się pozbiorają, i odpłyniemy. A nim ci z brzegu zdążą zaalarmować resztę, może uda nam się przebyć zaporę i dotrzeć do kanonierek. Zrozumiałeś?

Mars w odpowiedzi wyjął kordelas i otwarty wsunął za pas obok rewolweru. Potem ostrożnie zwolnił cumę i ujął w dłoń wiosło, by silnym ruchem odepchnąć łódź od brzegu. Gdy jednak miał to właśnie uczynić, Gilbert powstrzymał go gestem.

Nieoczekiwana okoliczność spowodowała, że zmienił plan.

Oto wraz z pierwszym brzaskiem znad wody zaczęła się podnosić gęsta mgła. Rzekłbyś, że wilgotna wata unosi się nad powierzchnią rzeki, muskając ją poruszającymi się kłębkami. Mgła owa zrodziła się na morzu i napływała od ujścia Saint Johns niesiona wolno lekką bryzą w górę rzeki. Nim upłynie kwadrans, zarówno Jacksonville na lewym brzegu, jak i kępy drzew na prawym znikną w żółtawych kłębach mgły, której charakterystyczny zapach wypełniał już całą dolinę.

Czyż dla porucznika i jego towarzysza nie było to wybawieniem? Zamiast ryzykować nierówną walkę, w której obaj mogliby poleć, dlaczego nie mieliby spróbować przemknąć się we mgle? Gilbert przynajmniej uznał, iż jest to najlepsze, co mogą zrobić. Dlatego też powstrzymał Marsa w chwili, gdy ten miał gwałtownie odbić od brzegu. Teraz należało postąpić wręcz przeciwnie — odpłynąć ostrożnie, bezszelestnie, omijając łódź, której zarys, już niewyraźny, wkrótce zupełnie zniknie.

Wrogowie zaczęli się wtedy w mroku nawoływać. Z rzeki odpowiadano na głosy z brzegu.

— Uważajcie na mgłę!

— Tak, tak, podniesiemy kotwicę i odpłyniemy bliżej brzegu!

— W porządku, ale nie traćcie kontaktu z łodziami z zapory. Jak będzie któraś koło was przepływać, uprzedźcie ich, że mają patrolować rzekę we wszystkich kierunkach, aż mgła się podniesie.

— Dobra, nic się nie bójcie. I pilnujcie, żeby ci hultaje nie spróbowali uciec lądem.

Zalecone środki ostrożności zostaną oczywiście zaraz przedsięwzięte. Część łodzi będzie krążyła od jednego brzegu rzeki do drugiego. Gilbert zdawał sobie z tego sprawę, nie zawahał się jednak. Mars cichutko wiosłując wyprowadził łódź spod zasłony zieleni i skierował ją w nurt rzeki.

Mgła gęstniała coraz bardziej, choć przenikało przez nią blade światło poranka podobne do blasku, jaki przedziera się przez osłoniętą latarnię. Nie było już nic widać w promieniu nawet kilku jardów. Gdyby udało im się szczęśliwie ominąć łódź zakotwiczoną na rzece, mieli szansę przemknąć się niepostrzeżenie. I w rzeczy samej udało im się to, gdy załoga zajęta była wyciąganiem kotwicy z

brzękiem łańcucha, w przybliżeniu wskazującym miejsce, od którego należało się trzymać z dala.

Wyminęli ich więc i Mars mógł silniej nacisnąć na wiosło.

Najtrudniejszą rzeczą było zachować odpowiedni kierunek, żeby nie wpłynąć w kanał biegnący środkiem rzeki. Nie powinni byli bowiem zbyt oddalać się od prawego brzegu. W kłębiącej się mgle Mars mógł się jedynie kierować głośniejszym chlupotem wody uderzającej o brzeg. Czuło się już nadchodzący dzień. Było coraz jaśniej powyżej masy mgieł, choć nad samą powierzchnią Saint Johns wisiały jeszcze gęste tumany.

Pół godziny bez mała ich łódka płynęła niejako na los szczęścia. Czasami niespodziewanie pojawiał się rozmazany zarys jakiegoś przedmiotu. Mogło się wydawać, że to łódź niepomiarowo powiększona przez odbicie światła — zjawisko to jest powszechne we mgle na morzu. Każdy przedmiot jawi się wtedy oczom jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i wygląda, jakby miał olbrzymie rozmiary. Na szczęście to, co Gilbert brał za szalupę, było tylko pławą, wierzchołkiem skały wynurzającej się z wody albo wbitym w dno rzeki palem, którego czubek ginął we mgle.

Przelatywały również w pobliżu rozmaite ptaki o niebywale szeroko rozpostartych skrzydłach. Wprawdzie zaledwie je widzieli, ale słyszeli wyraźnie ich przenikliwe krzyki rzucane w przestrzeń. To znów inne ptaki ulatywały z samej rzeki, kiedy płoszyła je zbliżająca się łódka. Nie dałoby się powiedzieć, czy chroniły się na brzeg, by tam odpocząć, czy też ponownie nurkowały w wody Saint Johns.

Tak czy owak, ponieważ ciągle trwał odpływ, Gilbert pewien był, iż niesiona prądem łódka zdąży w kierunku kotwiczowiska kanonierek Stevensa. Prąd jednak mocno już osłabł, trudno zatem było osądzić, czy minęli wreszcie zaporę z zakotwiczonych łodzi. A może, przeciwnie, porucznik powinien by się raczej obawiać, że są właśnie na jej wysokości i że lada chwila mogą wpaść na którąś z łodzi?

Tak więc niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Wkrótce stało się oczywiste, że nawet są bardziej niż dotąd zagrożeni. Toteż co chwila Mars przestawał wiosłować. Bez ustanku dobiegały ich uderzenia wiosła, dalekie lub bliskie, w dość ograniczonym promieniu. Od łodzi do łodzi niesły się okrzyki. Jakieś kształty o liniach ledwie zarysowanych nikły raptownie we mgle. Były to oczywiście płynące łodzie, których należało unikać. Czasami też mgła rozwiewała się naraz, jak gdyby pod wpływem silnego podmuchu. Widoczność zwiększała się wówczas do kilkuset jardów i Gilbert z Marssem próbowali się zorientować w swoim położeniu na rzece. Ale niebawem przejaśnienie znów się zasnuwało, a wtedy pozostawało im tylko płynąć dalej z prądem.

Minęła już piąta. Gilbert obliczył, że o tej porze powinni być dwie mile od kotwiczowiska. W rzeczywistości nie dotarli jeszcze nawet do mierzei. Z łatwością by ją rozpoznali po wyraźniejszym szumie pobrużdżonej wody, kłębiącej się tam z hałasem, co do którego marynarz nie może się pomylić. Gdyby przebyli mierzę, Gilbert czułby się względnie bezpiecznie, wątpliwe bowiem było, żeby łodzie odważyły się zapuścić tak daleko od Jacksonville pod ogień kanonierek.

Nasłuchiwali zatem obaj nachylając się tuż nad wodą. Lecz ich wprawne uszy niczego dotąd nie uchwyciły. Musieli zboczyć albo w prawo, albo w lewo rzeki. Czy nie lepiej by teraz popłynąć na ukos, żeby się dostać do któregoś brzegu i gdyby zaszła taka konieczność, poczekać, aż opary zrzędą, aby ruszyć właściwą drogą?

Było to najlepsze wyjście, ponieważ mgła zaczynała się wzbijać coraz wyżej. Słońce, ogrzewając nagromadzone pary, unosiło je w górę. Stało się jasne, że powierzchnia Saint Johns będzie widoczna na dużej przestrzeni, zanim niebo się rozjaśni. Potem zasłona nagle pęknie, horyzont wynurzy się z mgły. Może wtedy w odległości mili od mierzei Gilbert ujrzy kanonierki, do których uda mu się dotrzeć?

W tejże chwili rozległ się szum uderzającej o coś wody. Niemal równocześnie łódka zaczęła się obracać, jakby ją unosił wir. Nie było mowy o pomyłce.

— Mierzeja! — zawołał Gilbert.

— Tak, mierzeja — rzekł Mars. — Tylko ją przebyć i będziemy na kotwiczowisku.

Mars chwycił za wiosło i usiłował teraz utrzymać kierunek.

Naraz Gilbert go zatrzymał. W prześwicie wśród mgły dostrzegł właśnie łódź szybko płynącą prosto na nich. Czy zauważyli ich ludzie na jej pokładzie? Czy chcieli im zagrozić drogę?

— Zwrot przez bakburtę — zakomenderował porucznik.

Mars wykonał zwrot kilkoma pchnięciami wiosła i łódka skierowała się w przeciwnym kierunku.

Ale z tej strony rozległy się głosy. Rozbrzmiewały gromkie nawoływania. Niewątpliwie kilka łodzi krążyło w tej części rzeki.

Naraz jakby olbrzymia fala omiotła przestrzeń i mgła opadła kropelkami wody.

Gilbert nie zdołał pohamować okrzyku.

Ich łódka stała otoczona tuzinem łodzi strzegących tej części kanału, którego kręty tor przecinała mierzeja.

— Są!... Są!... — rozległy się wołania od łodzi do łodzi.

— Tak, jesteście! — odparł porucznik. — Mars, bierz rewolwer i kordelas i brońmy się!

Bronić się, gdy było ich dwóch przeciwko trzydziestu!

W jednej chwili trzy czy cztery łodzie podpłynęły do nich. Padły strzały. Ale tylko z rewolwerów Gilberta i Marsa, których chciano wziąć żywcem. Kilku marynarzy zostało zabitych lub zranionych. Jakże jednak Gilbert i Mars mieli nie ulec w tej nierównej walce?

Mimo dzielnego oporu porucznik został związany i przeniesiony do jednej z łodzi napastników.

— Mars... Uciekaj!... Uciekaj!... — zawołał jeszcze.

Jednym ciosem kordelasu Mars uwolnił się od człowieka próbującego go zatrzymać. Nim inni zdołali go dopaść, nieulekły mąż Zermi rzucił się do rzeki. Na próżno starano się go ująć. Zniknął wśród wirów przy mierzei, na której podczas przyływu burzliwe wody zmieniają się w potoki.

ROZDZIAŁ XV

SĄD

Godzinę później Gilbert wysiadł na nabrzeżu w Jacksonville. W mieście słyszano strzały rewolwerowe w dole rzeki. Czy chodziło o jakieś starcie między łodziami konfederatów a flotyllą Północy? Czy nie należało się nawet obawiać, iż kanonierki Stevensa przebyły mierzeję? Wywołało to wielki niepokój wśród ludności miasta. Część mieszkańców podążyła zaraz ku nabrzeżom. Władze cywilne, reprezentowane przez Texara i jego najbardziej stanowczych zwolenników, nie omieszkały również się tam zjawić. Wszyscy spoglądali w kierunku mierzei już nie przysłoniętej mgłą. Lornetki i lunety przechodziły z rąk do rąk. Odległość jednak była zbyt duża — około trzech mil — ażeby można się upewnić co do wagi starcia i jego wyniku.

Flotylla w każdym razie nadal stała na kotwicowisku, które zajmowała poprzedniego dnia, i w Jacksonville nie musiano się na razie obawiać nagłego ataku kanonierek. Najbardziej nawet zagrożeni mieszkańcy miasta będą mieli dość czasu, by się przysposobić do ucieczki w głębiej położone okolice Florydy.

Jeżeli zresztą Texar i dwóch czy trzech jego popleczników mieli poważniejsze niż inni powody, aby drzeć o własne bezpieczeństwo, to nie sądzili, aby należało się niepokoić tym incydentem. Hiszpan domyślał się, że chodzi o schwytanie łódki, którą chciał ująć za wszelką cenę.

— Tak, za wszelką cenę! — powtarzał, kiedy próbował rozpoznać łódź dopływającą do portu. — Za wszelką cenę muszę mieć syna Burbanka, który wpadł w zastawioną przeze mnie zasadzkę. Mam wreszcie dowód, że James Burbank komunikuje się z Jankesami! Do licha! Jak już rozstrzelany będzie syn, najwyżej w dwadzieścia cztery godziny później to samo spotka ojca!

Chociaż bowiem jego stronnictwo rządziło Jacksonville, Texar, po odroczeniu wydanym na korzyść Jamesa Burbanka, pragnął czekać na sposobność, aby go znowu zatrzymać. Nadarzyła się okazja wciągnięcia Gilberta w zasadzkę. A gdy Gilbert zostanie rozpoznany jako oficer jankeski, zatrzymany na wrogim terytorium, skazany jako szpieg, Hiszpan będzie mógł dopełnić swej zemsty.

Okoliczności niezwykle mu sprzyjały. Do portu w Jacksonville przywieziono bowiem istotnie syna plantatora z Camdless Bay.

Fakt, iż Gilbert był sam, że jego towarzysz utonął lub uciekł, nie miał znaczenia, skoro porucznik został schwytany. Pozostawało tylko pozwać go przed sąd złożony ze zwolenników Texara, któremu Hiszpan we własnej osobie będzie przewodniczył.

Gilberta, dobrze wszystkim znanego, przyjęto wrogimi okrzykami i pogrozkami. Z pogardą odniósł się do wrzasków. Jego postawa nie zdradzała najmniejszej nawet obawy, chociaż trzeba było wezwać pluton żołnierzy, by go chronił przed atakami tłumu. Kiedy jednak dostrzegł Texara, nie zdołał się opanować i byłby się na niego rzucił, gdyby go straż nie powstrzymała.

Texar ani drgnął, nie rzekł jednego słowa, udał nawet, że nie widzi porucznika i najzupełniej obojętnie pozwolił mu odejść.

Kilka chwil później Gilberta zamknięto w więzieniu Jacksonville. Nie miał złudzeń co do losu, jaki go czeka w rękach Południowców.

Około południa Harvey, pełnomocnik Jamesa Burbanka, zjawił się w więzieniu, starając się o widzenie z Gilbertem. Odprawiono go jednak z niczym. Na rozkaz Texara porucznika trzymano w ścisłym odosobnieniu. Krok Harveya spowodował tylko, że miano i jego odtąd baczenie nadzorować.

Wiedziano bowiem o jego związkach z rodziną Burbanków, a w planach Texara nie leżało, żeby do Camdless Bay zbyt szybko doszła wieść o zatrzymaniu Gilberta. Będzie czas powiadomić Jamesa

Burbanka o tym, co się wydarzyło, kiedy wyrok skazujący zostanie wydany, a gdy się o tym dowie, nie będzie już miał czasu uciec z Castle House, by się wymknąć Texarowi.

Skutkiem tego Harvey na razie nie mógł pchnąć posłańca do Camdless Bay. Na wszystkie łodzie w porcie nałożono embargo. Ponieważ zerwano wszelkie połączenie między lewym i prawym brzegiem rzeki, Burbankowie mieli być nieświadomi aresztowania Gilberta. Kiedy oni sądzili, że jest na pokładzie kanonierki Stevensa, porucznik przebywał w więzieniu w Jacksonville.

Z jakimż napięciem nasłuchiowano w Castle House, czy dalekie wybuchy nie zapowiadają wpłynięcia federalistów poza mierzeję! Jacksonville w rękach abolicjonistów, to Texar w rękach Jamesa Burbanka. To swoboda w podjęciu z synem i przyjaciółmi poszukiwań, jak dotąd bezskutecznych.

Ale w dole rzeki panowała cisza. Zarówno rządca Perry, który popłynął rzeką aż do linii zapory z łodzi, jak i Pig oraz jeden z fernali, wysłani brzegiem trzy mile poniżej plantacji, przynieśli te same wieści. Flotylla ciągle stała na kotwiczowisku. I nic nie wskazywało na to, żeby miała odbić i wpłynąć na wysokość Jacksonville.

Jakże by zresztą flotylla miała przebyć mierzeję? Zakładając nawet, że przyptyw umożliwiłby jej przepłynięcie wcześniej, niż się spodziewano, w jaki sposób zapuściłaby się na kanał teraz, kiedy jedyne go człowieka, który znał wszystkie jego meandry, brakło? Mars bowiem nie zjawił się na pokładzie.

A gdyby James Burbank wiedział, co zaszło po schwytaniu ich łodzi, czyż mógłby przypuszczać coś innego niż to, że dzielny towarzysz Gilberta zginął w wirach rzeki? Gdyby Mars się uratował dopływając do prawego brzegu Saint Johns, czyż nie dotarłby do Camdless Bay, skoro nie miał jak wrócić na okręt?

Ale Mars i na plantacji się nie zjawił.

Nazajutrz, 11 marca około godziny jedenastej, sąd zebrał się pod przewodnictwem Texara w tej samej sali, gdzie Hiszpan oskarżał wcześniej Jamesa Burbanka. Tym razem ciężące na młodym oficerze zarzuty były wystarczająco poważne, by się nie wymknął. Był z góry skazany. Kiedy z synem sprawa zostanie załatwiona, Texar zajmie się ojcem. Małą Dy ma już w swoich rękach, a panią Burbank złamięm zadawane kolejno ciosy — będzie pomszczony! Czyż nie wydawało się, że wszystkie okoliczności sprzyjają spełnieniu jego zajadłej nienawiści?

Gilberta wyprowadzono z więzienia. Jak poprzedniego dnia, towarzyszyły mu wrzaski tłuszczy. Do sali, gdzie znajdowali się już najbardziej gorliwi zwolennicy Hiszpana, wszedł pośród donośnych okrzyków:

— Śmierć szpiegowi!... Śmierć!

Takie oto oskarżenie rzucała nań niktzemna gawiedź, oskarżenie podsunięte przez Texara.

Gilbert jednakże całkowicie odzyskał zimną krew i potrafił się opanować nawet w obliczu Hiszpana, który miał czelność osobiście brać udział w tej sprawie.

— Nazywa się pan Gilbert Burbank — rzekł Texar — i jest oficerem jankeskiej marynarki?

— Tak.

— Jest pan obecnie porucznikiem na pokładzie jednej z kanonierek Stevensa?

— Tak.

— Jest pan synem Jamesa Burbanka, Amerykanina z Północy, właściciela plantacji Camdless Bay?

— Tak.

— Czy przyznaje się pan, że opuścił flotyllę zakotwiczoną przed mierzeją w nocy dziesiątego marca?

— Tak.

— Czy przyznaje się pan, że został schwytany podczas próby powrotu do floty w towarzystwie marynarza z pańskiego okrętu?

— Tak.

— Proszę powiedzieć, w jakim celu oskarżony znalazł się na Saint Johns.

— Jakiś człowiek zjawił się na pokładzie kanonierki, gdzie jestem drugim oficerem. Powiedział mi, że plantacja mojego ojca została spalona przez bandę rzezimieszków, że Castle House był oblegany przez przestępców. Nie muszę mówić przewodniczącemu sądu, na kogo spada odpowiedzialność za te zbrodnie.

— A ja — rzekł na to Texar — muszę powiedzieć Gilbertowi Burbankowi, że jego ojciec sprzeciwił się opinii publicznej wyzwalając swoich niewolników, że rozporządzenie nakazywało wydalenie wyzwoleńców, że owo rozporządzenie musiało zostać wykonane...

— Z towarzyszącym temu podpaleniem i łupieżą — odparł Gilbert — i porwaniem, którego Texar jest bezpośrednim sprawcą!

— Kiedy stanę przed sądem, wtedy będę odpowiadał — odrzekł chłodno Hiszpan. — Proszę nie próbować odwrócić ról. Jest pan oskarżonym, a nie oskarżycielem!

— Tak... Oskarżonym... Przynajmniej w tej chwili — odpowiedział porucznik. — Ale kanonierkom federalnym pozostała do przebycia tylko mierzeja na Saint Johns, żeby zdobyć Jacksonville, a wtedy...

Przerwały mu okrzyki, pogroźki wobec młodego oficera, który ośmielał się wprost stawić czoła Południowcom.

— Śmierć!... Śmierć! — krzyczano ze wszech stron.

Hiszpan z wielkim trudem zdołał uspokoić gniew tłumu, po czym prowadził dalej przesłuchanie:

— Niech oskarżony Burbank powie, dlaczego ostatniej nocy opuścił pokład okrętu?

— Żeby zobaczyć umierającą matkę.

— Oskarżony przyznaje się więc, że wylądował w Camdless Bay?

— Nie muszę tego ukrywać.

— I tylko po to, żeby zobaczyć matkę?

— Tylko po to.

— Mamy jednakże powody przypuszczać — podjął Texar — że oskarżony miał jeszcze co innego na celu.

— Co takiego?

— Porozumieć się ze swoim ojcem, Jamesem Burbankiem, Jankesem podejrzewanym już od dawna o utrzymywanie kontaktów z armią Północy.

— Dobrze wiesz, że tak nie jest — odparł Gilbert, ogarnięty całkiem oczywistym oburzeniem. — Przypląnąłem do Camdless Bay nie jako oficer, lecz jako syn...

— Albo szpieg! — oświadczył Texar. Znow się wzmożyły okrzyki:

okrzyk Śmierć szpiegowi!... Śmierć!

Gilbert pojął, że jest zgubiony i że — cóż za cios! — wraz z nim zgubiony jest jego ojciec.

— Tak — podjął Texar — choroba matki była tylko pretekstem! Oskarżony przypląnął do Camdless Bay jako szpieg, żeby zdać sprawę Jankesom ze stanu fortyfikacji na Saint Johns!

Gilbert wstał.

— Przyjechałem do Camdless Bay, żeby zobaczyć umierającą matkę — rzekł. — I ty o tym dobrze wiesz! Nigdy bym nie przypuszczał, że w cywilizowanym kraju znajdą się sędziowie, którzy oskarżą o zbrodnię żołnierza za to, że przybył do łóża śmierci własnej matki, nawet jeżeli było to na

terytorium wroga! Niech ten, kto potępia moje postępowanie i kto by uczynił inaczej, ośmieli mi się to powiedzieć!

Audytoryum złożone z ludzi, w których nienawiść nie zagłuszyła wszelkich uczuć, przyklasnęłoby tak szczeremu i szlachetnemu oświadczeniu. Tak się jednak nie stało. Słowa te przyjęto zniewagami, a potem zabrzmiały wiwaty na cześć Hiszpana, kiedy ten wykazał, iż przyjmując w domu oficera wrogiej armii w czasie wojny, James Burbank był równie winny jak ów oficer. Wreszcie więc znalazł się dowód, który Texar obiecał dostarczyć, dowód współdziałania Jamesa Burbanka z armią Północy.

Toteż komitet, odnotowawszy zeznania oskarżonego dotyczące jego ojca, skazał na śmierć Gilberta Burbanka, porucznika marynarki federalnej.

Skazany odprowadzony został zaraz do więzienia pośród wrzasków gawiedzi, która ścigała go swoimi okrzykami:

—Śmierć szpiegom!... Śmierć!

Wieczorem oddział milicji Jacksonville przybył do Camdles Bay. Dowodzący nim oficer chciał mówić z Jamesem Burbankiem.

James Burbank stanął przed nim. Towarzyszyli mu Edward Carrol i Walter Stannard.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytał Burbank.

— Proszę przeczytać ten rozkaz — odparł oficer.

Był to rozkaz aresztowania Jamesa Burbanka jako współlnika Gilberta Burbanka, skazanego na śmierć za szpiegostwo przez komitet Jacksonville, mającego stanąć przed plutonem egzekucyjnym w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ I

PO PORWANIU

„Texar!” To oto zniechwalone imię Zerma rzuciła w ciemnościach w chwili, gdy pani Burbank i Alicja dochodziły do zatoki Marino. Alicja rozpoznała nikczemnego Hiszpana. Nikt nie mógł zatem podać w wątpliwość, że on właśnie jest sprawcą porwania, w którym osobiście brał udział.

W rzeczy samej był to Texar w towarzystwie pół tuzina zaprzędanych mu ludzi.

Hiszpan od dawna szykował ową wyprawę, która miała doprowadzić do zniszczenia Camdless Bay, splądrowania Castle House, zrujnowania Burbanków, schwytania lub śmierci głowy rodziny. W tym właśnie celu pchnął hordy łupieżców na plantację. Nie stanął jednak na ich czele, pozostawiając dowodzenie swoim najbardziej zażartym zwolennikom. I to tłumaczy, że John Bruce, wmieszany między napastników, mógł oświadczyć Jamesowi Burbankowi, iż Texara z nimi nie było.

Ażeby go spotkać, należałoby przyjść nad zatokę Marino, podziemnym korytarzem połączoną z Castle House. Gdyby dwór został zdobyty, tamtędy właśnie ostatni jego obrońcy staraliby się wycofać. Texar wiedział o tym korytarzu. Toteż w łodzi, za którą płynęła druga ze Skambem i dwoma niewolnikami na pokładzie, przybył, aby strzec miejsca, skąd mógł próbować ucieczki Burbank. I nie omylił się. Pojął to, gdy ujrzał łódkę z Camdless Bay ukrytą w trzcinach przy zatoce. Pilnujących jej Murzynów zaatakowano zniechwalnie i zamordowano. Wtedy pozostało tylko czekać. Niebawem zjawiała się Zerma z dziewczynką. Gdy Mulatka zaczęła krzyczeć, Hiszpan w obawie, że ktoś przyjdzie jej na pomoc, rozkazał ją pojmać. Kie dy zaś pani Burbank z Alicją znalazły się na brzegu, Zerma była na środku rzeki w łodzi Indianina.

Co się działo dalej, wiemy.

Skoro jednak porwania już dokonano, Texar nie ruszył ze Skambem. Człowiek ów, bezgranicznie mu oddany, wiedział, do jakiej niedostępnej kryjówki odstawić Zermę i małą Dy. Toteż w chwili, gdy trzy strzały armatnie odwołały napastników bliskich zdobycia Castle House, Hiszpan zniknął, przecinając na ukos Saint Johns.

Dokąd się udał? Nie wiadomo. W każdym razie nie wrócił do Jacksonville w nocy z 3 na 4 marca. Pojawił się tam dopiero dwadzieścia cztery godziny później. Co się z nim działo podczas tej nieobecności, z której nie raczył się nawet wytłumaczyć? Trudno by cokolwiek powiedzieć. Jego zniknięcie mogłoby wszakże być dlań kompromitujące, gdyby został oskarżony o udział w porwaniu Dy i Zermę. Zbieżność porwania i zniknięcia Texara jeszcze by się obróciła przeciwko niemu. Tak czy owak, wrócił do Jacksonville dopiero rankiem 5 marca, ażeby przedsięwziąć co należy w celu obrony Południowców — w sam czas, jak wiemy, by zastawić pułapkę na Gilberta Burbanka i przewodniczyć sądowi mającemu skazać porucznika na śmierć.

Na pewno Texara nie było na pokładzie łodzi kierowanej przez Skamba i unoszonej w mroku przypiływem w górę rzeki.

Zerma, zrozumiałwszy, że jej krzyków nikt już nie usłyszy na bezludnych brzegach Saint Johns, umilkła. Siedziała na rufie przyciskając do siebie Dy.

Z ust przerażonej dziewczynki nie wyszła jedna nawet skarga. Tuliła się do piersi Mulatki, kryła

w fałdach jej szala. Raz czy dwa tylko z jej ust padło kilka słów:

— Mamo!... Mamo!... Zerma, boję się!... Boję się... Chcę do mamy...

— Tak, tak, kochanie... — uspokajała ją Zerma. — Niedługo pójdziesz do mamy. Nic się nie bój... Jestem przy tobie.

W tej dokładnie chwili przerażona pani Burbank biegła prawym brzegiem rzeki, daremnie próbując nadażyć za łodzią, która uwoziła jej córkę na drugą stronę Saint Johns.

Panowały głębokie ciemności. Pożary na plantacji zaczynały przygasać wraz z hukem wybuchów. Przez dymy wiszące na półno cy od czasu do czasu przedzierał się jeszcze płomień i odbijał się na powierzchni wody niby nagły błysk. Później wszystko ucichło i pociemniało. Łódź płynęła korytem rzeki, której brzegów wcale nie było widać. Byłaby równie samotna, gdyby się znalazła na pełnym morzu.

Dokąd kierowała się łódź, której ster dzierżył w ręku Skambo? Tego należało się dowiedzieć przede wszystkim. Zadawanie pytań Indianinowi na nic by się zdało. Toteż Zerma próbowała się sama zorientować — rzecz trudna w głębokich ciemnościach, dopóki Skambo nie porzuci środka rzeki.

Fala przyływu rosła i pod naciskiem wiosł dwóch Murzynów szybko płynęli na południe.

Jakże by jednak dobrze było, gdyby Zerma zostawiła jakiś ślad, aby ułatwić swojemu panu poszukiwania! Na rzece wszelako niepodobna to zrobić. Na ładzie skrawek jej szala zawieszono na krzaku mógłby się stać pierwszą wskazówką na tropie, który przez szukających raz znaleziony, prowadziłby ich do końca. Cóż by jednak dało powierzenie rzece czegoś, co należało do dziewczynki lub do niej? Czy Zerma mogła liczyć, iż przypadek sprawi, że dotrze to do rąk Jamesa Burbanka? Musiała z tego zrezygnować, a starać się tylko rozpoznać, w jakim miejscu Saint Johns łódź przybije do brzegu.

Minęła godzina. Skambo przez ten czas nie wyrzekł ani słowa. Murzyni w milczeniu wiosłowali. Na brzegu nie pojawiło się żadne światelko, ani w domu, ani pod drzewami, których ciemna masa rysowała się niewyraźnie w mroku.

Zerma rozglądała się na prawo i lewo, gotowa zanotować w pamięci najdrobniejszą wskazówkę, myśląc równocześnie o niebezpieczeństwach, jakie zagrażają dziewczynce. Tym, co jej samej mogło grozić, ani trochę się nie przejmowała. Wszystkie jej obawy skupiały się na dziecku. Porwał je oczywiście Texar. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Poznała Hiszpana, który zaczął się przy zatoce Marino bądź to z zamiarem przedostania się podziemnym korytarzem do Castle House, bądź w oczekiwaniu na obrońców domu, gdyby próbowali tamtędy uciec. Gdyby się Texar tak nie pospieszył, pani Burbank z Alicją, podobnie jak Dy i Zerma, znajdowałyby się teraz w jego mocy. Skoro nie kierował osobiście milicją i bandą łupieżców, znaczyło to, iż pewien był, że łatwiej dosięgnie Burbanków przy zatoce Marino.

W każdym razie Texar nie będzie mógł przeczyć, iż brał bezpośredni udział w porwaniu. Wszak Zerma wykrzyknęła jego imię. Pani Burbank i Alicja na pewno to słyszały. Gdy wybije godzina sprawiedliwości, kiedy Hiszpan będzie musiał odpowiedzieć za swoje zbrodnie, nie zdoła się więcej powołać na jedno z owych niewytłumaczalnych alibi, które tak bardzo mu dotąd pomagały.

A co teraz czeka jego dwie ofiary? Czy odeśle je w bagnisty region Evergladów, daleko poza źródła Saint Johns? Pozbędzie się Zermy jako groźnego świadka, którego zeznania mogłyby go kiedyś obciążać? Mulatka zastanawiała się nad tym. Z chęcią by własne życie poświęciła, gdyby to uratowało porwane z nią dziecko. Lecz jeśli ona zginie, to co się stanie z Dy w rękach Texara i jemu podobnych? Cierpła na samą myśl o tym i wtedy mocniej tuliła do siebie dziewczynkę, jakby ją Skambo miał zamiar wydrzeć z jej ramion.

Wreszcie Zerma spostrzegła, że łódź zbliża się ku lewemu brzegowi. Czy mogło to stanowić dla niej jakąś wskazówkę? Nie, gdyż nie wiedziała, że Hiszpan mieszka w głębi Czarnej Zatoki, na jednej z jej wysepek, podobnie jak nie wiedzieli o tym nawet zwolennicy Texara, ponieważ nikt dotąd nie został zaproszony do blokhauzu zajmowanego przez niego, Skamba i Murzynów.

Indianin bowiem tam właśnie wiózł Dy i Zermę. Głusza owej pełnej tajemnic okolicy uchroni ich przed wszelkimi poszukiwaniami.

Zatoka była właściwie niedostępna dla każdego, kto nie znał jej kanałów, położenia wysepek. Niezliczone ustronia sprawiały, że więźniowie mogli być tak dobrze ukryci, iż nikt nie trafi na ich ślad. W razie gdyby James Burbank próbował przeszukać owe zakamarki, zawsze będzie dość czasu, by przewieźć Mulatkę i dziecko na południe półwyspu. A wtedy znikną wszelkie; szanse na odnalezienie ich pośród tych rozległych przestrzeni, gdzie florydscy pionierzy rzadko się pojawiają, a tylko nieliczne grupy Indian przemierzają niezdrowe równiny.

Szybko pokonano czterdzieści pięć mil dzielących Camdless Bay od Czarnej Zatoki. Około jedenastej łódź mijiała zakręt rzeki znajdujący się jakieś dwieście jardów poniżej zatoki. Teraz wystarczyło tylko rozpoznać wejście do niej. Nie było to łatwe w głębokich ciemnościach skrywających lewy brzeg Saint Johns. Toteż choć Skambo znał te wody, wahał się jednak trochę, kiedy przyszło mu skrócić ster i ruszyć nurtem na ukos.

Manewr ten byłby niewątpliwie o wiele łatwiejszy, gdyby można popłynąć wzdłuż brzegu najeżonego niezliczonymi zatoczkami porośniętymi trzcina i roślinnością rzeczną. Lecz Indianin obawiał się, iż łódź osiadłaby na mieliźnie. A że odpływ miał niebawem ściągać wody Saint Johns w kierunku ujścia, Skambo znalazłby się w kłopotcie. Zmuszony czekać następnego przyływu, czyli blisko jedenaście godzin, jakże by zdołał pozostać niezauważonym w pełnym świetle dnia? Zazwyczaj rzekę przemierzały liczne łodzie i statki. Z powodu obecnych wydarzeń odbywała się nawet nieustanna wymiana korespondencji między Jacksonville i Saint Augustine. Niezawodnie rodzina Burbanków, o ile nie zginęła w czasie ataku na Castle House, od samego rana podejmie energiczne poszukiwania. Osiadły na mieliźnie Skambo nie umknąłby pogoni i znalazłby się w groźnym położeniu. Z tych zatem względów wołał zostać w głównym nurcie Saint Johns. A nawet, gdyby zaszła konieczność, gotów był zakotwiczyć na środku rzeki, żeby o świcie rozpoznać kanały Czarnej Zatoki, gdzie nikt nie będzie go w stanie ścigać.

Łódź tymczasem nadal sunęła z przyływem. Jak oceniał Skambo, za krótko płynęli, by się już znaleźć na wysokości zatoki.

Sterował więc nadal w górę rzeki, kiedy naraz rozległ się jakiś niezbyt oddalony dźwięk. Były to głucho uderzenia kół rozchodzące się po powierzchni rzeki. Zaraz też na zakręcie przy lewym brzegu pojawiła się ruchoma bryła.

To płynął statek pod małą parą, rzucając w mrok białe światło latarni. W niespełna minutę powinien się znaleźć przy łodzi.

Skambo gestem polecił Murzynom odłożyć wiosła i jednym ruchem steru skrzył ku prawemu brzegowi, zarówno po to, żeby zejść parowcowi z drogi, jak i po to, aby nie zostać spostrzeżonym.

Łódź dostrzegł jednak marynarz pełniący wachtę. Z pokładu padł rozkaz, aby podpłynęła do burty statku.

Skambo siarczyście zaklął. Ale nie mógł się uchylić od wezwania wyrażonego zwyczajową formułą. Chwilę później dobił do prawej burty parowca, którego koła stanęły.

Zerma natychmiast się podniosła.

Dojrzała w tej sytuacji szansę ratunku. Może uda jej się krzyknąć, rzucić swoje imię, prosić o pomoc, uciec Skambowi?

Indianin stanął przy niej. W dłoni trzymał szeroki kordelas. Drugą ręką chwycił dziewczynkę, którą Zerma daremnie próbowała mu wyrwać.

— Jedno słowo — powiedział — a zabiję małą!

Gdyby chodziło tylko o jej życie, Zerma by się nie zawahała. Ponieważ jednak nóż Indianina groził dziecku, zachowała milczenie. Z pokładu parowca nie było zresztą widać nic z tego, co się działo w łodzi.

Statek płynął z Picolaty, gdzie wziął na pokład oddział milicji udającej się do Jacksonville w celu wzmocnienia oddziałów Południowców, którzy mieli bronić rzeki.

Wychyliwszy się z mostka, oficer zagadnął Indianina:

— Dokąd zmierzacie?

— Do Picolaty.

Zerma zanotowała w pamięci tę nazwę, myśląc równocześnie, że Skambo nie wyjawia pewnie prawdziwego ich celu.

— Skąd płyniecie?

— Z Jacksonville.

— Co nowego słyszeć?

— Nic.

— A jak tam flotylla Duponta?

— Bez zmian.

— Żadnych wieści o niej od ataku na Fernandinę i Fort Clinch?

— Nie.

— A czy jakaś kanonierka wdarła się na Saint Johns?

— Ani jedna.

— Co to za łuny, któreśmy widzieli na północy, wybuchy dochodzące stamtąd, gdy staliśmy na kotwicy czekając na falę?

— Dziś w nocy napadnięto plantację Camdless Bay.

— Jankesi?

— Nie, milicja Jacksonville. Właściciel sprzeciwił się rozkazom komitetu...

— Doskonale!... Chodzi pewnie o tego; Jamesa Burbanka... zajadłego abolicjonistę!

— Właśnie o niego.

— I jaki wynik?

— Nie wiem. Przeżywałem tylko w pobliżu... Zdawało mi się, że wszystko stoi w ogniu!

W tej chwili z ust małej Dy wyrwał się cichy okrzyk... Zerma położyła jej dłoń na ustach w momencie, gdy palce Indianina zbliżyły się do szyi dziewczynki. Siedzący na mostku parowca oficer niczego nie usłyszał.

— Czy Camdless Bay ostrzeliwano z działa? — zapytał.

— Chyba nie.

— Więc skąd te trzy wybuchy, które słyszeliśmy od strony Jacksonville?

— Tego nie wiem.

— A zatem Saint Johns jest jeszcze wolny od Picolaty po samo ujście?

— Zupełnie wolny, możecie płynąć bez obawy.

— Świetnie. Odbijamy.

Do maszynowni poszły rozkazy i parowiec już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy Skambo zwrócił się do oficera:

— Wolno o coś spytać?

— Co takiego?

— Noc jest bardzo ciemna... Nie bardzo mogę się rozeznać... Może mi pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?

— Na wysokości Czarnej Zatoki.

— Dziękuję.

Kiedy łódź znalazła się kilkanaście sążni od statku, jego potężne koła uderzyły o powierzchnię rzeki. Parowiec zniknął powoli w mroku, zostawiając za sobą wzburzoną wodę.

Skambo, sam teraz na rzece, usiadł na rufie łodzi i kazał wiosłować. Wiedział już, gdzie się znajduje, i skręciwszy przez prawą burzę, wpłynął w wyłobienie, w głębi którego otwierała się Czarna Zatoka.

Zerma nie wątpiła dłużej, że właśnie w owym tak niedostępnym miejscu ukryje się Indianin, lecz ta pewność nie na wiele jej się zdała. Jakże powiadomi o tym swojego pana i jak tu szukać ich pośród niedostępnego labiryntu kanałów? Czyż zresztą dalej, za Czarną Zatoką, lasy hrabstwa Duval nie dawały możliwości zmylenia pościgu, gdyby James Burbank zdołał się wedrzeć w zatokę? Zachodnia część Florydy ciągle jeszcze była dzikim krajem, gdzie właściwie niepodobna odszukać jakikolwiek ślad. Poza tym nierozważnie byłoby się tam zapuszczać. Na lesistych i bagnistych terenach wciąż roiło się od groźnych Seminolów. Często rabowali podróżnych, którzy wpadli im w ręce, a kiedy próbowali się bronić, mordowali ich.

Nie tak dawno w górnej części hrabstwa, na północny zachód od Jacksonville, miała miejsce dziwna sprawa, o której dużo mówiono.

Dwunastu Florydczyków udających się nad Zatokę Meksykańską zostało napadniętych przez Seminolów. Nie zginęli co do jednego tylko dzięki temu, że nie stawiali żadnego oporu, co zresztą, przy stosunku dziesięciu na jednego, nic by nie dało.

Ludzie ci zostali dokładnie przeszukani i obrabowani ze wszystkiego, nawet z odzieży. Co więcej, pod groźbą śmierci zabroniono im pokazywać się kiedykolwiek na tych ziemiach, o które Indianie ciągle się jeszcze upominali. Ażeby ich zaś rozpoznać, gdyby złamali ów zakaz, wódz plemienia zastosował bardzo prosty sposób. Otóż polecił wytatuować im na ramieniu dziwny znak, piętno nie do usunięcia. Następnie Florydczyków wypuszczono nie czyniąc im więcej krzywdy. Dotarli do plantacji na północy w stanie raczej żalonym.

W innych czasach milicja hrabstwa Duval nie puściłaby płazem takiej napaści. Ruszyłaby w pogoń za Indianami. Teraz jednak były ważniejsze rzeczy niż nowa wyprawa przeciwko koczownikom. Wszystko przysłaniała obawa przed opanowaniem okolicy przez wojska jankeskie. Najistotniejsza sprawa to przeszkodzić im w zajęciu Saint Johns, a co za tym idzie, terenów, przez które rzeka płynie.

Nie można zatem było osłabiać sił Południowców, rozciągniętych od Jacksonville aż po samą granicę z Georgią. Później będzie czas ruszyć na Seminolów, tak rozzuchwalonych przez wojnę domową, że zapuszczali się nawet na te tereny na północy, skąd, jak sądzono, zostali na zawsze wypędzeni. A wtedy nie dość, że zepchnie się Indian na mokradła Evergladów, lecz przyjdzie ich zmieść do ostatniego.

Na razie ryzykownie było zapuszczać się na ziemię położone na zachodzie Florydy, a gdyby James Burbank miał kiedykolwiek w tych stronach prowadzić swe poszukiwania, do wszystkich niebezpieczeństw, jakie niosła ze sobą taka wyprawa, doszłoby jeszcze jedno.

Łódź dotarła tymczasem do lewego brzegu rzeki. Skambo wiedząc, że jest na wysokości Czarnej Zatoki łączącej się z Saint Johns, nie lękał się już, iż osiadzie na mieliźnie.

Toteż pięć minut później wpłynęli pod mroczną kopułę drzew w ciemnościach jeszcze głębszych

niż te, które panowały na rzece. Mimo że Skambo przywykł pływać po meandrach zatoki, w tych warunkach to by mu się nie udało. Skoro jednak nikt nie mógł ich już dostrzec, dlaczego nie miałyby sobie oświetlić drogi? Ucięto żywiczną gałąź z drzewa rosnącego na brzegu i zapalono na dziobie łodzi. To słabe światło musiało wystarczyć wyćwiczonemu oku Indianina do rozpoznania drogi. Przez blisko pół godziny płynęli płataniną kanałów, aż dotarli wreszcie do wysepki, na której znajdował się blokhauz.

Zerma musiała wtedy wysiąść na ląd. Wyczerpana dziewczynka spała jej na rękach. Nie obudziła się wtedy nawet, gdy Mulatka weszła do warowni, gdzie zamknięto je w jednej z izb przylegających do świetlicy.

Zerma owinęła Dy w derkę poniewierającą się w kącie i ułożyła na lichej pryczy, a sama przy niej czuwała.

ROZDZIAŁ II

OSOBLIWA OPERACJA

Nazajutrz, 3 marca, o ósmej rano Skambo wszedł do izby, w której Zerma spędziła noc. Przyniósł trochę jedzenia — chleb, kawałek zimnej dziczyzny, owoce, dzbanek dość mocnego piwa, dzbanek wody, a także nakrycia stołowe. Równocześnie jeden z Murzynów ustawił w kącie starą komodę z bielizną, pościelą, ręcznikami i rozmaitymi przyborami mogącymi się przydać Mulatce i dziecku.

Dy jeszcze spała. Zerma gestem poprosiła Skamba, by jej nie budził.

Kiedy Murzyn wyszedł, zapytała szeptem Indianina:

— Co z nami zrobicie?

— Nie wiem — odparł Skambo.

— Jakie rozkazy dał ci Texar?

— Czy Texar, czy kto inny, zostały wydane i lepiej się do nich zastosujcie — odparł Indianin. —

Dopóki tu będziecie, ta izba należy do was. W nocy macie być zamknięte w warowni.

— A w dzień?

— Możecie chodzić po obejściu.

— Dopóki tu będziemy?... — spytała Zerma. — A gdzie jesteśmy?

— Tam, gdzie kazano mi was przywieźć.

— Jak długo tu zostaniemy?

— Co miałem powiedzieć, powiedziałem — odrzekł Indianin. — Nie pytaj więcej, bo nie odpowiem.

I Skambo, zobowiązany widać do tej krótkiej wymiany zdań, wyszedł z izby, zostawiając Mulatkę z dzieckiem.

Zerma spojrzała na dziewczynkę. Do oczu napłynęły jej łzy, łzy, które szybko otarła. Dy nie powinna zobaczyć po przebudzeniu, że jej opiekunka płakała. Dziecko musi się powoli oswoić z nowym położeniem — położeniem groźnym być może, po Texarze bowiem należało się spodziewać wszystkiego.

Zerma rozmyślała o tym, co zaszło od poprzedniego wieczoru. Widziała, jak pani Burbank i Alicja szły brzegiem w górę rzeki, gdy łódź się oddalała. Dotarły do niej ich rozpaczliwe wołania, rozdzierające krzyki. Czy udało im się jednak wrócić podziemnym przejściem do obleganego Castle House, powiadomić Jamesa Burbanka i jego towarzyszy o nowym nieszczęściu, jakie ich ugodziło? Mogły przecież zostać pojmane przez ludzi Hiszpana, wywiezione daleko od Camdless Bay, może zabite? Jeśli tak właśnie się stało, to James Burbank nie dowiedział się, że jego córkę porwano z Zerumą. Będzie sądził, iż jego żonę, Alicję, dziecko i Mulatka wyruszyły łodzią z zatoki Marino i schroniły się w Cedrowej Skale, gdzie nic im nie grozi. A zatem nie od razu podejmie jakieś kroki, by je odnaleźć!...

Zakładając zaś, że pani Burbank i panna Alicja dostały się z powrotem do Castle House, że Jamesa Burbanka o wszystkim powiadomiono, to czy nie należało się obawiać, iż dwór zdobyli napastnicy, splądrowali go, spalili, zburzyli? Co się w takim razie mogło stać z obrońcami? Od uwięzionych lub poległych w walce Zerma nie mogła oczekiwać pomocy.

Jeśli nawet federaliści opanują Saint Johns, one obie będą zgubione. Ani Gilbert Burbank, ani Mars nigdy się nie dowiedzą, że siostra jednego i żona drugiego są zamknięte na wysepce w Czarnej Zatoce!

Cóż, gdyby tak właśnie było, gdyby Zerma musiała liczyć tylko na siebie, nie opuści jej energia.

Uczyni wszystko, by uratować to dziecko, które ma teraz może tylko ją na świecie. Jej życie skoncentruje się na jednej myśli: uciec! Każda godzina poświęcona będzie wyłącznie przygotowaniom do ucieczki.

Czy było jednak możliwe wyjść z fortu strzeżonego przez Skamba i Murzynów, umknąć dwóm dzikim ogarom krążącym wokół ogrodzenia, uciec z tej wysepki zagubionej pośród niezliczonych meandrów zatoki?

Owszem, możliwe to było, lecz pod warunkiem, że skrycie pomoże im jeden z niewolników Texara, znający drogę przez Czarną Zatokę. Dlaczego obietnica sowitej nagrody nie miałyby skusić któregoś z tych ludzi do udzielenia Zermie pomocy w ucieczce?... W tym kierunku miały pójść wszelkie starania Mulatki.

Tymczasem Dy się obudziła. W pierwszej chwili zawołała matkę. Później rozejrzała się po izbie. Przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego dnia. Ujrzawszy Mulatkę, podbiegła do niej.

— Och, Zermo, Zermo!... — wyszeptwała. — Boję się!... Boję się!...

— Nie trzeba się bać, kochanie.

— Gdzie mama?

— Niedługo przyjdzie. Wiesz, że musiałyśmy uciec. Teraz nic nam nie grozi. Tutaj nie mamy się czego bać... Jak tylko tatuś doczeka się pomocy, zaraz do nas przyjdzie.

W spojrzeniu Dy Zerma wyczytała pytanie: Czy naprawdę?

— Tak, tak! — rzekła szybko, chcąc za wszelką cenę uspokoić dziecko. — Tak. Pan Burbank kazał nam tutaj na siebie czekać...

— A ci ludzie, co nas przywieźli łodzią? — pytała dalej dziewczynka.

— To służba pana Harveya, kochanie... Wiesz, pana Harveya, przyjaciela twojego tatusia, który mieszka w Jacksonville... Jesteśmy w jego dworcu w Hampton Red.

— A mama i Alicja? Szły z nami. Dlaczego ich tu nie ma?

— Pan Burbank zawołał je, gdy miały wsiąść do łodzi... Przypomnij sobie!... Jak tylko wygonią tych złych ludzi z Camdless Bay, przyjadą po nas. No, no, nie płacz!... Nic się nie bój, kochanie, nawet jeżeli zostaniemy tutaj kilka dni... Jesteśmy dobrze schowane... a teraz chodź, to cię umyję i uczeszę.

Dy uparcie wpatrywała się w Zermę i mimo uspokajających słów Mulatki, z jej ust wyrwało się ciężkie westchnienie. Nie potrafiła, jak zwykle, śmiać się po przebudzeniu.

Nade wszystko należało ją czymś zająć, rozerwać.

Zerma postarała się o to z czułą troską. Toaleta dziewczynki została zrobiona równie starannie, jak gdyby Dy znajdowała się w swoim miłym pokoiku w Castle House, a równocześnie Mulatka zabawiała ją opowieściami. Potem wspólnie zjadły śniadanie.

— A teraz, skarbie, jeśli chcesz, pójdziemy się przejść... po ogrodzie...

— Czy dworek pana Harveya jest ładny? — spytała Dy.

— Ładny?... Nie... — odparła Zerma. — Myślę, że to taka rudera. Ale są drzewa, strumyki, mamy gdzie spacerować... Zostaniemy tu zresztą tylko kilka dni, a jeżeli nie będziesz za bardzo tęsknić, jeżeli będziesz grzeczna, to mamusia na pewno się ucieszy!

— Tak, tak, Zermo — rzekła dziewczynka.

Drzwi izby nie były zamknięte na klucz. Zerma wzięła dziecko za rękę i wyszły. Najpierw znalazły się w mrocznej świetlicy. Chwilę później chodziły już w pełnym świetle dnia, w cieniu wysokich drzew, przez których liście przedzierały się promienie słońca.

Obejście nie było rozległe — miało powierzchnię około akra, z czego większą część zajmował blokhauz. Otaczająca je palisada nie pozwoliła się Zermie zorientować w położeniu wysepki na

zatoce. Jedyne, co zdołała dojrzeć przez starą bramę, to że dość szeroki kanał o mętnej wodzie oddzielał ją od sąsiednich wysepek. Bardzo trudno byłoby zatem uciec stąd kobiecie z dzieckiem.

Gdyby nawet Zermie udało się zdobyć łódź, jak zdoła przebyć niekończące się odnogi? Nie miała przecież pojęcia, że tylko Texar i Skambo znają drogę do wysepki. Murzyni Hiszpana nie opuszczali fortu, nigdy dotąd się stamtąd nie oddalili. Nie wiedzieli nawet, gdzie Texar ich trzyma. Aby dotrzeć do brzegu Saint Johns, a także do moczarów przylegających do zatoki na zachodzie, trzeba by liczyć na szczęśliwy traf. A czyż zdanie się na przypadek nie równało się pewnej zgubie?

W ciągu następnych dni zresztą Zerma, zorientowawszy się w położeniu, stwierdziła, że prawdopodobnie nie ma się co spodziewać jakiegokolwiek pomocy ze strony niewolników Texara. Byli to w większości na wpół zezwierzeceni Murzyni o nie budzącym zaufania wyglądzie. Chociaż Hiszpan nie trzymał ich na łańcuchu, niewiele większą cieszyli się wolnością. Dobrze żywieni tym, co dawała wysepka, nałogowo pijący trunki, których niezbyt im skąpił Skambo, obowiązani głównie strzec blokhauzu i bronić go w razie potrzeby, nie byli zainteresowani zamianą takiego życia na inne.

Nie obchodziło ich, że kilka mil od Czarnej Zatoki toczy się walka o zniesienie niewolnictwa. Odzyskać wolność? Po co? Co by z nią robili? Texar zapewniał im byt. Skambo nie traktował ich źle, choć należał do ludzi gotowych skrócić kark każdemu, kto by choć trochę uniósł głowę. Nawet o tym nie myśleli. Byli istotami niżej stojącymi niż dwa ogary, które krążyły wokół fortu. Nie ma bowiem przesady w stwierdzeniu, iż psy przewyższały ich inteligencją. Znały wszak całą zatokę. Przepływały jej niezliczone odnogi. Przebiegały od wysepki do wysepki, wiedzione cudownym instynktem, który nie pozwalał im zbłądzić. Ich szczekanie rozlegało się niekiedy nawet na lewym brzegu rzeki i same wracały do warowni z zapadnięciem nocy. Żadna łódź nie mogłaby wpłynąć do zatoki niepostrzeżenie dla tych dwóch groźnych strażników. Z wyjątkiem Skamba i Texara nikt by nie opuścił fortu nie narażając się na pokąsanie przez dzikich potomków psów karaibskich.

Zobaczywszy, jak jest strzeżony fort, Zerma pojęła, że nie może się spodziewać żadnej pomocy po strażnikach, i w tej sytuacji każda inna kobieta, mniej dzielna, mniej energiczna, poddałaby się rozpacz. Tak się jednak nie stało. Albo wybawienie nadejdzie z zewnątrz — a nadejść mogło tylko od Jamesa Burbanka, o ile będzie miał swobodę działania, bądź od Marsa, o ile ów się dowie, w jakich okolicznościach zniknęła jego żona — albo Zerma będzie musiała liczyć tylko na siebie, by uratować dziewczynkę. Postara się dopełnić tego obowiązku.

Zerma, całkowicie odosobniona na tej wysepce, widziała wokół siebie jedynie dzikie twarze. Wydawało jej się wszelako, że jeden z Murzynów, młody jeszcze, spogląda na nią z pewnym współczuciem. Czyżby tu świtała jakaś nadzieja? Czy mogłaby mu zawierzyć, wskazać położenie Camdless Bay, uprosić go, by uciekł i udał się do Castle House? Raczej wątpliwe. Skambo zresztą niewątpliwie spostrzegł owe oznaki zainteresowania ze strony niewolnika, trzymał go bowiem z dala od Zermie. Więcej go nie spotkała w czasie przechadzek po obejściu.

Minęło kilka dni nie przynoszących żadnej zmiany w położeniu uwięzionych. Od rana do wieczora Zerma i Dy cieszyły się swobodą ruchów. Wprawdzie na noc Skambo nie zamykał ich w izbie, nie mogły jednak przejść przez świetlicę. Indianin nigdy się do nich nie odzywał, a Zerma musiała zrezygnować z wypytywania go. Nie opuszczał ani na chwilę wysepki. Czulo się, że bezustannie ich pilnuje. Zerma przeniosła zatem całą swoją uwagę na dziecko, które wciąż się dopytywało o matkę.

— Przyjedzie!... — odpowiadała jej Zerma. — Miałam od niej wiadomość. I twój tatuś też przyjedzie, kochanie, z panną Alicją...

Po takiej odpowiedzi nie wiedziała, co jeszcze wymyślić.

Łamała więc sobie głowę, czym rozerwać dziewczynkę, bardzo rozumną jak na swój wiek.

Tak minął czwarty, piąty i szósty dzień marca. Mimo że Zerma nasłuchiwała, czy odległe wybuchy nie obwieszczą wplynięcia floty federalnej na wody Saint Johns, nie dotarł do niej żaden tego rodzaju dźwięk. Czarną Zatokę spowijała zupełna cisza. Wynikało z tego, iż Floryda nie znalazła się jeszcze w rękach armii Północy. Niepokoiło to Mulatkę w najwyższym stopniu. Gdyby James Burbank i jego przyjaciele zostali pozbawieni możliwości działania, czyż nie powinna liczyć przynajmniej na Gilberta i Marsa? Jeśli kanonierki opanują rzekę, oni na pewno przeszukają jej brzegi, potrafią dotrzeć aż do wysepki. Przecież byle kto z Camdless Bay niewątpliwie powiadomi ich o tym, co się wydarzyło. A tu nic nie wskazywało na to, że na rzece toczy się walka.

Zermę dziwiło również, że Hiszpan dotąd nie pojawił się w forcie, ani w dzień, ani w nocy. Przynajmniej nie zauważyła nic takiego, co by o tym świadczyło. A wszak niewiele spała, długie godziny bezsenności spędzając na nasłuchiowaniu — jak dotąd, na próżno.

Co by jej zresztą dało, gdyby Texar zjawił się na wysepce, gdyby przed nim stanęła? Czyby wysłuchał jej błagań lub grózb? Czy nie należało się bardziej obawiać jego obecności niż nieobecności?

I oto wieczorem 6 marca Zerma rozmyślała po raz nie wiadomo który nad tym wszystkim. Dochodziła godzina jedenasta. Dy spała już, nawet dość spokojnie. Izbę, będącą im celą, ogarniały głębokie ciemności. Wewnątrz panowała zupełna cisza, przerywana niekiedy świstem wiatru wdzierającego się przez szpary w ścianach blokhausu.

Naraz Mulatce zdało się, że słyszy kroki w świetlicy. W pierwszej chwili sądziła, że to Indianin wraca do swojej izdebki położonej naprzeciwko, obszedłszy jak zwykle teren warowni. Lecz oto dobiegły do niej słowa rozmowy dwóch osób. Podeszła do drzwi, nastawiła ucha — poznała głos Skamba, a zaraz potem Texara.

Przebiegał ją dreszcz. Co Hiszpan robił o tej porze w forcie? Czy chodziło o jakieś nowe knowania przeciwko Mulatce i dziecku? Czy zostaną wyprowadzone z tej izby, przewiezione do jakiejś innej kryjówki, bardziej jeszcze ukrytej, trudniej dostępnej niż wysepka w Czarnej Zatoce?

W jednej chwili te przypuszczenia przemknęły Zermie przez głowę...

Zaraz się jednak opanowała, przywarła do drzwi nasłuchując.

— Co nowego? — mówił Texar.

— Nic, panie — odparł Skambo.

— A Zerma?

— Nie odpowiadałem na jej pytania. — Próbował ktoś ich szukać?

— Tak, ale bez skutku.

Z tych słów Zerma pojęła, że ktoś prowadził poszukiwania. Lecz kto?

— Skąd o tym wiesz? — spytał Texar.

— Podpłynąłem parę razy do Saint Johns — odrzekł Indianin. — Kilka dni temu zauważyłem łódź, która nie kryjąc się krążyła w pobliżu Czarnej Zatoki. Dwóch ludzi wysiadło nawet na jedną z przybrzeżnych wysepek.

— Kto to był?

— James Burbank i Walter Stannard.

Zerma ledwie mogła opanować wzruszenie. James Burbank i Walter Stannard! A więc nie wszyscy obrońcy Castle House polegli podczas ataku na plantację! A skoro rozpoczęli poszukiwania, to znaczy, że wiedzą o porwaniu dziecka i Mulatki. Skoro zaś o tym wiedzą, to znaczy, że powiedziały im pani Burbank i panna Alicja. Obydwie więc żyją! Udało im się wrócić do Castle House i usłyszały ostatni krzyk Zermy wzywającej pomocy przeciwko Texarowi. James Burbank wie zatem, co się wydarzyło. Zna imię tego nędznika. Może nawet ma podejrzenia co do miejsca, gdzie

ukryto porwane. Potrafi je odnaleźć!

Zerma w jednej chwili powiązała te fakty. Wielka nadzieja wstąpiła w nią — nadzieja, która niemal natychmiast się rozviała, gdy usłyszała odpowiedź Hiszpana:

— A niech szukają, i tak nie znajdą! Zresztą już wkrótce nie będziemy musieli bać się Burbanka.

Mulatka nie mogła pojąć, co oznaczają owe słowa. W każdym razie w ustach człowieka, któremu posłuszny był komitet Jackson-ville, musiała to być niebezpieczna pogrożka.

— A teraz, Skambo, jesteś mi potrzebny na jakąś godzinę — rzekł Hiszpan.

— Słucham cię, panie.

— Chodź ze mną.

Po czym weszli do izby zajmowanej przez Indianina.

Co będą tam robić? Czy nie wchodziła w grę jakaś tajemnica, którą Zermie uda się jakoś potem wykorzystać? W tym położeniu nie powinna zaniedbać niczego, co by się mogło jej przydać.

Jak wiemy, drzwi od izby Mulatki i Dy nie zamykano nawet na noc. Taka przezorność byłaby zresztą zbędna, ponieważ wejście do blokhauzu od wewnątrz ryglowano, a Skambo nosił klucz przy sobie. Nie można by zatem opuścić warowni, a co za tym idzie, próbować ucieczki.

Toteż Zerma mogła otworzyć drzwi swojej izby i podejść do tamtych na palcach i ze wstrzymanym oddechem.

Panowała nieprzenikniona ciemność. Jedyne z izby Indianina prześwitywały słabe promienie światła.

Zerma podeszła do drzwi i spojrzała przez szparę między deskami. To, co zobaczyła, było tak osobliwe, że aż niepojęte.

Choć izbę rozjaśniał tylko ogarek świecy, jej blask wystarczał Indianinowi, który się z mozołem oddawał delikatnej czynności.

Texar zdjął skórzaną kurtkę i siadł przed nim z obnażonym lewym ramieniem, wspierając je na stoliku oświetlonym świecą. Na wewnętrznej stronie przedramienia rozpostarty był kawałek dziwnego w kształcie papieru z niewielkimi dziurkami. Skambo cienką igłą nakłuwał skórę w miejscach oznaczonych na papierze dziurkami. Indianin robił Texarowi tatuaż — na czym musiał się jako Seminol nieźle znać. Istotnie, czynił to dość zręcznie i delikatnie, tak, żeby czubek igły drasnął tylko skórę nie wywołując bólu.

Kiedy Skambo skończył, zdjął papier i wzięwszy kilka liści rośliny przyniesionej przez Texara, potarł nimi przedramię swego pana. Sok tej rośliny, wprowadzony w nakłucia, wywołał swędzenie, i to dotkliwie. Hiszpan nie był bowiem człowiekiem skarżącym się na byle drobiazg.

Potem Skambo przybliżył świeczkę do tatuażu. Na skórze Texa-ra wyraźnie pojawił się wtedy czerwony rysunek.

Był identyczny z rysunkiem wydziurkowanym na papierze. Skopiowano go absolutnie wiernie. Przedstawiał krzyżujące się linie, które wyobrażały symboliczną figurę z wierzeń Seminolów.

Zerma widziała to wszystko, ale jak już powiedziano, nic z tego nie rozumiała. Jaką Texar mógł mieć korzyść z tego tatuażu? Po co ów „znak szczególny”, używając określenia stosowanego w paszportach? Czyżby chciał uchodzić za Indianina? Kłóciły się z tym i barwa jego skóry, i charakter. Czy nie należało tu raczej widzieć związku ze znakiem, jakim niedawno naznaczono podróżnych, co to wpadli w ręce Seminolów na północy hrabstwa? I czy tym samym Texar nie chciał przypadkiem znów sobie zapewnić jednego z owych niewytłumaczalnych alibi, które tak świetnie dotychczas wykorzystywał? Możliwe, że była to kolejna z tajemnic nierozzerwalnie związanych z jego życiem, a przyszłość ją pewno ujawni.

Nad inną jeszcze rzeczą zastanawiała się Zerma. Czyżby Hiszpan zjawił się w forcie tylko po to,

by wykorzystać zręczność Skamba w materii tatuażu? Czy teraz opuści Czarną Zatokę i wróci na północ Florydy, niewątpliwie do Jacksonville, którym rządzą nadal jego zwolennicy? A może ma raczej zamiar zostać tutaj do rana, wezwać przed siebie Mulatkę, podjąć nowe decyzje co do więźniarek?

W tym względzie Zerma została wnet uspokojona. Szybko wróciła do izdebki, jak tylko Hiszpan podniósł się, by przejść do świetlicy.

Przywarłszy w izbie do drzwi, posłuchała jeszcze krótkiej wymiany zdań między Indianinem i jego panem.

— Czuwaj baczniej niż zwykle — rzekł Texar.

— Dobrze, panie — odparł Skambo. — A gdyby nas mimo wszystko Burbank zbyt mocno przycisnął w Czarnej Zatoce...

— Powtarzam, że Burbank za kilka dni będzie niegroźny. Gdyby zresztą było trzeba, to wiesz, gdzie przewieźć Mulatkę i dziecko... Ja tam do was dołączę.

— Tak, panie, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że Gilbert, syn Burbanka, i Mars, mąż Zermy...

— W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będą w moich rękach — odrzekł Texar — a gdy ich będę miał...

Zerma nie usłyszała końca tego zdania zawierającego pogroźkę wobec jej męża, wobec Gilberta. Texar i Skambo wyszli z blokhauzu, którego drzwi zamknęły się za nimi.

Kilka chwil później czółno kierowane przez Indianina opuściło wysepkę i ruszyło poprzez mroczne meandry zatoki, by dotrzeć do łodzi czekającej na Hiszpana przy wylocie na Saint Johns. Texar rozstał się tam ze Skambem, wydawszy mu jeszcze ostatnie polecenia, po czym niesiony odpływem, ruszył szybko w stronę Jackson-

Dotarł tam o świcie, w sam czas, by wcielić swe plany w czyn. I oto kilka dni później Mars zniknął pod wodami Saint Johns, a Gilbert Burbank został skazany na śmierć.

ROZDZIAŁ III

W PRZEDEDNIU

Gilbert Burbank został osądzony 11 marca z rana przez komitet Jacksonville. Wieczorem tego samego dnia jego ojca osadzono w areszcie z rozkazu tegoż komitetu. Dwa dni później młody porucznik miał zostać rozstrzelany, a James Burbank, oskarżony o współudział i skazany na taką samą karę, umrzeć razem z nim.

Jak wiadomo, Texar trzymał komitet w ręku. Jego wola była prawem. Wykonanie wyroku na ojcu i synu będzie tylko preludium do krwawych wybryków, jakich dopuści się „biała nędza”, wspierana przez pospólstwo, wobec Jankesów na Florydzie i wobec tych, którzy podzielali ich poglądy w kwestii niewolnictwa. Ileż osobistych uraz zostanie w ten sposób zaspokojonych pod płaszczykiem wojny domowej! Tylko obecność wojsk federalnych mogłaby temu zapobiec. Czy jednak wkroczą? A zwłaszcza czy wkroczą, zanim pierwsze ofiary nienawiści Hiszpana oddadzą życie?

Na nieszczęście były powody, aby w to wątpić.

Łatwo pojąć, ile niepokoju w Castle House budziła ta zwłoka! Wydawało się bowiem, że plany wplynięcia w górę Saint Johns zostały chwilowo przez Stevensa odroczone. Kanonierki nie czyniły nic, by opuścić kotwicowisko. Czyżby nie śmiały przebyć mierzei na rzece teraz, gdy nie było Marsa, który by je przeprowadził przez kanał? Czyżby zrezygnowały z zajęcia Jacksonville, a co za tym idzie, z zapewnienia bezpieczeństwa plantacjom w górze Saint Johns? Jakie nowe wydarzenia wojenne mogły tak zmienić plany komodora Duponta?

Nad tym wszystkim zastanawiali się Walter Stannard i rządcą Perry przez cały nieskończenie długi dzień 12 marca.

Wtedy bowiem, zgodnie z wieściami krążącymi po okolicy, wysiłki Północy zdawały się koncentrować głównie na terenach nadmorskich. Komodor Dupont na okręcie „Wabash” z najsilniejszymi kanonierkami ze swojej eskadry zjawił się w zatoce Saint Augustine. Powiadano nawet, że milicja szykowała się do opuszczenia miasta, równie dzielnie broniąc Fort Marion, jak broniono Fort Clinch, kiedy poddano Fernandinę.

Takie przynajmniej wieści przyniósł rządcą do Castle House z rana. Przekazano je natychmiast Stannardowi i Carrolowi, którego nie zablizniona rana zmuszała do pozostania w łóżku.

— Federaliści w Saint Augustine! — zawołał Carrol. — Dlaczego nie wkroczą do Jacksonville?

— Może chcą tylko zablokować rzekę przy ujściu, a nie opanować ją — rzekł na to Perry.

— James i Gilbert są zgubieni, jeżeli Jacksonville zostanie w rękach Texara! — powiedział Stannard.

— A może uprzedzić komodora Duponta o niebezpieczeństwie, jakie grozi panu Burbankowi i jego synowi? — zaproponował Perry.

— Trzeba całego dnia, żeby się dostać do Saint Augustine — odparł Carrol — zakładając przy tym, że nie przeszkodzi w tym wycofująca się milicja. A zanim jeszcze komodor prześle Stevensowi rozkaz zajęcia Jacksonville, upłynie zbyt wiele czasu. W dodatku ta mierzeja... Jeśli kanonierki nie zdołają jej przebyć, jakże uratować biednego Gilberta, który ma być jutro rozstrzelany? Nie, nie... Trzeba jechać nie do Saint Augustine, ale do Jacksonville!... Trzeba się zwrócić nie do komodora Duponta lecz... do Texara...

— Pan Carrol ma słuszość, ojczy... Ja pojedę! — odezwała się Alicja, usłyszawszy ostatnie słowa Carrola.

Nieulekła dziewczyna gotowa była wszystkiego spróbować i na wszystko się odważyć, byle

uratować Gilberta.

James Burbank, opuszczając poprzedniego dnia Camdless Bay, polecił, aby nie powiadamiać jego żony, iż zabrano go do Jackson-ville. Pragnął ukryć przed nią, że komitet rozkazał go arestować. Pani Burbank nie wiedziała więc o tym, podobnie jak nie знаła losu syna, który, jak sądziła, znajduje się na pokładzie okrętu. Jakże nieszczęsna kobieta zniosłaby ów podwójny cios? Mąż w mocy Te-xara, syn w przededniu wykonania wyroku! Nie przeżyłaby tego. Kiedy zapytała o Jamesa Burbanka, Alicja powiedziała jej tylko, że wyruszył z Castle House na dalsze poszukiwania Dy i Zermy oraz że jego nieobecność może się przedłużyć do dwóch dni. Toteż wszystkie myśli pani Burbank biegły teraz ku zaginionemu dziecku. I tak było to więcej, niż mogła znieść.

Alicja wszelako wiedziała o wszystkim, co groziło obu Burbankom. Wiedziała, że Gilbert ma być nazajutrz rozstrzelany, że taki sam los czeka jego ojca. Postanowiwszy tedy zobaczyć się z Texarem, prosiła Carrola, by pozwolił jej przepłynąć na drugi brzeg.

— Ty, Alicjo?... Do Jacksonville! — zawołał Stannard.

— Ojczy... muszę!

Zupełnie oczywiste wahanie Stannarda ustąpiło naraz wobec konieczności bezzwłocznego działania. Gilberta można było uratować, ale wyłącznie tak, jak chciała spróbować Alicja. Może gdy rzuci się przed Texarem na kolana, uda jej się go wzruszyć? Może uzyska odroczenie egzekucji? Może znajdzie oparcie w prawych ludziach, których jej rozpacz poderwie wreszcie do wystąpienia przeciwko nieznośnej tyranii komitetu? Należało więc udać się do Jacksonville, choć niebezpieczeństwo było spore.

— Perry, proszę mnie zawieźć do pana Harveya — rzekła dziewczyna.

— Oczywiście — odparł rządca.

— Nie, Alicjo, ja popłynę z tobą — powiedział Stannard. — Tak... ja. Ruszajmy!

— Ty, Walterze?... — zaoponował Edward Carrol. — Ależ narażasz się... Zbyt znane są twoje poglądy...

— To nieważne! — odparł Stannard. — Nie pozwolę mojej córce jechać samej między tych szaleńców. Perry niech zostanie w Castle House, Edwardzie, ponieważ ty nie możesz jeszcze chodzić, a trzeba się liczyć z tym, że możemy zostać zatrzymani...

— A jeżeli pani Burbank cię zawoła — rzekł Carrol — jeśli zawoła Alicję, co jej powiem?

— Powiesz, że dołączyliśmy do Jamesa, że razem z nim prowadzimy poszukiwania po drugiej stronie rzeki... W ostateczności powiedz jej, że musieliśmy jechać do Jacksonville... lub cokolwiek, byle ją tylko uspokoić, ale nic takiego, co by mogło wzbudzić w niej podejrzenia, że coś zagraża jej mężowi i synowi... Perry, każ przygotować łódź.

Rządca zaraz poszedł, zostawiając Stannarda, który szykował się do wyjazdu.

Wszelako byłoby lepiej, gdyby Alicja nie wyjechała z Castle House nie uprzedziwszy pani Burbank, że zmuszeni są z ojcem udać się do Jacksonville. W razie potrzeby nawet powinna bez wahania oświadczyć, iż stronnictwo Texara zostało obalone... że federaliści opanowali rzekę... że już jutro Gilbert przybędzie do Camdless Bay... Czy jednak dziewczyna będzie miała dość sił, by się nie zmieszać, czy nie zdradzi jej głos, gdy będzie mówić o tym, co w tej chwili wydawało się niemożliwe?

Kiedy weszła do pokoju chorej, pani Burbank spała, a raczej pogrążona była w bolesnym odrętwieniu, w głębokim letargu, z którego Alicja nie miała odwagi jej wyrwać. Może i lepiej, że w ten sposób dziewczynę ominął obowiązek uspokojenia jej?

Przy łóżku chorej czuwała jedna ze służących. Alicja poleciła jej nie oddalać się ani na chwilę i zwracać się do Carrola w sprawie wszelkich odpowiedzi na pytania, jakie pani Burbank mogła

zadać. Następnie pochyliła pyła się nad nieszczęsną matką, musnęła jej czoło wargami i wyszła z pokoju.

Znalazłszy się przy Stannardzie, rzekła:

— Jedźmy, ojczy.

Uścisnęli prawicę Carrola, po czym wyszli z domu. W połowie bambusowej alei prowadzącej do przystani spotkali rządę.

— Łódź czeka — oznajmił im Perry.

— Doskonale — odparł Stannard. — Czuwaj nad Castle House, przyjacielu.

— Proszę się nie martwić. Nasi Murzyni oczywiście wracają po woli na plantację. Co by poczęli z wolnością, do której nie zostali stworzeni? Niech tylko pan Burbank wróci, a znajdzie wszystkich na swoich miejscach.

Stannard z córką wsiedli do łodzi kierowanej przez czterech marynarzy z Camdless Bay. Z wciągniętym na maszt żaglem przy lekkiej bryzie ze wschodu szybko odплыnęli. Wkrótce przystań zniknęła za wybiegającym na północny wschód cyplem.

Stannard nie zamierzał wysiadać w porcie w Jacksonville, gdzie niechybnie by go rozpoznano. Lepiej było przybić do brzegu w głębi niewielkiego zakola trochę powyżej portu. Stamtąd bez trudu dotrą do domostwa Harveya położonego z tej strony na skraju przedmieścia. Tam też postanowią, zależnie od okoliczności, jakie powinni podjąć kroki.

Saint Johns o tej porze był pusty. Nikogo ani w górze rzeki, skąd mogłaby nadciągnąć milicja z Saint Augustine wycofująca się na południe, ani w dole — żadna więc walka nie wywiązała się między statkami florydzkimi i kanonierkami komendanta Stevensa. Nie było nawet widać ich kotwicowiska, gdyż załom Saint Johns zamykał horyzont poniżej Jacksonville.

Wspomagani pełnym wiatrem Stannard z Alicją szybko dopłynęli do lewego brzegu. Udało im się niepostrzeżenie wysiąść na ląd w nie pilnowanej zatoczce i kilka minut później znaleźli się w domu pełnomocnika Jamesa Burbanka.

Harvey bardzo się zdziwił, a zarazem zaniepokoił. Ich pojawienie się pośród pospólstwa, coraz bardziej podnieconego i w pełni oddanego Texarowi, niesło ze sobą niebezpieczeństwa. Wiedzano, iż Stannard podziela poglądy głoszone w Camdless Bay. Splądrowanie jego własnego domu w Jacksonville było ostrzeżeniem, z którym powinien się liczyć. Z pewnością bardzo się narażał. Gdyby go rozpoznano, w najlepszym razie zostanie uwięziony jako współnik Burbanka.

— Trzeba ratować Gilberta! — odpowiedziała na uwagi Harveya Alicja.

— Tak — przyznał — trzeba spróbować. Ale niech się pan nie pokazuje nikomu, my będziemy działać.

— Pozwolą mi na widzenie w więzieniu? — spytała Alicja.

— Nie sądzę, panno Alicjo.

— A uda mi się dotrzeć do Texara?

— Spróbujemy.

— Może bym jednak poszedł z wami? — nastawał Stannard.

— Nie, nie, to by zniweczyło nasze zabiegi u Texara i jego komitetu.

— Chodźmy więc — rzekła Alicja.

Przed ich odejściem Stannard chciał się jednak dowiedzieć, czy miały miejsce jakieś nowe wydarzenia wojenne, o których wieści nie dotarły do Camdless Bay.

— Nic nowego — odparł Harvey — przynajmniej jeśli chodzi o Jacksonville. Flotylla federalna wpłynęła do zatoki Saint Augustine i miasto się poddało. Co się tyczy Saint Johns, to nie zasygnalizowano żadnej zmiany. Kanonierki ciągle stoją na kotwicy poniżej mierzei.

— Dalej za niska woda, żeby ją przebyły?

— Tak. Ale dzisiaj będzie jeden z największych przyptywów wiosennej równonocy. Około trzeciej woda się podniesie i może kanonierkom uda się przepłynąć...

— Przepłynąć bez pilota, teraz, kiedy nie ma Marsa, żeby ich przeprowadzić przez kanał! — odezwała się Alicja tonem, który wskazywał, że nie żywi ani cienia nadziei. — Nie! To niemożliwe!... Panie Harvey, muszę się zobaczyć z Texarem, a jeśli nie zechce ze mną rozmawiać, zrobimy wszystko, byle Gilbert uciekł...

— Dokonamy tego, panno Alicjo.

— Czy nastroje w Jacksonville nie uległy zmianie? — spytał Stannard.

— Nie — odparł Harvey. — Dalej rządzą łajdacy, a nad nimi stoi Texar. Jednakże łotrostwa i pogróżki komitetu oburzają porządną ludzi. Wystarczyłoby, żeby federaliści choć o krok posunęli się na rzece, a ten stan rzeczy ulegnie zmianie. Pospółstwo jest w sumie tchórzem podszyte. Gdyby się przestraszyło, Texar i jego zwolennicy zostaliby szybko obaleni... Mam jeszcze nadzieję, że komendant Stevens zdoła przebyć mierzeję...

— Nie będziemy na to czekali — zdecydowanie rzekła Alicja. — Zdażę się wcześniej zobaczyć z Texarem.

Postanowiono zatem, że Stannard zostanie w domu, a żeby w Jacksonville nie dowiedziano się o jego obecności. Harvey gotów był pomóc Alicji we wszystkich zabiegach, choć ich powodzenie było co najmniej wątpliwe. Jeśli Texar odmówi darowania życia Gilbertowi, jeżeli Alicji nie uda się dotrzeć do niego, spróbują za najwyższą nawet cenę zorganizować ucieczkę porucznika i jego ojca.

Dochodziła jedenasta, kiedy Alicja i Harvey wyszli z domu i ruszyli w kierunku sądu, gdzie komitet pod przewodnictwem Texara miał stałą siedzibę.

W mieście ciągle panowało wielkie podniecenie. To tu, to tam widać było grupy milicji wzmocnionej oddziałami przybyłymi z Południa. Spodziewano się, że w ciągu dnia milicja z Saint Augustine, które się poddało, nadciągnie bądź rzeką, bądź drogą przez lasy na prawym brzegu Saint Johns, przeprawiając się przez rzekę na wysokości Jacksonville. W mieście kręciło się zatem wielu ludzi. Krążyły setki nowin, jak zwykle sprzecznych, co powodowało zamęt. Łatwo było się zresztą domyślić, że gdyby federaliści dotarli w pobliże portu, nie byłoby jednościami działania obrońców, a opór by stawiono niewielki. Skoro dziewięć dni wcześniej Fernandina poddała się oddziałom desantowym generała Wrighta, skoro do Saint Augustine wpłynęła eskadra komodora Duponta nie natykając się na żadne właściwie przeszkody, nietrudno przewidzieć, że podobnie będzie w Jacksonville. Milicja florydzka, ustępując przed oddziałami Północy, wycofa się w głąb hrabstwa. Jedno tylko mogło uratować Jacksonville od zajęcia, przedłużyć władzę komitetu Texara, pozwolić na realizację jego krwiożerczych zamiarów: gdyby kanonierki z takiego czy innego powodu — za niska woda lub brak pilota — nie mogły przebyć mierzei. W dodatku za kilka godzin ten problem będzie rozwiązany.

Alicja i Harvey tymczasem kierowali się w stronę rynku pośród coraz gęstszego tłumu. Co zrobić, żeby się dostać do budynku sądu? Nie mieli pojęcia. Gdy już się tam znajdą, jak zdołają dotrzeć do Texara? Nie wiedzieli. Kto wie, czy Hiszpan, powiadomiony, że Alicja Stannard prosi o rozmowę, nie pozbędzie się jej, każąc ją aresztować i zatrzymać aż do wykonania wyroku na poruczniku?... Dziewczyna jednak nie dopuszczała do siebie takiej ewentualności. Dotrzeć do Texara, wyprosić ułaskawienie dla Gilberta — żadne niebezpieczeństwo nie mogłoby jej odwieść od tego zamiaru.

Kiedy dotarli do rynku, zastali tam zbiegowisko gawiedzi jeszcze bardziej hałaśliwe. Powietrzem wstrząsały krzyki, ze wszech stron padały złorzeczenia przeplatane ponurymi słowami, biegnącymi

od grupy do grupy: „Precz!... Na śmierć!...”

Harvey dowiedział się, że komitet od godziny prowadzi rozprawę. Ogarnęło go straszne przecucie — przecucie, które wkrótce miało się sprawdzić. Komitet bowiem sądził Jamesa Burbanka jako współnika syna, pod zarzutem utrzymywania kontaktów z armią Północy. Takie samo przestępstwo, taki sam bez wątpienia wyrok, i ukoronowanie dzieła zemsty Texara na rodzinie Burbanków!

Harvey nie chciał zatem iść dalej. Próbował odwieść Alicję od jej zamiaru. Nie powinna oglądać gwałtów, do jakich gawieź zdawała się być gotowa w chwili, gdy skazani wyjdą z sądu po ogłoszeniu wyroku. Nie była to w dodatku odpowiednia chwila, by interweniować u Texara.

— Wracajmy, panno Alicjo — rzekł Harvey. — Wracajmy... Przyjdziemy potem... kiedy komitet...

— Nie! — odparła Alicja. — Chcę wejść między oskarżonych i ich sędziów...

Dziewczyna była tak zdecydowana, że Harvey stracił nadzieję, iż ją powstrzyma. Alicja poszła przodem. Musiał za nią ruszyć. Tłum, choć gęsty — niektórzy może ją rozpoznali — zrobił jej przejście. Wołania o śmierć straszniej zabrzmiały w jej uszach. Nic jednak nie mogło zachwiać jej w postanowieniu. I tak dotarła do drzwi sądu.

Tłum w tym miejscu jeszcze bardziej przypominał burzliwą falę — lecz nie po burzy, ale tę, jaka się pojawia przed burzą. Można się było po nim spodziewać najgorszego.

Naraz z sali rozpraw wy płynęła hałaśliwa ława zapełniającej ją publiczności. Wrzaski się wzmogły. Wydano wyrok.

James Burbank, podobnie jak Gilbert, za rzekomo takie samo przestępstwo skazany został na taką samą karę. Ojciec i syn staną razem przed plutonem egzekucyjnym.

— Precz z nimi!... Na śmierć!... — krzyczała zgraja nędzników. Na schodach pojawił się wtedy James Burbank. Był spokojny

i opanowany. Pełne pogardy spojrzenie rzucił na rozwrzeszczaną gawieź. Otaczał go oddział milicji mającej rozkaz odstawić więźnia do celi. Nie był sam. U jego boku szedł Gilbert.

Wyprowadzony z celi, gdzie oczekiwał na egzekucję, porucznik stanął przed komitetem w celu konfrontacji z Jamesem Burbankiem. James mógł tylko potwierdzić słowa syna, zapewniając, iż Gilbert przybył do Castle House, by zobaczyć umierającą matkę.

Wobec takiego stwierdzenia oskarżenie o szpiegostwo byłoby upadło, gdyby proces z góry nie był przegrany. Toteż taki sam wyrok objął obu niewinnych — wyrok narzucony przez chęć prywatnej zemsty i wydany przez niesprawiedliwych sędziów.

Tłum tymczasem cisnął się do skazanych. Milicja z największym trudem torowała drogę przez plac przed sądem.

Ale oto wszczął się jakiś ruch. Alicja rzuciła się w stronę obu Burbanków, tłum mimowolnie cofnął się, zaskoczony niespodziewanym postępkim dziewczyny.

— Alicja!... — zawołał Gilbert.

— Gilbert!... Gilbert!... — szepnęła w jego ramionach.

— Alicjo, co tu robisz? — spytał James Burbank.

— Przyszłam prosić o ułaskawienie dla was!... Błagać sędziów!... Łaski... Łaski dla nich!

Nieszczęsna dziewczyna krzyczała rozdierająco. Czepiała się odzieży skazanych, którzy się na chwilę zatrzymali. Czy mogła się spodziewać litości od otaczającej ich rozhukanej tłuszczy? Nie! Wszelako jej krok powstrzymał tłum w chwili, kiedy być może dopuściłby się gwałtu na więźniach mimo ochrony milicji.

Uprowadzony o tym, co się dzieje, Texar stanął na progu sądu. Jeden jego gest powstrzymał tłum.

Powtórzony przezeń rozkaz odprowadzenia Jamesa i Gilberta do więzienia został usłyszany i wykonany.

Oddział ruszył w dalszą drogę.

— Łaski!... Łaski!... — zawołała Alicja, przypadając do kolan Texara.

W odpowiedzi Hiszpan potrząsnął przecząco głową. Dziewczyna wstała.

— Ty nędzniku! — krzyknęła.

Chciała dogonić skazanych, pragnęła iść z nimi do więzienia, spędzić razem ostatnie godziny, jakie im jeszcze zostały...

Wyszli już z rynku, a w drodze towarzyszyły im okrzyki tłumu.

Było to więcej, niż mogła znieść Alicja. Opuściły ją siły. Bez zmysłów osunęła się w ramiona Harveya.

Przyszła do siebie dopiero w jego domu, gdzie ją przeniesiono, przy ojcu.

— Do więzienia!... Do więzienia!... — szepnęła. — Oni muszą uciec...

— Tak, tak — uspokoił ją Stannard. — Tylko to nam pozostało. Poczekajmy do nocy!

W rzeczy samej, w dzień nie należało niczego przedsięwziąć. Kiedy ciemności pozwolą im działać względnie bezpiecznie, Stannard i Harvey podejmą próbę zorganizowania ucieczki więźniów przy współudziale ich strażnika. Zaopatrzą się w znaczną sumę pieniędzy, wystarczającą, żeby ów człowiek — taką przynajmniej mieli nadzieję — nie oparł się pokusie, zwłaszcza że jeden strzał armatni z okrętów komendanta Stevensa może położyć kres władzy Hiszpana.

Skoro jednak zapadła noc i Stannard z Harveyem chcieli wcielić w czyn swe zamierzenia, okazało się to niemożliwe. Dom był bacznie strzeżony przez oddział milicji i daremnie próbowali zeń wyjść.

ROZDZIAŁ IV

PODMUCH WIATRU Z PÓŁNOCNEGO WSCHODU

Skazańcom pozostała teraz jedna tylko szansa ratunku: opanowanie miasta przez federalistów przed upływem dwunastu godzin. Nazajutrz bowiem James i Gilbert Burbankowie mieli być rozstrzelani. Jak tu uciec z więzienia, równie strzeżonego jak dom Harveya, nawet gdyby się zmówili ze strażnikiem?

Nie można było się jednak spodziewać zajęcia Jacksonville po oddziałach Północy, które kilka dni wcześniej wylądowały w Fernandynie i nie mogły opuścić tego ważnego punktu na północy stanu. Zadanie to spadło na kanonierki komendanta Stevensa. Wszelako aby je wykonać, należało pierwaj przebyć mierzeję na Saint Johns. Wtedy to zapora z łodzi zostanie sforsowana, a flotylla zakotwiczy na wysokości portu. Kiedy zaś miasto będzie pod obstrzałem, niewątpliwie milicja rzuci się do ucieczki przez niedostępne mokradła hrabstwa. Texar i jego zwolennicy z pewnością pójną tą samą drogą, ażeby umknąć przed odpowiedzialnością za swe czyny. Porządni obywatele będą mogli wówczas wrócić na swoje stanowiska, których zostali nikczemnie pozbawieni, i układać się z przedstawicielami rządu federalnego w sprawie poddania miasta.

Czy jednak możliwe było przebycie mierzei, i to tak szybko? Czy istniał jakiś sposób na pokonanie przeszkody, jaką stanowił na drodze kanonierek brak wyższej wody? Należało w to raczej powątpiewać, jak zaraz zobaczymy.

Po ogłoszeniu wyroku Texar i dowódca milicji udali się na nabrzeże, by zerknąć na dolny bieg rzeki. Nie dziwny się, że wzrok uporczywie kierowali ku mierzei i nastawiali uszu, czy nie usłyszą wybuchów dobiegających stamtąd.

— Nie przyszły świeże wieści? — zapytał Texar, zatrzymawszy się na krańcu estakady.

— Nic nowego — odparł dowódca. — Dokonałem zwiadu na północy i pewien jestem, że federaliści nie wyszli z Fernandyny w kierunku Jacksonville. Prawdopodobnie zostaną na granicy z Georgią i będą czekali, aż ich flota wpłynie na rzekę.

— A czy jakieś oddziały nie mogą nadciągnąć z południa, z Saint Augustine, przeprawiając się przez Saint Johns w Picolacie?

— Nie sędzę — odparł oficer. — Dupont ma akurat tyle oddziałów desantowych, ile trzeba do utrzymania miasta, a jasne jest, że zamierza utworzyć blokadę na całym morskim wybrzeżu od ujścia Saint Johns po najdalszy skrawek Florydy. Z tej strony zatem nie ma się czego obawiać.

— Pozostaje w takim razie niebezpieczeństwo, że będzie nas trzymać w szachu flotylla Stevensa, jeśli uda jej się przepłynąć mierzeję, przed którą stoi od trzech dni...

— Niewątpliwie, lecz ta kwestia zostanie rozwiązana już za kilka godzin. Ostatecznie niewykluczone, że federaliści mają zamiar tylko zamknąć dolny bieg rzeki, żeby przerwać komunikację między Saint Augustine i Fernandyną. Powtarzam ci, najważniejsze dla Jankesów to nie tyle zająć już teraz Florydę, co zapobiec przemytowi broni, który odbywa się rzekami Południa. Przypuszczalnie to właśnie jest celem ich wyprawy. Gdyby było inaczej, oddziały, które zajmują od dziesięciu dni Wyspę Amelii, już by ruszyły na Jacksonville.

— Może i masz słusność — rzekł na to Texar. — Nieważne. Chciałbym, żeby kwestia mierzei jak najszybciej się rozstrzygnęła.

— Stanie się to jeszcze dzisiaj.

dzisiaj Ale co byś zrobił, gdyby tak kanonierki Stevensa zakotwiczyły przed portem?

— Wykonałbym otrzymany rozkaz, czyli wyprowadziłbym milicję w głąb stanu, żeby nie doszło

do starcia z Jankesami. Niech zajmują miasta hrabstwa! I tak ich długo nie utrzymają, bo zostaną odcięci od Georgii i obu Karolin, a my potrafiemy im je odebrać!

— Gdyby jednak zawładnęli Jacksonville — rzekł Texar — choćby na jeden dzień, trzeba się spodziewać z ich strony prześladowań... Wszyscy ci tak zwani porządni ludzie, bogaci koloniści, przeciwnicy niewolnictwa na powrót przejmą władzę, a wtedy... Nie! Do tego nie dojdzie!... Zamiast opuszczać miasto, trzeba raczej...

Hiszpan nie dokończył myśli; nietrudno było ją pojąć. Nie podda miasta federalistom. Spali je raczej, i być może, właśnie przedsięwziął stosowne ku temu kroki. Wycofa się wtedy wraz ze swymi poplecznikami za milicją i na południowych mokradłach znajdzie niedostępne kryjówki, gdzie będzie czekał na rozwój wypadków.

Wszelako, jak wiemy, ta ewentualność wchodziłaby w grę wtedy tylko, gdyby kanonierki zdołały przebyć mierzeję, a nadeszła akurat chwila, kiedy ta kwestia ostatecznie się wyjaśni.

Od strony portu nadciągały właśnie rzesze ludzi. W jednej chwili nabrzeża pokrył tłum. Wybuchły głośniejsze krzyki.

— Kanonierki przepływają!

— Nie! Stoją, jak stały!

— Już jest najwyższa woda!

— Próbują przepłynąć! Zwiększają parę!

— Patrzcie!... Patrzcie!...

— Rzeczywiście coś tam się dzieje! — rzekł dowódca milicji. — Patrz, Texar!

Hiszpan nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od dolnego biegu rzeki, od linii horyzontu zamkniętego łańcuchem łodzi zakotwiczonych w poprzek nurtu. Pół mili dalej wznosiły się maszty i kominy kanonierek komendanta Stevensa. Dobywał się z nich gęsty dym, który niesiony przybierającym na sile wiatrem opadał aż na Jacksonville.

Naturalnie Stevens, korzystając z najwyższego przypływu, próbował przebyć mierzeję, paląc pod kotłami, jak to się mówi, na całego. Czy mu się uda? Czy będzie dosyć wody na płyciźnie, by nad nią przepłynąć, szorując nawet po dnie kilem okrętów? Powód był wystarczający, aby wywołać gwałtowne poruszenie wśród gawiedzi zebranej na brzegu Saint Johns.

I okrzyki wzmagaly się, coraz żywsze, kiedy jedni sądzili, że coś widzą, a inni tego nie widzieli.

— Posunęły się o pół kabla!

— Nie! Tkwią nieruchomo, jakby dalej stały na kotwicy!

— Patrzcie, tamta rusza!

— Tak, ale staje w poprzek i kręci się dokoła, bo brakuje wody!

— Ale dym wali

— Gdyby nawet wszystek węgiel Stanów wypalili, nie przejdą!

— Woda już się cofa!

— Hurra! Wiwat Południe!

— Hurra!

Próby czynione przez flotyllę trwały około dziesięciu minut — dziesięć minut tak długich dla Texara, jego zwolenników, dla wszystkich, dla których zdobycie Jacksonville równało się z zagrożeniem wolności lub życia. Nie bardzo nawet wiedzieli, jak się sprawy przedstawiają, odległość bowiem była zbyt duża, ażeby można dokładnie obserwować manewry kanonierek. Czy mierzeja została już przebyta, czy też dopiero ją przepłyną, na przekór przedwczesnym wiwatom tłumowi? Pozbywając się wszelkiego zbędnego ciężaru, wyrzucając balast, aby obniżyć linię zanurzenia, komendant Stevens zdoła może pokonać ten kawałek, jaki był mu potrzebny, by znaleźć

się na głębszej wodzie, gdzie nawigacja nie sprawiała trudności aż do samego portu? Należało się tego obawiać, dopóki nie zacznie się odpływ.

Lecz, jak niektórzy już mówili, woda zaczynała opadać. A kiedy odpływ się zacznie, poziom rzeki bardzo szybko będzie się obniżał.

Nagle ramiona wyciągnęły się w kierunku ujścia rzeki i jeden okrzyk zagłuszył wszystkie inne:

— Łódź!... Łódź!...

Istotnie, lekka łódka pokazała się przy lewym brzegu, gdzie dawała się jeszcze odczuwać siła przyptywu, podczas gdy pośrodku nurtu zaczynał się odpływ. Dzięki wiosłom szybko się zbliżała. Na rufie stał oficer w mundurze florydzkiej milicji. Niebawem łódź dotarła do estakady i oficer zręcznie wbiegł po stopniach prowadzących na nabrzeże. Dostrzegłszy Texara, skierował się w jego stronę, przeciskając się przez tłum, który tłoczył się, by wszystko widzieć i słyszeć.

— Co się stało? — spytał Hiszpan.

— Nic, i nic się nie stanie — odparł oficer.

— Kto cię przysyła?

— Dowódca naszych łodzi, które wkrótce wycofają się do portu.

— A to dlaczego?

— Ponieważ kanonierkom nie udało się przepłynąć mierzei, choć wyrzuciły balast i zwiększyły parę. Teraz nie ma się już czego obawiać...

— Przy tym przyptywie... — rzekł Texar.

— Ani przy żadnym innym, przynajmniej w najbliższych miesiącach.

— Hurra! Hurra!

Wrzaski wypełniły miasto. I zwolennicy przemocy raz jeszcze jęli oklaskiwać Hiszpana jako człowieka będącego wcieleniem ich wszelkich godnych pogardy instynktów, ludzie zaś o poglądach umiarkowanych z przygnębieniem rozmyślali, iż długo jeszcze będą musieli znosić niegodziwe rządy komitetu i jego przywódcy.

Oficer rzekł prawdę. Począwszy od tego dnia morze miało się cofać, przyptyw będzie przynosił coraz mniejszą ilość wody do koryta Saint Johns. Przyptyw 12 marca należał do największych w ciągu roku i upłynie kilka miesięcy, zanim się poziom rzeki podniesie tak wysoko. Tor wodny był nieosiągalny, Jacksonville nie zagrażał ogień dział komendanta Stevensa. Oznaczało to dla Texara, że nadał będzie stał u władzy, że z pewnością doprowadzi do końca swoje dzieło zemsty. Zakładając nawet, iż generał Sherman miał zamiar zająć Jacksonville przy pomocy wojska, które wylądowało w Fernandinie, to i tak będzie to wymagało trochę czasu. Co się zaś tyczy Jamesa i Gilberta Burbanków, to rozstrzelanie ich miało się odbyć następnego dnia o świcie, nic ich zatem nie zdoła już uratować.

Nowina przywieziona przez oficera w jednej chwili rozeszła się po całej okolicy. Łatwo sobie wyobrazić skutek, jaki wywołała wśród rozhułanej części mieszkańców miasta. Pijatyki, rozpusta wybuchły ze zdwojoną siłą. Przerażeni porządni obywatele spodziewali się najgorszych wybryków. Toteż większość z nich gotowała się do wyjazdu z miasta, które nie mogło im zapewnić żadnego bezpieczeństwa.

Wiwaty i okrzyki, docierające aż do więźniów, powiadomiły ich, że znikły wszelkie szanse ratunku, to samo usłyszano w domu Harveya. Nietrudno sobie wyobrazić rozpacz Alicji i jej ojca. Co teraz począć, żeby uratować Jamesa Burbanka i Gilberta? Nie mogli przecież nawet wyjść z domu, w którym znaleźli schronienie. Banda łajdaków otwarcie ich pilnowała, za drzwiami rozbrzmiewały nieustannie złorzeczenia.

Zapadła noc. Pogoda, której zmianę od kilku dni przeczuwano, wyraźnie się pogorszyła. Wiatr,

dotąd wiejący od lądu, teraz nagle zmienił kierunek na północno-wschodni. Już wielkie bure kłęby chmur, nie mające nawet czasu, by się rozejść w deszczu, nadciągały z wielką szybkością z nad pełnego morza, dotykając niemal wody. Czubki masztów trzypokładowej fregaty zniknęłyby w nich z pewnością, tak nisko wisiały. Barometr gwałtownie spadł, zapowiadając burzę. Oznaki te wskazywały, że nadchodzi huragan zrodzony gdzieś na dalekich wodach Atlantyku. Wraz z ogarniającą wszystko ciemnością wkrótce rozpęta się z niesłychaną siłą.

Ze względu na kierunek wiatru, huragan smagnął z całej siły estuarium Saint Johns. Podniósł wody w ujściu niczym olbrzymiego bałwana, pchał je pod prąd, jakby to było czoło wielkiego przyływu, którego wysoka fala zalewa przybrzeżne tereny.

Przez całą tę burzliwą noc Jacksonville było omiatane niesłychanie silnym wiatrem. Kawał estakady runął od uderzeń fali przybojowej o słupy. Woda zalała część nabrzeży, roztrzaskało się o nie kilka rybackich żaglówek, których cumy pękły jak nitka. Nie dało się przejść ulicą ani rynkiem, bombardowanymi wszelkiego rodzaju szczątkami. Całe pospólstwo musiało się schronić w szynkach, gdzie gardła nic nie straciły, a dobywające się z nich wrzaski nie bez sukcesu walczyły z łoskotem burzy.

Nie tylko na lądzie wichura poczyniła szkody. W korycie Saint Johns różnica poziomów wód wywołała falę tym gwałtowniejszą, że jej siłę zwielokrotniały przeciwne uderzenia wiatru. Zakotwiczone przed mierzeją łodzie zaskoczyła owa fala, nim zdążyły się schronić w porcie. Kotwice się urwały, liny popękały. Nocny przyływ, wzmożony jeszcze wiatrem, niósł je, bezsilne, w górę rzeki. Niektóre rozbiły się o pale przy nabrzeżu, inne zaś, uniesione poza Jacksonville, miały się pogubić na wysepkach i zakolach rzeki kilka mil dalej. Część znajdujących się w nich marynarzy straciła życie w katastrofie, której nagłość obróciła wniwecz wszelkie środki zabezpieczające podejmowane w podobnych sytuacjach.

A czy kanonierki komendanta Stevensa podniosły kotwicę i zwiększyły parę, by poszukać schronienia w zatoczkach w dole rzeki? Czy dzięki temu manewrowi zdołały uniknąć całkowitego zniszczenia? Niezależnie od tego, czy wróciły do ujścia Saint Johns, czy też utrzymały się na swoich miejscach, w Jacksonville nie musiano się ich obawiać, albowiem mierzeja była im nieprzebytą przeszkodą.

Dolina Saint Johns tonęła w głębokich ciemnościach nocy, a powietrze i woda mieszały się z sobą, jak gdyby za pomocą jakiejś reakcji chemicznej próbowano z nich stworzyć jeden tylko żywioł. Nastąpił kataklizm z rodzaju tych, które dość często się zdarzają w porze wiosennego zrównania dnia z nocą, ale jego siła przewyższała wszystko, czego Floryda dotąd doświadczyła.

Toteż właśnie z racji swej siły zjawisko to nie trwało dłużej niż kilka godzin. Nim wzeszło słońce, różnice ciśnienia mas powietrza wyrównały się i huragan przesunął się nad Zatokę Meksykańską, ostatnim uderzeniem smagnąwszy jeszcze półwysep.

Około czwartej nad ranem, wraz z pierwszymi blaskami dnia rozjaśniającymi horyzont wyczyszczony nocną zawieruchą, po zmaganiach żywiołów nastąpił spokój. Ludzie zaczęli się więc pojawiać na ulicach, z których wcześniej musieli uciec do szynków. Milicja wróciła na opuszczone stanowiska. W miarę możliwości zajęto się naprawą szkód wyrządzonych przez burzę. Szczególnie wzdłuż nabrzeży miasta spustoszenia były znaczne: połamane mola, zniszczone żagłówki rybackie, pozrywane barki, które prąd znosił teraz z górnego biegu rzeki.

Szcątki te widać było jednakże w promieniu zaledwie kilku jardów od brzegu. Bardzo gęsta mgła zebrała się w samym korycie rzeki, podnosząc się wyżej, do stref wychłodzonych przez burzę. O piątej nie było jeszcze widać środka koryta, a będzie je można zobaczyć dopiero w chwili, gdy mgła rozproszy się w pierwszych promieniach słońca.

Naraz, nieco po piątej, straszliwe wybuchy rozdarły gęste opary. Nie było mowy o pomyłce — to nie przeciągłe grzmoty, lecz donośne strzały armatnie. W powietrzu rozlegały się charakterystyczne gwizdy. Krzyk przerażenia wyrwał się z ust wszystkich, milicji i pospólstwa, którzy znaleźli się w porcie.

Równocześnie pod wpływem ciągłych wybuchów zasłona mgły zaczęła pękać. Tumany przecinane błyskami strzałów oderwały się od powierzchni wody.

Na wprost Jacksonville stały zakotwiczone kanonierki Stevensa, trzymające miasto pod ostrzałem.

— Kanonierki!... Kanonierki!...

Te słowa, powtarzane z ust do ust, dobiegły niebawem aż do najdalszych przedmieść. Nie minęło kilka minut, a przywoici mieszkańcy z najwyższym zadowoleniem, pospólstwo zaś z najwyższym przerażeniem dowiedzieli się, że flotylla zajęła Saint Johns. I jeżeli miasto się nie podda, koniec z nim.

Jak to się stało? Czyżby federalistom przysła z nieoczekiwaną pomocą burza? Owszem. Kanonierki nie szukały schronienia w zatokach poniżej ujścia. Mimo silnego wiatru i fali pozostały na kotwicowisku. I chociaż zagrożenie było wielkie, komendant Stevens i jego załoga, licząc, że pomyślny zbieg okoliczności pomoże im pokonać mierzę, stawili czoła huraganowi. W rzeczy samej huragan, który pchał wody morza do estuarium, podniósł poziom rzeki na niespotykaną wysokość i kanonierki wpłynęły w jej koryto. I zwiększając parę, choć kilem szorowały po piaszczystym dnie, zdołały przebyć mierzę.

Około czwartej rano komendant Stevens, płynąc we mgle, obliczył, że powinni się znajdować na wysokości Jacksonville. Rozkazał zatem zakotwiczyć okręty z dziobu i z rufy. A gdy nadeszła odpowiednia chwila, mgłę rozdarły wybuchy jego ciężkich dział i pierwsze pociski spadły na lewy brzeg Saint Johns.

Skutek był natychmiastowy. W kilka minut milicja opuściła miasto, podobnie jak to wcześniej uczyniły oddziały Południa w Fernandinie i w Saint Augustine. Stevens, widząc puste nabrzeża, zaraz rozkazał zmniejszyć ogień, nie miał bowiem zamiaru burzyć Jacksonville, lecz zdobyć je i podporządkować sobie.

Niemal od razu w gmachu sądu wywieszono białą flagę.

Nietrudno sobie wyobrazić, z jakim lękiem przyjęto te pierwsze strzały w domu Harveya. Miasto z pewnością zostało zaatakowane. Otóż atak ten mógł być wyłącznie dziełem federalistów, którzy musieli bądź przypląć z dołu rzeki, bądź nadejść od północy Florydy. Czyżby miało to być niespodziewane wybawienie — jedyne, jakie mogło uratować Jamesa i Gilberta Burbanków?

Harvey i Alicja wybiegli na próg domu, bez przeszkód dotarli do portu: ich strażnicy uciekli z milicją chroniącą się w głębi hrabstwa.

Kanonierki stały cicho, gdyż najwyraźniej Jacksonville nie zamierzało stawiać oporu.

W tej chwili do estakady podpłynęło kilka łodzi, z których wysiadł oddział uzbrojony w karabiny, rewolwery i siekiery.

Naraz wśród marynarzy rozległ się krzyk. Człowiek, który go wydał, rzucił się w stronę Alicji.

— Mars!... Mars!... — powtarzała dziewczyna, zdumiona widokiem męża Zermy, który, jak wszyscy sądzili, utonął w nurcie Saint Johns.

— Panicz Gilbert!... Gdzie panicz Gilbert? — zapytał Mars.

— Uwięziony razem z panem Burbankiem. Mars, ratuj go! Ratuj Gilberta i jego ojca!

— Do więzienia! — zawołał Mars do swoich towarzyszy. Ruszyli biegiem, by zapobiec ostatniej zbrodni z rozkazu Texara.

Harvey i Alicja poszli za nimi.

Mars, rzuciwszy się do rzeki, zdołał zatem pokonać wiry przy mierzei, a rozważa powstrzymała dzielnego Mulata przed przekazaniem do Castel House wieści, iż jest cały i zdrowy. Szukać tam schronienia, to narazić się na niebezpieczeństwa, a musiał zachować wolność, by dokonać swego dzieła. Dotarwszy wpław do prawego brzegu, zdołał, przemykając się wśród trzciny, dojść w pobliże flotyli. Spostrzeżono jego sygnały i przysłano łódkę, która go odstawiła na pokład kanonierki komendanta Stevensa. Mars zaraz powiadomił go o sytuacji i wobec rychłego niebezpieczeństwa zagrażającego Gilbertowi, wszystkie wysiłki dowódcy sprowadziły się do tego, aby wpłynąć w nurt rzeki. Jak wiemy, były bezowocne i miano już z nich zrezygnować, kiedy nocą wiatr podniósł poziom wody. Jednakże bez pilota znającego kanał i tak flotyli groziłoby rozbitcie na mieliznach rzeki. Na szczęście Mars sprawnie poprowadził pierwszą kanonierkę, a inne popłynęły za nią mimo szalejącej burzy. I zanim mgła okryła dolinę Saint Johns, stanęły na kotwicy przed miastem, trzymając je pod ogniem dział.

Był najwyższy czas, skazani bowiem mieli być rozstrzelani o świcie. Teraz nie musieli się już niczego obawiać. Urzędy Jacksonville przejęły na powrót władzę, do jakiej rościł sobie prawa Texar. I w chwili, kiedy Mars i jego towarzysze dobiegali do więzienia, James i Gilbert wychodzili zeń, wreszcie wolni.

Młody porucznik przycisnął Alicję do serca, a James Burbank i Stannard padli sobie w ramiona.

— Co z mamą? — zapytał najpierw Gilbert.

— Żyje!... Żyje!... — uspokoiła go Alicja.

— Ruszajmy zatem do Castle House! — zawołał Gilbert.

— Najpierw sprawiedliwości musi stać się zadość! — rzekł na to James Burbank.

Mars pojął słowa swego pana. Pobiegł w stronę rynku w nadziei, że znajdzie tam Texara.

Czy jednak Hiszpan nie uciekł już, ażeby uniknąć prześladowań? Czy nie zdołał umknąć państwowemu wymiarowi sprawiedliwości wraz ze wszystkimi, którzy się skompromitowali w okresie owych wybryków? Czy nie podążył śladem milicji wycofującej się w głąb hrabstwa?

Można było, należało tak sądzić.

Nie czekając jednak na federalistów, wielu mieszkańców miasta ruszyło do sądu. Zatrzymany w chwili, gdy zamierzał uciec, Texar był bacznie strzeżony. Wydawało się zresztą, że bez trudu pogodził się z losem.

Skoro jednak stanął przed nim Mars, pojął, iż jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Mulat rzucił się na niego, chwycił go za gardło, zaczął dusić, lecz oto nadeszli obaj Burbankowie.

— Nie!... Nie!... — zawołał James Burbank. — Potrzebny nam żywy! Musi powiedzieć!...

— Tak!... Musi! — rzekł Mars.

Kilka chwil później Texar zamknięty został w tej samej celi, w której jego ofiary oczekiwały na wykonanie wyroku.

ROZDZIAŁ V

PRZYWRÓCENIE ŁADU

Federaliści opanowali wreszcie Jacksonville, a co za tym idzie, Saint Johns. Oddziały desantowe przywiezione przez komendanta Stevensa zajęły główne punkty miasta. Samozwańcze władze uciekły. Z dawnego komitetu jeden Texar wpadł w ręce zwycięzców.

Czy to zresztą przez znużenie ostatnio popełnianą samowolą, czy nawet przez obojętność wobec kwestii niewolnictwa, którą Północ i Południe starały się zbrojnie rozwiązać, mieszkańcy nie przyjęli wrogo oficerów flotylli reprezentującej rząd waszyngtoński.

Komodor Dupont w Saint Augustine zajmował się tymczasem likwidowaniem przemytu wojennego na wybrzeżach Florydy. Zatoka Mosquito została niebawem zamknięta. Położyło to kres handlowi bronią i amunicją prowadzonemu z angielskimi wyspami Bahama. Od tej chwili stan Floryda znalazł się właściwie pod rządami Unii.

Tego samego dnia jeszcze James i Gilbert Burbankowie, Stannard i Alicja przepłynęli Saint Johns i wrócili do Camdless Bay.

Perry i nadzorcy czekali na nich na przystani wraz z pewną liczbą Murzynów, którzy z powrotem przybyli na plantację. Łatwo sobie wyobrazić, jakie im zgotowano przyjęcie, z jaką radością ich przywitano.

Chwilę później James Burbank z synem i Stannard z córką stanęli przy łóżku pani Burbank.

Widząc ponownie Gilberta, równocześnie dowiedziała się o tym, co zaszło. Porucznik tulił ją w ramionach. Mars całował po rękach. Teraz już jej więcej nie opuszczą. Alicja będzie się mogła nią opiekować. Chora szybko nabierze sił. Nie trzeba się więcej lękać knozań Texara ani tych, co mu pomagali w zemście. Hiszpan jest w rękach federalistów, a federaliści władają Jacksonville.

Mimo że pani Burbank nie musiała już drzeć o męża i syna, wszystkie jej myśli kierowały się ku zaginionej córeczce. Musiała odzyskać Dy, tak samo jak Mars musiał odzyskać Zermę.

— Odnajdziemy je! — zawołał James Burbank. — Mars i Gilbert pomogą nam w poszukiwaniach...

— Tak, ojczec... I to nie tracąc już ani dnia — rzekł porucznik.

— Skoro mamy w rękach Texara — ciągnął Burbank — trzeba go zmusić do zeznań!

— A jeżeli odmówi? — spytał Stannard. — Jeżeli będzie twierdził, że nie maczał palców w porwaniu Dy i Zermę?...

— Jakże by mógł? — zawołał Gilbert. — Zerma go wszak rozpoznała nad zatoką Marino! Przecież Alicja i mama słyszały, jak wykrzyknęła jego imię w chwili, gdy łódź odpływała! Czyż można jeszcze wątpić, że jest sprawcą porwania, że osobiście w nim uczestniczył?

— To był na pewno on! — odezwała się pani Burbank, podrywając się z łóżka.

— Tak — dodała Alicja. — Poznałam go!... Stał... stał na rufie łodzi, która płynęła ku środkowi rzeki!

— A więc to był Texar — powiedział Stannard. — Co do tego nie ma wątpliwości. Jeśli jednak odmówi wyjawienia kryjówki, gdzie Dy i Zermę na jego rozkaz odwieziono, to gdzie będziemy ich szukać, skoro bez skutku przetrząsnęliśmy już brzegi rzeki na przestrzeni kilku mil?

Na to otwarcie postawione pytanie nie było odpowiedzi. Wszystko zależało teraz od tego, co powie Hiszpan. Czy korzystniej dlań będzie mówić czy milczeć?

— Nie wiadomo zatem, gdzie mieszka na stałe ten nędznik? — odezwał się Gilbert.

— Nie wiadomo i nigdy nie wiedziano — odparł jego ojciec. — Na południu hrabstwa jest tyle

rozległych lasów, tyle niedostępnych mokradel, gdzie może się ukrywać! Na próżno by przeszukiwać całą tę okolicę, gdzie nawet federaliści nie ruszą w pogoń za wycofującą się milicją! Byłby to daremny trud.

— Muszę odzyskać moją córkę! — krzyknęła pani Burbank, którą mąż z trudem uspokajał.

— Moja żona!... Muszę ją odnaleźć! — zawołał Mars. — I zmuszę tego łotra, żeby powiedział, gdzie ona jest!

— Kiedy Texar zorientuje się — rzekł Burbank — że w grę wchodzi jego życie i że zeznania mogą go uratować, nie zawaha się mówić! Gdyby był uciekł, moglibyśmy rozpaczać. Ale skoro jest w rękach federalistów, wydrzemy mu tajemnicę. Zaufaj mi, moja droga! Odnajdziemy nasze dziecko.

Wyczerpana pani Burbank opadła na poduszki. Alicja nie chciała jej opuszczać, została więc przy niej, kiedy Stannard, James Burbank, Gilbert i Mars zeszli na dół, by się naradzić z Carrolem.

Wkrótce ustalono co następuje: otóż zanim zaczną działać, dadzą czas federalistom na przywrócenie ładu w mieście. Komodora Duponta należy zresztą poinformować nie tylko o faktach dotyczących Jacksonville, ale i Camdless Bay. Może Texar powinien być najpierw oddany pod sąd wojenny? W takim wypadku poszukiwania wolno będzie prowadzić wyłącznie na wniosek dowódcy wyprawy na Florydę.

Gilbert i Mars wszelako nie chcieli, by reszta tego dnia ani dzień następny zeszły im beczynn timer. Podczas gdy James Burbank oraz Stannard i Carrol mieli podjąć pierwsze starania, oni postanowili popłynąć w górę Saint Johns w nadziei, że znajdą może jakiś ślad.

Czy nie należało się bowiem obawiać, iż Texar odmówi zeznań, iż powodowany nienawiścią będzie wolał raczej ponieść najwyższą karę niż oddać swe ofiary? Należało spróbować obejść się bez niego. Sprawą najważniejszą było zatem odnalezienie jego siedziby. Próżne starania. Nikt nie wiedział o Czarnej Zatoce. Uważano ją za całkowicie niedostępną. Toteż Gilbert i Mars kilkakrotnie przepłynęli wzdłuż nabrzeżnych gąszczy nie dostrzegłszy wąskiego przejścia, w którym mogła się zmieścić lekka łódź.

Dzień 13 marca minął nie przyniósłszy żadnych zmian. W Camdless Bay powoli przywracano dawny porządek. Z okolicznych lasów ściągali licznie Murzyni zmuszeni do ucieczki. Szlachetny postępek Jamesa Burbanka dał im wolność, nie czuli się jednak zwolnieni ze zobowiązań wobec niego. Skoro nie są już jego niewolnikami, będą pracownikami. Spieszno im było wrócić na plantację, odbudować zniszczone przez grabieżców chaty, postawić składy, podjąć na powrót pracę, której od tylu lat zawdzięczali dostatek i szczęście swoich rodzin.

Najpierw zatroszczono się o wznowienie robót na plantacji. Edward Carrol, z raną niemal zupełnie wygojoną, mógł wrócić do zwykłych obowiązków. Dużo gorliwości wykazał Perry i nadzorcy. Nawet Pig się ruszył, choć wiele nie zrobił. Poczciwy głuptas zmienił nieco swoje niegdysiejsze poglądy. Twierdził wprawdzie, że jest wolny, ale mocno był zakłopotany swoją wolnością. Krótko mówiąc, kiedy cała służba wróci do Camdless Bay, kiedy odbuduje się zniszczone budynki, plantacja przybierze swój normalny wygląd. Należało przypuszczać, że niezależnie od wyniku wojny secesyjnej najwięksi koloniści florydzcy mają odtąd zapewnione bezpieczeństwo.

W Jacksonville zaprowadzono ład. Federaliści nie miesza li się do administracji miasta. Okupowali miasto, ale pozostawili dawnym urzędom władzę, której na kilka tygodni pozbawiła je rebelia. Wystarczało, że gwiazdzisty sztandar powiewa nad miastem. Ponieważ zaś większość mieszkańców wykazywała dość dużą obojętność na kwestie, które dzieliły Stany Zjednoczone, nie stawiano oporu zwycięskiej stronie i stało się jasne, że sprawa unionistów nie znajdzie przeciwników w powiatach florydzkich.

A oto jakie wydarzenia wojenne w tym czasie miały miejsce w Ameryce.

Konfederaci, w celu wspomoczenia armii Beauregarda, wysłali sześć kanonierek pod dowództwem komodora Hollinsa, który zajął pozycje na Missisipi, między New Madrid i Wyspą nr 10. Zaczęła się tam walka, którą admirał Foote dzielnie wytrzymał, ażeby opanować górny bieg rzeki. Tego samego dnia, kiedy Jacksonville przeszło w ręce Stevensa, artyleria federalna szykowała się, by odpowiedzieć na ogień kanonierek Hollinsa. Przewagę w końcu zyskali federaliści, którzy zdobyli Wyspę nr 10 i New Madrid. Zajmowali wtedy bieg Missisipi na długości około dwustu kilometrów.

Jednakże w tym okresie w planach rządu federalnego dawało się zauważyć wielkie niezdecydowanie. Generał Mac Clellan musiał poddać swe pomysły pod rozwagę radzie wojennej i chociaż zostały zaakceptowane przez większość członków rady, prezydent Lincoln, ustępując zgubnym namowom, powstrzymał ich realizację. Armię Potomacu podzielono, aby zapewnić bezpieczeństwo Waszyngtonowi. Na szczęście zwycięstwo „Monitora” i ucieczka „Virginii” przywróciły swobodną żeglugę na Chesapeake. Poza tym spieszne wycofanie się konfederatów po ewakuacji Manassas pozwoliło armii Północy przenieść się na kwatery do tego właśnie miasta. W ten sposób rozwiązano kwestię blokady na Potomacu.

Wszelako polityka, której wpływ jest tak zgubny, gdy wkrada się w sprawy wojskowe kraju, miała się raz jeszcze przyczynić do podjęcia niekorzystnej dla Północy decyzji. Tego dnia generała Mac Clellana pozbawiono naczelnego dowództwa armii federalnej. Pozostawiono mu jedynie dowodzenie operacjami na Potomacu, a pozostałe korpusy przeszły pod osobiste dowództwo prezydenta Lincolna.

To był błąd. Mac Clellan żywo odczuł afront, jakim była niezastuzona dymisja. Ale jako znający swój obowiązek żołnierz, zastosował się do rozkazu. Już nazajutrz ułożył plan, którego celem miało być wysadzenie jego wojsk na plażach Fort Monroe. Plan ów, zaakceptowany przez dowódców korpusu, przyjęty też został przez prezydenta. Minister wojny rozesłał rozkazy do Nowego Jorku, Filadelfii, Baltimore, i wkrótce statki wszelkiego rodzaju wpłynęły na Potomac, aby przewieźć armię Mac Clellana wraz ze sprzętem.

Zagrożenie, jakie przez pewien czas wisiało nad Waszyngtonem, stolicą Północy, miało teraz z kolei zawisnąć nad Richmondem, stolicą Południa.

Taka oto była sytuacja stron wojujących w chwili, kiedy Floryda poddawała się generałowi Shermanowi i komodorowi Dupontowi. Równocześnie z nałożeniem przez eskadrę blokady na wybrzeża Florydy federaliści opanowali Saint Johns — co oddawało cały półwysep w ich ręce.

Gilbert i Mars tymczasem daremnie przeszukiwali brzegi i wysepki na rzece aż poza Picoletą. Jedyne, co im teraz pozostało, to wpłynąć bezpośrednio na Texara. Od dnia, kiedy zamknęły się za nim bramy więzienia, nie mógł się porozumieć ze współnikami. Stąd przypuszczenie, że Dy i Zerma powinny się nadal znajdować tam, gdzie je zawieziono przed zajęciem Saint Johns przez federalistów.

Stan rzeczy w Jacksonville pozwalał teraz na to, aby wymiar sprawiedliwości zajął się Hiszpanem, gdyby ów odmówił odpowiedzi. Wszelako można się było spodziewać, że zanim dojdzie do zastosowania środków ostatecznych, Texar zgodzi się wyjawić to i owo w zamian za odzyskanie wolności.

Czternastego postanowiono podjąć tę próbę za wcześniej uzyskaną zgodą władz wojskowych.

Pani Burbank powoli zdrowiała. Powrót syna, nadzieja na ujrzenie drugiego dziecka, spokój, jaki zapanował w okolicy, pewność bezpieczeństwa na plantacji, wszystko to razem wzięte przyczyniało się do przywrócenia jej siły ducha, która ją na jakiś czas opuściła. Nie trzeba było się już niczego

obawiać ze strony zwolenników Te-xara, którzy dotąd terroryzowali Jacksonville. Milicja wycofała się w głąb hrabstwa Putnam. Jeżeli nawet w przyszłości milicja z Saint Augustine miałaby przekroczyć rzekę w górnym jej biegu, aby połączyć się z milicją z Jacksonville i wspólnie wyprawić przeciwko wojskom federalnym, to groźba ta była zbyt odległa i nie należało się nią przejmować, dopóki Dupont i Sherman znajdują się na Florydzie.

Postanowiono zatem, że Gilbert z ojcem pojedą tego samego dnia do Jacksonville, ale tylko we dwóch. Carroll, Stannard i Mars zostaną na plantacji, Alicja nie opuści pani Burbank. Porucznik i jego ojciec spodziewali się zresztą, że wrócą do Castle House przed wieczorem, przynosząc dobre nowiny. Jak tylko Texar wyjawi, gdzie trzymane są Dy i Zerma, natychmiast wszyscy wyruszą, by je uwolnić. Zabierze im to najwyżej kilka godzin, może jeden dzień.

W chwili gdy James i Gilbert przygotowywali się do wyjazdu, Alicja poprosiła porucznika na stronę.

— Gilbercie — rzekła — staniesz twarzą w twarz z człowiekiem, który tyle krzywd wyrządził twojej rodzinie, z nędznikiem, który chciał wysłać na śmierć twojego ojca i ciebie... Gilbercie, czy obiecasz, że zapanujesz nad sobą w obecności Texara?

— Że nad sobą zapanuję!... — zawołał Gilbert, który na sam dźwięk imienia Hiszpana bladł z gniewu.

— Tak będzie lepiej — mówiła dalej Alicja. — Niczego nie zyskasz unosząc się gniewem... Zapomnij o zemście, a miej na uwadze jedno tylko: uratowanie siostry... Trzeba wszystko podporządkować temu celowi, choćbyś miał zapewnić Texara, że w przyszłości nie będzie musiał się niczego z twojej strony obawiać.

— Niczego! — uniósł się Gilbert. — Miałbym zapomnieć, że z jego winy moja matka mogła umrzeć... mój ojciec zostać rozstrzelany!...

— I ty także, Gilbercie — odparła Alicja. — Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę. Owszem, on to wszystko uczynił, ale trzeba o tym zapomnieć... Mówię ci to, bo się boję, że pan Burbank nie zdoła się opanować, a jeśli i ty nie zachowasz zimnej krwi, możecie ponieść porażkę. Och, dlaczego nie jadę z wami do Jacksonville!... Może łagodnością zdołałabym coś uzyskać...

— A jeśli odmówi zeznań? — podjął Gilbert, który w duchu przyznawał słuszność Alicji.

— Jeśli odmówi, trzeba będzie zostawić sądowi zmuszenie go do tego. Tu idzie o jego życie, a gdy zobaczy, że może je kupić tylko wyjawiając prawdę, przemówi... Gilbercie, musisz mi to obiecać!... W imię naszej miłości, czy przyrzekasz?

— Tak, kochana — odparł Gilbert. — Tak!... Cokolwiek ten człowiek uczynił, zapomnę, byle mi tylko oddał siostrę...

— Dziękuję, Gilbercie. Wiele przeżyliśmy, ale to już koniec! Te smutne dni, kiedy tyleśmy wycierpieli, Bóg nagrodzi nam latami szczęścia.

O godzinie dziesiątej James Burbank z synem, pożegnawszy się z przyjaciółmi, wsiedli do łodzi na przystani w Camdless Bay.

Szybko przepłynęli rzekę. Jednakże, jak radził Gilbert, zamiast skierować się prosto do Jacksonville, podpłynęli najpierw do kanonierki komendanta Stevensa i przybili do jej burty.

Oficer ów był komendantem wojskowym miasta. Wypadało zatem, aby zabiegi Jamesa Burbanka zostały najpierw jemu przedstawione. Stevens często się kontaktował z władzami miejskimi. Wiedział, jaką rolę Texar odgrywał, odkąd jego zwolennicy przejęli rządy, w jakim stopniu odpowiadał za wydarzenia, w wyniku których Camdless Bay uległo zniszczeniu, wiedział też, dlaczego w chwili, gdy milicja się wycofała, został zatrzymany i osadzony w więzieniu, oraz o tym, że gwałtownie występowano przeciwko Hiszpanowi, że wszyscy przyzwoici obywatele miasta

domagali się dla niego kary za zbrodnie.

Komendant Stevens przyjął obu Burbanków, jak na to zasługiwali. Darzył młodego porucznika szczególnym poważaniem, ceniąc jego charakter i odwagę, które miał okazję poznać, odkąd Gilbert służył pod jego rozkazami. Po powrocie Marsa na okręt, kiedy się dowiedział, że Burbank wpadł w ręce Południowców, chciał go za wszelką cenę uratować i wiadomo, jakim okolicznościom obaj Burbankowie zawdzięczali ocalenie.

W kilku słowach Gilbert opowiedział dowódcy, co się wydarzyło, potwierdzając w ten sposób opowieść Marsa. Skoro niewątpliwie Texar jest sprawcą porwania w zatoce Marino, równie pewne było, iż tylko on jeden może powiedzieć, w którym miejscu Florydy Dy i Zerma są teraz trzymane przez wspólników Hiszpana. Ich los spoczywa zatem w jego rękach — co jest faktem niezbitym, i Stevens bez wahania to przyznał. Postanowił więc dać ojcu i synowi wolną rękę w przeprowadzeniu tej sprawy w taki sposób, jaki uznają za słuszny. Z góry wyrażał zgodę na wszystko, co uczynią w interesie Mulatki i dziecka. Gdyby nawet trzeba w zamian ofiarować Texarowi wolność, zostanie mu ona zwrócona. Komendant ręczył za to w imieniu sądu w Jacksonville.

James i Gilbert, otrzymawszy pełną swobodę działania, podziękowali Stevensowi, który dał im pisemne upoważnienie na widzenie z Hiszpanem, po czym kazali płynąć do portu.

Czekał tam na nich Harvey, uprzedzony o ich przybyciu biletem od Jamesa Burbanka. Udali się razem do sądu, gdzie wydano rozkaz, aby ich wpuszczono do więzienia.

Fizjonomista nie bez zainteresowania obserwowałby twarz, a raczej postawę Texara od chwili aresztowania. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że Hiszpana gniewa, iż przybycie wojsk federalnych położyło kres jego pozycji najwyższego urzędnika w mieście, że żałuje, iż wraz z absolutną władzą, jaką się cieszył, stracił swobodę zaspokajania porachunków osobistych i że kilkugodzinne opóźnienie nie pozwoliło mu rozstrzelać Jamesa i Gilberta Burbanków. Nie żałował jednak niczego więcej. Wydawało się, że zupełnie obojętnie przyjmuje fakt, iż jest w rękach wroga, uwięziony pod zarzutem bardzo poważnych oskarżeń, ponosząc odpowiedzialność za wszelkie gwałty, które można mu było jakże słusznie przypisać. Trudno zatem o dziwniejszą, a przynajmniej trudniejszą do wytłumaczenia postawę niż jego. Martwił się wyłącznie tym, że nie zdołał doprowadzić do szczęśliwego końca swoich knowań przeciwko Burbankom. Zdawał się niewiele kłopotać o następstwa aresztowania. Czyż ta natura, tak tajemnicza, po raz kolejny umknie próbom czynionym, by ją odgadnąć?

Drzwi celi otwały się. James Burbank z synem stanęli przed więźniem.

— Och, tatuś i synek! — zawołał Texar zwyczajnym u niego bezczelnym tonem. — Doprawdy, winienem wdzięczność panom Jankesom! Gdyby nie oni, ominąłby mnie zaszczyt przyjęcia waszej wizyty! Nie prosicie mnie już o łaskę dla siebie, ale z pewnością przychodzicie ją mnie ofiarować, prawda?

Ton był tak prowokujący, że James Burbank zawrzał. Gilbert go powstrzymał.

— Ojczcie — rzekł — pozwól, że ja odpowiem. Texar chce nas wciągnąć na teren, gdzie nie dotrzemy mu kroku, na teren wzajemnych oskarżeń. Nie ma potrzeby wracać do przeszłości. Mamy się zająć terażniejszością, tylko terażniejszością.

— Terażniejszością! — zawołał Texar. — Może raczej obecną sytuacją! Wydaje mi się jednak, że jest zupełnie jasna. Trzy dni temu byliście zamknięci w tej celi, skąd mieliście iść na śmierć. Dzisiaj ja się znajduję na waszym miejscu i czuję się tu o wiele lepiej, niż sądzicie.

Odpowiedź ta zbiła z tropu Jamesa Burbanka i jego syna, liczyli bowiem, iż ofiarują Texarowi wolność w zamian za tajemnicę porwania.

— Niech pan posłucha, Texar — rzekł Gilbert. — Pragniemy być wobec pana szczerzy. To, co

pan zrobił w Jacksonville, nas nie dotyczy. To, co pan uczynił w Camdless Bay, chcemy zapomnieć. Interesuje nas jedna tylko rzecz. Moja siostra i Zerma zniknęły, kiedy pańscy ludzie atakowali plantację i oblegali Castle House. Wiemy na pewno, że zostały porwane...

— Porwane? — z okrucieństwem w głosie przerwał mu Texar. — Och, jakże miło się o tym dowiedzieć!

— Dowiedzieć się? — zawołał James Burbank. — Przeczysz, ty nędzniku, śmiesz przeczyć...

— Ojczy — odezwał się porucznik — zachowajmy spokój... To konieczne. Owszem, Texarze, to podwójne porwanie miało miejsce podczas ataku na plantację... Czy przyznaje pan, że jest jego bezpośrednim sprawcą?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Odmawia pan wyjawienia, gdzie z pańskiego rozkazu wywiezione zostały moja siostra i Zerma?

— Powtarzam, że nie mam nic do powiedzenia.

— Nawet wtedy, gdybyśmy w zamian za odpowiedź ofiarowali panu wolność?

— Nie będzie mi potrzebna wasza pomoc, żeby odzyskać wolność!...

— A któż to otworzy przed tobą bramy więzienia? — wybuchnął James Burbank, wyprowadzony taką zuchwałością z równowagi.

— Sędziowie, których się domagam.

— Sędziowie!... Skarżę cię bezlitośnie!

— Wtedy się zastanowię, co robić.

— A zatem zdecydowanie odmawia pan odpowiedzi? — po raz ostatni spytał Gilbert.

— Odmawiam...

— Nawet za cenę ofiarowywanej panu wolności?

— Nie chcę takiej wolności.

— Nawet za cenę fortuny, którą się zobowiązuję...

— Nie chcę waszej fortuny. A teraz, panowie, zostawcie mnie. James i Gilbert Burbankowie, trzeba przyznać, poczuli się całkowicie zmieszani taką pewnością siebie. Na czym się opierała? Jak Texar miał odwagę narażać się na rozprawę, która mogła doprowadzić jedynie do najwyższego wymiaru kary? Ani wolność, ani ofiarowywane mu złoto nie zdołały wydobyć zeń odpowiedzi. Czyżby niewzruszona nienawiść brała górę nad jego własnym interesem? Wciąż nieodgadniona postać, która nawet w najgroźniejszej sytuacji nie wyrzekła się tego, czym dotąd była.

— Chodźmy, ojczy — odezwał się porucznik.

I wyprowadził Jamesa Burbanka z więzienia. Przy bramie spotkali Harveya i razem poszli zdać sprawę komendantowi Stevensowi z niepowodzenia.

Właśnie do flotylli nadeszła proklamacja komodora Duponta. Skierowana do mieszkańców Jacksonville, głosiła, iż nikt nie będzie ścigany za swoje przekonania polityczne ani za czyny popełnione w obronie Florydy od początku wojny domowej. Powrót pod gwiazdzisty sztandar zwalnia od odpowiedzialności z publicznego punktu widzenia.

Rzecz jasna, krok ów, sam w sobie bardzo poważny, zawsze przedsiębrany przez prezydenta Lincolna w podobnych okolicznościach, nie mógł dotyczyć spraw prywatnych. A taki właśnie był przypadek Texara. To, że zagarnął władzę, że sprawował ją, aby zorganizować obronę — to była sprawa między Południowcami — sprawa, w którą rząd federalny nie chciał się wtrącać. Jednakże zamachy na poszczególne osoby, napaść na Camdless Bay skierowana przeciwko zwolennikowi Północy, zniszczenie jego własności, porwanie córki i kobiety należącej do jego służby, to już były zbrodnie, które wchodziły w zakres prawa cywilnego i do których należało zastosować normalny tok

wymiaru sprawiedliwości.

Takie było zdanie komendanta Stevensa. Tak też uważał komodor Dupont, gdy przedstawiono mu skargę Jamesa Burbanka i prośbę o wszczęcie dochodzenia przeciwko Hiszpanowi.

Toteż nazajutrz, 15 marca, wezwano Texara przed trybunał wojskowy pod podwójnym oskarżeniem o grabież i porwanie. Oskarżony miał odpowiedzieć za zbrodnie przed sądem wojennym, mającym swoją siedzibę w Saint Augustine.

ROZDZIAŁ VI

SAINT AUGUSTINE

Saint Augustine, jedno z najstarszych miast Ameryki Północnej, pochodzi z XV wieku. Jest stolicą hrabstwa Saint Jean, które mimo że rozległe, nie liczy nawet trzech tysięcy mieszkańców.

Zbudowane przez Hiszpanów, Saint Augustine pozostało takie samo jak ongiś. Wzniesiono je na skraju jednej z przybrzeżnych wysp. Okręty i statki handlowe mogą znaleźć pewne schronienie w porcie, dość dobrze osłoniętym od wiatrów z pełnego morza, bez ustanku smagających niebezpieczne wybrzeże Florydy. Aby tam jednakże wpłynąć, trzeba przebyć groźną mieliznę, którą u wejścia do portu tworzą wiry Golfstromu.

Ulice w Saint Augustine są wąskie, jak w każdym mieście, gdzie promienie słoneczne padają prostopadle. Dzięki rozkładowi ulic, dzięki morskim bryzom orzeźwiającyemu rano i wieczorem powietrzu, panuje bardzo łagodny klimat w mieście, które dla Stanów Zjednoczonych jest tym, czym, dla Francji Nicea albo Menton pod niebem Prowansji.

Ludzie najchętniej osiedlali się w dzielnicy portowej i sąsiadujących z nią ulicach. Przedmieścia, z nielicznymi chatami pokrytymi liśćmi palmowymi, z nędznymi szałasami, byłyby całkowicie opuszczone, gdyby nie chodzące samopas psy, świnię i krowy.

Śródmieście ma bardzo hiszpański charakter. Okna domów są opatrzone solidnymi kratami, a wewnątrz znajduje się tradycyjne patio — dziedziniec otoczony kolumnami, z fantazyjnymi szczytami i balkonami rzeźbionymi niczym ołtarze. Niekiedy, w niedzielę lub w inny dzień świąteczny, z domów tych wylegają na ulice mieszkańcy. Widzi się wtedy obok siebie hiszpańskie senory i Murzynki, Mulatki, Metyski, Murzynów, Murzyniątka, angielskie damy, dżentelmenów, pastorów, mnichów i księży katolickich, niemal każdy z papierosem w ustach wtedy nawet, gdy udają się do kościoła parafialnego Saint Augustine, którego dzwony od połowy XVII wieku prawie bez przerwy donośnie biją.

Nie należy zapomnieć o targowiskach, bogato zaopatrzonych w jarzyny, ryby, drób, prosięta, jagnięta — które się zabija hic et nunc na żądanie klientów — w jaja, ryż, gotowane banany, „frijoles” — rodzaj gotowanego bobu, we wszelkie na koniec owoce tropikalne: ananasy, daktyle, oliwki, granaty, pomarańcze, gujawy, brzoskwinie, figi — wszystko tanie, co czyni życie przyjemnym i łatwym w tej części Florydy.

Co się tyczy oczyszczania miasta, *to* przeważnie zajmują się tym nie zatrudnieni śmieciarze, lecz chmary sępów, chronionych przez prawo zakazujące je zabijać pod karą wysokich grzywien. Pożerają wszystko, nawet węże, których liczba, mimo żarłoczości tych użytecznych ptaków, i tak jest jeszcze zbyt duża.

W skupisku domów śródmieścia nie brak zieleni. Na skrzyżowaniach ulic nagły prześwit pozwala spojrzeń zatrzymać się na kępach drzew sięgających ponad dachy gałęziami, wśród których rozbrzmiewa nieustanny wrzask dzikich papug. Wysokie palmy kołyszą liśćmi na wietrze, przypominając szerokie wachlarze hiszpańskich seńor czy indyjskie punki. Tu i ówdzie wznoszą się nieliczne dęby spowite girlandami lian i glicynii oraz kępy olbrzymich kaktusów tworzących przy ziemi nieprzebyte zarośla. Wszystko to wygląda radośnie i powabnie, a wyglądałoby jeszcze lepiej, gdyby sępy starannie pełniły służbę. Stanowczo nie dorównują mechanicznym zamiataczkom.

W Saint Augustine są raptem dwa tartaki parowe, fabryka cygar, destylatornia terpentyny. Miasto, raczej handlowe niż przemysłowe, eksportuje lub importuje melasę, zboże, bawełnę, indygo, żywice, drewno budowlane, ryby, sól. W normalnym czasie w porcie panuje dosyć duży ruch wpływających i

wyływających parowców, które przewożą towary i pasażerów do rozmaitych miast nad oceanem i Zatoką Meksykańską.

Saint Augustine jest siedzibą jednego z sześciu sądów działających na terenie stanu Floryda. Co się tyczy urządzeń obronnych, zbudowanych przeciwko atakom z lądu lub z morza, to składa się na nie tylko jeden fort, Fort Marion, siedemnastowieczna budowla typu kastylijskiego. Niewątpliwie wielcy strategowie dużo by sobie z niego nie robili; wprawia jednakże w zachwyt archeologów i antykwariuszy ze względu na swe wieże, bastiony, półksiężyce, machikuły, starą broń i moździerze, bardziej niebezpieczne dla tych, co z nich strzelają, niż dla tych, w których są wymierzone.

Ten właśnie fort spiesznie opuścił garnizon konfederacki, gdy nadciągnęła flota federalna, chociaż kilka lat przed wojną rząd go wzmocnił pod kątem obrony. Po odejściu milicji mieszkańcy Saint Augustine skwapliwie oddali fort komodorowi Dupontowi, który go zajął bez walki.

Śledztwo wytoczone przeciwko Texarowi rozbrzmiało szerokim echem w hrabstwie. Wydawało się, że będzie to ostatni akt rozgrywki między tym podejrzanym indywiduum a rodziną Burbanków. Porwanie dziewczynki i Mulatki pasjonowało opinię publiczną, która zresztą zdecydowanie stała po stronie kolonistów z Camdless Bay. Nikt nie miał wątpliwości, że sprawcą porwania był Texar. Nawet obojętnych ciekawiło, w jaki sposób człowiek ów wybrnie z tego i czy zostanie wreszcie ukarany za wszystkie zbrodnie, o jakie od dawna go oskarżano.

Zapowiadało się zatem, iż w Saint Augustine emocje będą znaczne. Do miasta napływali właściciele okolicznych plantacji. Sprawa ta dotyczyła ich osobiście, ponieważ jeden z głównych punktów oskarżenia odnosił się do napaści i spustoszenia Camdless Bay. Wiele innych posiadłości także zostało zrujnowanych przez bandy Południowców. Każdy chciał się dowiedzieć, jak rząd federalny potraktuje te występki przeciwko prawu cywilnemu dokonane pod płaszczykiem polityki separatystycznej.

Główny hotel Saint Augustine, „City-Hotel”, przyjął wielu gości, darzących niekłamaną sympatią Burbanków. Mógłby ich jeszcze pomieścić dużo więcej. Trudno bowiem o lepiej przystosowany do tego celu budynek niż ów szesnastowieczny gmach, niegdyś dom corregidora, czyli mianowanego przez króla burmistrza. Budowla ta, której „puertę”, to znaczy główne wejście, pokrywały rzeźby, posiadała paradną salę, wewnętrzny dziedziniec o kolumnach otoczonych girlandami powojów, krużganki z wychodzącymi na nie wygodnymi pokojami wyłożonymi boazerią niknącą pod najwspanialszymi barwami szmaragdu i złota, wartownie przylegające do murów na hiszpańską modłę, fontanny wyrzucające strumienie wody, zielone gazony — wszystko to umieszczone wokół dość rozległego podwórca, patio o wysokich murach. Słowem, jest to coś w rodzaju karawanseraju, gdzie tylko bogaci podróżni mogą się zatrzymać.

Tam właśnie stanęli James i Gilbert Burbankowie, Stannard z córką oraz Mars.

Po bezowocnej wyprawie do więzienia w Jacksonville James Burbank z synem wrócili do Castle House. Dowiedziawszy się, że Hiszpan odmówił odpowiedzi na temat małej Dy i Zermy, rodzina straciła ostatnią nadzieję. Wszelako wiadomość, iż Texar ma być oddany pod sąd wojskowy za czyny popełnione w Camdless Bay, zmniejszyła nieco obawy. Wobec wyroku, przed którym nie mógł umknąć, Hiszpan bez wątpienia przemówi, skoro szło będzie o zyskanie wolności lub życia.

W sprawie tej panna Alicja miała być głównym świadkiem oskarżenia. Znajdowała się bowiem w zatoce Marino w chwili, gdy Zerma wykrzyknęła imię Texara, i w odpływającej łodzi bez trudu rozpoznała nędznika. Dziewczyna przygotowała się zatem do wyjazdu do Saint Augustine. Miał jej towarzyszyć ojciec oraz James i Gilbert wezwani na prośbę sędziego referenta przy trybunale wojennym. Mars prosił, by gorównież zabrano. Mąż Zermy chciał być przy tym, jak z Hiszpana wydobędą tajemnicę, którą on jeden znał. Wtedy to Burbankom pozostanie tylko odebrać porwane

kobiety ludziom strzegącym ich na rozkaz Texara.

Szesnastego marca po kolacji James Burbank, Gilbert, Stannard, jego córka i Mars pożegnali się z panią Burbank i Edwardem Carrollem. Jeden z parowców kursujących po Saint Johns wziął ich na pokład na przystani w Camdless Bay i wysadził na ląd w Picolacie. Stamtąd powozem pojechali krętą drogą prowadzącą wśród dębów, cyprysów i platanów porastających tę część Florydy. Przed północą byli już wygodnie rozlokowani w apartamentach „City-Hotel”.

Nie należy jednak sądzić, iż Texara porzucili wszyscy jego poplecznicy. Liczył sobie wielu sprzymierzeńców pośród drobnych kolonistów hrabstwa, samych zajadłych zwolenników niewolnictwa. Z drugiej zaś strony, wiedząc, iż nie będą ścigani za zamieszki w Jackson-ville, jego towarzysze nie chcieli opuścić swojego byłego przywódcy. Wielu z nich umówiło się na spotkanie w Saint Augustine. Co prawda szukać ich nie należałoby w „City-Hotel”. W miastach nie brak zajazdów, tak zwanych „tiendas”, gdzie Metysi pochodzący od Hiszpanów i Indian z plemienia Krik sprzedają wszystko, co da się zjeść, wypić, wypalić. Tam też ludzie niskiego stanu, o dwuznacznej reputacji, niestrudzenie wyrażali protesty w interesie Texara.

Komodora Duponta nie było w tym czasie w Saint Augustine. Organizował blokadę na wybrzeżu, które należało zamknąć dla przemytników wojennych. Jednakże oddziały wysadzone na ląd po oddaniu Fort Marion trzymały miasto w ryzach. Nie było obawy, że dojdzie do jakichś wystąpień ze strony Południowców czy milicji wycofującej się drugim brzegiem rzeki. Gdyby zwolennicy Texara chcieli wzniecić powstanie, aby odbić miasto z rąk federalistów, zostaliby natychmiast zgniecieni.

Hiszpana przewieziono na jednej z kanonierek komendanta Ste-vensa z Jacksonville do Picolaty. Stamtąd dotarł do Saint Augustine pod silną eskortą i został zamknięty w celi w forcie, skąd zbiec niepodobna. Prawdopodobnie zresztą wcale o ucieczce nie myślał, skoro sam zarządał rozprawy. Wiedzieli o tym jego poplecznicy. Gdyby go tym razem skazano, wtedy zastanowią się, co należy uczynić, by mu ułatwić ucieczkę. Do tego czasu nie pozostawało im nic innego, jak spokojnie czekać.

Pod nieobecność komodora funkcję dowódcy wojskowego miasta pełnił pułkownik Gardner. Do niego miało również należeć przewodniczenie trybunałowi powołanemu, aby sądzić Texara w jednym z pomieszczeń w Fort Marion.

Pułkownik Gardner to właśnie ten, który był przy zajęciu Fernandiny i na jego rozkaz uciekinierzy, uwięzieni po zaatakowaniu pociągu przez kanonierkę „Ottawa”, zostali zatrzymani na czterdzieści osiem godzin — okoliczność tę warto tu przypomnieć.

Posiedzenie sądu zaczęło się o godzinie jedenastej. Salę rozpraw wypełniła publiczność. Do najbardziej hałaśliwych jej członków należeli przyjaciele bądź zwolennicy Texara.

James i Gilbert Burbankowie, Stannard z córką oraz Mars zajmowali miejsca dla świadków. Wiedzano już, że obrona żadnych świadków nie ma. Wyglądało na to, że Hiszpan nie zatroszczył się o powołanie takowych, aby odciążyć oskarżenie. Czyżby zlekceważył wszelkie dowody na swoją korzyść czy też nie mógł się odwołać do niczyjego świadectwa? Wkrótce miało się to wyjaśnić. W każdym razie nie wydawało się, aby ktokolwiek żywił jakieś wątpliwości co do wyniku sprawy.

Wszelako Jamesa Burbanka ogarnęło nieokreślone przeczucie. Czyż to nie tutaj, w Saint Augustine, wniósł kiedyś skargę przeciwko Texarowi? Powołując się na niepodważalne alibi, Hiszpan zdołał wtedy uniknąć wyroku sądu. Porównanie z tym musiało się nasuwać zebranym, tamta sprawa bowiem datowała się sprzed paru zaledwie tygodni.

Skoro tylko sąd zebrał się na posiedzenie, wprowadzono Texara pod strażą. Podszedł do ławy oskarżonych i usiadł spokojnie. Najwyraźniej nic i w żadnych okolicznościach nie mogło wzruszyć wrodzonej mu beczelności. Pogardliwy uśmiech dla sędziów, pewne siebie spojrzenie dla przyjaciół, których dojrzał na sali, wzrok pełen nienawiści, gdy popatrzył na Jamesa Burbanka — oto

jego zachowanie, kiedy czekał, aż pułkownik Gardner rozpocznie przesłuchanie.

W obecności człowieka, który wyrządził im tyle krzywd, który tak bardzo mógł ich jeszcze skrzywdzić, James Burbank, Gilbert, Mars z wielkim trudem nad sobą panowali.

Przesłuchanie rozpoczęło się zwyczajnymi formalnościami mającymi na celu stwierdzenie tożsamości obwinionego.

— Nazwisko? — zapytał pułkownik Gardner.

— Texar.

— Wiek?

— Trzydzieści pięć lat.

— Gdzie pan mieszka?

— W Jacksonville, tienda Torilla.

— Pytam o stałe miejsce zamieszkania.

— Nie mam takiego.

Jakże zabiły serca Jamesowi Burbankowi i jego przyjaciołom, gdy usłyszeli tę odpowiedź wyrażoną tonem, który wskazywał, iż Texar nie ma najmniejszego zamiaru zdradzić swego miejsca zamieszkania!

Mimo nastawania sędziego Texar uparcie twierdził, iż nie mieszka nigdzie na stałe. Podawał się za koczownika, trapera, myśliwego z tutejszych olbrzymich puszczy, mieszkańca lasów cyprysowych, sypiającego w szałasach, żyjącego z tego, co ustrzeli i złapie, na los szczęścia. Nic innego nie dało się zeń wydobyć.

— Niech i tak będzie — rzekł w końcu pułkownik Gardner. — Ostatecznie to mało ważne.

— W rzeczy samej, mało ważne — hardo odparł Texar. — Założmy, jeśli pan sobie życzy, pułkowniku, że obecnie moim mieszkaniem jest Fort Marion w Saint Augustine, gdzie mnie bezprawnie trzymacie. O cóż to jestem oskarżony? — dodał, jakby chciał od samego początku kierować przesłuchaniem.

— Nie jest pan oskarżony — zaczął pułkownik Gardner — o to, co się wydarzyło w Jacksonville. Proklamacja komodora Duponta głosi, że rząd nie zamierza się wtrącać w zamieszki lokalne, które w miejsce legalnych władz hrabstwa powołały nowych urzędników, obojętnie, jacy oni byli. Floryda wróciła teraz pod sztandar federalny i rząd Północy zajmie się wkrótce ustanowieniem tu nowego porządku.

— Skoro nie jestem oskarżony o obalenie władz miejskich Jacksonville, i to za zgodą większości obywateli — rzekł Texar — to dlaczego stoję przed sądem wojennym?

— Powiem panu, skoro udaje pan, że nie wie — odparł pułkownik Gardner. — W czasie gdy pan sprawował funkcję przewodniczącego komitetu, dopuszczono się wykroczeń przeciwko prawu cywilnemu. Oskarża się pana o podburzanie co gwałtowniejszych obywateli do ich popełnienia.

— Co to za wykroczenia?

— W pierwszym rzędzie chodzi o zniszczenie plantacji Camdless Bay, na którą napadła banda łobuzów...

— I oddział żołnierzy dowodzony przez oficera milicji — przerwał Hiszpan.

— Zgadza się. Doszło jednakże do grabieży, podpalenia, zbrojnego ataku na dom kolonisty, który miał prawo odeprzeć podobną napaść, co też uczynił.

— Prawo? — odezwał się Texar. — Prawo nie było po stronie tego, kto się nie podporządkował rozkazom komitetu legalnie powołanego. James Burbank, bo o niego tu chodzi, wyzwolił swoich Murzynów lekceważąc poglądy ludzi, którzy na Florydzie, jak i w większości stanów Unii popierają niewolnictwo. Ten czyn mógł ściągnąć poważne zagrożenie na sąsiednie plantacje, pobudzając

Murzynów do buntu. Komitet Jacksonville zdecydował zatem, że w tych okolicznościach powinien wdać się w sprawę. Wprawdzie nie unieważniono aktu wyzwolenia, tak nieopatrnie wydanego przez Jamesa Burbanka, lecz postanowiono, że nowo wyzwoleni zostaną usunięci z okolicy. A ponieważ pan Burbank odmówił wykonania rozkazu, komitet musiał użyć siły. Oto dlaczego milicja, do której przyłączyła się część mieszkańców miasta, rozpędziła byłych niewolników z Camdless Bay.

— Rozważa pan te gwałty — powiedział pułkownik Gardner — z punktu widzenia, którego sąd nie może w żadnym wypadku zaakceptować. James Burbank, pochodzący z Północy, postąpił wedle przysługujących mu w pełni praw, wyzwalając swoją służbę. Nic zatem nie może tłumaczyć wybryków, jakie miały miejsce na terenie jego posiadłości.

— Sądzę, że traciłbym czas przedstawiając moje poglądy sądowi — rzekł na to Texar. — Komitet Jacksonville uznał za konieczne postąpić tak, jak postąpił. Czy oskarża się mnie jako przewodniczącego komitetu i czy ja jeden mam ponieść odpowiedzialność za te czyny?

— Owszem, tylko pan, Texarze, pan jeden, który był nie tylko przewodniczącym komitetu, ale osobiście poprowadził rabusiów na Camdless Bay.

— Proszę mi to udowodnić! — odparł zimno Texar. — Czy jest choć jeden świadek, który mnie widział wśród mieszkańców miasta i żołnierzy milicji mających wykonać rozkazy komitetu?

Na te słowa pułkownik Gardner poprosił Jamesa Burbanka, by złożył zeznanie.

Burbank opowiedział o wydarzeniach, jakie zaszły, odkąd Texar i jego zwolennicy obalili legalne władze Jacksonville. Szczególny nacisk położył na postawę oskarżonego, który pchnął pospólstwo na jego posiadłość.

Jednakże na postawione przez pułkownika Gardnera pytanie dotyczące obecności Texara wśród napastników musiał odpowiedzieć, iż on sam go nie widział. Jak wiadomo, John Bruce, wysłannik Harveya, zapytany o to przez Burbanka w chwili, gdy wszedł do Castle House, nie potrafił powiedzieć, czy Hiszpan stał na czele rabusiów.

— Tak czy owak — dodał James Burbank — nikt nie wątpi, że cała odpowiedzialność za tę zbrodnię spada wyłącznie na niego. To on podjudził napastników do ataku na Camdless Bay i tylko jemu zależało, żeby wydać na pastwę płomieni mój dom wraz z jego obrońcami. Tak, on do tego wszystkiego przyłożył ręki, jak i do jeszcze bardziej zbrodniczego czynu!

James Burbank umilkł. Zanim się przejdzie do porwania, należało doprowadzić do końca pierwszy punkt oskarżenia dotyczący napaści na Camdless Bay.

— A zatem — podjął pułkownik Gardner zwracając się do Hiszpana — uważa pan, że ponosi tylko częściową odpowiedzialność, która w całości powinna spaść na komitet za wykonanie jego rozkazów?

— Oczywiście.

— I nadal pan utrzymuje, że nie stał na czele tych, co napadli na Camdless Bay?

— Właśnie — odparł Texar. — Nikt nie może powiedzieć, że mnie tam widział. Nie, nie było mnie wśród dzielnych obywateli, którzy pragnęli wykonać rozkazy komitetu! Co więcej, tego dnia nie było mnie nawet w Jacksonville!

— Tak... Ostatecznie to możliwe — rzekł wówczas James Burbank, uważając ów moment za odpowiedni, by powiązać pierwszy punkt oskarżenia z następnym.

— To pewne — odparł Texar.

— Nie było pana wśród atakujących Camdless Bay — ciągnął dalej James Burbank — ponieważ nad zatoką Marino czyhał pan na okazję, aby dopuścić się innej zbrodni!

— Tak samo nie było mnie nad zatoką Marino — niewzruszenie odpar sam Texar — jak i przy

ataku na Camdless Bay ani, powtarzam, w Jacksonville.

Jak pamiętamy, John Bruce oświadczył wtedy Jamesowi Burbankowi, że Texara nie ma wśród napastników, lecz nikt go nie widział także w Jacksonville w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to znaczy od 2 do 4 marca.

Okoliczność ta skłoniła zatem przewodniczącego sądu do postawienia Texarowi kolejnego pytania:

— Skoro nie było pana tego dnia w Jacksonville, to proszę powiedzieć, gdzie pan wtedy przebywał?

— Powiem, gdy przyjdzie na to czas — odparł krótko Hiszpan. — Na razie wystarczy, że ustaliliśmy, iż nie brałem osobiście udziału w napadzie na plantację. O co więc, pułkowniku, jestem jeszcze oskarżony?

Texar, ze skrzyżowanymi ramionami, rzucił oskarżycielom spojrzenie jeszcze bardziej bezczelne, wręcz wyzywające.

Zaraz też przedstawiono oskarżenie. Wygłosił je pułkownik Gardner i tym razem Texar, spodziewano się, będzie miał kłopot, żeby je odeprzeć.

— Skoro nie było pana w Jacksonville — rzekł pułkownik — sędzia referent będzie mógł uważać, że był pan w zatoce Marino.

— W zatoce Marino?... A to po co?

— Porwał tam pan albo rozkazał porwać dziecko, Dianę Burbank, córkę Jamesa Burbanka, i Zermę, żonę obecnego tu Mulata Marsa, która towarzyszyła dziewczynce.

— Ach, i mnie oskarżacie o to porwanie? — zdziwił się Texar z ironią w głosie.

— Tak!... Pana!... — zawołali jednym głosem James Burbank, Gilbert i Mars, nie mogąc się dłużej opanować.

— Przepraszam bardzo, a dlaczego miałbym to ja uczynić — rzekł na to Texar — a nie ktokolwiek inny?

— Ponieważ pan jeden miał w tym interes — odparł pułkownik.

— Jaki interes?

— Zemsta na rodzinie Burbanków. Wielokrotnie już James Burbank wnosił na pana skargi. Dzięki alibi, na które pan się powoływał, nie był pan wprawdzie dotąd skazany, lecz wielokrotnie głosił pan wszem i wobec, że zemści się na oskarżycielach.

— Owszem — odparł Texar — nie przeczę, że między panem Burbankiem i mną istniała zajadła nienawiść. Nie przeczę również, że odniósłbym korzyść łamiąc mu serce, gdybym porwał jego dziecko. Ale co faktycznie zrobiłem, to już inna rzecz! Czy macie świadków?... — Tak — odpowiedział pułkownik Gardner.

I poprosił Alicję Stannard, by pod przysięgą złożyła zeznanie.

Alicja głosem urywanym z emocji opowiedziała, co się wydarzyło w zatoce Marino. Zdecydowanie potwierdziła zarzut. Wychodząc z przejścia podziemnego, obydwie z panią Burbank usłyszały wykrzyknięte przez Zermę imię, a było to imię Texara. Obydwie natknęły się na zwłoki zamordowanych Murzynów i pobięły na brzeg rzeki. Widziały oddalające się dwie łodzie: jedna uwoziła porwane, w drugiej na rufie stał Texar. I w blasku ognia składów płonących w Camdless Bay, dochodzącym aż do Saint Johns, Alicja rozpoznała Hiszpana.

— Czy może pani przysiąc? — spytał pułkownik.

— Przysięgam — odparła.

Po takim oświadczeniu nie było najmniejszej wątpliwości co do winy Texara. Wszelako James Burbank, jego przyjaciele, jak i całe audytorium spostrzegli, iż Hiszpan nie stracił ani krzty ze

zwykłej pewności siebie.

— Co oskarżony ma na to do powiedzenia? — zapytał Texara przewodniczący sądu.

— Nie zamierzano oskarżać panny Stannard — odparł Hiszpan — o fałszywe zeznania. Nie oskarżę jej również, że działała za poduszczeniem Burbanków składając pod przysięgą oświadczenie, iż jestem sprawcą porwania, o którym dowiedziałem się dopiero po moim aresztowaniu. Oświadczam jedynie, iż panna Stannard myli się twierdząc, że widziała mnie w jednej z łodzi odplywających z zatoki Marino.

— O ile jednak panna Stannard mogła się pomylić co do tego — odezwał się pułkownik Gardner — nie mogła się pomylić twierdząc, że słyszała, jak Zerma krzyknęła: Na pomoc!... To Texar!

— Cóż — rzekł na to Hiszpan — skoro nie panna Stannard się pomyliła, to pomyliła się Zerma, ot co.

— Zerma miałyby zawołać: To Texar! a pana by tam wtedy nie było?

— Musiało tak być, ponieważ nie znajdowałem się w łodzi, nie przyplłynąłem też do zatoki Marino.

— Proszę to udowodnić.

— Wprawdzie nie ja powinienem to udowadniać, lecz ci, co mnie oskarżają, ale to nic trudnego.

— Jeszcze jedno alibi? — rzekł pułkownik Gardner.

— Jeszcze jedno! — zimno odparł Texar.

Na tę odpowiedź publiczność zareagowała ironicznie, szmerem powątpiewania, który w najmniejszym stopniu nie sprzyjał oskarżonemu.

— Ponieważ powołuje się pan na nowe alibi — powiedział pułkownik — czy może je pan dowieść?

— Z łatwością — odparł Hiszpan — a w tym celu wystarczy, żebym zadał panu, pułkowniku, jedno pytanie.

— Proszę pytać.

— Czy dowodził pan oddziałami desantowymi, gdy federaliści zajmowali Fernandinę i Fort Clinch?

— Owszem.

— Bez wątpienia nie zapomniał pan zatem, że pewien pociąg, odjeżdżający w kierunku Cedar Keys, został zaatakowany przez kanonierkę „Ottawa” na moście łączącym Wyspę Amelii z kontynentem.

— Pamiętam.

— Otóż ostatni wagon tego pociągu odczepił się na moście, oddział wojsk federalnych zatrzymał wszystkich znajdujących się w nim uciekinierów, a więźniowie ci, których nazwiska i rysopisy zanotowano, odzyskali wolność dopiero czterdzieści osiem godzin później.

— Wiem — odparł pułkownik Gardner.

— Wśród tych więźniów byłem i ja.

— Pan? — Ja.

To nieoczekiwane oświadczenie przyjęte zostało nowym, jeszcze mniej przychylnym szmerem.

— A zatem — podjął Texar — ponieważ więźniowie byli pod strażą od drugiego do czwartego marca, a napad na plantację, jak również porwanie, które mi się zarzuca, miały miejsce w nocy trzeciego marca, jest fizyczną niemożliwością, żebym ja był ich sprawcą. A zatem panna Stannard nie mogła słyszeć, jak Zerma wykrzyknęła moje nazwisko. A zatem nie mogła mnie widzieć w łodzi odplywającej z zatoki Marino, ponieważ wtedy właśnie byłem więziony przez władze federalne.

— To kłamstwo! — rzekł James Burbank.

— A ja przysięgam — dodała Alicja — że widziałam tego człowieka i że go rozpoznałam!

— Proszę sprawdzić w aktach — krótko odpowiedział Texar. Pułkownik Gardner kazał znaleźć w archiwum przekazanym ko-

modorowi Dupontowi w Saint Augustine akta dotyczące więźniów pojmanyh w dniu zajęcia Fernandiny w pociągu jadącym do Cedar Keys. Przyniesiono mu je i pułkownik stwierdził, iż figuruje w nich istotnie nazwisko Texara wraz z jego rysopisem.

Nie było już zatem żadnej wątpliwości. Hiszpan nie mógł od powiadać za porwanie. Alicja myliła się twierdząc, iż go rozpoznała. Tego wieczoru na pewno nie znalazł się w zatoce Marino. Jego dwudniowa nieobecność w Jacksonville całkiem naturalnie się wyjaśniła: był wtedy więźniem na pokładzie jednego z okrętów eskadry.

Tak więc i tym razem niepodważalne alibi, wsparte urzędowymi aktami, obaliło wysuwane przeciw Texarowi oskarżenia.

Jamesa Burbanka, Gilberta, Marsa, Alicję przybił zupełnie wynik procesu. Texar znowu im się wymknął, a wraz z nim wszelkie szanse na to, że się dowiedzą, co się stało z Dy i Zermą.

Wobec alibi, które przedstawił oskarżony, wyrok sądu wojennego był oczywisty. Odrzucono skargę wniesioną na Texara o popełnienie dwóch czynów przestępczych: grabieży i porwania. Wyszedł zatem z sali sądowej z wysoko podniesioną głową, pośród hałaśliwych wiwatów swych przyjaciół.

Jeszcze tego wieczora Hiszpan opuścił Saint Augustine i nikt nie byłby w stanie rzec, do jakiej części Florydy się udał, by tam wieść dalej swe awanturnicze życie.

ROZDZIAŁ VII

OSTATNIE SŁOWA, OSTATNI DECH

Tego samego dnia, 17 marca, James Burbank z synem i Stannard z Alicją oraz mąż Zermy wrócili do Camdless Bay.

Nie można było ukryć prawdy przed panią Burbank. Nieszczęsną matkę dosięgnął nowy cios, który przy jej osłabieniu mógł się okazać śmiertelny.

Ostatnia próba poznania losu dziecka do niczego nie doprowadziła. Texar odmówił odpowiedzi. A jakże go do tego zmusić, skoro utrzymywał, iż to nie on jest sprawcą porwania? Mało, że tak utrzymywał, lecz za pomocą równie niewytłumaczalnego jak poprzednie alibi udowodnił, iż nie mógł się wtedy znajdować w zatoce Marino. Skoro go zaś uniewinniono, trudno by mu dawać wybór między karą a wyznaniem naprowadzającym na ślad jego ofiar.

— Skoro nie Texar — powtarzał Gilbert — to kto jest winien?

— Mógł kazać swoim ludziom — odparł Stannard — a jego obecność nie była konieczna.

— To jedyne możliwe wytłumaczenie — rzekł Edward Carrol.

— Nie, nie, ojczy — oświadczyła Alicja. — Texar był w łodzi, w której odpływała nasza biedna Dy! Widziałam go... i poznałam w chwili, gdy Zerma ostatni raz krzyknęła!... Widziałam go... Widziałam!

Cóż odpowiedzieć na takie przeświadczenie dziewczyny? Na pewno się nie pomyliła, powtarzała to w Castle House, podobnie jak przysięgała przed sądem. Jeżeli się jednak nie pomyliła, to w jaki sposób Hiszpan w tej samej chwili znajdował się wśród więźniów z Fernandiny, zatrzymany na jednym z okrętów eskadry komodora Duponta?

Było to niewytłumaczalne. O ile jednak inni mogli mieć jakieś wątpliwości, o tyle nie miał ich Mars. Nie starał się zrozumieć tego, co niepojęte. Zdecydowanie postanowił ruszyć śladem Texara, a gdy go odnajdzie, wydobyć zeń tajemnicę, nawet gdyby miał go wziąć na tortury!

— Masz słusność, Marsie — rzekł mu Gilbert. — Ale trzeba nam będzie obejść się bez tego nędznika, ponieważ nie wiemy, gdzie przepadł!... Musimy wznowić poszukiwania... Mam pozwolenie na pozostanie w Camdless Bay, dopóki będzie to konieczne, więc od jutra...

— Tak, panie Gilbercie, od jutra! — powiedział Mars.

I Mulat poszedł do siebie, gdzie mógł dać upust zarówno swemu bólowi, jak i złości.

Nazajutrz Gilbert z Marssem przygotowali się do wyjazdu. Chcieli poświęcić ten dzień na dokładne przeszukanie najmniejszych nawet zatoczek i wysepek powyżej Camdless Bay oraz obu brzegów Saint Johns.

Pod ich nieobecność James Burbank i Edward Carrol mieli przygotować zakrojoną na szeroką skalę wyprawę. Żywność, amunicja, środki transportu, ludzie — o niczym nie zapomną, byle tylko skończyła się pomyślnie. Jeśli będzie trzeba ruszyć w dzikie okolice dolnej Florydy, między bagna na południu, poprzez mokradła Evergladów, ruszą tam. Niemożliwe, żeby Texar opuścił terytorium Florydy. Gdyby się udał w kierunku północnym, natknąłby się na przeszkodę w postaci wojsk federalnych stacjonujących na granicy Georgii. Chcąc uciec morzem, musiałby przebyć Cieśninę Florydzką, ażeby znaleźć schronienie na angielskich wyspach Bahama. Lecz okręty komodora Duponta strzegły szlaków od zatoki Mosquito aż po wejście do cieśniny. Szalupy zapewniały zupełną blokadę wybrzeża. A więc i z tej strony Hiszpan nie miał szans na ucieczkę. Musiał przebywać na Florydzie, niewątpliwie ukryty tam, gdzie od dwóch tygodni Indianin Skambo strzegł porwanych. Planowana przez Jamesa Burbanka wyprawa miałaby zatem na celu poszukiwanie śladu Texara na

całej Florydzie.

Na tych terenach panował teraz zupełny spokój dzięki obecności oddziałów Północy i okrętów blokujących wschodnie wybrzeże. Rozumie się, że w Jacksonville również było spokojnie. Dawne władze zajęły swoje miejsce w ratuszu. Nie było już obywateli więzionych za poglądy liberalne bądź przeciwne. Zwolennicy Texara zupełnie się rozpierzchli, ruszając od razu śladem florydzkiej milicji.

Wojna secesyjna toczyła się tymczasem w środkowej części Stanów Zjednoczonych, gdzie Północ miała przewagę. W dniach 18 i 19 marca w Fort Monroe wylądowała pierwsza dywizja Armii Potomacu. Następna szykowała się 22 marca do wyjazdu z Alexandrii w tym samym kierunku. Mimo geniuszu wojskowego J. Jacksona, byłego nauczyciela chemii — zwanego Stonewal Jackson, „Kamienny Mur” — Południowcy kilka dni później mieli zostać pokonani w bitwie pod Kernstown. Nie należało się zatem obawiać powstania na Florydzie, która zawsze — co trzeba podkreślić — okazywała się raczej obojętna wobec namiętności Północy i Południa.

W tej sytuacji cała służba z Camdless Bay, rozproszona po napadzie na plantację, mogła powoli wracać. Odkąd federaliści zajęli Jacksonville, uchwały Texara i jego komitetu o wydaleniu wyzwolonych niewolników nie miały żadnej mocy. Już 17 marca większość murzyńskich rodzin, które wróciły na plantację, zaczęła odbudowę chat. Jednocześnie robotnicy uprzętały ruiny składów i tartaków, ażeby rozpocząć na nowo regularne przetwarzanie płodów Camdless Bay. Bardzo czynnie udzielali się Perry i nadzorcy pod kierunkiem Edwarda Carrola. James Burbank jego właśnie staraniom pozostawił przywrócenie ładu, sam mając przed sobą inne zadanie — odnalezienie córki. Toteż w przewidywaniu bliskiej wyprawy gromadził wszystko, co będzie na niej potrzebne. Wybrał dwunastu wyzwolonych Murzynów spośród najbardziej oddanych, aby towarzyszyli mu w poszukiwaniach. Z pewnością ci zacni ludzie przyłożą się do nich całym sercem i duszą.

Pozostała do ustalenia trasa, jaką wyprawa będzie poprowadzona. Wahań było tu co niemiara. W jakim rejonie Florydy bowiem rozpocząć poszukiwania? Ten problem przerastał oczywiście wszystkie inne.

Niespodziewane wydarzenie, absolutnie przypadkowe, miało względnie dokładnie wskazać trop, którym należało ruszyć na początku.

Gilbert i Mars, wyruszywszy 19 marca z samego rana z Castle House, szybko płynęli w górę Saint Johns najlżejszą w Camdless Bay łodzią. W czasie tych poszukiwań, przeprowadzanych każdego dnia na obu brzegach rzeki, nie towarzyszył im żaden Murzyn z plantacji. Zależało im na utrzymaniu swoich działań w możliwie ścisłej tajemnicy, ażeby nie obudzić czujności szpiegów mogących strzec okolic Castle House na rozkaz Texara.

Tego dnia przemykali się wzdłuż lewego brzegu. Łódka, płynąca wśród wysokich traw, z tyłu wysepek powstałych w wyniku gwałtownych przypiływów w okresie równonocy wiosennej, w żaden sposób nie mogła zostać zauważona. Z łodzi płynących korytem rzeki nie byłoby jej nawet widać, podobnie jak z brzegu, którego wysokość kryła ją przed spojrzeniem każdego, kto by się zapuścił w gęstwinę roślin.

Zamierzali właśnie zbadać najbardziej ukryte zatoki i rzeczki, wpadające do Saint Johns w hrabstwach Duval i Putnam. Aż do osiedla Mandarin rzeka ma wygląd niemal bagnisty. Podczas przypiływu zatapia brzegi, niezwykle tu niskie, odsłaniając je wtedy dopiero, kiedy odpływ jest wystarczająco silny, by sprowadzić lustro Saint Johns do normalnego poziomu. Prawy brzeg jest wszelako nieco bardziej wyniesiony. Polom kukurydzianym nie grożą tam okresowe zalewy, uniemożliwiające każdą uprawę. Miejsce, gdzie wznosi się kilka domów osiedla Mandarin, może nawet być nazwane wzgórzem, a kończy się ono przylądkiem wychodzącym aż do połowy koryta.

Dalej liczne wysepki rozłożone są w węższym korycie rzeki, a jej podzielone na trzy ramiona

wody, w których przeglądają się wspaniałe pióropusze magnolii, podnoszą się z przypiływem i opadają wraz z odpływem morza, z czego flota rzeczna może korzystać dwa razy na dobę.

Wpłynąwszy w zachodnią odnogę, Gilbert z Marssem przeszukiwali najmniejsze nawet wgłębienia brzegu. Sprawdzali, czy pod gałęziami tulipanowców nie otwiera się ujście jakiejś rzeczutki, aby podążyć jej krętym biegiem w głąb lądu. Nie widziało się tam już rozległych mokradeł jak w dole rzeki. Były to parowy porosłe drzewiastymi paprociami i drzewami ambarowymi, których pierwsze kwiaty, poprzeplatane girlandami rdestu i kokornaku, napępiały powietrze silnym zapachem. W wielu miejscach rzeczutki owe były ledwie wąskimi strumykami, zbyt płytkimi nawet dla czółna, odpływ zaś sprawiał, że nikły zupełnie. Na brzegach nie widzieli najlichszej choćby chaty. Tylko tu i ówdzie natykali się na opuszczony myśliwski szałas, wyraźnie od dawna nie zamieszkały. Niekiedy mogło się wydawać, że wobec braku ludzi, ulokowały się tam zwierzęta. Ujadanie psów, miauczenie kotów, skrzeczenie żab, syk węży, szczekanie lisów — takie oto rozmaite dźwięki dobiegały uszu. Nie było tam jednak ani lisów, ani kotów, żab, psów czy węży, lecz tylko naśladowujące głosy zwierząt przedrzeźniacze — podobne do brązowego drozda ptaki o czarnej głowie, pomarańczowoczerwonym ogonie, płoszone przez nadpływającą łódkę.

Dochodziła trzecia po południu. Dziób lekkiej łodzi wszedł pod mroczne kłębowisko olbrzymich trzcin, kiedy nagle Mars pchnął silniej bosakiem i oto pokonali zaporę zieleni — zdawało się, nieprzebytą. Za nią rozpościerała się okrągła zatoka o powierzchni około pół akra, której wody, osłonięte gęstą kopułą tulipanowców, nigdy nie zaznały ciepła promieni słonecznych.

— O tej zatoce nie wiedziałem — rzekł Mars wstając, aby się przyjrzeć brzegowi.

— Zbadajmy ją — powiedział Gilbert. — Powinna mieć połączenie z szeregiem jeziorok wydrążonych w brzegach. Może wpada do nich jakaś rzeczutka, która pozwoli nam wpłynąć w głąb lądu?

— Możliwe, paniczu Gilbercie — odparł Mars. — Widzę nawet otwierające się przejście na północny zachód od nas.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — spytał porucznik.

— Nie za bardzo — odrzekł Mulat — chyba że to laguna zwana Czarną Zatoką. Myślałem jednak, jak wszyscy w okolicy, że nie da się na nią wpłynąć i że się nie łączy z Saint Johns.

— Czy nie było kiedyś nad tą zatoką fortu wzniesionego dla obrony przed Seminolami?

— Tak, paniczu Gilbercie. Ale już wiele lat temu wejście do zatoki od strony rzeki zarosło i fort porzucono. Ja tam nigdy nie byłem, a teraz to chyba tylko ruiny z niego zostały.

— Spróbujmy tam dotrzeć — powiedział Gilbert.

— Możemy — zgodził się Mars — chociaż prawdopodobnie nie będzie to łatwe. Woda niebawem opadnie, a ziemia na mokradłach nie jest dość twarda, żeby po niej chodzić.

— Oczywiście. Toteż dopóki będzie dość wody, zostaniemy w łodzi.

— Nie traćmy ani chwili, paniczu Gilbercie. Jest już trzecia, a pod tymi drzewami noc szybko zapada.

W rzeczy samej Mars i Gilbert przedarli się, dzięki owemu pchnięciu bosakiem, do Czarnej Zatoki. Jak wiadomo, dało się po niej kursować jedynie w lekkich czółnach, podobnych do tego, jakim się zazwyczaj posługiwał Skambo, kiedy on lub jego pan wypływali w koryto Saint Johns. Ażeby jednak poprzez labirynt wysepek i kanałów dotrzeć do blokhauzu, leżącego mniej więcej pośrodku zatoki, trzeba było dobrze znać tysiączne jej zakola, toteż od wielu lat nikt się tam nie zapuszczał. Nawet nie podejrzewano, że fort jeszcze istnieje. Stąd całkowite bezpieczeństwo dla zagadkowego złoczyńcy, który uczynił sobie zeń stałą kryjówkę. Stąd zupełna tajemnica, jaka otaczała życie prywatne Texara.

Trzeba by nici Ariadny, żeby znaleźć drogę w tym labiryncie wiecznie mrocznym, nawet kiedy słońce stało najwyżej. Jednakże skoro nici takiej nie było, być może przypadek pozwoli odkryć główną wysepkę na Czarnej Zatoce.

Na takiego zatem bezwiednego przewodnika musieli się zdać Gilbert i Mars. Przebywszy pierwsze wcięcie erozyjne, ruszyli kanałami, w których woda podnosiła się akurat wraz z przyływem morza — nawet najwyższymi, jeśli uznali, iż są spławne. Płynęli jakby wiedzeni tajemniczym przecuciem, nie zastanawiając się, w jaki sposób uda im się wrócić. Ponieważ mieli zbadać całe hrabstwo, zależało im, żeby niczego i tutaj nie przeoczyć.

Po półgodzinnych wysiłkach łódź, podług oceny Gilberta, znajdowała się dobrą milę w głębi zatoki. Nieraz, zatrzymani niedostępnym brzegiem, musieli się cofać i wpływać w inny kanał. Bez wąt pienia jednak kierowali się ku zachodowi. Żaden nie próbował dotąd zejść na ląd — co by się odbyło nie bez trudności, wysepki bowiem ledwie wystawały nad średni poziom wody w rzece. Słuszniej było nie opuszczać lekkiej łodzi, dopóki płycizna nie uniemożliwi dalszej drogi.

Wiele wysiłku musieli jednak włożyć, aby przebyć tę milę. Mulat był wprawdzie krzepki, lecz potrzebował chwili spoczynku. Nie chciał wszakże odetchnąć, dopóki nie dotrą do niedalekiej już rozleglejszej i wyżej położonej wysepki, gdzie pomiędzy gałęziami drzew przedostawało się trochę światła słonecznego.

— Dziwne! — rzekł w pewnej chwili.

— Co takiego? — spytał Gilbert.

— Ślady uprawy na wysepce — odparł Mars.

Wysiedli z łodzi i zeszli na ląd na nieco mniej podmokłym brzegu.

Mars się nie mylił. Ślady uprawy rzucały się w oczy: tu i tam rosło kilka krzaków bulw; na ziemi widniało cztery czy pięć bruzd będących dziełem ludzkiej ręki; w ziemię wbita była jeszcze motyka.

— Czyżby nad zatoką ktoś mieszkał?... — zastanowił się Gilbert.

— Na to wygląda — odparł Mars — a przynajmniej zna ją paru włóczęgów, może koczowniczy Indianie, którzy tu sadzą jarzyny.

— Możliwe zatem, że zbudowali jakieś chaty... szałas... —

— Owszem, paniczu Gilbercie, a jeśli jest choć jedna chata, na pewno ją znajdziemy.

Koniecznie musieli się dowiedzieć, co za ludzie mogą bywać nad Czarną Zatoką: czy myśliwi z dolnych regionów półwyspu ściągający tam po kryjomu, czy też Seminole, którzy grupami pojawiali się jeszcze na florydzkich mokradłach.

Nie myśląc zatem o powrocie, Gilbert i Mars wsiedli z powrotem do łodzi i popłynęli głębiej krętymi kanałami zatoki. Wydawało się, że jakieś przecucie ciągnie ich w najciemniejsze jej zakątki. Ich spojrzenia, przyzwyczajone do mroku, jaki panował pod rosnącymi na wysepkach drzewami, myszkowały na wszystkie strony. Niekiedy zdawało im się, że widzą chatę, a to była tylko zasłona z liści przeciągnięta między drzewami. Czasami myśleli: „Tam stoi człowiek i patrzy na nas!” ale to był tylko stary, dziwacznie powyginany pień, którego kształt przypominał sylwetkę ludzką. Nasłuchiwali wtedy...

Może to, czego nie mogły dojrzeć ich oczy, dotrze do uszu? Wystarczył najlżejszy odgłos, by odkryć obecność żywej istoty na tym pustkowiu.

Pół godziny po pierwszym postoju dotarli do głównej wysepki. Zrujnowany blokhauz kryła tak dobrze gęstwina drzew, że wcale go nie było widać. Wydawało się nawet, że w tym miejscu kończy się zatoka, że zarośnięte kanały są niespławne. Między ostatnimi zakrętami kanałów i podmokłych lasów tutaj również wznosiła się nieprzebyta zaporą gąszczy, które ciągną się przez całe hrabstwo Duval na lewym brzegu Saint Johns.

— Zdaje się, że dalej nie popłyniemy — odezwał się Mars. — Za niska woda, paniczu Gilbercie...

— Ale przecież nie mogliśmy się pomylić co do śladów uprawy — rzekł Gilbert. — Nad tą zatoką bywają ludzie. Może byli tu niedawno? Może jeszcze są?...

— Na pewno — odparł Mars — ale trzeba skorzystać z reszty dnia, żeby wrócić na Saint Johns. Zaczyna zapadać noc, niedługo będzie zupełnie ciemno, a jak tu się orientować pośród tych kanałów? Myślę, paniczu Gilbercie, że rozsowniej będzie zawrócić, a jutro od świtu poprowadzić dalej poszukiwania. Wracajmy, jak zwykle, do Castle House. Opowiemy, cośmy widzieli, zorganizujemy dokładniejszy rekonesans Czarnej Zatoki w lepszych warunkach...

— Tak... Tak trzeba — przyznał Gilbert. — Zanim jednak odpłyniemy, chciałbym...

Gilbert stał bez ruchu, rzucając ostatnie spojrzenie pod drzewa, i już miał rozkazać, by odbijali, lecz gestem pohamował Marsa.

Mulat wstrzymał się w pół ruchu i stojąc nastawiał ucha.

Dobiegł ich krzyk, a raczej przeciągły jęk, którego nie można było pomylić ze zwykłymi głosami lasu. Brzmiało to jak rozpaczliwy lament, skarga człowieka — skarga wywołana wielkim bólem. Rzekłbyś, że to ostatnie wezwanie gasnącego głosu.

— Tam jest człowiek!... — zawołał Gilbert. — Woła o pomoc!... Może umiera!

— Trzeba do niego iść — przytaknął Mars. — Musimy się dowiedzieć, co to za jeden!... Wysiadajmy!

W jednej chwili wyskoczyli na brzeg. Przywiązawszy mocno łódź, pobiegli między drzewa.

I tu również widniały ślady na ścieżkach biegnących przez las, nawet ludzkie ślady, których odcisk pozwalały dojrzeć ostatnie promienie dnia.

Od czasu do czasu Gilbert i Mars przystawali. Nasłuchiwali. Czy słyszą jeszcze jęki? Wyłącznie nimi mogli się kierować.

Znów je usłyszeli, tym razem bardzo blisko. Mimo coraz głębszej ciemności niewątpliwie zdołają dotrzeć do miejsca, skąd wychodzą.

Naraz rozległ się boleśniejszy niż inne krzyk. Nie mogli się pomylić co do kierunku. Kilkoma susami Gilbert i Mars przebyli gęste krzaki i stanęli przed rzeżącym już człowiekiem rozciągniętym przy palisadzie.

Zadano mu cios nożem w pierś i z nieszczęśnika krew płynęła strumieniem. Z jego ust uchodziły resztki tchu. Już tylko kilka chwil życia mu pozostało.

Gilbert i Mars pochylili się nad nim. Otwarł oczy, lecz daremnie próbował odpowiedzieć na zadawane mu pytania.

— Musimy mu się przyjrzeć! — zawołał Gilbert. — Pochodnia... Zapal gałąź!

Mars ułamał już gałąź z żywicznego drzewa, których wiele rosło na wysepce. Zapalił ją i migotliwy blask rozjaśnił nieco mrok.

Gilbert ukląkł przy umierającym. Był to Murzyn, młody jeszcze niewolnik. Rozpięta koszula odsłaniała na piersi otwartą ranę, z której wypływała krew. Rana musiała być śmiertelna, gdyż nóż przebił płuco.

— Ktoś ty?... — zapytał Gilbert. Cisza.

— Kto cię zranił?

Niewolnik nie mógł wymówić słowa.

Mars tymczasem w świetle pochodni oglądał miejsce, gdzie dokonano zbrodni. Dostrzegł palisadę i przez uchyloną bramę niewyraźny zarys blokhauzu.

— Fort! — krzyknął.

I zostawiając swego pana przy konającym Murzynie, wpadł w bramę. Szybko przebiegł wewnątrz blokhauzu, zajrzał do izdebek przylegających z dwu stron do świetlicy. W jednej z nich znalazł dymiące jeszcze resztki ogniska. A więc fort był ostatnio zamieszkały. Komu jednak — Florydczykom czy Seminolom — mógł służyć za kryjówkę? Należało się tego za wszelką cenę dowiedzieć, i to od umierającego Murzyna. Należało się dowiedzieć, kim byli mordercy, którzy uciekli stąd zaledwie przed kilkoma godzinami.

Mars wyszedł z blokhauzu, okrążył obejście wzdłuż ogrodzenia, poświecił pochodnią pod drzewami... Pusto! Gdyby przybyli tutaj przed południem, może by zastali tych, co zamieszkiwali fort. Teraz było już za późno.

Mulat wrócił do swego pana i poinformował go, że znajdują się w forcie nad Czarną Zatoką.

— Czy ten człowiek coś powiedział? — spytał Gilberta.

— Nie — odparł porucznik. — Stracił przytomność i wątpię, czy ją jeszcze odzyska.

— Spróbujmy, paniczu Gilbercie — powiedział Mars. — W tym jest tajemnica i musimy ją poznać, a nikt nam jej nie zdradzi, kiedy ten nieszczęśnik umrze.

— Tak, Marsie. Przenieśmy go do fortu... Może tam przyjdzie do siebie. Nie wolno pozwolić, żeby wyzionął ducha tu, na brzegu.

— Proszę wziąć pochodnię, paniczu Gilbercie — rzekł na to Mars. — Mam dość siły, żeby go przenieść.

Gilbert wziął płonąca gałąź. Mulat podniósł w ramionach bezwładne ciało, wszedł po stopniach do bramy prowadzącej w obejście, minął ją i złożył swoje brzemię w jednym z pomieszczeń.

Umierający legł na pościeli z siana. Mars wziął swoją manierkę i wlał mu do ust trochę wódki.

Serce nieszczęsnego biło jeszcze, choć słabo i coraz wolniej. Życie zeń uchodziło... A więc nie wyjawi swojej tajemnicy, nim wyda ostatni dech?

Te kilka kropel wódki tchnęło weń jednak odrobinę życia. Otworzył oczy. Utkwił wzrok w Gilbercie i Marsie, którzy próbowali wydrzeć go śmierci. Chciał coś powiedzieć... Z jego ust wyszło kilka niewyraźnych słów... Może jakieś imię.

— Mów!... Mów!... — zawołał Mars.

Niezmierne podniecenie Mulata było doprawdy niewytłumaczalne, jakby całe jego życie zależało od ostatnich słów umierającego.

Młody niewolnik daremnie próbował wymówić kilka słów... Brakło mu sił.

W tejże chwili Mars wyczuł zwitek papieru schowany w kieszeni Murzyna. W mgnieniu oka wyjął go, rozwinął i przeczytał w świetle pochodni:

Porwane przez Texara w zatoce Marino... Wywiezione na Everglady, na wyspę Carnerol. List powierzani młodemu niewolnikowi dla pana Burbanka.

Słowa te zostały skreślone pismem doskonale Marsowi znanym.

— Zerma! — zawołał.

Na dźwięk tego imienia konający otworzył oczy i zwiesił głowę jakby na potwierdzenie.

Gilbert uniósł go nieco i zapytał:

— Zerma?

— Tak.

— I Dy?

— Tak.

— Kto cię zranił?

— Texar!...

Było to ostatnie słowo nieszczęsnego niewolnika, który opadł martwy na posłanie.

ROZDZIAŁ VIII

Z CAMDLESS BAY DO JEZIORA WASZYNGTONA

Tego samego wieczoru, nieco przed północą, Gilbert i Mars wrócili do Castle House. Ileż trudności musieli pokonać, żeby się wydostać z Czarnej Zatoki! Gdy opuszczali blokhauz, nad doliną Saint Johns zaczynała zapadać noc. Toteż pod drzewami na zatoce panowały już zupełne ciemności. Gdyby nie instynkt wiodący Marsa kanałami, między wysepkami niewidocznymi w mroku, żaden z nich nie zdołałby dotrzeć do koryta rzeki. Wielokrotnie ich łódź zatrzymywały nieprzebyte przeszkody, wielokrotnie musieli zawracać, by znaleźć spławny kanał. Trzeba było zapalić smolne gałęzie i zamocować je na dziobie łodzi, aby choć trochę oświetlić drogę. Ale największe trudności pojawiły się, kiedy Mars próbował odnaleźć jedyne ujście pozwalające wodom zatoki wpływać do Saint Johns. Mulat nie mógł rozpoznać wyłomu powstałego w gęstwie trzciny, przez który kilka godzin wcześniej dostali się do zatoki. Na szczęście trwał właśnie odpływ i łódkę można było puścić z prądem kierującym się ku naturalnemu upustowi. Trzy godziny później, przebywszy szybko dwadzieścia mil dzielących Czarną Zatokę od plantacji, Gilbert i Mars przybili do przystani w Camdless Bay.

W Castle House czekali na nich. Nikt jeszcze nie udał się do swego pokoju. Wszyscy niepokoiли się tym niezwyczajnym opóźnieniem. Gilbert i Mars wracali każdego wieczora. Dlaczego jeszcze ich nie ma? Czy należało stąd wnioskować, iż natrafili na jakiś nowy ślad, że ich poszukiwania coś przyniosły? Ileż trwogi w tym oczekiwaniu!

Zjawili się wreszcie, a gdy tylko weszli do holu, wszyscy się ku nim rzucili.

— I co, Gilbercie? — zawołał James Burbank.

— Ojcie, Alicja się nie myliła! — odparł porucznik. — Moją siostrę i Zermę istotnie porwał Texar.

— Masz na to dowód?

— Czytaj, ojcie!

I Gilbert pokazał pomięty skrawek papieru z kilkoma słowami skreślonymi ręką Mulatki.

— Teraz nie ma już wątpliwości — podjął — to sprawka Hiszpana! Swoje ofiary wywiózł albo kazał wywieźć do starego fortu nad Czarną Zatoką! Tam właśnie mieszkał, o czym nikt nie wiedział. Pewien niewolnik, któremu Zerma powierzyła tę kartkę, aby ją dostarczył do Castle House, i który jej niewątpliwie powiedział, iż Te-xar zamierza się udać na wyspę Carneral, życiem przypłacił swoje oddanie. Znaleźliśmy go konającego od rany zadanej przez Texara, zmarł przy nas. Chociaż jednak Dy i Zerma nie ma już nad Czarną Zatoką, wiemy przynajmniej, w jakie okolice Florydy je wywieziono. W rejon Evergladów, i tam musimy po nie jechać. Zaraz jutro wyruszamy, ojcie, zaraz jutro...

— Jesteśmy gotowi, Gilbercie.

W Castle House znów zagościła nadzieja. Skończy się błądzenie i bezskuteczne poszukiwania. Pani Burbank, poinformowana o sytuacji, poczuła, że odżywa. Znalazła siły, by wstać i na klęczkach podziękować Bogu.

A zatem, podług świadectwa samej Zermy, Texar osobiście kierował porwaniem dziewczynki w zatoce Marino. Jego to widziała Alicja w łodzi odpływającej ku środkowi rzeki. Lecz jakże ten fakt pogodzić z alibi, na które powoływał się Hiszpan? Jakże w chwili, gdy popełniał przestępstwo, mógł się znajdować na pokładzie okrętu, więziony przez federalistów? To alibi, rozumie się, musiało być fałszywe, podobnie jak wszystkie inne. Czy to jednak możliwe i czy kiedykolwiek wyjaśni się

tajemnica owej wszechobecności, której Texar zdawał się być przykładem?

Ostatecznie nie było to tak ważne. Na razie zdobyto pewność, iż Mulatka i dziewczynka przewiezione najpierw zostały do fortu nad Czarną Zatoką, a następnie na wyspę Carneral. Tam właśnie należało ich szukać, tam należało zaskoczyć Texara. Tym razem nic nie pozwoli mu uniknąć kary, na jaką od dawna sobie zasłużył za swoje łotrowskie czyny.

Nie było dnia do stracenia. Camdless Bay dzieli od Evergladów znaczna odległość. Aby ją przebyć, potrzeba kilku dni. Na szczęście, jak powiedział James Burbank, zorganizowana przez niego wyprawa gotowa była do wyruszenia w drogę.

Co się tyczy wyspy Carneral, to z map półwyspu wynika, iż leży ona na jeziorze Okeechobee.

Everglady są regionem bagnistym, przylegającym do jeziora Okeechobee nieco poniżej dwudziestego siódmego równoleżnika, w południowej części Florydy. Odległość między Jacksonville a jeziorem wynosi około czterystu mil. Dalej znajdują się słabo uczęszczane okolice, w owym czasie prawie nie znane.

Gdyby Saint Johns był spławny aż do źródeł, trasę tę można by pokonać szybko i bez trudu; najprawdopodobniej jednak rzekę da się wykorzystać jedynie na przestrzeni stu siedmiu mil, to znaczy do Jeziora Jerzego. Dalej koryto jest poprzegradzane wysepkami, zatarasowane roślinnością, niekiedy, przy największym odpływie, zupełnie suche. Nieco bardziej obciążona łódź natknie się zatem na poważne przeszkody, a w najlepszym razie podróż pochłonie dużo czasu. Gdyby się jednak wyprawie udało popłynąć rzeką aż do Jeziora Waszyngtona, mniej więcej do dwudziestego ósmego równoleżnika, omijając przylądek Malabar, bardzo by się przybliżyła do celu. Na to wszakże nie należało liczyć. Lepiej było się nastawić na przebycie trasy dwustu pięćdziesięciu mil przez niemal bezludne okolice, gdzie brakuje środków transportu, a także zaopatrzenia niezbędnego wyprawie, która powinna się szybko poruszać. Mając na względzie te właśnie ewentualności, James Burbank poczynił odpowiednie przygotowania.

Nazajutrz, 20 marca, członkowie wyprawy zebrali się na przystani w Camdless Bay. James Burbank i Gilbert, nie bez poważnych obaw, wcześniej pożegnali się z panią Burbank w jej pokoju, nie mogła bowiem jeszcze wstawać. Odprowadzali ich Alicja, jej ojciec oraz nadzorcy. Nawet Pig przyszedł się pożegnać z Perrym, do którego zapałał teraz pewnym afektem. Pamiętał dobrze lekcje, jakie od niego otrzymywał, na temat złych stron wolności, skoro do niej na razie nie dojrzał.

W wyprawie brali udział: James Burbank, jego szwagier wyleczony już po otrzymanej ranie, Gilbert, rządcą Perry, Mars oraz dwunastu Murzynów wybranych spośród najdzielniejszych i najbardziej oddanych — razem siedemnaście osób. Mars znał wystarczająco dobrze Saint Johns, by pełnić rolę pilota, dopóki żegluga będzie możliwa, tak poniżej, jak i powyżej Jeziora Jerzego. Co się tyczy Murzynów, przywykłych do wiosł, to potrafią użyć krzepkich ramion, kiedy nie stanie prądu i wiatru.

Łódź — jedna z największych w Camdless Bay — posiadała żagiel, który od wiatru pełnego poczynając, a na bocznym kończąc pozwoli jej płynąć bardzo krętym niekiedy korytem rzeki. Znajdowało się w niej wystarczająco dużo broni i amunicji, aby James Burbank i jego towarzysze nie musieli się niczego obawiać ze strony Seminolów z dolnej Florydy ani kompanów Texara, jeżeli jacyś jego zwolennicy się do niego przyłączyli. Należało bowiem przewidzieć i taką ewentualność, mogącą utrudnić powodzenie wyprawy.

Nadeszła chwila pożegnania. Gilbert ucałował Alicję, a James Burbank uściskał ją, jakby już była jego córką.

— Ojczy... Gilbercie... — powiedziała. — Wracajcie z naszą małą Dy!... Wracajcie z moją siostrzyczką!

— Na pewno, kochana — odparł porucznik. — Na pewno z nią wrócimy! Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Stannard, Alicja, nadzorcy i Pig czekali na przystani, dopóki żaglówka nie odbiła. Raz jeszcze pomachali na pożegnanie, gdy łódź, schwyciwszy w żagiel wiatr północno-wschodni i niesiona przyrywem, znikła za cypelkiem zatoki Marino.

Dochodziła szósta rano. Godzinę później łódź minęła osadę Mandarin, a około dziesiątej znalazła się na wysokości Czarnej Zatoki, przy czym dotąd nie trzeba było używać wiosł.

Serca mocno wszystkim biły, kiedy płynęli wzdłuż zarośniętego lewego brzegu. Właśnie poza tę gęstwinę trzciny, kanny oraz korzeniary Dy i Zerma zostały najpierw zawieszono. Tam dwa tygodnie wcześniej Texar i jego wspólnicy ukryli je tak dobrze, iż nie został żaden ślad. James Burbank ze Stannardem, a potem Gilbert z Marssem z dziesięć razy przepływali obok zatoki, nie przypuszczając nawet, że stary fort służy przestępcom za kryjówkę.

Tym razem nie było się tam po co zatrzymywać. Poszukiwania należało przeprowadzić setki mil dalej na południe, łódź zatem nie zwolniła przy Czarnej Zatoce.

Gdy nadeszła pora pierwszego posiłku, spożyto go pospołu. Skrzynie zawierały wystarczającą ilość zapasów na dwadzieścia dni, a ponadto paczki, które miały być niesione, gdyby przyszło ruszyć łądem. Nieco sprzętu obozowego umożliwi postój, w dzień czy w nocy, w gęstym lesie, jakim pokryte są leżące nad Saint Johns tereny.

Około godziny jedenastej, kiedy zaczął się odpływ, nadal wiał pomyślny wiatr. Trzeba było jednakże puścić wiosła w ruch, aby utrzymać prędkość. Murzyni przystąpili do pracy i żaglówka, pchana siłą rąk pięciu par krzepkich wiosłarzy, puła dalej wody rzeki.

Milczący Mars stał przy sterze, pewną dłonią prowadząc łódź wśród rozlicznych ramion, jakie wyspy i wysepki tworzą w korycie Saint Johns. Kierował ją do odnóg, gdzie prąd był słabszy. Wpływał w nie bez wahania. Nie zdarzyło mu się, aby przez pomyłkę skierował łódź w kanał niespławny, aby groziło im, że osiadną na mieliźnie, którą odpływ wkrótce odłoni. Znał koryto rzeki aż do Jeziora Jerzego, podobnie jak znał jej zakola poniżej Jacksonville, i prowadził żaglówkę równie pewnie jak kanonierki komendanta Stevensa, kiedy je pilotował przez meandry mierzei.

Saint Johns w tej czułości swego biegu był pusty. Żegluga śródlądowa obsługująca plantacje została wstrzymana z chwilą, gdy zajęto Jacksonville. Jeżeli jakiś statek płynął w górę lub w dół rzeki, to jedynie dla potrzeb wojsk Północy i łączności komodora Stevensa z jego podwładnymi. Co więcej, powyżej Picołaty ruch na Saint Johns zupełnie ustał.

Wyprawa dotarła do tego miasteczka około szóstej wieczorem. Oddział federalistów znajdował się akurat na nabrzeżu przeładunkowym. Wezwana łódź musiała przybić do brzegu.

Gilbert Burbank przedstawił się oficerowi, komendantowi Picołaty, a będąc w posiadaniu przepustki podpisanej przez komendanta Stevensa, mógł ruszyć w dalszą drogę.

Postój trwał raptem kilka chwil. Ponieważ zaczynał się przypływ, odłożono wiosła i łódź popłynęła szybko przez głębokie lasy rozciągające się po obu stronach rzeki. Na lewym brzegu las miał niebawem, kilka mil powyżej Picołaty, przejść w mokradła. Co się tyczy lasów na prawym brzegu, gęstszych i głębszych, naprawdę

bezkresnych, to wyprawa minie Jezioro Jerzego nie ujrawszy ich końca. Las co prawda po tej stronie cofa się trochę od Saint Johns i pozostawia szeroki pas ziemi, gdzie rolnictwo odzyskało swe prawa. Rozległe pola ryżowe, trzciny cukrowej i indygo, plantacje bawełny świadczą jeszcze o żyzności półwyspu.

Minęła godzina szósta, gdy James Burbank i jego towarzysze stracili z oczu za zakrętem rzeki czerwonawą wieżę starego hiszpańskiego fortu, opuszczonego od blisko wieku, która góruje nad

wysokimi palmami porastającymi brzeg.

— Marsie — zapytał wtedy James Burbank — nie boisz się płynąć nocą po Saint Johns?

— Nie, proszę pana — odparł Mars. — Aż do Jeziora Jerzego jestem pewien siebie. A dalej zobaczymy. Nie mamy zresztą czasu do stracenia, a ponieważ sprzyja nam przyptyw, trzeba go wykorzystać. Im dalej w górę rzeki, tym przyptyw będzie słabszy i krótszy. Jestem więc za tym, żeby płynąć dniem i nocą.

Propozycja Marsa była podyktowana okolicznościami. Ponieważ podejmował się sterować, należało polegać na jego zręczności. Nie było powodów, by tego żałować. Całą noc łódź bez przeszkód posuwała się w górę Saint Johns. Przez kilka godzin pomocny był jej przyptyw. Później, dzięki zmieniającym się przy wiosłach Murzynom, przebyli jeszcze jakieś piętnaście na południe.

Nie zatrzymywano się ani tej nocy, ani następnego dnia, 22 marca, który minął bez godnych uwagi wydarzeń, ani w ciągu następnych dwunastu godzin. Górny bieg rzeki wydawał się zupełnie bezludny. Płynęli niejako lasem starych cedrów, których listowie łączyło się czasami ponad korytem rzeki, tworząc gęsty dach zieleni. Nigdzie nie uświadczyło się osiedli. Nie było też samotnych domostw ani plantacji. Ziemie nadrzeczne nie nadawały się pod uprawę. Żadnemu koloniście nie przyszłoby do głowy, żeby tam gospodarować.

O świcie 23 marca rzeka rozlała się w szeroką taflę wody, której krańce wreszcie nie sięgały bezkresnego lasu. Płaski teren ciągnął się aż do granic horyzontu odległego o kilkanaście mil.

Było to jezioro — Jezioro Jerzego — które rzeka Saint Johns przepływa z południa na północ, czerpiąc zeń część swoich wód.

— Tak, tak — powiedział Mars — to na pewno Jezioro Jerzego. Byłem tu już, kiedy towarzyszyłem wyprawie mającej zbadać górny bieg rzeki.

— Jak daleko jesteśmy od Camdless Bay? — spytał James Burbank.

— Około stu mil — odparł Mars.

— Nic przebyliśmy nawet jednej trzeciej odległości, jaka nas dzieli od Evergladów — zauważył Edward Carrol.

— Co teraz zrobimy, Marsie? — zapytał Gilbert. — Czy musimy opuścić łódź i iść dalej brzegiem rzeki? Nie będzie to łatwe i zajmie dużo czasu. Czy nie dałoby się zatem, gdy miniemy Jezioro Jerzego, płynąć dalej, dopóki rzeka będzie spławna? Można by spróbować, a na ląd zejść wtedy dopiero, kiedy osiadziemy na mieliźnie i nie zdołamy dalej płynąć? Warto się pokusić. Jak myślisz?

— Spróbujmy, paniczku Gilberte — odrzekł Mars.

W rzeczy samej było to rozwiązanie najlepsze. Zawsze będzie czas, aby zejść na ląd. Podróż drogą wodną oszczędzała wielu trudów i dużo czasu.

Łódź wpłynęła więc na Jezioro Jerzego, kierując się wzdłuż jego wschodniego brzegu.

Nad jeziorem, na płaskich terenach, roślinność nie jest tak bujna jak na brzegach rzeki. Jak okiem sięgnąć rozciągają się prawie same mokradła. Tu i ówdzie na terenie mniej narażonym na zalewanie rozpościera się murawa czarnych porostów, na której wyraźnie odcinają się fioletowe kropki małych grzybów rosnących tam tysiącami. Błędem byłoby wejście na te uginające się ziemie, gdzie idący nie znajduje pewnego oparcia dla stopy. Gdyby James Burbank i jego towarzysze musieli tamtędy wędrować, zdołaliby tego dokonać jedynie za cenę największych wysiłków i ogromnego trudu, tracąc przy tym bardzo dużo czasu — o ile nie musieliby zawrócić. Jedynie ptaki wodne mogą się zapuszczać na te mokradła, gdzie roi się od cyranek, kaczek i bekasów. Jeśli wyprawie braknie żywności, uda się w nią bez trudu zaopatrzyć. Polując jednakże na tych brzegach, należałoby stawić czoła całym legionom groźnych węży, których przenikliwy syk rozlegał się na powierzchni kobierca

wodorostów i żywokostu. Co prawda gady owe mają zajadłych wrogów — stada dobrze uzbrojonych do tej bezpardonowej wojny białych pelikanów, od których roi się na niezdrowych brzegach Jeziora Jerzego.

Łódź tymczasem szybko pruć wodę. Silny wiatr z północy dał w jej żagiel, niosąc ją naprzód. Dzięki bryzie wioślarze przez cały dzień odpoczywali, co nie naraziło wyprawy na żadne opóźnienie. Toteż gdy nadszedł wieczór, mieli za sobą przebyte szybko i bez trudu trzydzieści mil, to znaczy całą długość Jeziora Jerzego z północy na południe. Około szóstej zatrzymali się w najniższym załomie, za którym Saint Johns wpada do jeziora.

Zarządzono postój — postój trwający tyle czasu, żeby zasięgnąć języka, czyli najwyżej pół godziny — ponieważ w miejscu tym znajdowała się osada złożona z trzech czy czterech domów. Zamieszkiwali je wędrowni mieszkańcy Florydy, zajmujący się głównie polowaniem i rybołówstwem w cieplej porze roku. Edward Carrol podpowiedział, iż dobrze by było popytać o przejazd Texara — i słusznie uczyniono.

Zagadnięto jednego z mieszkańców osady. Czy w ostatnich dniach zauważył łódź płynącą Jeziorem Jerzego w kierunku Jeziora Waszyngtona, łódź, w której znajdowało się siedem, osiem osób plus kolorowa kobieta i dziecko, biała dziewczynka?

— Owszem — odparł ów człek — dwa dni temu widziałem łódź, i to była chyba ta, o której mówicie.

— Zatrzymali się w tej osadzie? — spytał Gilbert.

— Nie. Przeciwnie, spieszo im było znaleźć się w górnym biegu rzeki. Widziałem na pokładzie — dodał Florydczyk — kobietę z dziewczynką na ręku.

— Dobra nasza! — zawołał Gilbert. — Jesteśmy na pewno na tropie Texara!

— Tak. Wyprzedza nas o dwie doby — rzekł James Burbank — ale jeżeli uda nam się jeszcze kilka dni płynąć łodzią, to zmniejszymy tę odległość!

— Czy zna pan Saint Johns powyżej Jeziora Jerzego? — zapytał Florydczyka Edward Carrol.

— Tak, raz płynąłem nawet tamtędy chyba ze sto mil.

— Sądzi pan, że rzeka będzie spławna dla naszej żaglówki?

— Jakże ma zanurzenie?

— Blisko trzy stopy — powiedział Mars.

— Trzy stopy? — powtórzył Florydczyk. — W niektórych miejscach to trochę za dużo. Ale myślę, że sondując koryto zdołacie dotrzeć do Jeziora Waszyngtona.

— A jaka wtedy odległość będzie nas dzielić od jeziora Okeechobee? — spytał Carrol.

— Około stu pięćdziesięciu mil.

— Dziękujemy, przyjacielu.

— Na pokład! — zawołał Gilbert. — I w drogę, dopóki woda będzie dosyć głęboka.

Wszyscy zajęli na powrót swoje miejsca. Wiatr ucichł z nadejściem wieczoru, osadzono wiosła w dulkach i wioślarze znów ostro wzięli się do pracy. Zbliżające się do siebie brzegi rzeki szybko zniknęły im z oczu. Nim zupełnie zapadła noc, posunęli się jeszcze o kilka mil na południe. Nie mówiono nawet o postoju, ponieważ można było spać na pokładzie. Świecił zbliżający się ku pełni księżyc. Będzie zatem na tyle jasno, że noc nie utrudni żeglugi. Gilbert ujął ster. Mars na dziobie łodzi stał z długim bosakiem w dłoniach. Nieustannie szukał dna, a gdy je napotykał, kierował łódź na prawo lub lewo. Zaledwie pięć czy sześć razy w czasie nocnej żeglugi dotknęła kilem dna, bez trudu jednak popłynęła dalej. Kiedy około czwartej rano weszło słońce, Gilbert z zadowoleniem ocenił przebytą nocą drogę na blisko piętnaście mil.

Jakież by to było szczęście dla Jamesa Burbanka i jego towarzyszy, gdyby rzeka, spławna jeszcze

przez kilka dni, doniosła ich niemal do celu wyprawy!

Tego dnia jednak pojawiły się pewne trudności. W wyniku krętego biegu rzeki w jej korycie często pojawiają się cyple. Naniesione piaski powiększają liczbę mielizn, które trzeba omijać. Wydłużało to znacznie drogę, a co za tym idzie — zabierało czas. Nie dało się również stale wykorzystywać wiatru, choć nadal by sprzyjał, gdyby nie liczne zakręty zmieniające kurs łodzi. Murzyni pochylali się wtedy przy wiosłach i tak wyęźłali siły, że udawało im się nadrobić stracone chwile.

Trafiały się również przeszkody charakterystyczne dla Saint Johns. Były to pływające wysepki utworzone z niezwykle nagromadzenia pewnej nader bujnej rośliny, przez niektórych badaczy rzeki florydzkiej słusznie porównywanej do gigantycznej sałaty wyrosłej na powierzchni wody. Ten kobierzec trawy jest wystarczająco twardy, by mogły na nim baraszkować wydry i czaple. Należało wszelako uważać, by nie wprowadzić łodzi w jej zarośla, skąd wydostać się przysłoby z dużym trudem. Kiedy zatem taką kępę sygnalizowano, Mars przedsiębrał wszelkie możliwe środki ostrożności, by ją ominąć.

Brzegi rzeki w tej okolicy pokrywały gęste lasy. Nie widziało się już niezliczonych cedrów, których korzenie Saint Johns oblewa swymi wodami w dole biegu. Tutaj rosły nieprzebrane ilości sosen błotnych wysokich na sto pięćdziesiąt stóp, gdyż na tych podmokłych terenach, zwanych „barrens”, znajdują sprzyjające dla siebie warunki.

Ziemia jest tam niezwykle giętka, i to do tego stopnia, że w wielu miejscach pieszy może stracić równowagę idąc po niej. Na szczęście niewielki oddziałek Jamesa Burbanka nie musiał tego doświadczać. Saint Johns dalej niósł na swych wodach wyprawę przez dolną Florydę.

Dzień minął bez żadnych wypadków. Podobnie noc. Rzeka nadal była całkowicie bezлюдna. Ani jednej łodzi na jej wodach. Ani jednej chaty na brzegach. Na to się zresztą nie uskarżano. Lepiej było na nikogo się nie natknąć w tych odległych okolicach, gdzie każde spotkanie może się źle skończyć, traperzy bowiem, zawodowi myśliwi, awanturnicy wszelkiej proveniencji są ludźmi mocno podejrzanymi.

Wyprawa mogła się również obawiać milicji z Jacksonville albo z Saint Augustine, które Dupont i Stevens zmusili do wycofania się na południe. To by było jeszcze groźniejsze. W oddziałach tych znajdowali się z pewnością zwolennicy Texara, chętni do zemsty na Jamesie i Gilbercie Burbankach. Wyprawa zaś powinna była unikać wszelkich starć z wyjątkiem walki z Hiszpanem, gdyby uwięzione musiano odbić siłą.

Szczęściem wszystko tak sprzyjało wyprawie, że 25 marca pod wieczór przebyli ostatni etap drogi dzielącej Jezioro Jerzego od Jeziora Waszyngtona. Dotarłszy na skraj tego ogromu nieruchomych wód, łódź musiała się zatrzymać. Wąskie i płytkie tutaj koryto rzeki nie pozwalało płynąć dalej na południe.

W sumie, pokonawszy dwie trzecie trasy, wyprawa Jamesa Burbanka znajdowała się o sto czterdzieści mil od Evergladów.

ROZDZIAŁ IX

CYPRYSOWY LAS

Jeziro Waszyngtona, długie na około dziesięć mil, należy do najmniejszych w tych stronach Florydy południowej. Niezbyt głęboką wodę tarasuje trawa wyrwana przez prąd z pływających łąk — prawdziwych kłębowisk węzów — przez co żeglować tam niebezpiecznie. Jezioro świeci więc pustką, podobnie jak jego brzegi, niezbyt sprzyjające polowaniom czy rybołówstwu, i rzadko łodzie z Saint Johns zapuszczają się aż w te okolice.

Na południu jeziora rzeka znów spływa swoim korytem, zakręcając wyraźnie na południe półwyspu. Tam jest już tylko płytkim strumykiem, którego źródła leżą trzydzieści mil dalej na południe, między 28 i 27 stopniem szerokości.

Saint Johns powyżej Jeziora Waszyngtona nie jest spławny. Choć James Burbank bardzo tego żałował, trzeba było porzucić drogę wodną i ruszyć lądem przez trudne tereny, najczęściej bagniste, poprzez bezkresne lasy, gdzie ziemia, poprzecinana rzeczulkami i trzęsawiskami, tylko opóźnia marsz piechura.

Wyprawa zeszła na ląd. Broń i skrzynie z żywnością rozdzielono między Murzynów. Nie było tego tyle, żeby bagaż kogoś zmęczył lub przeszkadzał w marszu. Wszystko z góry ustalono. Kiedy trzeba będzie zatrzymać się na popas, obóz zostanie rozbity w kilka minut.

W pierwszym rzędzie Gilbert przy pomocy Marsa zajął się ukryciem żaglówki. Nie powinna być zauważona, gdyby jacyś Florydczycy lub Seminole znaleźli się na brzegu Jeziora Waszyngtona. Musieli być pewni, iż odnajdą ją w drodze powrotnej, aby popłynąć w dół Saint Johns. Pod zwisającymi gałęziami drzew na brzegu, między broniącymi doń dostępu olbrzymimi trzcinnami z łatwością udało się znaleźć miejsce dla łodzi, której maszt złożono. A była tak dobrze ukryta wśród zielonej gęstwiny, że z brzegu niewidoczna.

Podobnie postąpiono, bez wątpienia, z inną łodzią, którą Gilbert bardzo by chciał odnaleźć. Chodziło o tę, co przywiozła Dy i Zermę do Jeziora Waszyngtona. Rzecz jasna, ze względu na niespławność rzeki Texar musiał ją zostawić gdzieś przy leju, przez który jezioro przelewa się w koryto Saint Johns. Hiszpan na pewno wcześniej uczynił to samo, co teraz robił James Burbank.

Dlatego też w ostatnich godzinach dnia przeprowadzono skrupulatne poszukiwanie owej łodzi. Odnalezienie jej byłoby cenną wskazówką i dowodem, że Texar płynął rzeką do samego Jeziora Waszyngtona.

Poszukiwania były jednak daremne. Nie znaleziono łodzi bądź dlatego, że nie szukano wystarczająco daleko, bądź ze względu na to, iż Hiszpan ją zniszczył sądząc, że nie będzie mu więcej potrzebna, skoro wyruszył bez nadziei powrotu.

Jakże trudna musiała być droga dzieląca Jezioro Waszyngtona i Everglady! Rzeka już nie szczydziła trudów kobiecie i dziecku. Dy niesiona na rękach przez Mulatkę, Zerma zmuszona nadażyć za mężczyznami przywykłymi do podobnych marszów przez trudne tereny, obelgi, przemoc, razy, których nie szczydzono, by ją pogonić, upadki, przed którymi próbowała uchronić dziewczynkę nie myśląc o sobie — wszystkim jawiła się w myślach wizja takich oto scen. Mars, wyobrażając sobie Zermę narażoną na tyle cierpień, bladł z gniewu, a z ust wyrzywały mu się słowa:

— Zabiję Texara!

Obóz rozłożono na krańcu niewielkiego cypelka wychodzącego z północnego załomu jeziora. Nie byłoby rozważnie zapuszczać się nocą na nieznane tereny, gdzie pole widzenia znacznie się zawężyło. Toteż postanowiono, że wyprawa poczeka do świtu i wtedy dopiero ruszy w dalszą drogę.

Zbytńio ryzykowali, że zabłądzą w gęstym lesie, by się na to narażać.

Noc minęła spokojnie. O czwartej rano, gdy nastał świt, padł rozkaz wymarszu. Połowa Murzynów wystarczała do niesienia skrzyń z żywnością i sprzętem obozowym. Będą się więc mogli zmieniać. Wszyscy, biali i czarni, uzbrojeni byli w karabiny, ładowane jedną kulą i czterema nabojami z grubego śrutu, oraz w rewolwery Colta, których użycie tak się upowszechniło u stron wojujących od początku wojny secesyjnej. Z powodzeniem zdołają zatem stawić opór sześćdziesięciu Seminolom, a w razie potrzeby zaatakować Texara, nawet gdyby otaczała go taka sama liczba jego ludzi.

Uznano, iż dobrze będzie, dopóki się da, iść wzdłuż Saint Johns. Rzeka płynęła na południe, a więc w kierunku jeziora Okeechobee. Stanowiła jak gdyby nitkę poprowadzoną przez długi labirynt lasów. Wyprawie podążającej tą drogą nie grozi, że zabłądzi. Tak też uczyniono.

Było to dość łatwe. Na prawym brzegu Saint Johns rysowała się jakby ścieżka — zupełnie jak droga holownicza, mogąca służyć do przeciągnięcia lekkiej łodzi górnym biegiem rzeki. Maszerowano szybkim krokiem — Gilbert z Marsem na przedzie, James Burbank i Edward Carrol na końcu, rządca Perry pośród czarnych tragarzy, zmieniających się co godzinę. Przed wyruszeniem w drogę spożyto lekki posiłek. W południe postój na obiad, o szóstej wieczorem na kolację, rozbić obozu, jeśli mrok nie pozwoli iść dalej, lub dalszy marsz lasem, gdyby okazało się to możliwe — oto program dnia, który miał być ściśle przestrzegany.

W pierwszym rzędzie wyprawa musiała obejść wschodni brzeg Jeziora Waszyngtona — brzeg raczej płaski, o niemal ruchomym podłożu. Tam też znowu pojawił się las. Ale ani wielkością, ani gęstością nie przypominał lasów, jakie mieli napotkać później. Wynikało to z gatunków składających się nań drzew.

Rosły tam bowiem tylko wysokie kampszyny o ciernistych gałązkach i żółtych strąkach, z których drewna brunatnego koloru otrzymuje się barwnik; dalej wiązy meksykańskie, gdzieniegdzie też kępy chinowców, tutaj będące ledwie krzewami, podczas gdy w Peru, ich ojczyźnie, wyrastają na wspaniałe drzewa. Wreszcie pojawiały się dziko rosnące łąny rozmaitych roślin o żywych barwach: goryczki, amarylki, trojeści, których delikatne czubki służą do wyrobu tkanin. Wszystkie rośliny i kwiaty, jak zauważył jeden z najbardziej kompetentnych badaczy Florydy, „żółte lub białe w Europie, w Ameryce przywdziewają najrozmaitsze odcienie czerwieni, od purpury aż po najłagodniejszy róż”.

Pod wieczór ów las wysokopienny ustąpił wielkiej puszczy cyprysowej, ciągnącej się aż do Evergladów.

Tego dnia wyprawa przebyła około dwudziestu mil. Toteż Gilbert zapytał swych towarzyszy, czy nie są zbyt zmęczeni.

— Możemy iść dalej, paniczu Gilbertcie — powiedział jeden z Murzynów w imieniu wszystkich tragarzy.

— Czy nie grozi nam, że nocą zabłądzimy? — zaniepokoił się Edward Carrol.

— Nie ma obawy — odparł Mars — pójdziemy przecież wzdłuż Saint Johns.

— Noc będzie zresztą jasna — dodał porucznik. — Niebo jest bezchmurne. Księżyc wzejdzie około dziewiątej i będzie świecił do samego rana. Poza tym gałęzie cyprysów nie są gęste i panują pod nimi mniejsze ciemności niż w każdym innym lesie.

Ruszono więc dalej. Część nocy maszerowano, a rano wyprawa zatrzymała się na pierwszy posiłek u stóp olbrzymiego cyprysu, jakich miliony rosną w tej części Florydy.

Kto nie widział tych cudów natury, nie może ich sobie przedstawić. Wyobraźmy sobie, na wysokości ponad stu stóp, zieloną łąkę wspartą na strzelistych pniach, prostych, jakby je wykonano na tokarce, łąkę, po której chciałoby się iść. W dole ziemia jest miękka i bagnista. Na

nieprzepuszczalnym podłożu ciągle stoi woda, gdzie roi się od żab, ropuch, jaszczurek, skorpionów, pajaków, żółwi, węży, wszelkiego rodzaju wodnych ptaków. W górze ptaki podobne do wilg o złotawych lotkach przelatują niczym spadające gwiazdy, wiewiórki igrają wśród wyższych gałęzi, a papugi napełniają las ogłuszającym wrzaskiem. Krótka mówiąc, kraina ciekawa, lecz trudna do przebycia.

Z uwagą należało zatem badać teren, po którym wyprawa wędrowała. Pieszy mógłby się zapaść po same pachy w licznych trzęsawiskach. Wszelako przy pewnej dozie uwagi i dzięki światłu księżyca, sączącemu się przez wysokie korony drzew, jakoś sobie z tym radzono.

Rzeka pomagała utrzymać właściwy kierunek. Było to szczęściem dla wyprawy, wszystkie cyprysy bowiem są takie same: u podstawy z powykęcanyimi pniami, pokrzywione, pogięte, wypuszczają długie korzenie, które brużdżą podłoże, a wyżej wznoszą się na wysokość dwudziestu stóp w postaci cylindrycznych strzelistych pni. Są doprawdy niby parasole o sękatej rączce, prostym pręcie podtrzymującym zielone pokrycie, które w istocie nie chroni ani przed deszczem, ani przed słońcem.

Pod takie właśnie drzewa James Burbank i jego towarzysze zagłębili się wkrótce po wschodzie dnia. Była piękna pogoda. Na pewno nie będzie burzy zamieniającej ziemię w nieprzebyte bagno. Należało wszakże wyszukiwać przejścia, aby omijać nigdy nie wysychające trzęsawiska. Na szczęście wzdłuż Saint Johns, którego prawy brzeg leży nieco wyżej, mieli doświadczyć mniejszych trudności. Musieli jedynie obchodzić lub przebywać w bród strumienie wpadające do rzeki, co nie powodowało większego opóźnienia.

Przez cały ten dzień nie natrafili na żaden trop zapowiadający cy obecność grupy Południowców lub Seminolów, a także na żaden ślad Texara i jego towarzyszy. Możliwe że Hiszpan szedł lewym brzegiem. Ale to nie problem. Czy tędy, czy tamtędy, droga prowadziła prosto do dolnej Florydy wskazanej przez Zermę w jej liściku.

Gdy nadszedł wieczór, wyprawa zatrzymała się na sześć godzin. Reszta nocy minęła na szybkim marszu. Wszyscy szli w milczeniu pod śpiącymi cyprysami. Żaden powiew nie poruszał liści. Księżyc rzucił na ziemię delikatną siatkę cienia gałęzi, powiększoną przez wysokość drzew. Rzeka cichutko szumiała w korycie o ledwie wyczuwalnym spadzie. Na jej powierzchni wynurzało się wiele łach, nie byłoby zatem trudno przez nią przejść, gdyby okazało się to konieczne.

Nazajutrz po dwugodzinnym odpoczynku grupka ruszyła w ustalonym porządku dalej na południe. Tego dnia jednak nie prowadząca ich dotąd miała się urwać, a raczej doprowadzić do szpulki. Saint Johns bowiem, będący już tylko strużką wody, znikł w kępie chinowców pijących wilgoć z samego źródła. Dalej las cyprysowy zamykał trzy czwarte horyzontu.

W tym miejscu znajdował się cmentarz założony, zgodnie z miejscowym zwyczajem, dla Murzynów ochrzczonych i pozostałych w godzinie śmierci przy wierze katolickiej. Tu i ówdzie skromne krzyże, jedne kamienne, inne drewniane, ustawione na wybrzuszeniach ziemi, wskazywały groby wśród drzew. Dwa czy trzy powietrzne groby, wsparte na wbitych w ziemię drągach, kołysały na wietrze szkielet zmarłego.

— Cmentarz w tym miejscu — zauważył Carrol — wskazywałby na bliskość wioski czy osady...

— Która na pewno już nie istnieje — rzekł na to Gilbert — ponieważ nie ma po niej śladu na mapie. W i dolnej Florydzie bardzo często znikają osiedla, bądź opuszczone przez mieszkańców, bądź zniszczone przez Indian.

— Gilbertcie — odezwał się James Burbank — co zrobimy teraz, kiedy Saint Johns przestał nam być przewodnikiem?

— Z busoli odczytamy kierunek, ojcze — odparł porucznik. — Jakakolwiek okaże się wielkość i

gęstość lasu, niemożliwe, żebyśmy się zgubili.

— Ruszajmy więc, paniczku Gilbercie! — zawołał Mars, który podczas postojów nie mógł usiedzieć w miejscu. — W drogę, i niech Bóg nas prowadzi!

Pół mili za murzyńskim cmentarzykiem wyprawa weszła pod sklepienie zieleni i kierując się wskazówką busoli, ruszyła niemal prosto na południe.

Przez pierwszą połowę dnia nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Jak dotąd nic nie utrudniało poszukiwań, czyżby zatem miało tak być do samego końca? Wyprawa osiągnie cel czy też Burbankowie skazani zostaną na rozpacz? Nie odnaleźć Dy i Zermy, wiedzieć, że czekają je wszelkie niedole, że wystawione są na wszelkie zniewagi i nie móc im tego oszczędzić — byłaby to wieczna męka.

Zatrzymano się około południa. Gilbert, obliczający drogę przebytą od Jeziora Waszyngtona, oceniał, iż dzieli ich jeszcze pięćdziesiąt mil od jeziora Okeechobee. Minał tydzień, odkąd wyruszyli z Camdless Bay, i pokonali w tym czasie ponad trzysta mil wyjątkowo szybko. Co prawda, najpierw na rzece niemal do jej źródła, a potem w lesie cyprysowym nie natknęli się na poważniejsze przeszkody. Nie padały ulewne deszcze, które mogłyby uniemożliwić żeglugę na Saint Johns oraz rozmiękczyć tereny położone dalej, piękne noce rozświetlał jasny blask księżyca — wszystko sprzyjało wyprawie i jej członkom.

Teraz niewielka już odległość dzieliła ich od wyspy Carneral. Przyzwyczajeni od tygodnia do nieustannego wysiłku, spodziewali się dotrzeć do celu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wtedy bliscy będą końca, którego nie sposób przewidzieć.

Ruszono w drogę jak zwykle po południowym posiłku. Teren nie uległ żadnej zmianie — rozległe kałuże wody i liczne trzęsawiska, które trzeba było omijać, kilka płytkich strumieni, które należało przebyć. W sumie droga nieco tylko się z tego powodu wydłużała.

Wszelako około czwartej po południu Mars nagle się zatrzymał. Gdy inni go dogonili, pokazał im odcisnięte na ziemi ślady stóp.

— Niedawno przeszła tędy grupa ludzi — stwierdził James Burbank.

— I to dość duża — dodał Carrol.

— Skąd biegną te ślady i dokąd prowadzą? — zapytał Gilbert.

— Musimy to wiedzieć, zanim podejmiemy decyzję. Starannie zbadano zatem ślady.

Tropem tym można było iść pięćset jardów na wschód, choć prowadził dużo dalej; nie było jednak potrzeby aż tak daleko się zapuszczać. Kierunek śladów dowodził, że grupa złożona z przynajmniej stu pięćdziesięciu, dwustu ludzi, wyruszywszy z wybrzeża Atlantyku, przeszła przez tę część lasu cyprysowego. Trop prowadził na zachód w kierunku Zatoki Meksykańskiej, przecinając półwysep, który na tej szerokości geograficznej nie ma nawet dwustu mil. Ze śladów odczytano również, że grupa ta, nim ruszyła dalej w tym samym kierunku, zatrzymała się dokładnie w miejscu, gdzie znajdowali się akurat James Burbank i jego ludzie.

Co więcej, Gilbert i Mars, zaleciwszy swym towarzyszom gotowość na pierwszy sygnał, weszli ćwierć mili w las, po czym stwierdzili, iż ślady wyraźnie skręcają na południe.

Gdy wrócili do obozu, Gilbert rzekł:

— Poprzedza nas grupa ludzi, która idzie dokładnie tą samą drogą co my do Jeziora Waszyngtona. Są uzbrojeni, bo znaleźliśmy resztki kartaczy. Posłużyły im do rozpalenia ognisk, z których pozostały tylko wygaszone popioły. Nie wiemy, co to za ludzie. Ale na pewno jest ich wielu i kierują się do Evergladów.

— Może to koczowniczy Seminole? — zapytał Carrol.

— Nie — odparł Mars — ślady wyraźnie wskazują, że to biali...

— Może więc milicja florydzka? — rzekł James Burbank.

— To prawdopodobne — rzekł Perry. — Zdaje się, że jest ich zbyt wielu jak na ludzi Texara...

— Chyba że dołączyła do niego banda zwolenników — dodał Edward Carrol. — A wtedy nie dziwiłoby mnie, gdyby ich było nawet kilkuset...

— Przeciwno siedemnastu! — powiedział rządca.

— Och, czy to ważne? — zawołał Gilbert. — Jeśli nas zaatakują, albo gdy nam przyjdzie ich zaatakować, żaden z nas się nie cofnie!

— Nie!... Nie!... — zawołał dzielni towarzysze porucznika. Był to oczywiście zupełnie naturalny zapał. Zastanowiwszy się

jednak nad tym, musieli pojąć, jak mizerne szanse by w takim wypadku mieli.

Chociaż myśl ta przemknęła każdemu przez głowę, nie pomniejszyła niczyjej odwagi. Być jednak tak blisko celu i natrafić na przeszkodę! Na oddział Południowców, może zwolenników Texara, którzy starali się dołączyć do Hiszpana na Evergladach, aby tam czekać na chwilę powrotu do północnej części Florydy!

Tak, tego z pewnością należało się obawiać. Wszyscy to czuli. Toteż po pierwszym pełnym zapału odruchu zamyśleni w milczeniu wpatrywali się w młodego dowódcę, zastanawiając się, jaki też rozkaz wyda.

Gilbert miał podobne odczucia. Podnosząc jednak głowę, rzekł:

— Naprzód!

ROZDZIAŁ X

SPOTKANIE

Tak, należało iść naprzód. Jednakże wobec obecnego zagrożenia trzeba było podjąć wszelkie środki ostrożności. Wyprawa koniecznie musiała oświetlać sobie drogę, badać gęstwinę lasu, być w ciągłym pogotowiu.

Przejrzano zatem starannie broń, by można się nią posłużyć na pierwszy znak. W razie najmniejszego alarmu wszyscy złożą na ziemi pakunki i wezmą udział w obronie. Co się tyczy szyku wyprawy w marszu, to nie uległ on zmianie: Gilbert i Mars nadal stanowili straż przednią, nieco bardziej wysuwając się przed innych, ażeby uniknąć zaskoczenia. Każdy był gotów czynić swoją powinność, choć tym dzielnym ludziom serca się najwyraźniej ścisnęły, odkąd między nimi a celem, jaki pragnęli osiągnąć, wyrosła przeszkoda.

Kroku ani trochę nie zwolniono. Uznano jednak za słuszne nie iść po wciąż wyraźnych śladach. Lepiej będzie, jeśli się da, uniknąć spotkania z oddziałem zmierzającym w kierunku Evergladów. Na nieszczęście już wkrótce stało się jasne, że to nie takie łatwe. Oddział ów nie szedł bowiem po linii prostej. Ślady czysto skręcały to w prawo, to w lewo, co wskazywało na niejaki wahanie co do kierunku. Wszelako na ogół zmierzały na południe.

Minął kolejny dzień. Nic nie wstrzymało dotąd wyprawy. James Burbank żwawo prowadził swoich ludzi i wyraźnie doganiał grupę idącą lasem przed nimi. Widać to było po licznych śladach na miękkiej ziemi, z godziny na godzinę świeższych. Z łatwością odczytywano z nich postoje, bądź to na posiłek — wtedy odciski stóp przecinały się we wszystkich kierunkach — bądź to kiedy zatrzymywano się na chwilę, bez wątpienia aby naradzić się co do dalszej drogi.

Gilbert i Mars bezustannie badali owe ślady z największą uwagą. Jako że mogły im powiedzieć wiele, obserwowali je równie bacznie jak Seminole, doskonali tropiciele badający najmniejsze tropy na terenach, które przemierzają w okresie łowów lub wojny.

W wyniku takich właśnie uważnych oględzin Gilbert w pewnej chwili stwierdził:

— Ojczy, teraz jesteśmy już pewni, że wśród poprzedzającej nas grupy nie ma ani Zermy, ani mojej siostry. Ponieważ nigdzie nie widać śladów konia, to gdyby Zerma tam była, jest oczywiste, że szłaby pieszo z Dy na rękach, a jej ślady byłyby łatwe do poznania, podobnie jak ślady Dy w czasie postojów. Nie ma tu jednak ani jednego odcisku stopy kobiety lub dziecka. A oddział ten jest bez żadnej wątpliwości uzbrojony w broń palną. W wielu miejscach odcisnęły się kolby karabinów. Co więcej, zauważyłem, że podobne są do kolb karabinów marynarki wojennej. Prawdopodobnie więc milicja florydzka dysponowała taką bronią, inaczej bowiem nie można tego wytłumaczyć. Poza tym jestem zupełnie pewien, że oddział przewyższa nas co najmniej dziesięciokrotnie liczebnością. Musimy zatem zachowywać coraz większą ostrożność w miarę, jak się do nich zbliżamy.

Nie pozostało nic innego, jak postępować wedle zaleceń porucznika. Jego rozumowanie na podstawie liczby i kształtu śladów było słuszne. Wydawało się pewne, że Dy i Zermy nie ma wśród tych ludzi. Stąd wniosek, iż wyprawa nie szła śladem Hiszpana. Ludzie znad Czarnej Zatoki nie mogli być tak liczni ani tak dobrze uzbrojeni. A zatem chodziło prawdopodobnie o silny oddział florydzkiej milicji kierujący się w stronę południowej części półwyspu, czyli ku Evergladom, gdzie Texar niechybnie dotarł dzień czy dwa wcześniej.

Wieczorem wyprawa stanęła na skraju wąskiej polany. Kilka godzin wcześniej na pewno przebywali tam jacyś ludzie, czego dowodziły ledwie wystygłe popioły, resztki ognisk rozpalonych w obozowisku.

Burbankowie postanowili zatem ruszyć w dalszą drogę dopiero po zmroku. Noc będzie ciemna. Niebo było zachmurzone. Księżyc w ostatniej kwadrze wzejdzie późno. Pozwoli to wyprawie zbliżyć się do poprzedzającego ją oddziału w korzystniejszych warunkach. Być może uda się go niepostrzeżenie rozpoznać, wyminąć, kryjąc się w gęstwinie lasu, wyprzedzić, kierując się na południowy wschód, aby wcześniej się znaleźć nad jeziorem Okeechobee i na wyspie Carneral.

Mała grupka z Marssem i Gilbertem jako zwiadowcami wyruszyła około wpół do dziewiątej i w milczeniu zagłębiła się w dość gęstych ciemnościach pod kopułę drzew. Przez blisko dwie godziny szli ostrożnie stąpając, by się nie zdradzić.

Parę minut po dziesiątej James Burbank jednym słowem zatrzymał Murzynów, na których czele szedł wraz z rządcą, albowiem Gilbert z Marssem szybko się właśnie do nich wycofywali. Bez ruchu wszyscy czekali na wyjaśnienie tego nagłego odwrotu.

— Co się stało?... — zapytał James Burbank. — Coście zobaczyli?

— Rozłożony pod drzewami obóz, którego ogniska doskonale widać.

— Jak daleko? — spytał Carrol.

— O sto kroków.

— Udało się wam dojrzeć, kim są ludzie w obozie?

— Nie, bo ogniska przygasają — odparł Gilbert. — Myślę jednak, żeśmy się nie pomylili oceniając ich liczbę na dwustu ludzi.

— Czy oni śpią, Gilberte?

— Tak, w większości, chociaż są strzeżeni. Widzieliśmy strażę z bronią na ramieniu między cyprysami.

— Co radzisz? — zwrócił się Carrol do porucznika.

— Przede wszystkim — odrzekł Gilbert — trzeba rozpoznać, o ile to możliwe, co to za oddział, zanim go ominiemy.

— Jestem gotów iść na zwiad — odezwał się Mars.

— Pójdę z tobą — rzekł Perry.

— Nie, ja pójdę — powiedział Gilbert. — Tylko na sobie mogę polegać...

— Gilberte — odezwał się James Burbank — nie ma wśród nas nikogo, kto by nie chciał zaryzykować życia we wspólnym interesie. Żeby jednak zwiad się udał, musi iść jeden człowiek...

— Właśnie sam pójdę.

— Nie, synu, proszę cię, żebyś został z nami — odparł James Burbank. — Mars wystarczy.

— Jestem gotów, panie!

I Mars bez zbędnych słów zniknął w mroku.

Tymczasem James Burbank i jego towarzysze przygotowali się do odparcia ewentualnego ataku. Pakunki złożono na ziemi. Tragarze ujęli w dłonie broń. Z karabinami w rękach wszyscy przypadli za wysokimi pniami cyprysów tak, aby w każdej chwili połączyć się w grupę, gdyby koncentracja sił okazała się konieczna.

Z miejsca, gdzie znajdował się James Burbank, nie było widać obozu. Należało podejść jakieś pięćdziesiąt kroków, aby dojrzeć przygasające już ogniska. Dlatego też grupka musiała czekać na powrót Mulata, żeby postąpić odpowiednio do sytuacji. Zniecierpliwiony porucznik oddalił się o kilka jardów od miejsca, gdzie się zatrzymali.

Mars posuwał się niezwykle ostrożnie, kryjąc się za pniami drzew. W ten sposób mniejsze było niebezpieczeństwo, że zostanie spostrzeżony. Miał nadzieję, iż dotrze wystarczająco blisko, aby się zorientować w topografii miejsca, oszacować liczbę ludzi, a zwłaszcza rozpoznać, z jakiego są stronnictwa. Zadanie nie należało do łatwych. Noc była ciemna, ogniska zaś nie dawały już wcale

światła. Ażeby się z polecenia wywiązać, musiał się prześliznąć do samego obozu. Mars miał jednak wystarczającą śmiałość i zręczność, by zmylić strażę.

Szedł zatem wciąż naprzód. Na wszelki wypadek, żeby mieć wolne ręce, nie zabrał ze sobą ani karabinu, ani rewolweru. Uzbrojony był tylko w toporek.

Wkrótce dzielny Mulat znalazł się w pobliżu jednego ze strażników, oddalonego od obozu o siedem czy osiem jardów. Wokół panowała cisza. Zmęczeni rzecz jasna długim marszem, ludzie w obozie głęboko spali. Jedynie strażę czuwały na swoich stanowiskach mniej lub bardziej bacznie — czego Mars nie omieszkiał zauważyć.

Oto bowiem człowiek, którego obserwował od kilku chwil, chociaż stał, wcale się nie ruszał. Jego karabin leżał na ziemi. Oparł się o drzewo, zwiesił głowę — wyglądał, jakby zaraz miał opaść go sen. Być może uda się prześliznąć za jego plecami i dotrzeć na sam skraj obozu?

Mars skradał się wolno w kierunku strażnika, kiedy naraz trzask suchej gałązki pod stopą zdradził jego obecność.

Strażnik natychmiast się wyprostował, podniósł głowę, pochylił się, spojrział na prawo i lewo. Musiał zauważyć coś podejrzanego, chwycił bowiem za broń i przyłożył ją do ramienia...

Nim zdążył wystrzelić, Mars wyrwał wycelowany w siebie karabin i powalił strażnika, chwyciwszy go szeroką dłonią za usta, aby nie krzyknął. Chwilę później człowiek ów był zakneblowany, a Mulat, któremu na próżno się wrywał, w silnych ramionach poniósł go szybko ku polanie, gdzie czekał James Burbank.

Nic nie wzbudziło podejrzeń u reszty ludzi strzegących obozu, co dowodziło, iż czuwali niedbale. Kilka chwil później Mars złożył swoje brzemień u stóp porucznika.

Zaraz Murzyni otoczyli Jamesa Burbanka, Gilberta, Carrola i Perry'ego. Na wpół uduszony jeniec nawet bez knebla nie zdołałby słowa wymówić. Ciemność nie pozwalała dojrzeć jego twarzy ani po odzieniu rozpoznać, czy należy do florydzkiej milicji, czy też nie.

Mars wyjął kneblującą mu usta chustkę i odczekali chwilę z wypytywaniem, aż jeniec odzyska zmysły.

— Na pomoc! — zawołał wreszcie.

— Milcz! — pohamował go James Burbank. — Nic ci nie grozi!

— Czego chcecie?

— Szczerych odpowiedzi.

— To zależy od pytań — odparł ów człowiek, odzyskując nieco pewności siebie.

— Jak dużo jest was w obozie? — zaczął Gilbert.

— Około dwustu.

— Dokąd zmierzacie?

— W stronę Everglądów.

— Kto wami dowodzi?

— Kapitan Howick.

— Co? Kapitan Howick, oficer z okrętu „Wasbah”? — zawołał Gilbert.

— Ten sam.

— Oddział składa się więc z marynarzy z eskadry komodora Duponta?

— Tak, z federalistów, abolicjonistów, unionistów, przeciwników niewolnictwa! — odparł jeniec, wyraźnie bardzo dumny, gdy wymieniał te rozmaite miana nadane stronnictwu słusznej sprawy.

A więc zamiast oddziału milicji florydzkiej, którą James Burbank i jego ludzie spodziewali się mieć przed sobą, zamiast bandy zwolenników Texara, znajdowali przyjaciół, towarzyszy broni,

przychodzących ze wsparciem w samą porę!

— Hurra! Hurra! — zawołali tak głośno, że cały obóz kapitana Howicka poderwał się na nogi.

Natychmiast w ciemności rozjarzyły się pochodnie. Wszyscy zbiegli się na polanę, a kapitan Howick, nim udzielił wyjaśnień, uściśnął dłoń młodemu porucznikowi, którego nie spodziewał się spotkać w drodze na Everglady.

Wyjaśnienia nie były ani długie, ani trudne.

— Panie kapitanie — zapytał Gilbert — czy może pan powiedzieć, co was sprowadza do dolnej Florydy?

— To wyprawa z rozkazu komodora — odparł kapitan Howick.

— Skąd idziecie?

— Z zatoki Mosquito, skąd doszliśmy najpierw do New Smyrna w głębi hrabstwa.

— Pozwoli pan, że zapytam, jaki jest cel wyprawy?

— Mamy ukarać bandę Południowców, którzy wciągnęli w zasadzkę dwie nasze szalupy, oraz pomścić naszych dzielnych towarzyszy!

O tym, co opowiedział kapitan Howick, nie mógł wiedzieć James Burbank, wydarzenie miało bowiem miejsce dwa dni po jego odjeździe z Camdless Bay.

Jak pamiętamy, komodor Dupont organizował wówczas blokadę wybrzeża morskiego. W związku z tym jego flotylla przemierzała morze od Wyspy Anastazji powyżej Saint Augustine aż po wejście do kanału oddzielającego wyspy Bahama od przylądka Sable położonego na południowym krańcu Florydy. Wydawało mu się to jednak niewystarczające, postanowił zatem ścigać statki Południa nawet na mniejszych rzekach półwyspu.

W tym właśnie celu ekspedycja, złożona z oddziału marynarzy i dwóch szalup eskadry, wysłana została pod dowództwem dwóch oficerów, którzy mimo niewielkiej liczebnie załogi, bez wahania ruszyli na rzeki hrabstwa.

Jednakże konfederaci śledzili działania federalistów. Pozwolili szalupom wpłynąć w głąb dzikich terenów Florydy, co było doprawdy wielką nieostrożnością marynarzy, ponieważ na ziemiach tych przebywali Indianie i milicja. W wyniku tego szalupy znalazły się w pułapce w okolicy jeziora Kissimmee, osiemdziesiąt mil na zachód od przylądka Malabar. Zaatakowane przez oddział partyzantów, zatonięły, a wraz z częścią marynarzy polegli dwaj oficerowie dowodzący pechową wyprawą. Ci, co ostali się przy życiu, cudem jakimś dotarli do zatoki Mosquito. Komodor Dupont natychmiast wydał rozkaz bezzwłocznego wyruszenia w pościg za florydzką milicją, aby pomścić rzeź federalistów.

Dwuosobowy oddział dowodzony przez kapitana Howicka wysiadł zatem na ląd w pobliżu zatoki Mosquito. Niebawem dotarli do miasteczka New Smyrna położonego kilka mil od wybrzeża. Uzyskawszy konieczne informacje, kapitan Howick ruszył w drogę na południowy zachód. Prowadził swój oddział na Everglady, gdzie spodziewał się spotkać tych, którym przypisywano zasadzkę nad Kissimmee, i zbliżał się już do celu.

O tym właśnie wydarzeniu nie wiedzieli jeszcze James Burbank i jego ludzie, kiedy w lesie cyprysowym natknęli się na kapitana Howicka.

Kapitan i porucznik wdali się w wyjaśnienia na temat wszystkiego, co mogło ich interesować tak teraz, jak i w przyszłości.

— Przede wszystkim — powiedział Gilbert — musi pan wiedzieć, że i my podążamy w kierunku Evergladów.

— Wy także? — zdziwił się oficer. — W jakim celu?

— Ścigamy łotrów, panie kapitanie, i chcemy ich ukarać tak samo, jak pan chce ukarać swoich.

— Kim są ci ludzie?

— Zanim odpowiem — rzekł Gilbert — pozwoli pan, że zadam mu jedno pytanie. Kiedy opuścił pan New Smyrna?

— Tydzień temu.

— I nie natknęliście się na żadną grupę Południowców w głębi hrabstwa?

— Nie — odparł Howick. — Wiemy jednak z pewnych źródeł, że niektóre oddziały milicji schroniły się w dolnej Florydzie.

— Kto jest przywódcą oddziału, który ścigacie? Wie pan?

— Oczywiście, co więcej, jeśli uda nam się go ująć, pan Burbank się ucieszy.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — żywo spytał James Burbank kapitana.

— Otóż tym przywódcą jest właśnie Hiszpan, którego sąd w Saint Augustine niedawno uniewinnił z braku dowodów w sprawie CamdlessBay...

— Texar?

Z wszystkich ust padło to imię, a łatwo pojąć, jak bardzo każdy był zaskoczony.

— Co? — zawołał Gilbert. — A więc to Texara, przywódcę owych partyzantów, próbujecie doścignąć?

— Jego właśnie. Jest sprawcą zasadzki nad Kissimmee, rzezi dokonanej przez pięćdziesięciu jemu podobnych łotrów, którymi osobiście dowodził, a jak się dowiedzieliśmy w New Smyrna, schronił się na Evergladach.

— Co się stanie z tym nędznikiem, jeśli uda wam się go ująć? — spytał Edward Carrol.

— Zostanie natychmiast rozstrzelany — odparł kapitan Howick.

— Taki jest formalny rozkaz komodora, i pan Burbank może być pewien, że wykonamy go bezzwłocznie!

Nietrudno sobie wyobrazić wrażenie, jakie to odkrycie uczyniło na Jamesie Burbanku i jego ludziach. Wraz ze wsparciem kapitana Howicka oznaczało to prawie na pewno uwolnienie Dy i Zermy, gwarantowało uwięzienie Hiszpana i jego współników, nieuniknioną karę za tyle zbrodni. Marynarze federalni i Murzyni z Camdless Bay ściskali więc sobie gorąco dłonie, rozlegały się radosne wiwaty.

Gilbert wyjaśnił wtedy kapitanowi, co on i jego towarzysze czynią na południu Florydy. Im chodzi przede wszystkim o uwolnienie Dy i Zermy wywiezionych aż na wyspę Carneral, o czym poinformował ich list Mulatki. Kapitan dowiedział się równocześnie, że w alibi, na które powoływał się Hiszpan, sąd nie powinien być wierzyć, choć nikt nie pojmował, jak udało mu się je zdobyć. Trudno będzie jednak Texarowi teraz, kiedy odpowiada za rzeź nad Kissimmee, uniknąć kary za te dwa występki.

Wszelako James Burbank, zwracając się do kapitana, nieoczekiwanie zapytał:

— Czy może mi pan powiedzieć, kiedy miała miejsce zasadzka na szalupy Unii?

— Naturalnie. Nasi marynarze zostali zmasakrowani dwudziestego drugiego marca.

— Hmm, dwudziestego drugiego marca Texar był jeszcze nad Czarną Zatoką — rzekł na to Burbank — i dopiero gotował się do wyjazdu stamtąd. Jakżeby mógł w takim razie brać udział w rzezi, dokonanej dwieście mil dalej nad jeziorem Kissimmee?

— Co też pan mówi!... — zawołał kapitan.

— Mówię, że Texar nie może być przywódcą Południowców, którzy zaatakowali szalupy Unii!

— Myli się pan, Burbank — stwierdził kapitan. — Marynarze, którzy uszli z życiem, widzieli go. Sam ich przesłuchiwałem, a znają Texara, bo widzieli go przecież w Saint Augustine.

— To niemożliwe, kapitanie — zaprzeczył Burbank. — Mamy list Zermy, a wynika z niego, że

dwudziestego drugiego marca Texar przebywał jeszcze nad Czarną Zatoką.

Gilbert słuchał tego nie przerywając. Pojmował, iż jego ojciec ma na pewno słuszość. Hiszpan w dniu rzezi nie mógł się znajdować w okolicach jeziora Kissimmee.

— To nie ma w końcu znaczenia! — rzekł wreszcie. — W życiu tego człowieka są rzeczy tak niewytłumaczalne, że nie będę nawet próbował ich wyjaśniać. Dwudziestego drugiego marca przebywał jeszcze nad Czarną Zatoką, jak twierdzi Zerma. Dwudziestego drugiego stał na czele oddziału Florydczyków dwieście mil dalej, jak pan zgodnie z raportem marynarzy twierdzi, panie kapitanie. Ale pewne jest, że w tej chwili znajduje się na Evergladach. I możemy go dopaść w dwa dni!

— Słusznie, Gilbercie — przyznał kapitan Howick. — I czy to za porwanie, czy za zasadzkę, jeśli ten nędznik zostanie rozstrzelany, pewien będę, że tak jest sprawiedliwie! W drogę!

Niemniej fakt ów równie był niezrozumiały jak wiele innych odnoszących się do prywatnego życia Texara. Znow pojawiało się jakieś niewytłumaczalne alibi i rzekłbyś, że Hiszpan doprawdy posiada zdolność znajdowania się w dwóch miejscach naraz.

Czy wyjaśni się ta zagadka? Bez wątpienia. Należało jednak ująć Texara, i do tego właśnie będą zmierzać połączone wysiłki marynarzy kapitana Howicka i ludzi Jamesa Burbanka.

ROZDZIAŁ XI

EVERGLADY

Everglady są regionem zarazem strasznym i wspaniałym. Położone w południowej części Florydy, ciągną się aż do przylądka Sable, najbardziej wysuniętego punktu półwyspu. Region ten jest, prawdę powiedziawszy, jednym wielkim mokradłem leżącym niemal na poziomie morza.. Zalewają go masy wód Atlantyku, kiedy je sztormy znad oceanu lub Zatoki Meksykańskiej rzucają na ląd, gdzie stoją zmieszane z wodą, jaka zimową porą spływa z nieba szerokimi strumieniami. Toteż ziemie tej krainy są pólplenne, a mieszkać tam właściwie niepodobna.

Owe stojące wody opasane są ramami białego piasku, podkreślającymi czerń mnóstwa zwierciadeł, w których odbijają się tylko niezliczone ptaki przelatujące nad ich powierzchnią. Nie są zarybione, za to roi się w nich od węży.

Nie należy wszelako sądzić, iż cały region jest nieurodzajny. Właśnie na wyspach, oblewanych przez niezdrowe wody jezior, przyroda odzyskuje swoje prawa. Malarię pokonują niejako zapachy wydzielane przez cudowne kwiaty rosnące w tej strefie. Wyspy są przepojone wonią tysięcy roślin tak wspaniale wybujałych, że uzasadniają poetyczną nazwę Florydy. W tych właśnie zdrowych oazach Evergladów koczowniczy Indianie chronią się na czas przerwy w wędrówkach, przerwy, która nigdy nie trwa zbyt długo.

Kiedy się wejdzie kilka mil w głąb tej krainy, człowiek natyka się na dość rozległe lustro wody, jezioro Okeechobee, położone nieco poniżej dwudziestego siódmego równoleżnika. W zakolu tego jeziora leży wyspa Carneral, gdzie Texar urządził sobie nie znaną nikomu kryjówkę, w której mógł szydzić z każdej pogoni.

Kraina to doprawdy godna Texara i jego kompanów! Kiedy jeszcze Floryda należała do Hiszpanów, czyż nie tam przede wszystkim uciekali biali złoczyńcy, ażeby ujść sprawiedliwości swego kraju? Wymieszawszy się z ludnością tubylczą, mającą w swych żyłach także krew karaibską, czyż nie stali się przodkami Krików i Seminolów, koczowniczych Indian, których trzeba było zmieść w długiej i krwawej wojnie, a którzy ulegli w mniejszym lub większym stopniu dopiero w roku 1845?

Wyspa Carneral wygląda na niezdołyte schronienie. Co prawda w części wschodniej jedynie wąski kanał dzieli ją od lądu stałego — o ile tak można nazwać grzęzawisko otaczające jezioro. Kanał ów liczy około stu stóp szerokości, a przebyć go można tylko prymitywną łódką. Żadnego innego sposobu nie ma. Nie da się stamtąd uciec wpław. Jakżeby ktoś odważył się wejść do rojącej się od gadów mulistej wody, pełnej długich, oplatających członki traw?

Za kanałem wznosi się las cyprysowy na podmokłym terenie, gdzie znajdują się tylko wąskie, trudne do odnalezienia ścieżki. Ileż w dodatku tam przeszkód! Gliniasta ziemia klei się do nóg, drogę tarasują olbrzymie pnie zwalonych drzew, dusi woń zgnilizny. Rosną tam również groźne rośliny, których dotyk jest gorszy niż ostu, a zwłaszcza tysiące olbrzymich grzybów, wybuchających, jakby zawierały ładunki nitrocelulozy czy dynamitu. Najłżejsze bowiem uderzenie w grzyba powoduje głośny huk. W jednej chwili powietrze napęlnia się czerwona mgłą. Ów pył z cieniutkich zarodników drażni gardło i wywołuje piekące wypryski. Trzeba zatem unikać tych niebezpiecznych roślin, jak unika się najgroźniejszych potworów.

Texar zamieszkiwał dawny szałas indiański zbudowany z darni pod dachem wielkich drzew we wschodniej części wyspy. Całkowicie ukryty w zieleni, był niewidoczny nawet z najbliższej położonego brzegu. Dwa ogary strzegły go z równą czujnością jak blokhauzu nad Czarną Zatoką.

Wytresowane niegdyś do łowów na ludzi, rozszarpałyby każdego, kto by się zbliżył do szałasu.

Tam właśnie dwa dni wcześniej przywieziono Dy i Zermę. Podróż, w miarę łatwa korytem Saint Johns aż do Jeziora Waszyngtona, stała się bardzo męcząca przez las cyprysowy, nawet dla silnych mężczyzn, przywykłych do niezdrowego klimatu i długich marszów przez lasy i mokradła. Jakże zatem musiała się męczyć kobieta i dziecko! Zerma wszelako była wytrzymała, dzielna i oddana. Przez całą drogę niosła Dy. Toteż była u kresu sił, gdy dotarli wreszcie do wyspy Carneral.

Teraz zaś, po tym, co zdarzyło się w chwili, gdy Texar i Skambo zabierali je znad Czarnej Zatoki, jakże nie oddać się rozpaczom? Nie miała wprawdzie pojęcia, że list, który dała młodemu niewolnikowi, dostał się w ręce Jamesa Burbanka, lecz wiedziała, iż Murzyn przypłacił życiem czyn mający je obie uratować. Schwyty, kiedy próbował uciec z wysepki, by podążyć do Camdless Bay, otrzymał śmiertelny cios. Wtedy Mulatka uznała, że James Burbank nigdy nie dowie się tego, co jej wyjawiał nieszczęsny Murzyn, mianowicie że Hiszpan i jego ludzie gotują się do drogi na wyspę Carneral. Czy w tej sytuacji mógł ktoś ruszyć ich śladem?

Zermie nie pozostał tedy nawet cień nadziei. Nikła wszelka szansa ratunku w tej okolicy, której okrutną dzikość znała z opowiadań. Doskonale wiedziała, że stamtąd nie będzie możliwości ucieczki.

Dziewczynka po przybyciu była skrajnie wyczerpana. Zmęczenie przede wszystkim, mimo nieustających starań Zermy, potem jeszcze wpływ niezdrowego klimatu mocno nadwładliły jej zdrowie. Błada, wychudzona, jak gdyby ją zatrzymały bagienne wyziewy, nie miała już sił, by stanąć, ledwie mogła wymówić kilka słów, zawsze wtedy przyzywając matkę. Niepodobna było jej dłużej wmawiać, jak to czyniła Zerma przez pierwsze dni nad Czarną Zatoką, że niebawem ujrzy swoją matkę, że jej ojciec, brat, panna Alicja i Mars wkrótce do nich przyjadą. Mądra nad wiek, bardziej jeszcze dojrzała pod wpływem nieszczęść od czasu straszliwych wydarzeń na plantacji, Dy rozumiała, że została wyrwana z domowego ogniska, że jest w rękach złego człowieka, że jeśli nikt nie przyjdzie jej na ratunek, nigdy już nie ujrzy Camdless Bay.

Zerma nie umiała teraz odpowiedzieć na jej pytania i mimo całego swojego poświęcenia, widziała, jak dziecko niknie w oczach.

Szałas, jak już powiedzieliśmy, był tak prymitywny, że zimą nie dałby wystarczającego schronienia. Wiatr i deszcz wdzierały się doń wówczas ze wszystkich stron. Latem jednak, które pod tą szerokością dawało się we znaki, chronił przynajmniej mieszkańców przed palącym słońcem.

Przedzielony był na dwie izby nierównej wielkości: jedna wąska, mroczna, nie miała bezpośredniego wyjścia na zewnątrz, lecz do drugiej. Tę zaś, dosyć przestronną, rozjaśniało światło wpadające przez drzwi w głównej ścianie, to znaczy w tej, co wychodziła na kanał.

Zerma i Dy zajmowały mniejszą izbę, gdzie stało kilka sprzętów i było trochę siana służącego im za poślanie.

Drugą izbę zajmował Texar ze Skambem, który nigdy nie opuszczał swojego pana. Znajdował się tam stół z kilkoma dzbanami z wódką, szklankami i paroma talerzami, szafa na żywność, ledwie ociosany pień służący za ławę, dwa snopy siana jako legowiska.

Ogień do gotowania rozpalano w kamiennym piecu stojącym na zewnątrz, przy węgle chaty. Zupełnie wystarczał do przyrządzania posiłków składających się z suszonego mięsa, z dziczyzny, w jaką myśliwy mógł się łatwo zaopatrzyć na wyspie, z niemal dziko rosnących owoców i jarzyn — słowem, z tego, co trzeba, aby nie umrzeć z głodu.

Sześciu niewolników, przybyłych z Texarem znad Czarnej Zatoki, spało na zewnątrz, podobnie jak psy, i jak one pilnowało szałas, za jedyne schronienie mając potężne drzewa, których niskie gałęzie spletały się nad ich głowami.

Od pierwszego dnia Dy i Zerma miały swobodę poruszania się. Nie więziono ich w izbie, skoro

się znajdowały na wyspie Carneral. Pilnowano ich tylko, co było zbędną ostrożnością, gdyż i tak nie przebyłyby kanału bez łódki strzeżonej nieustannie przez jednego z Murzynów. Podczas spacerów z dziewczynką Zerma niebawem zdała sobie sprawę z trudności związanych z ucieczką.

Tego dnia Skambo nie spuszczał Mulatki z oczu, lecz Texara nie spotkała. Kiedy jednak zapadła noc, usłyszała jego głos. Zamienił kilka słów ze Skambem, zalecając mu surowy nadzór. Wkrótce też w szałasie wszyscy oprócz Zermy spali.

Dotychczas Zerma nie zdołała wydobyć z Texara ani słowa. W czasie podróży rzeką do Jeziora Waszyngtona na próżno pytała go, co zamierza uczynić z dzieckiem i z nią, na przemian prosząc i grożąc. Kiedy mówiła, Hiszpan wpatrywał się w nią zimnym, złym wzrokiem. Potem wzruszał ramionami gestem człowieka, któremu się naprzykrza, i nie raczył odpowiadać.

Zerma wszelako nie dawała za wygraną. Po przybyciu na wyspę Carneral postanowiła się spotkać z Texarem i wzbudzić w nim litość, jeśli nie dla siebie samej, to przynajmniej dla biednego dziecka, gdyby zaś litości nie okazał, skusić go korzyściami.

Okazja wkrótce się nadarzyła.

Nazajutrz, gdy dziewczynka jeszcze spała, Zerma poszła w kierunku kanału.

Texar przechadzał się akurat jego brzegiem. Wraz ze Skambem wydawał polecenia niewolnikom koszącym wodorosty, których ilość utrudniała pływanie łódką. Dwóch innych Murzynów uderzało cały czas w powierzchnię kanału długimi tyczkami, żeby przepłoszyć gady wychylające z wody łby.

Chwilę później Skambo opuścił swego pana, Hiszpan zaś zamierzał odejść, kiedy podeszła doń Zerma.

— Texarze — odezwała się stanowczym tonem — muszę z tobą pomówić. Na pewno ostatni raz, proszę więc, żebyś mnie wysłuchał.

Hiszpan bez słowa zapalił papierosa. Zerma tedy, odczekawszy chwilę, rzekła:

— Może raczysz mi wreszcie powiedzieć, co zamierzasz zrobić z Dy?

Milczenie.

— Nie będę próbowała — podjęła Mulatka — wzbudzić w tobie litości nad moim losem. Chodzi mi tylko o to dziecko, którego życie jest w niebezpieczeństwie i które niedługo ci się wymknie...

Na to stwierdzenie Texar wykonał niedowierzający gest.

— Tak, tak, już niedługo — powtórzyła Zerma. — Nie będzie to wprawdzie ucieczka, lecz śmierć.

Hiszpan wydmuchnął powoli dym papierosowy i odrzekł:

— Co tam! Dziewczynka przyjdzie do siebie, jak odpocznie kilka dni, i liczę na twoje starania, żeby utrzymać przy życiu tę cenną dla nas osobkę.

— Nie, nie, wierz mi, Texarze. Jeszcze trochę, a dziecko umrze, ty zaś nic na tym nie zyskasz!

— Nic nie zyskam — odparł Texar — skoro trzymam ją z dala od umierającej matki, od ojca i brata skazanych na rozpacz!

— Owszem — powiedziała Zerma. — Toteż już się zemściłeś, i możesz być pewien, że więcej byś zyskał oddając dziecko rodzinie, niż trzymając je tutaj.

— Co masz na myśli?

— Zadałeś ból panu Burbankowi. Teraz powinieneś pomyśleć o korzyściach...

— O korzyściach?

— Oczywiście — odrzekła Zerma ożywiając się. — Plantacja została zniszczona, pani Burbank jest umierająca, może już nawet teraz nie żyje, jej córka zniknęła, a ojciec Dy na próżno szuka śladów dziecka. Tych przestępstw ty się dopuściłeś, Texarze, i ja o tym wiem! Mam prawo powiedzieć ci to w twarz. Ale strzeż się! Nadejdzie taki dzień, kiedy twoje zbrodnie zostaną odkryte.

Pomyśl więc o karze, jaka cię czeka. W twoim interesie leży okazać litość. Nie mówię o sobie, której mąż nie zastanie po powrocie, lecz o tej biednej małej, która niedługo umrze. Zatrzymaj mnie, jeśli chcesz, ale odeślij dziecko do Camdless Bay, zwróć je matce. Nikt nie będzie wymagał od ciebie rozrachunku z przeszłością. A nawet, jeśli zażadasz, złotem zapłacą ci za wolność dziewczynki. Mówię ci to, proponuję taką wymianę, znam bowiem do głębi Jamesa Burbanka i jego rodzinę. Wiem, że oddaliby cały majątek, byle uratować dziecko, i Bóg mi świadkiem, dotrzymają obietnicy, jaką ci składa ich niewolnica!

— Niewolnica?... — parsknął ironicznie Texar. — W Camdless Bay nie ma już niewolników!

— Owszem, są, bo żeby zostać przy moim panu, nie przyjąłam wyzwolenia!

— Czyżby? — rzekł na to Hiszpan. — Skoro zatem nie jest ci przykre pozostawanie niewolnicą, potrafimy się porozumieć. Sześć czy siedem lat temu chciałem cię kupić od mojego przyjaciela Tickborna. Dawałem za ciebie, za ciebie samą, znaczną sumę, i należałabyś do mnie, gdyby nie James Burbank, który cię kupił. A teraz mam cię i będę miał.

— Niech i tak będzie — odparła Zerma — będę twoją niewolnicą. Ale czy zwrócisz to dziecko?

— Córkę Jamesa Burbanka zwrócić ojcu? — powiedział Texar z nienawiścią w głosie. — Nigdy!

— Ty nędzniku! — zawołała Zerma, w której górę wziął gniew. — Skoro nie ojciec, to Bóg wyrwie ci ją z rąk!

Szydrczy śmiech i wzruszenie ramion było całą odpowiedzią Hiszpana. Skręcił kolejnego papierosa, ze spokojem odpalił go od resztki poprzedniego i nie spojrzawszy nawet na Zermę, odszedł brzegiem kanału.

Gdyby dzielna Mulatka miała jakąś broń, rzuciłaby się na niego jak lwica, narażając się na śmierć z rąk Skamba i jego kompanów. Była jednak bezsilna. Stojąc bez ruchu, spoglądała na Murzynów pracujących na brzegu. Ani jednej przyjaznej twarzy, wszędzie tylko okrutne oblicza dzikusów, nie należących już, zda się, do rasy ludzkiej. Wróciła do szalasu, do swojej roli matki dziecka, które przyzywało ją słabym głosem.

Zerma próbowała utulić w ramionach biedną małą istotkę. Jej pocałunki wlały nieco życia w dziewczynkę. Mulatka przyrządziła jej coś gorącego na palenisku, dokąd ją przeniosła. Otaczała ją wszelkimi staraniami, na jakie pozwalało ubóstwo i opuszczenie. Dy dziękowała jej za wszystko uśmiechem... Ale jakim!... Smutniejszym niż łzy.

Zerma przez resztę dnia nie widziała Hiszpana. Nie szukała z nim zresztą spotkania. Bo i po co? On swoich uczuć nie zmieni, a sytuacja mogłaby się jeszcze pogorszyć wraz z nowymi skargami.

O ile bowiem dotychczas, podczas pobytu nad Czarną Zatoką i odkąd przybyli na wyspę Carneral, nie traktowano źle ani Zermy, ani dziecka, o tyle teraz Mulatka mogła się wszystkiego spodziewać po takim człowieku. Wystarczyło, żeby go coś wprawiło w gniew, a gotów by się posunąć do najgorszego. W jego zepsutej duszy nie było miejsca na litość, a skoro zysk nie przeważał w nim nienawiści, Zerma musiała się wyrzec wszelkiej nadziei na przyszłość. Byli jeszcze kompani Hiszpana — Skambo, niewolnicy, ale jakże żądać od nich więcej człowieczeństwa niż od ich pana? Wiedzieli, co czeka tego, kto by okazał im obu choć odrobinę sympatii. W nich nie można było pokładać nadziei. Zerma musiała tedy polegać wyłącznie na sobie. Postanowiła już najbliższej nocy próbować ucieczki.

Jak tego jednak dokonać? Trzeba wszak przebyć otaczający wyspę pas wody. Chociaż jezioro przed szalasem było wąskie, niepodobna pokonać go wplaw. Pozostawało zatem jedno: zdobyć łódkę, by przepłynąć na drugi brzeg kanału.

Nadszedł wieczór, potem noc — zapowiadała się ciemna, burzliwa nawet, zaczął bowiem

padać deszcz i wiatr hulać nad mokradłami.

Wprawdzie Zerma nie zdołałaby wyjść drzwiami prowadzącymi z większej izby, ale może nie sprawi jej trudu zrobić dziurę w słomianej ścianie, przejść przez nią, przeciągnąć za sobą Dy. Gdy się już znajdzie na zewnątrz, postanowi, co dalej.

Około dziesiątej z zewnątrz dobiegały tylko podmuchy nawałnicy. Texar i Skambo spali. Nawet psy, wtulone gdzieś w zarośla, nie krążyły wokół siedziby.

Chwila była sprzyjająca.

Dy spała na posłaniu z siana, a Zerma tymczasem zaczęła powoli wyciągać słomę i trzciny ze splecionej z nich bocznej ściany szałas.

Godzinę później otwór nie był jeszcze wystarczająco duży, żeby Zerma z dzieckiem mogły przezeń przejść. Mulatka zamierzała dalej go powiększać, kiedy naraz powstrzymał ją hałas. Wybuchł w głębokich ciemnościach. Było to ujadanie ogarów, które sygnalizowały czyjąś obecność na brzegu. Texar i Skambo, wyrwani ze snu, szybko wyszli.

Rozległy się wtedy jakieś głosy. Na przeciwległym brzegu kanału znajdowali się ludzie. Zerma musiała zaczekać z ucieczką, w tej chwili niewykonalną.

Niebawem, mimo pomruków nawałnicy, z łatwością rozróżniła stapania licznych stóp.

Bacznie nasłuchiwała. Co się dzieje? Czyżby Opatrzność się nad nią ulitowała? Czyżby zesłała jej ratunek, na który już przestała liczyć?

Zrozumiała jednak, że się myli. Bo czyż nie doszłoby do walki między przybyszami i ludźmi Texara, do starcia podczas przebywania kanału, czyż nie rozległyby się krzyki po obu stronach, strzały z broni palnej? A niczego takiego nie było. Na wyspę Carneral przybywały raczej posiłki.

Chwilę później Zerma spostrzegła, że do szałasów wracają dwie osoby. Hiszpanowi towarzyszył jakiś mężczyzna, którym nie był Skambo, głos jego bowiem rozbrzmiewał jeszcze na dworze, gdzieś nad kanałem.

W izbie znajdowało się dwóch mężczyzn. Rozmawiali zniżając głosy, naraz jednak przerwali.

Jeden z nich z latarnią w ręku skierował się do izby Zermy. Mulatka ledwie zdążyła rzucić się na legowisko i przysłonić sobą otwór widniejący w ścianie.

Texar — to był on — uchylił drzwi, zajrzał do izby, zobaczył, że Mulatka leży obok Dy pogrążona w głębokim śnie. Odszedł więc zaraz.

Zerma natychmiast znów podeszła do drzwi.

Nie mogła wprawdzie widzieć tego, co się działo w izbie, ani dojrzeć twarzy rozmówcy Texara, mogła ich jednak słyszeć.

ROZDZIAŁ XII

CO USŁYSZAŁA ZERMA

— Ty tutaj?

— Tak, od kilku godzin.

— Myślałem, że jesteś w Adamsville, w okolicy jeziora Apopka.

— Byłem tam tydzień temu.

— I dlaczegoś tu przyszedł?

— Bo musiałem.

— Nie powinniśmy się przecież nigdzie indziej spotykać, jak tylko na bagnach nad Czarną Zatoką, a i to miałeś mnie o tym uprzedzać!

— Mówię ci, że musiałem szybko wyjechać i schronić się w Evergladach.

— Dlaczego?

— Zaraz się dowiesz.

— Nie boisz się, że się zdradzimy?...

— Nie. Przyszedłem nocą i żaden twój niewolnik nie mógł mnie widzieć.

Zerma dotąd niczego z tej rozmowy nie pojmowała, nie domyślała się także, kim jest nieoczekiwany gość. Na pewno rozmawiało dwóch ludzi, wydawało się jednak, jakby jeden człowiek stawiał pytania i udzielał na nie odpowiedzi. Taka sama intonacja, ta sama barwa głosu. Rzekłbyś, że każde słowo wychodzi z jednych ust. Zerma na próżno usiłowała zerknąć przez jakąś szparę w drzwiach. Słabo oświetlona izba tonęła w półmroku, który nie pozwalał niczego dojrzeć. Mulatce musiało zatem wystarczyć, że usłyszy możliwie dużą część rozmowy, która mogła się dla niej okazać ważna.

Po chwili milczenia mężczyźni podjęli przerwana rozmowę. Pierwsze pytanie zadał, rzecz jasna, Texar:

— Przyszedłeś sam?

— Nie, część naszych ruszyło ze mną na Everglady.

— Ilu?

— Czterdziestu.

— Nie boisz się, że dowiedzą się o tym, co tak długo udawało nam się ukrywać?

— Nic a nic. Nigdy nas razem nie zobaczą. Kiedy odejdą z wyspy, będą wiedzieli tyle samo i w naszym życiu nic się nie zmieni.

W tej chwili Zerma odniosła wrażenie, że ci dwaj ściskają sobie dłonie.

Po czym rozmowa potoczyła się dalej.

— No to co się wydarzyło po zajęciu Jacksonville?

— Dość poważna sprawa. Wiesz, że Dupont zajął Saint Augustine?

— Tak, wiem, a ty pewnie wiesz dlaczego muszę o tym wiedzieć.

— Jasne! Historia z pociągiem z Fernandiny przydała się, żeby ci dać alibi, które zmusiło sąd do zwolnienia cię.

— A wcale nie mieli na to ochoty!... No, ale nie pierwszy raz im się w ten sposób wymykamy...

— I nie ostatni. Ale pewnie nie wiesz, dlaczego Jankesi zajęli Saint Augustine. Nie tyle żeby podbić stolicę hrabstwa Saint Jean, co żeby zorganizować blokadę wybrzeża atlantyckiego.

— Tak, słyszałem.

— Tylko że pilnowanie wybrzeża od ujścia Saint Johns aż po wyspy Bahama nie wystarczało

Dupontowi. Postanowił ścigać przemytników także w głębi Florydy. Wysłał więc dwie szalupy z oddziałem marynarzy dowodzonym przez dwóch oficerów eskadry. Wiedziałeś o tej wyprawie?

— Nie.

— To kiedy wyruszyłeś znad Czarnej Zatoki?... Zaraz po tym, jak cię uwolnili?

— Tak, dwudziestego drugiego.

— Ta sprawa też się wydarzyła dwudziestego drugiego.

Należy zauważyć, że Zerma również nie mogła nic wiedzieć o zasadzce nad Kissimmee, o której kapitan Howick opowiedział Gilbertowi przy spotkaniu w lesie. Dowiedziała się zatem równocześnie z Hiszpanem, że po spaleniu szalup ledwie dwunastu marynarzy uszło z życiem i mogło zanieść komodorowi wieść o nowej kłęsce.

— Doskonale!... — zawołał Texar. — To ci odwet za zajęcie Jacksonville! Obyśmy mogli dalej tak wciągać tych przeklętych Jankesów w głąb Florydy! Zostaną tam co do jednego!

— Co do jednego — powtórzył drugi rozmówca — zwłaszcza je śli się zapuszczają na mokradła Evergladów. A właśnie niedługo będziemy ich tu mieli.

— Co ty opowiadasz?

— Dupont poprzysiągł pomścić swoich oficerów i marynarzy. Toteż wysłał nową wyprawę na południe hrabstwa Saint Jean.

— Jankesi nadciągają z tej strony?

— Tak, ale liczniejsi, lepiej uzbrojeni, mają się na baczności, uważają na zasadzki.

— Spotkałeś się z nimi?

— Nie, bo tym razem byliśmy za słabi i musieliśmy się cofać. Ale wycofując się, wabimy ich powoli. Kiedy zbierzemy milicję, która jest tu w okolicy, spadniemy na nich i żaden nie umknie!

— Skąd wyruszyli?

— Z zatoki Mosquito.

— Którędy idą?

— Przez las cyprysowy.

— Gdzie mogą teraz być?

— Jakies czterdzieści mil od wyspy.

— Dobrze — rzekł Texar. — Niech idą dalej na południe, a my nie tracąc ani dnia musimy zebrać milicję. Jeśli trzeba, to zaraz jutro ruszamy do kryjówki nad Cieśniną Bahama...

— A tam, gdyby się okazało, że nie zdążymy zebrać milicji, znajdziemy pewne schronienie na wyspach angielskich.

To, o czym ci dwaj rozmawiali, miało dla Zermy wielką wagę. Gdyby Texar postanowił opuścić wyspę, czy zabierze ze sobą branki, czy też zostawi je w szalasi pod strażą Skamba? W takim wypadku lepiej by było próbować ucieczki dopiero po odejściu Hiszpana. Może wtedy działania Mulatki będą miały szanse powodzenia? A czy nie mogło się i tak zdarzyć, że oddział Unii, przemierzający akurat dolną Florydę, dotrze do brzegów jeziora Okeechobee, w pobliże wyspy Carneral?

Zerma uchwyciła się tej nadziei, ale zaraz się jej wyzbyła.

Na zadane mu bowiem pytanie, co uczyni z Mulatką i dzieckiem, Texar odpowiedział bez wahania:

— Zabiorę je, jeśli będzie trzeba, nawet na Wyspy Bahama.

— Tylko czy dziewczynka zniesie trudy kolejnej podróży?

— Tak, jestem pewien, a zresztą Zerma zdoła ją chronić w drodze.

— A gdyby dziecko umarło?

— Wolę ją widzieć martwą, niż zwrócić ojcu!

— Bardzo nienawidzisz tych Burbanków...

— Nie mniej niż ty!

Zerma, nie panując dłużej nad sobą, gotowa była otworzyć drzwi i stanąć twarzą w twarz z tymi dwoma mężczyznami, tak podobnymi do siebie nie tylko z głosu, ale i z okrutnej natury, z zupełnego braku sumienia i serca. Zdołała się jednak opanować. Lepiej, żeby usłyszała, o czym rozmawiają Texar i jego współnik. Kiedy skończą, może położą się spać? Wtedy będzie pora, by spróbować ucieczki, koniecznej, nim znowu wyruszą w drogę.

— Co nowego na Północy? — zagadnął znów Texar.

— Nic szczególnego. Na nieszczęście wydaje się jednak, że Jankesi mają przewagę, i obawiam się, że sprawa niewolnictwa jest ostatecznie przegrana.

— Co mi tam! — rzekł Texar obojętnym głosem.

— W końcu nie jesteśmy ani za Południem, ani za Północą — powiedział tamten.

— Dla nas, podczas gdy obie strony ze sobą walczą, najważniejsze to trzymać z tymi, gdzie można najwięcej zyskać.

Mówiąc tak, Texar cały się obnażał. Łowy w mętnej wodzie wojny domowej — oto czego pragnęli ci dwaj ludzie.

— Co zaszło na Florydzie w ostatnim tygodniu? — zapytał.

— Nic, o czym byś nie wiedział. Stevens nadal panuje nad rzeką aż po Picołatę.

— I zdaje się, że nie ma ochoty popłynąć dalej w górę Saint Johns?...

— Nie, kanonierki nie próbują zwiadu na południu hrabstwa. Myślę zresztą, że nie zostaną tam długo, a wtedy cała rzeka znów będzie wolna dla konfederatów.

— Co masz na myśli?

— Krąży plotka, że Dupont ma zamiar opuścić Florydę, zostawiając tylko dwa, trzy okręty dla blokady wybrzeży.

— Czy to możliwe?

— Mówię przecież, że to się rozważa, a jeżeli tak się stanie, to Saint Augustine będzie niebawem ewakuowane.

— A Jacksonville?

— Też.

— Do diabła! Mógłbym więc tam wrócić, zebrać dawny komitet, znów zająć miejsce, którego mnie pozbawili Jankesi! Och, ci przekłęci Jankesi! Niech tylko znów obejmę władzę, a zobaczą, jak ją wykorzystam!...

— Dobrze powiedziane!

— A jeżeli Burbank z rodziną nie opuścili jeszcze Camdless Bay, jeżeli ucieczka nie uratowała ich przed moją zemstą, teraz mi nie ujdą!

— Popieram! Czegoś ty doświadczył od nich, ja też doświadczyłem! Chcę tego samego co i ty! Nienawidzę to samo co ty! Razem jesteśmy jednym człowiekiem...

— Tak... Jednym! — przytaknął Texar.

Rozmowa na chwilę się urwała. Dźwięk szkła powiedział Zermie, że Hiszpan i przybysz piją.

Zerma była przygnębiona. Słuchając ich, odnosiła wrażenie, że ci ludzie mają taki sam udział we wszystkich przestępstwach popełnionych w ostatnich czasach na Florydzie, a zwłaszcza na Burbankach. Jeszcze lepiej to pojęła słuchając ich przez następne pół godziny. Poznała wtedy kilka szczegółów z tajemniczego życia Hiszpana. I ciągle dobiegał ją ten sam głos, stawiający pytania i odpowiadający na nie, jak gdyby Texar mówił sam do siebie. Była w tym jakaś tajemnica, której

odkrycie bardzo by się Mulatce przydało. Gdyby jednak ci nędznicy domyślili się, że Zerma poznała część ich sekretów, czy zawahaliby się przed usunięciem tego niebezpieczeństwa zadając jej śmierć? A co by się stało z dzieckiem, gdyby ona straciła życie?

Dochodziła chyba jedenasta. Pogoda nadal była okropna. Bez przerwy wiał wiatr i padał ulewny deszcz. Najpewniej Texar i jego kompan nie wyjdą na dwór. Spędzą noc w szałasie. Wykonanie planów odłożą do następnego dnia.

Zerma nie wątpiła w to już, kiedy usłyszała, jak wspólnik Texa-ra — bo to musiał być on — pyta:

— To jak zrobimy?

— Jutro przed południem — odparł Hiszpan — pójdziemy z naszymi ludźmi na zwiad w okolice jeziora. Przejdziemy ze trzy, cztery mile lasem, wysyłając naprzód tych, co go najlepiej znają, a zwłaszcza Skamba. Jeżeli nic nie będzie wskazywało, że Jankesi są blisko, wrócimy tutaj i zaczekamy, dopóki nie trzeba będzie się wycofywać.

Jeżeli zaś okaże się, że sytuacja jest groźna, zwołam naszych ludzi i moich niewolników i zabiorę Zermę nad Cieśninę Bahama. Ty się wtedy zajmiesz skrzyknięciem milicji rozproszonej na dolnej Florydzie.

— Zgoda. Jutro, kiedy pójdziecie na zwiad, ja się schowam w lesie na wyspie. Nikt nas nie może razem zobaczyć.

— Jasne, że nie! — zawołał Texar. — Niech mnie diabli, jeśli zaryzykuję podobną nieostrożność, która by wyjawiała naszą tajemnicę! Zobaczymy się więc dopiero nocą w szałasie. A gdybym musiał wyruszyć w ciągu dnia, ty opuścisz wyspę dopiero po mnie. Spotkamy się wtedy w okolicy przylądka Sable.

Zerma pojęła, że nie uda jej się odzyskać wolności przy pomocy federalistów. Jeśli bowiem Hiszpan dowie się następnego dnia o nadchodzącym oddziale, to natychmiast opuści wyspę wraz ze swoimi brankami.

Mulatka mogła się zatem uratować licząc wyłącznie na siebie, niezależnie od niebezpieczeństw, by nie rzec: niepokonanych przeszkód przy ucieczce w tak trudnych warunkach.

Jakiej by jednak nabrała otuchy, gdyby wiedziała, że James Burbank, Gilbert, Mars, część Murzynów z plantacji wyruszyli, aby ją wyrwać z rąk Texara, że wiadomość od niej wskazała im kierunek poszukiwań, że dopłynęli już rzeką do Jeziora Waszyngtona, że przebyli większą część lasu, że grupka z Camdless Bay połączyła się z oddziałem kapitana Howicka, że Texara we własnej osobie uważano za sprawcę zasadzki nad Kissimmee, że ten nędznik będzie ścigany aż do końca, że zostanie rozstrzelany bez sądu, gdyby zdołano go pojmać!...

Tego jednak Zerma nie wiedziała. Nie mogła się spodziewać niczyjej pomocy... Toteż zdecydowanie postanowiła ważyć się na wszystko, byle tylko uciec z wyspy.

Musiała jednak opóźnić o całą dobę realizację swojego planu, chociaż bardzo ciemna noc sprzyjałaby ucieczce. Ludzie przybyli z rozmówcą Texara nie schronili się pod drzewami, lecz rozłożyli się wokół szałasów. Słychać było, jak chodzą brzegiem paląc papierosy i gawędząc. Gdyby zaś próba się nie powiodła, gdyby odkryto jej zamiary, Zerma znalazłaby się w jeszcze gorszym położeniu i pewnie ściągęłaby na siebie gniew Texara.

A może następnego dnia nadarzy się lepsza sposobność ucieczki?

Czyż Hiszpan nie powiedział, że niewolnicy, a nawet Skambo pójdą z nim, aby się przyjrzeć ruchom oddziału federalnego? Czy nie okaże się to korzystne dla Zermy, czy nie zwiększy szans powodzenia? Gdyby jej się udało przebyć kanał niepostrzeżenie, to znalazłszy się w lesie, na pewno się z boską pomocą uratuje. Kryjąc się, bez trudu sobie poradzi, żeby nie wpaść ponownie w ręce

Texara. Kapitan Howick nie powinien być daleko. Skoro zmierza w kierunku jeziora Okeechobee, czyż nie mogła liczyć, że ją wydobędzie z opresji?

Musiała więc zaczekać do następnego dnia. Pewien incydent wszelako zburzył rusztowanie, na którym wspierały się ostatnie nadzieje Zermy, oraz ostatecznie naraził ją Texarowi.

Właśnie rozległo się pukanie do drzwi szałasu. Był to Skambo.

— Wejdz! — rzekł Hiszpan. Skambo wszedł.

— Jakie masz dla mnie rozkazy na noc, panie? — zapytał.

— Macie baczenie czuwać — odparł Texar — i wołać mnie przy najmniejszym alarmie.

— Zajmę się tym — rzekł Skambo.

— Jutro przed południem pójdziemy na zwiad kilka mil w głąb lasu.

— A co z Mulatką i dzieckiem?

— Będą pilnowane jak zwykle. A teraz niech nam nikt nie przeszkadza.

— Tak jest.

— Co porabiają nasi ludzie?

— Łażą tam i na powrót, jakby nie bardzo mieli ochotę na wypoczynek.

— Nikomu nie wolno się oddalać!

— Rozumiem.

— Pogoda jaka?

— Poprawia się. Deszcz ustał, a i wichura wnet ucichnie.

— Dobrze.

Zerma cały czas podsłuchiwała. Rozmowa wyraźnie zbliżała się ku końcowi, kiedy naraz rozległo się zduszone westchnienie, podobne do rżenia.

Zermie załomotało serce.

Wstała i podbiegła do legowiska, nachyliła się nad dziewczynką...

Dy się przebudziła, w jakim jednak stanie! Chrapliwy oddech dobywał się z jej ust. Drobnymi rączkami zagarniała powietrze, jakby je chciała nagonić do ust. Zerma dosłyszała jedno tylko słowo:

— Pić!...

Dziecko się dusiło. Należało ją natychmiast wynieść na powietrze. W głębokiej ciemności przerażona Zerma wzięła Dy w ramiona, by własnym oddechem wlać w nią życie. Poczowała, że dziewczynka rzuca się jak w konwulsjach. Krzyknęła... Otworzyła drzwi izby...

Przed Skambem stało dwóch mężczyzn, tak jednak podobnych do siebie z twarzy i sylwetki, że Zerma nie potrafiłaby powiedzieć, który z nich jest Texarem.

ROZDZIAŁ XIII

PODWÓJNE ŻYCIE

Kilka słów wystarczy, aby wyjaśnić to, co do tej pory wydawało się w tej opowieści niewytłumaczalne. Czytelnik zobaczy, co niektórzy potrafią wymyślić, kiedy niedobra natura, wspomagana dużą inteligencją, skieruje ich na drogę złą.

Ludzie, przed którymi niespodzianie Zerma stanęła, byli bliźniakami.

Gdzie się urodzili? Sami dobrze nie wiedzieli. Pewnie w jakiejś osadzie w Texasie — stąd imię: Texar.

Wiadomo, czym są rozległe tereny położone na południu Stanów Zjednoczonych, nad Zatoką Meksykańską.

Zbuntowawszy się przeciwko panowaniu Meksyku, Texas, wspierany przez Amerykanów w walce o niezależność, przyłączył się do federacji w roku 1845, za prezydentury Johna Tylera.

Piętnaście lat przed tym faktem w pewnej osadzie na wybrzeżu teksaskim znaleziono dwoje porzuconych dzieci, przygarnięto je i wychowano z funduszy społecznych.

Zwrócono uwagę na chłopców przede wszystkim z powodu ich iście cudownego podobieństwa. Te same ruchy, taki sam głos, zachowanie, fizjonomia i takie same instynkty dowodzące przedwcześniego zepsucia. Jak ich wychowano, w jakim stopniu wykształcono — nie wiadomo, podobnie jak trudno rzec, z jakiej wywodzili się rodziny. Być może z jednej z rodzin wędrownych, których wiele przemierzało kraj po ogłoszeniu niepodległości.

Gdy tylko bracia Texarowie, ogarnięci niepohamowanym pragnieniem wolności, stwierdzili, iż sami sobie poradzą, zniknęli. Do spółki mieli wtedy dwadzieścia cztery lata. Od tej pory bez wątpienia środki do życia zdobywali kradzieżą na polach, farmach, tu kawałek chleba, tam trochę owoców, czekając, aż dorosną do grabieży z bronią w rękę i do wypraw na dalekie szlaki, do których szykowali się od dzieciństwa.

Krótko mówiąc, nie ujrzano ich więcej w teksaskich osiedlach i osadach, gdzie zwykle pojawiali się w towarzystwie łotrów już wtedy wykorzystujących ich podobieństwo.

Minęło wiele lat. Wkrótce zapomniano o Texarach, nawet nie pamiętano ich imienia. I chociaż nazwisko to miało kiedyś nabrać rozgłosu na Florydzie, nic nie wskazywało na to, iż dzieciństwo spędzili w nadbrzeżnych okolicach Teksasu.

Jakżeby jednak miało być inaczej, skoro po ich zniknięciu, w wyniku machinacji, o której za chwilę opowiemy, nigdy nie poznano obu Texarów? Na tej to właśnie machinacji oparł całą serię przestępstw, które tak trudno było dowieść i ukarać za nie.

W rzeczywistości — o czym się dowiedziano później, kiedy odkryto i ustalono istnienie dwóch osób — przez pewien czas, jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat, bracia żyli osobno. Na wszelkie sposoby szukali szczęścia. Bardzo rzadko się spotykali, zawsze potajemnie, to w Ameryce, to w innej części świata, gdzie rzucił ich los.

Dowiedziano się również, że jeden z nich — trudno powiedzieć który, może nawet obaj — parał się handlem niewolnikami. Przywoził, a raczej organizował przewóz czarnego towaru z wybrzeży Afryki do stanów południowych Unii. Pełnił przy tym rolę pośrednika między poborcami podatkowymi na wybrzeżu a dowódcami statków używanych do tego handlu.

Czy im się wiodło? Nie wiadomo. Mało to jednak prawdopodobne. W każdym razie obroty znacznie zmały, a w końcu w ogóle się urwały, kiedy handel ludzkim towarem uznano za barbarzyństwo i powoli zniesiono go w cywilizowanym świecie. Bracia musieli wtedy zrezygnować

z tego zajęcia.

Fortuna wszelako, za którą od tak dawna się uganiali, którą za wszelką cenę chcieli zdobyć, nie była jeszcze zrobiona, więc musieli tego dokonać. Wtedy właśnie postanowili wykorzystać swoje niezwykle podobieństwo. Na ogół znacznie maleje ono z wiekiem. Z Texarami tak się jednak nie stało. W miarę jak dorastali, ich podobieństwo fizyczne i duchowe nie można powiedzieć, że rosło, pozostawało jednak takie samo — czyli zupełne. Nie dało się odróżnić jednego od drugiego nie tylko z rysów twarzy czy budowy ciała, ale także z gestów czy głosu.

Bracia postanowili więc wykorzystać tę przyrodzoną osobliwość, aby dopuszczać się najpodlejszych czynów, dbając o to, by w razie gdyby któryś został oskarżony, mieć alibi mogące wykazać jego niewinność. Toteż podczas gdy jeden popełniał ustalone przestępstwo, drugi pokazywał się gdzieś publicznie tak, że dzięki alibi niewinność była wykazywana ipso facto.

Rozumie się, że wyteżali cały swój spryt, żeby nie przyłapano ich na gorącym uczynku. Wtedy bowiem nie można by się powołać na alibi i cała machinacja zostałaby w krótkim czasie odkryta.

Przyjąwszy taki sposób życia, bracia zjawili się na Florydzie, gdzie ich jeszcze nie znano. Przyciągały ich tam rozliczne okazje, jakie musiały się nadarzać w stanie, gdzie Indianie ciągle prowadzili zajadłą walkę przeciwko Amerykanom i Hiszpanom.

Texarowie zjawili się na półwyspie w roku 1850 lub 1851. Należałoby raczej powiedzieć: Texar, a nie Texarowie. Zgodnie z planem, nigdy się razem nie pokazywali, nigdy ich nie spotkano tego samego dnia w tym samym miejscu, nigdy się nie dowiedziano, że istnieje dwóch braci o tym samym imieniu.

Okrywając zresztą tajemnicą własne osoby, w takim samym sekrecie trzymali swoją kryjówkę. Jak wiadomo, chronili się w głębi Czarnej Zatoki. Główną wysepkę i opuszczony fort odkryli podczas badania brzegów Saint Johns. Sprowadzili tam kilku niewolników, którym nie wyjawili swojej tajemnicy. Jedyne Skambo wiedział o ich podwójnym życiu. Oddany braciom na dobre i na złe, absolutnie dyskretny we wszystkim, co ich dotyczyło, ten godny Texarów zausznik był bezlitosnym wykonawcą ich rozkazów.

Rozumie się, że nigdy równocześnie nie pokazywali się nad Czarną Zatoką. Kiedy musieli coś omówić, informowali się listownie.

Widzieliśmy, że w tym celu nie używali poczty. Bilecik wsunięty w liść, liść umocowany na gałęzi tulipanowca rosnącego na przylegających do Czarnej Zatoki mokradłach — to wystarczało. Zachowując ostrożność, Skambo codziennie udawał się na bagna. Jeżeli wiozł wiadomość napisaną przez tego z Texarów, który przebywał nad Zatoką, umieszczał ją na gałęzi tulipanowca. Jeżeli zaś drugi brat napisał, Indianin brał list z umówionego miejsca i dostarczał go do fortu.

Przybywszy na Florydę, bracia niebawem zmówili się z najgorszą częścią jej społeczeństwa. Wielu złoczyńców stało się ich współnikami w licznych rozbojach dokonanych w owym czasie, a później ich zwolennikami, kiedy Texarowie zaczęli odgrywać pewną rolę podczas wojny secesyjnej. To jeden, to znów drugi nimi przewodził, a oni nigdy się nie dowiedzieli, że imię Texar należy do dwóch bliźniaków.

Zrozumiałe staje się teraz, w jaki sposób podczas dochodzeń w związku z różnymi przestępstwami Texarowie mogli się powołać na tyle niepodważalnych alibi. Tak było w sprawach rozpatrywanych przez sąd w okresie poprzedzającym tę opowieść — między innymi przy okazji sprawy spalonej farmy. Chociaż James Burbank i Zerma zdecydowanie twierdzili, iż rozpoznali w Hiszpanie sprawcę pożaru, został jednak uniewinniony przez sąd w Saint Augustine, ponieważ udowodnił, że w chwili przestępstwa znajdował się w Jack-sonville w szynku Torilla — co potwierdzili liczni świadkowie. Podobnie było ze zniszczeniem Camdless Bay. Jakżeby Texar mógł

prowadzić rabusiów do ataku na Castle House, jakżeby mógł porwać Dy i Zerme, skoro był wśród więźniów ujętych przez federalistów w Fernandinie i trzymany na jednym z okrętów flotyli? Rada wojenna zmuszona zatem była go uwolnić pomimo tylu dowodów, pomimo złożonych pod przysięgą zeznań Alicji Stannard.

Zakładając nawet, że wyszłaby wreszcie na jaw „dwuosobowość” Texara, prawdopodobnie nigdy by się nie dowiedziano, który z nich brał bezpośredni udział w tych różnych przestępstwach. Ale w końcu czyż nie byli obaj winnymi, i to w jednakim stopniu, raz współnikami, to znów głównymi sprawcami napadów, od tylu lat nękających górną Florydę? Oczywiście, że tak, a dosięgająca któregośkolwiek kara byłaby aż nadto zasłużona.

Jeśli chodzi o to, co się ostatnio wydarzyło w Jacksonville, to prawdopodobnie bracia kolejno odgrywali tę samą rolę po obaleniu w wyniku zamieszek legalnych władz miasta. Kiedy Texar numer 1 wyruszał na jakąś ustaloną wyprawę, Texar numer 2 przejmował jego obowiązki, przy czym ich zwolennicy niczego się nie domyślali. Należy zatem przyjąć, iż jednakowy brali udział w czynach popełnionych w tych czasach przeciwko kolonistom pochodzącym z Północy i plantatorom z Południa sprzyjającym ideom antyniewolniczym.

Obaj, rozumie się, musieli zawsze na bieżąco wiedzieć o tym, co się dzieje w środkowych stanach Unii, gdzie tak zmienne były koleje wojny domowej, jak i w stanie Floryda. Zyskali zresztą znaczny wpływ na „białą nędzę” hrabstwa, na Hiszpanów, a nawet Amerykanów sprzyjających niewolnictwu, na wszystkich wreszcie niegodziwców. W takiej sytuacji często musieli wymieniać korespondencję, spotykać się w jakimś sekretnym miejscu, omawiać przebieg swoich akcji, rozstawać się w celu przygotowania alibi.

Tak oto w chwili, gdy jeden był więziony na okręcie federalnym, drugi organizował napaść na Camdless Bay. I rada wojenna odrzuciła wniosek oskarżenia.

Powiedziano wcześniej, że z wiekiem fenomenalne podobieństwo braci nie zmalowało. Istniała jednak możliwość, iż naruszy je jakiś wypadek, rana, i że jeden lub drugi zostanie naznaczony. A to by wystarczyło, żeby ich machinacje spaliły na panewce.

Wszak wiodąc awanturniczy żywot, tak często się narażali, groziły im ciągle niebezpieczeństwa, których skutki, gdyby się okazały nie do naprawienia, nie pozwoliłyby im dłużej zamieniać się miejscami. Dopóki jednak można to było naprawić, ich podobieństwo nie zaznawało szkody.

Oto w jakiejś nocnej walce jednemu z braci strzał z bliska opalił brodę. Drugi natychmiast zgolił sobie zarost. A jak pamiętamy, o fakcie owym wspomniano na początku naszej opowieści, kiedy była mowa o Texarze, który przebywał w forcie.

Wyjaśnienia wymaga także inny fakt. Pamiętamy, że pewnej nocy Zerma, przebywając jeszcze nad Czarną Zatoką, podejrziała, jak Hiszpan kazał sobie wytatuować rękę. Uczynił to, ponieważ jego brat znalazł się wśród owych podróżnych, którzy wpadłszy w ręce Seminoli, napiętnowani zostali na lewym ramieniu znakiem nie do usunięcia. Natychmiast rysunek tego znaku przesłano nad Czar ną Zatokę, gdzie Skambo wykonał tatuaż. Podobieństwo było więc nadal absolutne.

Można by doprawdy sądzić, że gdyby Texarowi numer 1 amputowano kończynę, Texar numer 2 zaraz kazałby się tak samo okaleczyć!

Krótko mówiąc, przez blisko dziesięć lat bracia Texarowie wiedli podwójne życie, tak jednak chytrze, tak ostrożnie, że dotąd udawało im się udaremnić wszelkie dochodzenia florydzkich sądów.

Czy bliźniacy wzbogacili się na tym procederze? W pewnym sensie niewątpliwie tak. Znaczna suma pieniędzy, zaoszczędzona na zdobyczach z rabunków, ukryta była w tajemnym schowku w blokhauzie nad Czarną Zatoką. Przez ostrożność Hiszpan zabrał owe pieniądze wyruszając na wyspę Carneral i z pewnością nie zostawi ich w szafasie, gdyby mu przyszło uciekać na Wyspy Bahama.

Tego bogactwa nie było im jednak dość. Toteż pragnęli je powiększyć, nim zasnę w spokoju korzystając w jakimś kraju Europy lub Ameryki.

Widać mieli jednak pewny sposób zdobycia tego, czego im brakowało, aby stali się bogaczami, nawet ponad ich ambicje. Dlaczego bowiem nie wysłuchali uczynionej im przez Zermę propozycji? Dlaczego nie godzili się zwrócić Dy zrozpaczonemu rodzicom? James Burbank niechybnie oddałby cały majątek za uwolnienie swojego dziecka. Zobowiązałby się nie składać żadnych skarg, nie starać się o dochodzenie przeciwko Hiszpanowi. U Texarów jednak nienawiść przemawiała silniejszym głosem niż korzyści, a choć pragnęli się wzbogacić, to równie mocno chcieli się zemścić na Burbankach, zanim opuszczą Florydę.

Nie trzeba chyba dodawać, że Zerma pojęła wszystko, gdy tylko znalazła się naraz twarzą w twarz z dwoma mężczyznami. Przez głowę przemknęły jej błyskawicznie przeszłe wydarzenia. Patrzyła na nich w zaskoczeniu, stojąc nieruchomo, jak wrośnięta w ziemię, z dziewczynką na ręku. Szczęściem świeższe powietrze w tej izbie odsunęło od dziecka niebezpieczeństwo, że się udusi.

Dla Zermy pojawienie się przed braćmi, odkrycie ich tajemnicy stanowiło wyrok śmierci.

ROZDZIAŁ XIV

ZERMA DZIAŁA

Stojący przed Zerwą Texarowie, tak zwykle opanowani, nie zdołali zachować zimnej krwi. Właściwie po raz pierwszy, odkąd dorośli, ktoś ujrzał ich razem. I ta osoba była ich śmiertelnym wrogiem. Toteż w pierwszym porywie chcieli się na nią rzucić, zabić ją, aby ocalić tajemnicę podwójnego życia...

Dziecko w ramionach Zerwy wyprostowało się i wyciągając drobne rączki wołało:

— Boję się!... Boję się!

Na znak braci Skambo podszedł do Mulatki, ujął ją za ramię i wypchnął do jej izby zamykając drzwi, po czym wrócił do Texarów. Z całej jego postaci widać było, że wystarczy tylko wydać rozkaz, a on usłucha. Wszelako zaskoczenie poruszyło braci bardziej, niżby można przypuszczać zważywszy na zuchwałość i porywczosć obu. Wydawali się naradzać wzrokiem.

Zerwa tymczasem przycupnęła w kącie izby, położywszy dziewczynkę na posłaniu. Powoli wróciło jej opanowanie. Podeszła do drzwi, aby podsłuchać, o czym teraz będzie mowa. Za chwilę niewątpliwie zapadnie decyzja co do jej losu. Texarowie ze Skambem wyszli jednak z szałasów i Zerwa nie dosłyszała ich słów.

A rozmowa taki oto miała przebieg:

— Zerwa musi umrzeć!

— Jasne! Gdyby tak uciekła albo gdyby Jankesi ją odbili, jesteśmy zgubieni! Musi umrzeć!

— Zaraz zginie! — odezwał się Skambo.

I już zmierzał w stronę szałasów z kordelasem w ręku, gdy zatrzymał go jeden z braci.

— Zaczekajmy jeszcze — rzekł. — Zawsze będzie czas, żeby zgładzić Zerwę, a na razie jej opieka jest dziecku niezbędna, dopóki jej kimś innym nie zastąpimy. Przedtem zastanówmy się nad naszym położeniem. Jankeski oddział przemierza na rozkaz Duponta las. Zbadajmy najpierw okolice wyspy i jeziora. Nic przecież nie wskazuje na to, że idący na południe oddział skieruje się w tę stronę. Jeśli tu przyjdą, będziemy mieli czas na ucieczkę. Jeśli nie, zostaniemy tutaj, a im pozwolimy wejść w głąb Florydy. Wtedy Janke si będą na naszej łasce, bo zdążymy zebrać większość błąkających się na tych terenach oddziałów milicji. Zamiast uciekać, będziemy ich ścigać wszystkimi siłami. Łatwo im odetniemy odwrot, a chociaż kilku marynarzom udało się zbiec znad Kissimmee, tym razem nie ujdzie nam nikt!

W obecnej sytuacji był to, rzecz jasna, najlepszy sposób postępowania. Wielu Południowców przebywało w tamtych okolicach czekając tylko okazji, by wznowić ataki na federalistów. Kiedy jeden z Texarów ze swymi kompanami dokona zwiadu, wtedy postanowią, czy mają zostać na wyspie, czy wycofać się w okolice przylądka Sable. Decyzja zapadnie już następnego dnia. Co się zaś tyczy Zerwy, to niezależnie od wyniku zwiadu Skambo będzie miał obowiązek postarać się o jej dyskrecję za pomocą noża.

— Jeśli chodzi o dziecko — dodał jeden z braci — to w naszym interesie leży utrzymanie małej przy życiu. Na pewno nie zrozumiała tego, co pojęła Zerwa, i może się nam przydać jako okup, gdybyśmy wpadli w ręce Howicka. Żeby wykupić córkę, James Burbank zgodzi się na wszelkie warunki, jakie mu narzucimy, nie tylko na gwarancję bezkarności, ale i na każdą cenę naznaczoną za wolność jego dziecka.

— Jak Zerwa umrze — odezwał się Indianin — to i dziecko może iść za nią.

— Nie, opiekę będzie miało dobrą — odrzekł jeden z Texarów — bez trudu znajdem Indiankę,

która zastąpi Mulatkę.

— Niech tak będzie. Przede wszystkim musimy się teraz pozbyć Zermy.

— Już wkrótce, cokolwiek się stanie, Mulatka umrze!

Na tym zakończyła się rozmowa braci i Zerma usłyszała, jak wchodzą do szałas.

Co to była za noc dla nieszczęsnej kobiety! Wiedziała, że wyrok na nią zapadł, lecz wcale o sobie nie myślała. Niewiele się swoim losem przejmowała, zawsze gotowa oddać życie za swojego pana. A chodziło przecież o Dy, która miała zostać wydana na pastwę okrucieństwa tych bezlitosnych ludzi. Zakładając, że więcej zyskają, jeśli dziecko nadal będzie żyło, czy Dy nie umrze jednak, kiedy nie stanie opiekującej się nią Zermy? Toteż pewna uporczywa myśl, obsesja niejako podświadoma, zaczęła ją nękać — myśl o ucieczce, zanim Texar rozdzieli ją z dzieckiem.

W czasie tej nie kończącej się nocy Mulatka rozmyślała tylko o tym, jak zrealizować swój plan. Z podsłuchanej rozmowy dowiedziała się między innymi, że nazajutrz jeden z Texarów wraz ze swoimi kompanami ruszy na zwiad w okolicach jeziora. Przygotują się, rzecz jasna, do ewentualnego starcia z oddziałem federalnym, gdyby się z nim spotkali. Texarowi będą zatem towarzyszyć ludzie przyprohwadzeni przez jego brata. Ten zaś z pewnością pozostanie na wyspie, zarówno po to, by go nie rozpoznano, jak i po to, by strzec szałas. Wtedy właśnie Zerma spróbuje uciec. Może uda jej się znaleźć jakąś broń i gdyby została zaskoczona, nie zawaha się nią posłużyć.

Noc dobiegała końca. Na próżno Zerma próbowała wyciągnąć jakąś wskazówkę ze wszystkich dochodzących z wyspy dźwięków, wciąż w nadziei, że oddział kapitana Howicka nadejdzie może, by ująć Texara.

Tuż przed wschodem słońca dziewczynka, wypocząwszy nieco, obudziła się. Zerma dała jej trochę wody, co małą odświeżyło. Po czym przytuliła ją do siebie, patrząc na Dy, jakby miała jej więcej nie ujrzeć. Gdyby w tej chwili ktoś wszedł, by je rozdzielić, Mulatka broniłaby się z furją lwicy, której chce się zabrać małe.

— Co ci jest, Zermo? — spytało dziecko.

— Nic... Nic... — szepnęła Mulatka.

— A mama?... Kiedy ją zobaczymy?

— Już niedługo... — odparła Zerma. — Może jeszcze dzisiaj... Tak, kochanie. Myślę, że dzisiaj będziemy już daleko stąd...

— A ci panowie, których widziałam w nocy?

— Ci panowie... — rzekła Zerma. — Dobrze im się przyjrzałaś?

— Tak... Boję się ich!

— Ale dobrze im się przyjrzałaś, prawda?... Zauważyłaś, jak są podobni?

— Tak.

— Więc pamiętaj, masz powiedzieć tatusiowi i paniczowi Gilbertowi, że to bracia... Słyszysz? Dwaj bracia Texarowie, tak do siebie podobni, że nie da się ich odróżnić!

— Ale ty też im to powiesz? — zapytała dziewczynka.

— Tak, tak... powiem! Gdyby mnie jednak nie było, nie wolno ci zapomnieć...

— A dlaczego miałoby cię nie być? — spytało dziecko, otacza ją drobnymi rączkami szyję Mulatki, jakby chciało mocniej się do niej przytulić.

— Będę, kochanie, będę... A teraz, skoro mamy ruszyć w drogę... a droga będzie długa... trzeba nabrać sił!... Przygotuję ci śniadanie...

— A ty?

— Ja zjadłam, kiedy ty spałaś, i już nie jestem głodna.

W rzeczywistości Zerma, w obecnym podnieceniu, nie zdołałaby nic przełknąć, nawet tej

odrobiny, jaką dysponowała. Po posiłku Dy położyła się z powrotem na posłaniu.

Zerma usiadła wtedy obok szpary między trzciniami w kącie izby. Przez blisko godzinę bacznie obserwowała, co się dzieje na zewnątrz, miało to bowiem dla niej wielkie znaczenie.

Trwały przygotowania do zwiadu. Jeden z braci — tylko jeden — formował grupę, którą miał poprowadzić przez las. Drugi, przez nikogo dotąd nie widziany, ukrył się pewno w szałasie lub w jakimś zakątku wyspy.

Tak przynajmniej sądziła Zerma, znając staranie, z jakim strzegli tajemnicy swego życia. Pomyślała też, że pewno na pozostałego na wyspie Texara spadnie obowiązek pilnowania jej i dziecka.

Jak niebawem zobaczymy, nie myliła się.

Tymczasem partyzanci i niewolnicy, w liczbie około pięćdziesięciu, zebrali się przed szałasem, czekając na rozkaz przywódcy, by wyruszyć w drogę.

Dochodziła dziewiąta rano, kiedy oddział był gotów do przepłynięcia na skraj lasu — co wymagało czasu, łódka bowiem mogła zabrać na raz raptem pięciu czy sześciu ludzi. Zerma widziała, jak małymi grupkami schodzą nad wodę, a potem wspinają się na drugi brzeg. Przez szparę nie mogła jednak dojrzeć powierzchni kanału, położonego dużo poniżej poziomu wyspy.

Texar, przeprawiający się na końcu, zniknął także wraz z jednym psem, którego wędh miano wykorzystać podczas zwiadu. Na znak swojego pana drugi ogar wrócił do szałas, jakby tylko on miał strzec jego drzwi.

Chwilę później Zerma ujrzała Texara, jak wchodzi na przeciwny brzeg i zatrzymuje się na chwilę, by ustawić oddział. Po czym wszyscy, ze Skambem i psem na czele, zniknęli za olbrzymimi trzciniami rosnącymi pod drzewami na skraju lasu. Któryś z Murzynów prze prawił się łódką z powrotem, ażeby nikt nie mógł się dostać na wyspę. Mulatka nie zobaczyła go jednak, pomyślała więc, że pewno poszedł brzegiem kanału.

Nie wahała się dłużej.

Dy właśnie się obudziła. Przykro było patrzeć na jej wychudzone ciało pod odzieżą zniszczoną tyloma trudami.

— Chodź, kochanie — powiedziała do niej Zerma.

— Gdzie? — spytało dziecko.

— Do lasu. Może spotkamy tam twojego tatusia... i braciszka... Nie będziesz się bała?

— Z tobą nigdy się nie boję — odparła dziewczynka. Mulatka ostrożnie uchyliła drzwi do sąsiedniej izby. Ponieważ

nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk, przypuszczała, że Texara nie ma w szałasie.

W rzeczy samej izba była pusta.

Zerma przede wszystkim rozejrzała się za jakąś bronią, gotowa się nią posłużyć, gdyby ktokolwiek próbował ją zatrzymać. Na stole leżał szeroki kordelas, jakiego używają na polowaniach. Chwyciła go i ukryła pod odzieniem. Zabrała również nieco suszonego mięsa, by zapewnić sobie żywność na kilka dni.

Teraz należało wyjść z szałas. Zerma zerknęła przez szpary w ścianach w kierunku kanału. Nie było żywego ducha w tej części wyspy, nawet psa, który został na straży.

Uspokojona, spróbowała otworzyć drzwi wejściowe. Zaparte z zewnątrz, stawiały opór.

Natychmiast wróciła z dzieckiem do ich izby. Pozostało jej tylko jedno: wykorzystać otwór częściowo już zrobiony w ścianie szałas.

Nie sprawiło jej to trudności. Posłużyła się kordelasem, by poprzecinać trzciny wplecione między szkielet, czyniąc to możliwie najciszej.

Wprawdzie ogar, którego Texar zostawił, nie pokazał się dotąd, czy się jednak nie zjawi, kiedy Zerma wyjdzie na zewnątrz? Czy nie rzuci się na nie? Równie dobrze mogłaby się zmierzyć z tygrysem!

Nie było jednak czasu na wahanie. Toteż gdy tylko przejście było wolne, przytuliła do siebie i ucałowała dziecko, czule je ściskając. Dziewczynka z całego serca oddała jej pocałunki. Zrozumiała: muszą uciekać, przez tę dziurę.

Zerma przecisnęła się przez otwór. Rozejrzała się na wszystkie strony nasłuchując. Nie doszedł jej żaden dźwięk. Wtedy w otworze pojawiła się Dy.

W tejże chwili rozległo się ujadanie. Dość dalekie jeszcze, zdawało się dobiegać z zachodniej części wyspy. Zerma chwyciła dziecko na rękę. Serce omal jej nie rozsadziło piersi. Względnie bezpieczna poczuje się wtedy dopiero, gdy ją zakryją trzciny na drugim brzegu.

Przebycie jednak odległości stu kroków dzielącej szłaś od kanału stanowiło najtrudniejszą część ucieczki. Groziło jej bowiem, iż dostrzeże ją Texar bądź niewolnik, który powinien być zostać na wyspie.

Na szczęście na prawo od szłaś gąszcz drzewiastych roślin ciągnął się do samego brzegu kanału, kilka jardów ledwie od miejsca, gdzie znajdowała się chyba łódka.

Zerma postanowiła wejść w gęstwinę tych roślin, postanowienie zaraz wcielając w czyn. Wysokie krzaki dały przejście uciekinierkom, zamykając się zaraz za nimi. Ujadanie psa tymczasem ucichło.

Przedzieranie się przez gąszcz odbywało się nie bez trudu. Zerma musiała się przeciskać między gałęziami krzewów bardzo ciasno rosnących. Wkrótce jej odzienie było w strzępach, a ręce spływały krwią. Nie zważała na to, byle uchronić dziecko przed zadrapaniami długich kolców. Z mężnej Mulatki te ukłucia nie mogły wydobyć oznak cierpienia. Mimo jednak wszystkich starań, dziewczynka doznała kilku zadrapań na rękach i ramionach. Nie wydała jednak ani krzyku, ani razu się nie poskarżyła.

Mimo że odległość nie była zbyt duża — najwyżej jakieś sześćdziesiąt jardów, Zermie zajęło dobre pół godziny dotarcie do kanału. Stała wtedy i poprzez trzciny spojrzała najpierw w stronę szłaś, a potem lasu.

Pod wysokimi drzewami na wyspie nie było nikogo. Na drugim brzegu nic nie wskazywało na obecność Texara i jego kompanów, którzy o tej porze znajdowali się już pewno milę czy dwie w głębi lasu. O ile nie spotkają się z federalistami, wracać będą nie wcześniej jak za kilka godzin.

Zerma nie mogła jednak uwierzyć, że pozostawiono ją w szłaś samą. Nie przypuszczała także, aby ten z Texarów, który poprzedniego dnia przybył ze swoimi ludźmi, opuścił wyspę nocą ani żeby pies poszedł z nim. Słyszała zresztą ujadanie, co dowodziło, że ogar kręcił się między drzewami. W każdej chwili mogła się natknąć na psa albo człowieka. Czy jeśli się pospieszy, zdoła przedtem znaleźć się w lesie?

Jak pamiętamy, Zerma obserwując poczynania kompanów Hiszpana nie mogła dojrzeć łódki przepływającej kanał, którego koryto zasłaniały wysokie i gęste trzciny. Nie wątpiła jednak, iż jakiś niewolnik odstawił ją na miejsce. Było to ważne ze względu na bezpieczeństwo szłaś na wypadek, gdyby żołnierze kapitana. Howicka minęli się z Południowcami.

Jeżeli jednak łódka została na tamtym brzegu, jeżeli ostrożność nie kazała jej odesłać, ażeby zapewnić -szybsze przepłynięcie Texa-rowi i jego ludziom ściganym przez federalistów, to w jaki sposób Mulatka przeprawi się przez wodę? Czy będzie musiała uciekać pośród porastających wyspę drzew i tam czekać, aż Hiszpan wyruszy do nowej kryjówki w głębi Evergladów? Jeśli zaś postanowi tak uczynić, to czy pierwiej nie spróbuje wszystkich sposobów, byle tylko odzyskać Zermę

i dziecko? Wszystko zatem sprowadzało się do jednego: skorzystać z łódki, by przebyć kanał.

Zermie pozostało tylko prześliznąć się między trzcunami jakieś pięć, sześć jardów dalej. Doszedłszy do tego miejsca, stanęła... .

Łódka znajdowała się przy drugim brzegu.

ROZDZIAŁ XV

DWAJ BRACIA

Sytuacja wyglądała rozpaczliwie. Jak przebyć wodę? Nawet zuchwałemu pływakowi groziłoby, że po wielekroć utraci życie. Tylko sto stóp dzieliło jeden brzeg od drugiego! Cóż, kiedy bez łódki nie można było tej odległości przebyć. Trójkątne głowy wystawały tu i ówdzie z wody, a trawy poruszały się, gdy przepływały między nimi gady.

Dy, bezgranicznie przerażona, tuliła się do Zermy. Ach, gdyby dla uratowania dziecka wystarczyło się rzucić pomiędzy te potwory, które by ją oplotły niczym gigantyczna ośmiornica o tysiącu macek, Mulatka ani chwili by się nie wahała!

Żeby ją jednak uratować, trzeba było cudu. A tego cudu dokonać mógł tylko Bóg. Zerma w Nim jednym pokładała wiarę. Klęcząc na brzegu, błagała Tego, co włada przypadkiem, czyniąc zeń najczęściej wykonawcę Swej woli.

A tu tymczasem lada chwila część kompanów Texara mogła się pojawić na skraju lasu. Jeśli zaś pozostały na wyspie Texar wróci do szafasu i nie znajdzie tam Dy i Zermy, czy nie zaczną ich szukać?...

— Boże, zlituj się!... — zawołała Zerma.

Nagle jej wzrok padł na brzeg kanału po prawej stronie.

Lekki prąd niósł wody jeziora na północ, gdzie toczy swoje fale kilka dopływów Calaooschatches, jednej z rzeczulek wpadających do Zatoki Meksykańskiej, zasilającej jezioro Okeechobee w porze comiesięcznych wielkich przyptywów morza.

Do brzegu właśnie przybił niesiony z prądem pień drzewa. Czy konar ów nie wystarczyłby do przebycia kanału, skoro kilka jardów dalej zakole rzeki zmieniało kierunek nurtu, który by doniósł pień na drugą stronę? Ależ tak! A jeśli nawet zrządzeniem losu drzewo wróci do wyspy, uciekinierki nie znajdą się w sytuacji gorszej niż obecna.

Nie zastanawiając się dłużej, instynktownie niemal Zerma rzuciła się w kierunku płynącego pnia. Gdyby się przez chwilę zastanowiła, być może pomyślałaby, że woda roi się od gadów, że trawy mogą unieruchomić drzewo na samym środku kanału. Tyle że wszystko było lepsze od pozostania na wyspie! Toteż Zerma z Dy na rękę, oparłszy się o gałęzie, odepchnęła się od skarpy.

Pień znalazł się wnet w prądzie rzeki, która poniosła go w kierunku drugiego brzegu.

Zerma tymczasem próbowała się ukryć wśród gałęzi częściowo ją zasłaniających. Obydwa brzegi świeciły pustką. Ani z wyspy, ani z lasu nie dochodził żaden dźwięk. Znalazłszy się na drugiej stronie kanału, Mulatka z łatwością potrafi znaleźć jakieś schronienie, gdzie przeczeka do wieczora, aż będzie mogła wejść w las nie ryzykując, że zostanie spostrzeżona. Wstąpiła w nią nowa nadzieja. Prawie się nie przejmowała węzami, które szeroko otwierały pyski po obu stronach pnia i wpełzały na dolne gałęzie. Dy zamknęła oczy. Zerma tuliła ją do siebie jedną ręką, drugą gotowa w każdej chwili zabijać te potwory. Gady jednakże, czy to przestraszone widokiem kordelasu, czy to niegroźne poza środowiskiem wodnym, nie atakowały.

Pień dotarł wreszcie do środka kanału, którego prąd biegł ukośnie w stronę lasu. W ciągu kwadransa, jeśli się nie zapłacze w rośliny wodne, drzewo powinno przybić do tamtego brzegu. A wtedy, choć niebezpieczeństwa będą jeszcze wielkie, Zerma poczuje się poza zasięgiem Texara.

Naraz mocniej przycisnęła do siebie dziecko.

Na wyspie rozległo się wściekle ujadanie. I zaraz na brzegu pojawił się pies, zbiegając zeń długimi susami.

Zerma poznała ogara, którego Hiszpan nie zabrał ze sobą, zostawiając go na straży szalasu. Ze zjeżoną sierścią, płonącymi ślepiami, gotów był rzucić się między węże kotłujące się w wodzie.

W tejże chwili na skarpie stanął mężczyzna.

Był nim pozostały na wyspie Texar. Nadbiegł, zwabiony ujadaniem psa.

Trudno sobie wyobrazić gniew, jaki nim targnął, gdy na niesionym przez prąd pniu ujrzał Dy z Zermą. Nie mógł ruszyć za nimi w pogoń, gdyż łódka znajdowała się po drugiej stronie kanału. Jeden był tylko sposób, by je zatrzymać: zabić Zermę ryzykując, że wraz z nią zginie też dziecko!

Texar przyłożył karabin do ramienia i wycelował w Mulatkę, starającą się własnym ciałem osłonić dziewczynkę.

Naraz szalenie podniecony pies rzucił się do wody. Texar pomyślał, że najpierw pozwoli działać zwierzęciu.

Pies szybko zbliżał się do pnia. Zerma, mocno trzymając kordelas w rękę, gotowa była zadać cios... Ale okazało się to zbędne.

W jednej chwili węże oplotły zwierzę, które gryzło gady w odpowiedzi na ich jadowite ukąszenia, niebawem jednak znikło wśród wodnych traw.

Texar patrzył na śmierć psa, nie mając czasu, by przyjść mu z pomocą. Jeszcze chwila, a Zerma mu umknie...

Wymierzył i strzelił...

Pień znajdował się właśnie blisko brzegu, kula zaś musnęła tylko ramię Mulatki.

Chwilę później drzewo uderzyło o ziemię. Zerma z dzieckiem na rękę wyskoczyła na ląd i zniknęła wśród trzcin, gdzie następny strzał nie mógł jej dosięgnąć, po czym weszła w las.

Chociaż nie musiała się już niczego obawiać ze strony Texara pozostałego na wyspie, to jednak groziło jej nadal, że wpadnie w ręce jego brata.

Toteż w pierwszym rzędzie powinna była jak najszybciej i możliwie daleko odejść od wyspy Carneral. Gdy zapadnie noc, postara się ruszyć w kierunku Jeziora Waszyngtona. Tymczasem, wyężdżając wszystkie siły fizyczne i duchowe, biegła raczej, niż szła, prosto przed siebie, niosąc na rękę dziecko, by nie opóźniało ucieczki. Małe nóżki Dy odmówiłyby posłuszeństwa na nierównej ziemi, pośród paproci wystrzelających w górę niczym myśliwskie sidła, między grubymi korzeniami, których płatanina tworzyła nieprzebyte dla niej przeszkody.

Zerma niosła więc drogie brzemie, jakby nie czuła jego ciężaru. Niekiedy zatrzymywała się — nie tyle, żeby nieco odetchnąć, co żeby wsłuchać się w głosy lasu. Czasem zdawało jej się, że słyszy ujadanie drugiego ogara zabranego przez Texara, to znów odległe strzały. Zastanawiała się wtedy, czy Południowcy nie starli się z oddziałem federalnym. Kiedy zaś zorientowała się, że te rozmaite odgłosy to tylko krzyki przedrzeźniacza albo trzask suchej gałęzi, której włókna pękały z hukiem strzału, znów podejmowała przerwany na chwilę marsz. Napęczniona teraz nową nadzieją, nie dopuszczała do siebie myśli o czyhających niebezpieczeństwach, zanim dotrą do źródeł Saint Johns.

Przez godzinę szła tak, oddalając się od jeziora Okeechobee, skręcając na wschód, aby się przybliżyć do wybrzeża Atlantyku. Słusznie wywnioskowała, że wzdłuż brzegów Florydy powinny krążyć okręty eskadry czekające na oddział wysłany pod dowództwem kapitana Howicka. A może zdarzy się i tak, że kilka szalup będzie przepatrywało brzeg?...

Naraz stanęła. Tym razem się nie myliła. Pod drzewami rozbrzmiewało wściekle ujadanie, coraz bliższe. Poznała w nim tak często słyszane naszczekiwanie, kiedy ogary krążyły wokół blokhauzu nad Czarną Zatoką.

„Pies trafił na nasz ślad — pomyślała. — Texar chyba jest blisko!”

Najpierw rozejrzała się za jakimś gąszczem, gdzie by mogła z dzieckiem przycupnąć. Czy zdoła

jednak uniknąć klów zwierzęcia, równie mądrego co dzikiego, wytresowanego niegdyś do tropienia zbiegłych niewolników, do odszukiwania ich śladu?

Ujądanie było coraz bliższe, usłyszała także odległe jeszcze krzyki.

O kilka kroków od niej rósł cyprys spróchniały ze starości, na którym wężowniki i liany splotły się w gęstą zasłonę.

Zerma skuliła się w dziupli wystarczająco dużej, by zmieścić ją i dziecko, a sieć lian zasłoniła je obie.

Ale ogar szedł ich śladem. Chwilę później Zerma ujrzała go przy drzewie. Szczekał ze wzrastającą wściekłością i naraz rzucił się na cyprys.

Cios kordelasem zmusił go do cofnięcia, lecz ujądanie rozbrzmiało gwałtowniej. Zaraz potem rozległy się kroki. Słysząc było nawoływania, pokrzykiwania, a wśród nich znajome głosy Texara i Skamba.

Byli to istotnie Hiszpan i jego kompani, którzy zmierzali w stronę jeziora, uchodząc przed oddziałem federalnym. Niespodziewanie natknęli się nań w lesie, a nie dysponując wystarczającymi siłami, spieszenie się wycofywali. Texar chciał dotrzeć do wyspy najkrótszą drogą, ażeby od federalistów oddzielił go pas wody. Żołnierzy zatrzyma przeszkoda w postaci kanału, którego nie będą mogli przebyć. Zyskawszy kilka godzin zwłoki, Południowcy przejdą na drugi kraniec wyspy, a stamtąd nocą spróbują się łodzią przedostać na południowy brzeg jeziora.

Kiedy Texar i Skambo stanęli przed drzewem, pod którym ciągle naszczekiwał pies, ujrzeli ziemię czerwoną od krwi wypływającej z rany w boku zwierzęcia.

— Panie, patrz! — zawołał Indianin.

— Ktoś zranił psa? — odezwał się Texar.

— Tak, panie!... Nożem, dopiero co. Krew jeszcze nie skrzepla!

— Kto?...

W tej chwili pies znowu rzucił się ku zwisającemu listowiu, które Skambo odgarnął lufą karabinu.

— Zerma!...—zawołał.

— I dziecko! — dodał Texar.

— Jak im się udało uciec?

— Zabić ją, zabić!

Rozbrojona przez Skamba w chwili, gdy miała zadać cios Hiszpanowi, Mulatka wyciągnięta została z dziupli tak brutalnie, że dziewczynka wypadła jej z rąk i potoczyła się między owe gigantyczne grzyby, tak licznie rosnące wśród cyprysów.

Uderzony grzyb wybuchł niczym broń palna. Przejrzysty pył rozszedł się w powietrzu. W jednej chwili zaczęły pękać kolejne grzyby. Rozległ się taki huk, jakby las pełen był krzyżujących się sztucznych ogni.

Oślepiiony nieprzeliczonymi zarodnikami Texar musiał puścić Zermę, której groził nożem, Skambo również nic nie widział z powodu parzących pyłków. Na szczęście leżące na ziemi Mulatka i dziecko nie ucierpiały od unoszących się nad nimi zarodników.

Zerma nie zdołałaby jednak ująć Texarowi. Po ostatniej serii wybuchów powietrzem dało się znowu oddychać.

A wtedy zabrzmiały nowe wybuchy — tym razem z broni palnej.

To oddział federalny atakował Południowców. Otoczeni przez marynarzy kapitana Howicka, musieli się poddać. W tej chwili Texar, schwytawszy Zermę, zadał jej nożem cios w pierś.

— Dziecko!... Zabierz dziecko!... — zawołał do Skamba. Indianin porwał dziewczynkę na ręce i

uciekał w stronę jeziora,

gdy naraz padł strzał... Skambo padł martwy, trafiony prosto w serce kulą, którą posłał za nim Gilbert.

W miejscu tym znaleźli się wszyscy: James Burbank i Gilbert, Edward Carrol, Perry, Mars, Murzyni z Camdless Bay, marynarze kapitana Howicka trzymający na muszce Południowców, a wśród nich Texar niedaleko od zwłok Skamba. Kilku konfederatom udało się jednak uciec w stronę wyspy.

Czy miało to teraz jakieś znaczenie? Czyż Dy nie znajdowała się w ramionach ojca, który ją tulił tak mocno, jakby się bał, że ktoś mu ją znowu wyrwie? Gilbert i Mars, pochyleni nad Zerumą, próbowali ją ocucić. Nieszczęsna kobieta oddychała, nie mogła jednak mówić. Mars podtrzymywał jej głowę, wołał po imieniu, całował.

Zeruma otworzyła wreszcie oczy. Ujrzała dziecko w ramionach Burbanka, poznała Marsa okrywającego ją pocałunkami, uśmiechnęła się doń. Po czym znowu zamknęła powieki...

Mars podniósł się, a spostrzegłszy Texara, skoczył w jego stronę, powtarzając słowa, które tak często wypowiadał:

— Śmierć Texarowi!... Śmierć!

— Mars, zatrzymaj się! — powiedział kapitan Howick. — Pozwól nam osądzić tego nędznika!

A odwracając się do Hiszpana, zapytał:

— Ty jesteś Texar znad Czarnej Zatoki?

— Nie muszę odpowiadać — rzekł Texar.

— James Burbank, porucznik Burbank, Edward Carrol, Mars znają cię i rozpoznają.

— Owszem.

— Zostaniesz rozstrzelany!

— No to dalej!

I wtedy, ku niebotycznemu zdumieniu wszystkich, mała Dy, zwracając się do ojca, rzekła:

— Tatusiu, ich jest dwóch... dwóch braci... brzydkich... którzy są tacy sami...

— Dwóch?...

— Tak. Zeruma kazała mi, żebym ci to powiedziała.

Trudno było pojąć, co znaczą te dziwne słowa dziecka. Uzyskano jednak zaraz ich wyjaśnienie, i to w sposób całkowicie nieoczekiwany.

Texar został doprowadzony pod drzewo. Patrząc Jamesowi Burbankowi prosto w twarz, cmił zapalonego przed chwilą papierosa, gdy naraz, w chwili, gdy ustawiał się pluton egzekucyjny, pojawił się jakiś człowiek i jednym skokiem stanął przy skazanym.

Był to drugi Texar, którego zbiegli na wyspę Południowcy powiadomili o zatrzymaniu brata.

Na widok tych dwu tak podobnych do siebie ludzi wszyscy pojęli, co znaczyły słowa dziewczynki. Wreszcie stało się jasne to życie pełne przestępstw, ciągle chronione przez niewytłumaczalne alibi. I oto cała przeszłość Texarów, odtworzona przez samą ich obecność, objawiła się zebrany.

Wkroczenie brata wywołało wszelako pewne wahanie, jeśli chodzi o wypełnienie rozkazu komodora Duponta.

Rozkaz natychmiastowego wykonania wyroku wydany przezeń dotyczył bowiem tylko sprawcy zasadzki, w której zginęli oficerowie i marynarze federalni. Sprawca zaś napaści na Camdless Bay i porwania powinien być doprowadzony do Saint Augustine i oddany pod sąd, który go tym razem niewątpliwie ukarze.

Czy jednak nie należało obu braci traktować jako jednakowo odpowiedzialnych za długą serię

zbrodni, jakie udało im się bezkarnie popełnić?

Ależ oczywiście! Wszelako, przestrzegając prawa, kapitan Howick poczuł się w obowiązku zadać im takie oto pytanie:

— Który z was przyznaje się do winy za masakrę nad Kissimmee?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Rzecz jasna, Texarowie postanowili nie odpowiadać na żadne z zadawanych im pytań.

Jedna Zerma mogłaby powiedzieć, jaki był udział każdego w popełnionych przestępstwach. Ten z braci bowiem, który 22 marca przebywał nad Czarną Zatoką, nie mógł być sprawcą masakry popełnionej tego dnia sto mil dalej, na południu Florydy. A prawdziwego sprawcę porwania Zerma z pewnością by wskazała. Czy Mulatka jednak żyła jeszcze?...

Żyła, i oto pojawiła się, wsparta na ramieniu męża. Ledwie słyszalnym głosem rzekła:

— Winnym porwania jest ten, który ma na lewej ręce tatuaż...

Na te słowa po ustach braci przewinął się pełen pogardy uśmieszek i odwinąwszy rękawy, obaj pokazali na lewym ramieniu identyczne tatuaże.

Wobec tej nowej przeszkody w odróżnieniu jednego od drugiego kapitan Howick powiedział tylko:

— Sprawca masakry nad Kissimmee ma być rozstrzelany. Który z was nim jest?

— Ja! — odpowiedzieli jednym głosem bracia.

Na tę odpowiedź pluton egzekucyjny wycelował broń w skazanych, którzy się po raz ostatni uścisnęli.

Rozległa się salwa. Ramię w ramię obaj upadli.

Tak oto skończyli ci ludzie obciążeni tyloma zbrodniami, które od lat pozwalało im popełniać ich niezwykle podobieństwo. Jedyne ludzkie uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczali, owa dzika przyjaźń braterska, jaką się nawzajem darzyli, przetrwała do samej śmierci.

ZAKOŃCZENIE

Wojna domowa tymczasem toczyła się dalej. W ostatnim czasie miały miejsce wydarzenia, o których James Burbank nie mógł się dowiedzieć przed swoim powrotem do Camdless Bay.

Wydawało się, że przewagę mieli wówczas konfederaci skoncentrowani pod Corinth w chwili, gdy wojska Unii zajmowały pozycje pod Pittsburg Landing. Armią separatystów dowodził Johnston jako naczelny wódz, mający pod swymi rozkazami Beauregarda, Hardee'ego, Braxtona-Bagga, biskupa Polka — byłego wychowanka West Point, i zręcznie wykorzystał nieprzezorność Jankesów. W dniu 5 kwietnia pod Shiloh federaliści zostali zaskoczeni, co spowodowało rozbitcie brygady Heabody'ego i odwrót Shermana. Konfederaci wszelako drogo zapłacili za owo zwycięstwo: bohaterski Johnston poległ podczas odpierania wojsk federalnych.

Był to pierwszy dzień kwietniowej batalii. Dwa dni później walki podjęto na całej długości linii i Sherman zdołał odzyskać Shiloh. Z kolei konfederaci musieli uciekać przed żołnierzami Granta. Krwawa to była bitwa! Na osiemdziesiąt tysięcy walczących dwadzieścia tysięcy poległo lub zostało ranionych!

Było to właśnie najświeższe wydarzenie, a James Burbank i jego towarzysze dowiedzieli się o tym nazajutrz po przybyciu do Castle House, gdzie dotarli 7 kwietnia.

Po rozstrzelaniu braci Texarów ruszyli bowiem z kapitanem Howickiem, prowadzącym swój oddział i więźniów w kierunku wybrzeża. Przy przylądku Malabar stał jeden z okrętów flotylii patrolujący wybrzeże. Okręt ów dowiózł ich do Saint Augustine. Następnie kanonierka, która wzięła wyprawę na pokład w Picolacie, wysadziła ich na przystani w Camdless Bay.

Wszyscy zatem wrócili do Castle House — także Zerma, która przeżyła rany. Niesiona przez Marsa i jego towarzyszy aż do okrętu federalnego, znalazła też opiekę na pokładzie. Jakżeby zresztą mogła umrzeć teraz, kiedy promieniała szczęściem, że uratowała małą Dy, że z powrotem jest z tymi, których kocha?

Łatwo pojąć, jak wielka po tylu doświadczeniach była radość całej rodziny, gdy jej członkowie wreszcie się złączyli, by się już nigdy więcej nie rozdzielić. Pani Burbank, mając dziecko przy sobie, po woli wróciła do zdrowia. Czyż u jej boku nie stał mąż i syn, Alicja — niedługo jej córka — Zerma i Mars? I niczego nie musiała się już więcej obawiać strony nędznika, a raczej nędzników, których główni wspólnicy znajdowali się w rękach federalistów.

Jak pamiętamy z rozmowy braci Texarów na wyspie Carneral, po okolicy krążyła pewna plotka. Powiadano, że federaliści opuszczą Jacksonville, że komodor Dupont, ograniczając się do blokady wybrzeża morskiego, gotuje się do wycofania kanonierek, które zapewniały bezpieczeństwo na rzece. Plan ten mógł się rzecz jasna okazać groźny dla kolonistów powszechnie znanych z poglądów antyniewolniczych, a zwłaszcza dla Jamesa Burbanka.

Plotka była uzasadniona. Albowiem 8 kwietnia, następnego dnia po tym, jak w Castle House spotkała się cała rodzina, federaliści przeprowadzili ewakuację Jacksonville. Toteż ta część mieszkańców miasta, która sprzyjała sprawie unionistów, uznała, że należy się schronić w Port Royal bądź w Nowym Jorku.

James Burbank nie poszedł ich śladem. Na plantację wrócili Murzyni, już nie jako niewolnicy, lecz wyzwolenicy, a ich obecność zapewniała Camdless Bay bezpieczeństwo. W dodatku wojna weszła w korzystną dla Północy fazę, co miało pozwolić Gilbertowi pozostać czas jakiś w Castle House i wziąć ślub z Alicją Stannard.

Prace na plantacji zostały więc znowu podjęte i na powrót zaczęto przetwarzać jej plody. Nie było już oczywiście mowy o nakazaniu Jamesowi Burbankowi wykonania ustawy, która wydalala wyzwolenców z terytorium Florydy. Nie stało Texara i jego zwolenników, by podżegać do zamieszek. Krążące przy wybrzeżu kanonierki zaprowadziłyby zresztą w Jacksonville porządek.

Co się zaś tyczy stron wojujących, to miały się one jeszcze zmagać przez trzy lata, i nawet Florydzie przeznaczone było doświadczyć pewnych następstw wojny.

Tego samego roku bowiem, we wrześniu, okręty komodora Duponta pojawiły się na wysokości Saint Johns Bluffs przy ujściu rzeki i Jacksonville zostało zajęte po raz wtóry. Trzeci raz zajął miasto generał Seymour w roku 1866, nie spotkawszy się z większym oporem.

W dniu 1 stycznia roku 1863 proklamacja prezydenta Lincolna zniosła niewolnictwo we wszystkich stanach Unii. Wojna jednakże skończyła się dopiero 9 kwietnia 1865 roku. Tego dnia pod Appomatox Court House generał Lee poddał się z całym swoim wojskiem generałowi Grantowi na honorowych warunkach.

Cztery lata trwały zatem zażarte zmagania Północy z Południem. Kosztowały one dwa miliardy siedemset milionów dolarów i życie ponad pół miliona ludzi; wszelako niewolnictwo zniesione zostało w całej Ameryce Północnej.

Tak oto po wsze czasy zapewniono niepodzielność Republiki Stanów Zjednoczonych dzięki wysiłkowi tych Amerykanów, których przodkowie blisko sto lat wcześniej dali wolność swemu krajowi podczas wojny o niepodległość.